

**Jonathan Kellerman**

***DOKTOR ŚMIERĆ***

*(Dr. Death)*

Przekład Grzegorz Kołodziejczyk

*Dla doktora Jerry'ego Dasha*

Ironia może być smakowitym kąskiem, więc kiedy opublikowano wiadomość o zawartości furgonetki, niektórzy wprost się nią objadali. Zwłaszcza ci, którzy uważali, że Eldon H. Mate był Aniołem Śmierci.

Ci, którzy widzieli w nim uosobienie miłosierdzia, pograżyli się w smutku. Ja patrzyłem na to inaczej, bo miałem swoje własne zmartwienia.

Mate został zamordowany we wczesnych godzinach rannych mglistego wrześnieowego poniedziałku. Ponieważ do zachodu słońca nie nastąpiło żadne trzęsienie ziemi ani nie wybuchła wojna, śmierć doktora stała się głównym punktem wieczornych wiadomości, a we wtorek trafiła na czołówki „Timesa” i „Daily News”. Telewizja przestała zajmować się sprawą po dwudziestu czterech godzinach, ale w środowych gazetach pojawiły się omówienia wcześniejszych artykułów. Przez cztery dni morderstwo przyciągało maksimum uwagi mieszkańców LA. Większe zainteresowanie wywołałoby tylko wówczas, gdyby znalezione zwłoki należały do księżniczki lub gdyby mordercę stać było na adwokatów marzących o Oscarach.

W tej sprawie nie będzie ani łatwych rozwiązań, ani dramatycznych przełomów. Milo wystarczająco długo pracował w tym fachu, żeby o tym nie wiedzieć.

Lato miał lekkie, w lipcu i sierpniu złapał czterech rozbijającą głupich morderców. Jeden posunął się za daleko w czasie awantury rodzinnej, trzej pozostali zastrzelili po pijaku innych alkoholików w zakazanych knajpach w Westside. Wszyscy czterej pozostali na miejscu zbrodni tak długo, że policja musiała ich tylko aresztować. Dzięki temu Milo miał nadal wysoki współczynnik skuteczności, co trochę – choć bez przesady – ułatwiało mu pozycję jedyne detektywa w policji Los Angeles, otwarcie przyznającego się do homoseksualizmu.

– Wiedziałem, że na mnie padnie – powiedział, kiedy zadzwonił do mnie w niedzielę. Trup Mate’a leżał zimny już od sześciu dni, więc reporterzy przestali się nim interesować.

Odpowiadało to Milo. Uwielbiał samotność, jak każdy artysta. Nie dawał prasie żadnego punktu zaczepienia. Takie były polecenia góry. Co do tej jednej rzeczy zgadzał się ze swoimi przełożonymi: reporterzy zawsze są wrogami.

W prasie ukazały się tylko fragmenty życiorysu, nieuniknione rozważania etyczne, stare zdjęcia i stare cytaty. Poza tym, że Mate dostał się w tryby własnej maszyny śmierci, do wiadomości opinii publicznej podano tylko podstawowe szczegóły.

Wóz stał zaparkowany gdzieś na odległym końcu Mulholland Drive i przechodnie zauważyli go tuż po świcie.

Doktor Śmierć zamordowany.

Ja wiedziałem więcej, bo Milo mi opowiedział.

Telefon odezwał się o ósmej wieczorem. Robin i ja skończyliśmy właśnie jeść kolację. Byłem już za drzwiami, ze Spikiem, naszym francuskim buldożkiem na smyczy. Obaj nie mogliśmy się doczekać wieczornej przechadzki. Spike uwielbiał ciemności, bo węsząc i śledząc różne dźwięki, mógł udawać, że jest prawdziwym, szlachetnym psem myśliwskim. Dla mnie, po całodzienniej pracy wśród ludzi, samotność też była chwilą wytchnienia.

Robin podniosła słuchawkę i zatrzymała mnie w porę. Sama wyszła z psem, a ja wróciłem do gabinetu.

– Dostałeś sprawę zabójstwa Mate'a? – spytałem zaskoczony, że nie powiedział mi o tym wcześniej, i trochę zdenerwowany, bo to oznaczało, że tydzień znacznie się skomplikuje.

– Któż inny zasługiwałby na takie wyróżnienie?

Roześmiałem się cicho, ale ramiona mi opadły; poczułem, że mięśnie szyi naprężają się. Zacząłem się martwić w chwili, gdy usłyszałem o śmierci Mate'a. Po długim zastanowieniu wykonałem pewien telefon, ale nikt nie oddzwonił. Przestałem więc o tym myśleć, bo tak było najrozsądniej. To nie była moja sprawa. Ale teraz, po telefonie Milo, wszystko się zmieniło.

Zachowałem swój niepokój dla siebie. Ten telefon nie miał nic wspólnego z moim problemem. Zwykły zbieg okoliczności, jeden z tych nieprzyjemnych, drobnych przypadków. A może rzeczywiście na świecie żyje tylko stu ludzi.

Milo zadzwonił z prostego powodu – stało przed nim straszliwe pytanie: kto to zrobił? Sprawa wystarczająco ocierała się o psychopatologię, żebym... Poza tym, byłem przyjacielem Milo, jedną z niewielu osób, którym ufał.

Nie miałem nic przeciwko wystąpieniu w roli psychopatologa. Martwiło mnie właśnie to, że jesteście przyjaciółmi. Bo wiedziałem coś, o czym nie powiedziałem Milo. Nie mogłem mu powiedzieć.

Zgodziłem się na spotkanie na miejscu zbrodni w poniedziałek o siódmej czterdzieści pięć rano. Kiedy Milo pracuje na komendzie West LA, zwykle jeździmy razem, ale tego dnia miał być kwadrans po szóstej w Centrum Parkera, więc pojechałem sam.

– Poranna wspólna modlitwa? – spytałem. – Dojenie krów z facetami w garniturach?

– Sprzątanie stajni pod okiem facetów w garniturach, którzy oceniają moją skuteczność. Będę musiał wygrzebać jakiś czysty krawat.

– Chodzi o sprawę Mate'a?

– A o cóżby innego. Będą pytać, dlaczego nie złapałem mordercy, a ja będę kiwał głową, mówił „Tak jest, tak jest”, i wycofywał się.

Mate został zamordowany dość blisko mojego domu, więc wyjechałem o siódmej trzydzieści. Najpierw dziesięć minut jechałem na północ, do Beverly Glen; ulica Seville była przejezdna, bo poruszałem się w kierunku przeciwnym do strumienia samochodów. Widziałem groźne twarze uwięzionych w korku kierowców podążających na południe.

Ożywienie gospodarcze i sezonowe prace drogowe sprawiły, że ruch na ulicach Los Angeles stał się nie do wytrzymania. Tym razem padło na Dolinę: zadowoleni z siebie faceci w pomarańczowych kombinezonach z napisem CalTrans budowali nowe burzowce, akurat w samą porę przed suszą. Podział obowiązków był typowy dla służb miejskich: jeden pracował, pięciu stało z rękami w kieszeniach. Czując się jak rojalista w obliczu marszu na Bastylię, przemknąłem obok szeregu porsche i jaguarów uwięzionych między pickupami i starymi gruchotami. Demokracja została narzucona odgórnie, wszyscy bez wyjątku poufale stukali się zderzakami.

W Mulholland odbiłem w lewo i pojechałem siedem kilometrów na zachód, obok bajecznych domów, wielkim kosztem przystosowanych do wytrzymania trzęsienia ziemi i pustych działek, które świadczyły o tym, że nie wszyscy patrzą w przyszłość z jednakowym optymizmem. Droga wijąca się wśród łąk, krzewów, zarośli i młodych zagajników skręcała ostro w górę i zamieniała się w ubitą ziemię ceglatego koloru. Asfaltówka prowadziła dalej na wschód pod nazwą Encino Hills Drive.

Tutaj, na dachu miasta, ulica Mulholland przechodziła w polną drogę. I robiłem tu wypady jako student; widywałem jelenie, lisy, sokoły, czasami wstrzymywałem dech na widok poruszającej się wysokiej trawy, w której mogła czaić się puma. Było to jednak wiele lat temu i raptowność przemiany asfaltowej szosy w pustkowie zaskoczyła mnie. Mocno wcisnąłem hamulec, wjechałem na wzniesienie i zaparkowałem przed płaskim, piaszczystym pagórkem.

Milo już był; jego nieoznakowany wóz metalik stał pod znakiem, który ostrzegał, że dalej

jest jedenaście kilometrów niedokończonej drogi, wjazd zabroniony. Zamknięta na kłódkę brama świadczyła, że kierowcy z LA nie zasługują na zaufanie.

Poprawił spodnie, pochylił się i ujął moją dłoń w ogromne ręce.

– Cześć, Alex.

– Cześć, olbrzymie.

Miał na sobie nieco sfilcowaną tweedową marynarkę, brązowe sztruksy, białą koszulę z wywiniętym kołnierzykiem i wąski krawat z okazałą, krzywą spinką w kolorze turkusowym. Krawat wyglądał jak tandeta ze sklepu dla turystów. Wszystko razem sprawiało wrażenie manifestu nowej mody; wiedziałem, że Milo ubrał się tak specjalnie, żeby rozdrażnić przełożonych na porannej odprawie.

– Zamieniłeś się w kowboja?

– Jestem na etapie fascynacji malarstwem kolorystycznym.

– Kławo.

Milo roześmiał się niskim, gardłowym śmiechem, odsunął kosmyk czarnych włosów z czoła i zerknął w prawo. Wiedziałem już dokładnie, gdzie znaleziono furgonetkę.

Nie na piaszczystej drodze, gdzie wóz byłby niewidoczny pod koronami rozłożystych dębów, ale tutaj, na otwartej przestrzeni.

– Morderca nie usiłował być dyskretny – zauważyłem.

Milo wzruszył ramionami i wsadził ręce do kieszeni. Wyglądał na zmęczonego i zrezygnowanego wobec zbrodni i tajemnicy.

A może pora roku tak na niego działała? Wrzesień w Los Angeles może się dać we znaki: jest albo tak gorąco, że aż zatyka, albo zimno i wilgotno. Warstwy parnego powietrza znad oceanu zamieniają miasto w kupę brudnej bielizny. Po ponurych wrześniowych porankach przychodziły zapyłone popołudnia i niezdrowe wieczory. Czasem przez chmury na ułamek sekundy przeziara skrawek błękitu. Czasem znów niebo się poci i wtedy na szybach samochodów osiada szklista mżawka. Od kilku lat meteorolodzy obarczają za to winą prąd El Nino, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było inaczej.

Wrześniowe światło źle działa na cerę. Cera Milo i bez tego wyglądała fatalnie. Bładość poranka pogłębiała ziemistą barwę jego twarzy i uwydatniała blizny po ospie, które zaczynały się na policzkach i schodziły w dół, do karku. Siwe baki pod czarnymi, gęstymi włosami wyglądały jak pasy zebry. Zaczął znów pić umiarkowanie, a jego waga ustabilizowała się na poziomie mniej więcej stu dziesięciu kilo. Większość z nich zebrała się w środkowej części tułowia. Nogi Milo nadal były chude jak szczudła, a skóra na potężnych szczękach nieco obwisła. Byliśmy w tym samym wieku – on dziewięć miesięcy starszy – więc linia mojej szczęki też pewnie się trochę popsuka. Nie spędzam zbyt wiele czasu przed lustrem.

Milo ruszył w kierunku miejsca zbrodni, a ja za nim. Na żółtawej ziemi odcisnęły się

niewyraźne ślady bieżnika opon. Opodal leżał nieruchomy zwój żółtej taśmy. W tym miejscu od tygodnia nic się nie działo.

– Zrobiliśmy odfitkę śladów opon – powiedział Milo. – Co zresztą bez znaczenia, bo wiedzieliśmy, skąd pochodziła furgonetka. Miała znak wypożyczalni samochodów. Avis, filia Tarzana. Brązowy ford econoline z ładnym, dużym bagażnikiem. Mate wynajął go w zeszły piątek, dostał zniżkę weekendową.

– Szykował się do kolejnej misji miłosierdzia?

– Do tego używał furgonetek. Ale jak dotąd nie zgłosił się żaden klient z zażaleniem, że Mate go wystawił.

– Dziwię się, że nadal wypożyczano mu samochody.

– Chyba nie. Papiery wystawiono na niejaką Alice Zoghbie, przewodniczącą Klubu Sokratesa, organizacji popierającej prawo do śmierci, której kwatery mieści się w Glendale. Nie ma jej w kraju, wyjechała w sobotę na jakąś konferencję humanistyczną w Amsterdamie.

– Wynajęła wóz i następnego dnia wyjechała? – spytałem.

– Na to wygląda. Zadzwoń do niej do domu, który jest jednocześnie biurem klubu, odezwała się automatyczna sekretarka. Poprosiłem policję z Glendale, żeby sprawdzili na miejscu. Nikogo nie zastali. Z wiadomości na sekretarce wynika, że pani Zoghbie wraca w przyszłym tygodniu. Jest na mojej liście do sprawdzenia – powiedział Milo, klepiąc się w kieszeń z notesem.

– Zastanawiam się, dlaczego Mate nie kupił sobie furgonetki.

– O ile wiem, nie był bogaczem. Byłem w jego mieszkaniu dzień po morderstwie i nie znalazłem tam żadnych luksusów. Jeździł starym chevroletem, który swoje najlepsze lata ma już dawno za sobą. Zanim przerzucił się na spanie w wozie, nocował w tanich motelach.

Pokiwałem głową.

– Ciała zostawione na podłodze znajdowały sprzątaczkę rankiem następnego dnia. Relacje przerażonych pokojówek zrobiły mu antyreklamę. Widziałem kiedyś w telewizji, jak bronił się przed zarzutami. Mówił, że Chrystus urodził się w stajni pełnej zwierzęcego nawozu, więc sceneria nie ma znaczenia. Ale się mylił, prawda?

Milo popatrzył na mnie uważnie.

– Śledziłeś karierę Mate'a?

– To nie było trudne – odparłem spokojnie. – Facet nie stronił od mediów. Znaleźliście jakieś ślady samochodów w pobliżu?

Pokręcił głową.

– A więc zadajesz sobie pytanie, czy morderca przyjechał razem z Mate'em.

– Mógł też zaparkować wóz dalej na drodze, tam, gdzie nie sprawdzaliśmy. Albo nie zostawił żadnych śladów. Często tak się zdarza, sam wiesz, że technika śledcza rzadko pomaga

ująć sprawcę. Nikt nie zgłaszał, że widział w okolicy inne pojazdy. Ale też nikt nie zauważył tej cholernej furgonetki, a stała tu wiele godzin.

– Jakież odciski butów?

– Tylko ludzi, którzy znaleźli samochód.

– Kiedy nastąpił zgon? – spytałem.

– Między pierwszą a czwartą w nocy – odparł Milo, podciągając mankiet, żeby zerknąć na zegarek z podrapanym szkieletem. – Ciało zauważono tuż po świcie, mniej więcej kwadrans po szóstej.

– Przeczytałem w gazecie, że ludzie, którzy go znaleźli, poruszali się pieszo. Jakież ranne ptaszki.

– Para yuppies z Doliny. Wyszli na codzienny spacer z psem przed wyjazdem do pracy w biurze. Poszli w górę piaszczystą drogą i wtedy spostrzegli furgonetkę.

– Nie było żadnych innych przechodniów? – spytałem, wskazując na Encino Hills Drive. – Kiedyś tu przychodziłem, pamiętam, że w okolicy budowano osiedle. Pewnie jest już zamieszkane. O tej godzinie powinny tędy przejeżdżać samochody.

– Tak, osiedle jest zamieszkane. I drogie. Wygląda na to, że nadziani ludzie lubią sobie dłużej pospać.

– Niektórzy bogacze dochodzą do pieniędzy pracą. Może jakiś makler spieszył na poranną sesję giełdy albo chirurg do szpitala na operację?

– Niewykluczone, że ktoś tędy przejeżdżał i coś widział, ale nawet jeśli tak było, nie chce o tym mówić. Wstępne przesłuchania mieszkańców osiedla do niczego nie doprowadziły. Zresztą, ile samochodów zauważyłeś od czasu jak tu jesteśmy?

Na drodze panowała martwa cisza.

– Byłem tu dziesięć minut przed tobą – powiedział Milo. – Przejechała jedna ciężarówka. Koniec, kropka. Jakiś ogrodnik. Nawet gdyby ktoś przejeżdżał, mógł nie zauważyć furgonetki. Nie ma tu latarni, więc przed świtem jest tu ciemno jak w beczce smoły. A gdyby mimo wszystko spostrzegł samochód, nie miałby powodu zwracać na niego uwagi, nie mówiąc o zatrzymaniu się. Jeszcze kilka miesięcy temu prowadzono tu roboty drogowe; budowali jakiś rów melioracyjny. Robotnicy zostawiali samochody na noc. Furgonetka nikomu nie rzuciłaby się w oczy.

– Rzuciła się w oczy tej parze.

– Raczej ich psu. To jakaś myśliwska rasa. Oni poszliby dalej, ale pies węszył, obszczekiwał wóz i nie chciał odejść. Więc w końcu zajrzeli do środka. I to był koniec spaceru dla zdrowia. Coś takiego może zniechęcić do pieszych wycieczek na długo.

– Aż tak strasznie wyglądał?

– Nie nazwałbym tego apetycznym widokiem. Doktor Mate został podłączony do swojej



maszyny.

– Humanitronu – dodałem. Tak Mate nazwał swoją maszynę do zadawania śmierci. Spokojna podróż na drugą stronę.

Uśmiech Milo był trudny do rozszyfrowania.

– Mówiono o tej aparaturze, o ludziach, których zabił przy jej użyciu. Wyobrażałem sobie, że to jakiś supernowoczesny cud techniki, a to zwykły szmelc, Alex. Wygląda jak przegrana w konkursie techniki w gimnazjum. Niedopasowane śrubki, wszystko ledwie trzyma się kupy. Tak jakby Mate złożył całe urządzenie ze zużytych części.

– Ale działało – zauważyłem.

– Owszem, działało. Pięćdziesiąt razy. Świetny punkt wyjścia dla śledztwa, prawda? Pięćdziesiąt rodzin. Może któraś z nich nie pochwałała tego biura turystycznego, które prowadził Mate. Chodzi o setki potencjalnych podejrzanych. Pierwsza trudność polega na dotarciu do nich. Wielu spośród wybrańców Mate'a pochodziło z innych stanów, więc szukając ich krewnych, można liczyć tylko na łut szczęścia. Komenda oddelegowała dwóch młodziutkich detektywów-praktykantów, którzy mają siedzieć przy telefonach i wykonywać czarną robotę. Jak dotąd ludzie się nie palą, żeby rozmawiać o Eldonie, a ci, którzy się na to decydują, uważają go za świętego. „Lekarz babci przyglądał się, jak wyje z bólu i nawet palcem nie kiwnął. Tylko doktor Mate okazał chęć pomocy”. Chcą go usprawiedliwić czy naprawdę tak myślą? Muszę spotkać się z nimi twarzą w twarz – może zrobimy to razem, żebyś mógł przeanalizować motywacje tych ludzi – jak dotąd wszystko odbywało się przez telefon. Odhaczamy kolejne nazwiska na liście.

– Podłączony do maszyny – powiedziałem. – Dlaczego uważasz, że to morderstwo? Może Mate sam się zabił. Uznał, że nadszedł właściwy moment, żeby uwolnić się od ziemskiej powłoki, i postanowił potwierdzić swoją śmiercią poglądy, które głosił.

– Nie wiesz wszystkiego. Mate był podłączony do maszyny: w jedno ramię miał wbitą kroplówkę ze środkiem znieczulającym, którego zawsze używał, tiopentalem, w drugie – z chlorkiem potasu, wywołującym zawał serca. Kciuk naciskał guzik, który uruchamiał przepływ płynów z butelek. Koroner stwierdził, że potas dostawał się do krwiobiegu przez co najmniej kilka minut i Mate powinien od tego umrzeć, gdyby jeszcze żył. Ale nie żył. Cała ta szopka była na pokaz, Alex. To nie było zabójstwo z litości: ktoś przywalił mu mocno w głowę, wywołując pęknięcie naczyń krwionośnych w mózgu, a potem go brzydko pociął. „Rozległe zakrwawienie ciała, spowodowane głębokim okaleczeniem genitaliów”.

– Został wykastrowany?

– Żeby tylko. Wykrwawił się przez to. Koroner mówi, że rana głowy też była poważna. Podłużny ślad oznacza, że cios zadany rurą lub czymś podobnym spowodował silne obrażenia, i nawet gdyby Mate przeżył, może doprowadziłby po jakimś czasie do jego zgonu. Ale on nie umarł od razu. Cały tył furgonetki tonął we krwi, a to znaczy, że serce Mate'a biło, kiedy

morderca go kroił.

Milo potarł twarz.

– Ktoś przeprowadził na nim wiwisekcję, Alex.

– Chryste Panie.

– Ran było więcej. Osiem, głębokich, zadanych z rozmysłem. Brzuch, podbrzusze i uda.

Miały prostokątny kształt, jakby morderca się bawił.

– Zadowolony z siebie – zauważyłem. Milo wyjął notes, ale nic nie zapisał.

– Jakież inne zranienia?

– Powierzchnowe nacięcia, koroner określa je jako przypadkowe. Ostrze się ześliznęło. Ilość krwi utrudniała zabójcy robotę. Posługiwał się ostrym, jednostronnym narzędziem, skalpelem lub brzytwą i prawdopodobnie pomagał sobie nożyczkami.

– Znieczulenie, skalpel, nożyczki. Zabieg chirurgiczny. Morderca musiał być cały we krwi. Nie znaleźliście żadnych śladów koło furgonetki?

– Ani kropli. Ziemia wyglądała jak pozamiatana. Facet zachował najwyższą ostrożność. Zrobił swoją moką robotę na ograniczonej przestrzeni, w nocy. Musiał się posłużyć przenośnym oświetleniem. Przód wozu też był strasznie zakrwawiony, zwłaszcza siedzenie pasażera. Wydaje mi się, że drań zrobił swoje, wysiadł, a potem wszedł od strony pasażera, gdzie jest więcej miejsca, bo nie ma kierownicy. Tam oczyścił się z grubsza z krwi. Potem znowu wysiadł, rozebrał się do naga, starł resztę krwi i zapakował brudne ubrania, prawdopodobnie do plastikowych toreb. Możliwe, że przywiózł w nich rzeczy na zmianę. W końcu zatarł wszystkie ślady, pozamiatał ziemię wokół furgonetki i zniknął.

– Stał nago, tuż przy drodze. To ryzykowne nawet w ciemności, bo musiał używać latarki, żeby obejrzeć siebie i ziemię wokół. A wcześniej oświetlał latarką ofiarę w wozie. Ktoś, kto przejeżdżał drogą, mógł zauważyć światło w oknach furgonetki, podejść do wozu albo zgłosić ten fakt na policję.

– Światło w samochodzie wcale nie ściągało na mordercę niebezpieczeństwa. Na fotelu kierowcy leżały kawałki grubej tektury, przycięte na wymiar okien. Też były poplamione krwią, więc zostały wykorzystane podczas cięcia ofiary. Tektura zamiast zasłon pasuje do Mate'a, więc podejrzewam, że Doktor Śmierć sam je przywiózł. Zakładał, że będzie operującym, a nieoperowanym. Myślę, że Mate miał zamiar odegrać rolę Anioła Śmierci po raz pięćdziesiąty pierwszy, a ktoś powiedział: a kuku, teraz twoja kolej.

– Morderca wykorzystał tekturę, a potem usunął ją z okien – zauważyłem. – Chciał, żeby ktoś zauważył włoki. Zrobił to specjalnie, podobnie jak cięcia geometrycznych figur. Zostawił furgonetkę z ciałem, jakby chciał powiedzieć: patrzcie, co zrobiłem. I komu.

Milo patrzył ponuro na ziemię z wyrazem wyczerpania. Wyobraziłem sobie scenę zabójstwa. Niespodziewany gwałtowny atak, potem cięcie ciała w ciemności na skraju drogi. Milczący,

skupiony morderca przygotowuje się do pracy w zaimprovizowanej sali operacyjnej, w ciasnym wnętrzu furgonetki. Wybiera miejsce, wie, że przejeżdża tędy niewiele samochodów. Potem bierze się do dzieła szybko, sprawnie, wykonuje to, co zaplanował, o czym snuł fantazje.

Wbija dwie igły w ręce Mate'a, układa mu palec na guziku.

Dosłownie pływa we krwi, a mimo to opuszcza miejsce zbrodni, nie zostawiając ani jednej czerwonej kropli. Zamiata ziemię... Nigdy się nie spotkałem z równie przemyślanym działaniem.

– W jakiej pozycji leżały zwłoki?

– Na plecach, z głową koło przedniego fotela.

– Na materacu przygotowanym przez Mate'a, a wykorzystanym przez jego mordercę. Rozmawiali o podróży na drugą stronę, a potem zabójca wziął sprawy w swoje ręce.

Milo zastanowił się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Jest coś, co trzeba zachować w tajemnicy: morderca zostawił wiadomość. Białą kartkę z zeszytu, przyczepioną do piersi Mate'a. A właściwie przybitą gwoździem do mostka. Napis został wydrukowany na drukarce komputerowej: Szczęśliwej Podróży, Ty Chory Draniu.

Odwróciliśmy się obaj, słysząc odgłos samochodu. Mercedes wspiał się na pagórek od zachodniej strony i pojechał dalej Encino Hills Drive. Kobieta w średnim wieku za kierownicą przemknęła z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, jedną ręką poprawiając lekko makijaż. Nawet nie spojrzała w naszą stronę.

– Szczęśliwa podróż – powiedziałem. – To eufemizm Mate'a, z daleka śmierdzi szyderstwem, Milo. Może właśnie dlatego morderca znieczulił ofiarę, zanim zabrał się do krojenia. Zaaranżował dwuaktową sztukę, żeby sparodiować metodę działania Mate'a. Najpierw uśmierzył ból, a potem zabił. Zamiast tiopentalem posłużył się kawałkiem rurki. Brutalna trawestacja rytuału Mate'a.

Milo zamrugał powiekami. W ponurej porannej szarówce jego zielone oczy wyglądały jak dwie oliwki.

– Chcesz powiedzieć, że facet odgrywa doktora? Albo nienawidzi lekarzy? Próbuje wyrazić jakąś filozofię?

– Być może zostawił kartkę właśnie po to, żebyś pomyślał, że zabił Mate'a z przyczyn filozoficznych. Może nawet sam to sobie wmawiał. Ale tak nie jest. Oczywiście, wielu ludzi nie pochwalało działalności Mate'a. Wyobrażam sobie, że jakiś fanatyk gotów był go zastrzelić czy podłożyć bombę pod jego dom. Ale to, co opisałeś, to nie jest wyraz protestu. Ten człowiek rozkoszował się swoją robotą. Zaaranżował scenografię, bawił się, odgrywał teatr śmierci. Biorąc pod uwagę stopień wyrachowania i brutalności, nie byłbym zaskoczony, gdyby kiedyś zrobił już coś podobnego.

– Ale ujawniono to pierwszy raz. Dzwoniłem do archiwum i nie znaleźli niczego, co by pasowało do tego morderstwa. Pracownik, z którym rozmawiałem, stwierdził, że przypadek nosi

jednocześnie cechy zorganizowanego morderstwa, jednego z serii, jak i przypadkowego. Tyle się dowiedziałem.

– Powiedziałeś, że amputacja została przeprowadzona niezdarnie.

– Tak orzekł coroner.

– Więc być może facet ma jakieś aspiracje medyczne. Może to ktoś, kto żywi uraz do świata medycznego, na przykład wyrzucony z uczelni student medycyny, który chce pokazać światu, jaki jest dobry.

– Może. Ale Mate, choć miał papiery lekarskie, też nie był wybitnym fachowcem. W zeszłym roku wyjął wątrobę jednemu z „podróżników” i podrzucił ją w centralnym szpitalu okręgu. W lodówce turystycznej, w bryłkach lodu. Oczywiście, i tak nikt by jej nie przyjął, wiedząc, skąd pochodzi, ale Mate spartaczył robotę, poprzecinał naczynia krwionośne.

– Lekarze, którzy nie zajmują się chirurgią, często zapominają nawet o tym, czego nauczyli się na medycynie. Mate przez większość życia zawodowego był urzędnikiem, przenosił się z jednego wydziału opieki zdrowotnej do drugiego. Kiedy zdarzył się ten incydent z wątrobą? Nigdy o nim nie słyszałem.

– W grudniu ubiegłego roku – odparł Milo. – Nie słyszałeś, bo sprawa nie została nagłośniona. Komu by na tym zależało? Mate’owi na pewno nie, bo go ośmieszała, a prokuratorowi tym bardziej. Nie wszczęto postępowania wobec Mate’a, bo nikt nie chciał mu robić darmowej reklamy. Ja dowiedziałem się o tym, ponieważ coroner, który wykonywał sekcję zwłok, zobaczył przypadkiem dokumenty dotyczące tej wątroby i słyszał, jak ktoś rozmawia o tym w kostnicy.

– Może nie doceniłem mordercy. W takiej ciasnocie, w ciemności, w pośpiechu to nie było łatwe. Możliwe, że nóż omsknął mu się parę razy. Jeśli krojąc Mate’a, sam się zaciął, gdzieś musiał zostawić ślady swojej krwi.

– Daj Boże, żebyś miał rację. Laboranci przeszukali wewnątrz furgonetki centymetr po centymetrze, ale jak dotąd znaleźli tylko krew Mate’a. Zero Rh plus.

– To jego jedyna pospolita cecha – zauważyłem. Jeden jedyny raz widziałem Eldona Mate’a w telewizji. Śledziłem jego karierę, więc chciałem zobaczyć konferencję prasową po jednej z „podróży”. Doktor Śmierć zostawiał sztywniejące zwłoki kobiet – prawie wszystkie ofiary były płci żeńskiej – w motelu niedaleko centrum miasta, a potem zjawiał się w biurze prokuratora okręgowego, żeby „zawiadomić władze”. A według mnie, żeby się chełpić. Facet pękał z dumy. Kiedy jeden z reporterów zwrócił uwagę na nędzne otoczenie, w jakim dokonał swojej „operacji”, Mate poblądł z wściekłości i powiedział ten kawałek o stajence i Chrystusie.

Mimo że sprawa stała się głośna, prokurator nic nie zrobił, bo pięć wcześniejszych spraw, zakończonych oczyszczeniem z zarzutów, świadczyło, że nie uda się skazać Mate’a. Doktor Śmierć pławił się w triumfie jak rozpieszczony dzieciak. Aż kłuło to w oczy.

Niski, pulchny, łysy człowieczek po sześćdziesiątce o zaciętej twarzy i wysokim, piskliwym głósie małego urzędnika, którym szydził z bezradności wymiaru sprawiedliwości i ludzi związanych „pełną hipokryzji przysięgą”. Głosił swój triumf w buńczucznych zdaniach przypominających niezrozumiałą nowomowę. „Moje partnerstwo z podróżnymi było zawsze przykładem wzajemnego spełnienia”. Milkł tylko po to, aby zacisnąć usta, które wtedy układały się jakby do splunięcia. Mikrofony podsuwane mu pod nos wywoływały uśmiech. Cała impreza kojarzyła mi się z tanim kabaretem.

– Tak, niezły był z niego numer, co? – powiedział Milo. – Zawsze uważałem, że jeśli pominąć całą tę medyczno-prawną otoczkę, Mate jest po prostu maniakiem o morderczych skłonnościach z dyplomem lekarza. A teraz sam padł ofiarą jakiegoś psychologa.

– I dlatego pomyślałeś o mnie.

– A jest ktoś inny? Upłynął tydzień od zabójstwa, a ja nie posunąłem się ani o krok. Każde głębokie spostrzeżenie profesjonalnego behawiorysty będzie mile widziane, doktorku.

– Jak dotąd nasunęło mi się tylko to, że morderca ma skłonności do parodii – odparłem. – Jest żądny sławy, o wybujałym ego.

– Ta charakterystyka najlepiej pasowałaby do samego Mate’a.

– To niezły powód, żeby się go pozbyć. Wyobraź sobie: gdybyś był sfrustrowanym nieudacznikiem, uważającym się za geniusza, i chciał odgrywać Boga wobec opinii publicznej, czy zabicie Anioła Śmierci nie byłoby najlepszym początkiem? Prawdopodobnie masz rację, zakładając, że było to umówione spotkanie, które przybrało nieoczekiwany obrót. Ale jeśli morderca wyznaczył sobie spotkanie z Mate’em, to doktor być może zostawił gdzieś informację o nim.

– Nie w mieszkaniu – odparł Milo. – Nie znaleźliśmy tam żadnych notatek. Zdaje mi się, że Mate zlecał papierkową robotę swojemu adwokatowi, Royowi Haiseldenowi. Wygadany gość, liczyłem, że będzie mówił jak najęty, ale nic z tego. Jego też nie ma.

Zapamiętałem Haiseldena z konferencji prasowej Mate’a. Rosły mężczyzna po pięćdziesiątce, o różowej cerze, w rozwichrzonej peruce.

– Też wyjechał do Amsterdamu? Jeszcze jeden humanista?

– Nie wiem dokąd, wiem tylko, że nie odbiera telefonów... Tak, każdy z nich jest humanistą. Ten zbój, którego szukamy, też pewnie uważa się za humanistę.

– Nie sądzę. Myślę, że odpowiada mu rola łobuza.

Drogą przejechał drugi samochód. Tym razem była to szara toyota cressida. Za kierownicą siedziała jakaś nastolatka. Ona też na nas nie spojrzała.

– Sam widzisz – powiedziałem. – Doskonałe miejsce na nocne morderstwo. Na przeprowadzenie eutanazji również, więc może Mate je wybrał. Prasa trąbiła, że wykonuje swoje zabiegi w podrzędnych hotelikach, więc tym razem postanowił wybrać bardziej malowniczą

scenerię. Jeśli tak, to ułatwił zadanie mordercy. A może to morderca wybrał miejsce, a Mate się zgodził. Może morderca znał okolicę – na przykład dlatego, że mieszka gdzieś w pobliżu – co wyjaśniałoby brak śladów opon. Poza tym, dokonanie niezauważonego przez nikogo zabójstwa blisko domu byłoby dla niego dodatkową podniecią. Tak czy inaczej, podobieństwo celów działania, jego i Mate'a, musiało wydawać się mordercy zabawne.

– Tak – potwierdził Milo bez przekonania. – Każę moim pomocnikom pogadać z mieszkańcami osiedla, sprawdzić, czy ktoś ma wariackie papiery. – Zerknął na zegarek. – Słuchaj, jeśli morderca umówił się z Mate'em pod pretekstem śmiertelnej choroby, wskazywałoby to, że ma duże umiejętności aktorskie. Musiał jakoś przekonać doktora, że jest umierający.

– Niekoniecznie. Mate ostatnio rozluźnił swoje zasady. Na początku chciał się zajmować tylko beznadziejnymi przypadkami, ale ostatnio mówił już o tym, że każdy ma prawo do godnej śmierci.

I nie była potrzebna żadna oficjalna diagnoza. Zachowałem kamienną twarz.

Może niezupełnie kamienną. Milo przyglądał mi się uważnie.

– Coś nie w porządku?

– Poza dawką krwawej makabry z samego rana?

– No tak. Czasem zapominam, że jesteś cywilem. Pewnie wolałbyś nie oglądać zdjęć z miejsca zbrodni?

– Czy wnoszą coś nowego?

– Dla mnie nie, ale może...

– Jasne.

Milo przyniósł z samochodu szarą kopertę.

– To kopie. Oryginały trzymamy w aktach sprawy.

Kolorowe zdjęcia – przesadnie kolorowe, jak na mój gust – przedstawiały wnętrze furgonetki pod różnymi kątami. Po śmierci ciało Eldona Mate'a wydawało się żałośnie małe. Biała, okrągła twarz zastygła w charakterystycznym wyrazie ponurej nijakości, jakby zaskoczona niespodziewanym irracjonalnym napadem. Taki wyraz cechował twarze wszystkich zamordowanych osób, jakie widziałem. Bezwzględna równość pozbawionych życia.

Błysk flesza nadał obrzeżom czerwonych plam zielonkawy odcień. Rozbryźnięta krew tętnicza układała się w abstrakcyjny obraz. Bezczelna pewność siebie Mate'a za życia, jego nieodłączna cecha, znikła. Machina doktora, humanitron, wyglądała na zdjęciu jak wąty szkielet z kilku wygiętych metalowych rur, przypominający młodą kobrę. Z górnej części ramy zwisały dwie butelki z kroplówką, także umazane krwią.

To nieprzyzwoity widok: ludzkie ciało zamienione w ochłap. Nigdy się do tego nie przyzwyczaiłem. Za każdym razem, gdy to oglądałem, żałowałem, że nie wierzę

w nieśmiertelność duszy.

Wśród zdjęć znalazło się też kilka ujęć brązowego forda econoline, z bliska i z daleka. Na tylnej szybie widać było naklejkę firmy wynajmującej samochody, nikt też nie próbował zasłonić przedniej tablicy rejestracyjnej. Przód furgonetki wyglądał tak zwyczajnie...

– Ciekawe.

– Co jest ciekawe? – spytał Milo.

– Kierowca zawrócił przed zaparkowaniem. – Podałem mu zdjęcie. Milo popatrzył na nie bez słowa.

– Cofnięcie wymagało nieco wysiłku. Chyba zrobił to po to, by ułatwić sobie ucieczkę. Żadne inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy. Prawdopodobnie nie była to decyzja mordercy. On wiedział, że furgonetka zostanie. Chociaż być może brał pod uwagę możliwość, że ktoś mu przeszkodzi i zmusi do odjazdu... Ale kiedy tu dotarli, Mate panował przecież nad sytuacją. Albo tak mu się zdawało. Siedział za sterem, w sensie dosłownym i psychologicznym. A może jednak wyczuwał, że coś się święci.

– Co nie powstrzymało go przed próbą spełnienia swojego zamiaru.

– Może odsunął na bok obawy, bo też lubił ryzyko. Wynajęcie furgonetki, zabiegi w motelach, przemycanie się nocą – wszystko to, moim zdaniem, świadczy o tym, że podniecała go zabawa w konspirację.

Oddałem Milo zdjęcia; wsunął je do koperty.

– Tyle krwi – powiedziałem. – Aż trudno uwierzyć, że nie zostawił ani jednego odcisku palca.

– We wnętrzu furgonetki jest mnóstwo gładkich powierzchni. Koroner zauważył smugi, jakby zrobione palcami w gumowych rękawiczkach. Na przednim siedzeniu znaleźliśmy otwartą paczkę rękawiczek. Mate był wymarzoną ofiarą, miał pod ręką wszystko, co potrzeba.

Milo znów zerknął na zegarek.

– Jeśli morderca miał dostęp do sprzętu medycznego, być może zabrał ze sobą wysokochłonne gąbki, które doskonale nadawały się do uprzątnięcia miejsca zbrodni. Znaleźliście w furgonetce ślady gąbki?

Pokręcił głową.

– A inne przyrządy medyczne? – spytałem.

– Pustą strzykawkę, tiopental, chlorek potasu i waciki nasączone alkoholem. Fajnie, nie? Gdybyś miał zamiar kogoś zabić, chciałoby ci się dezynfekować rany alkoholem, żeby zabezpieczyć ofiarę przed zakażeniem?

– Tak robią w San Quentin przed egzekucją. Może dzięki temu czują się jak profesjonaliści, którzy zachowują higienę. Możliwe, że tym samym odczuciem kierował się morderca. Czy miał jakąś walizeczkę na sprzęt?

– Nie.

– Ani niczego podobnego?

– Nie – powtórzył Milo.

– Musiał mieć jakąś torbę. Nawet gdyby cały sprzęt należał do Mate'a, nie zostawiłby go na podłodze furgonetki. Mate stracił prawo wykonywania zawodu, ale nadal uważał się za lekarza, a lekarze noszą czarne walizeczki. Gdyby poskąpił pieniędzy na skórzaną torbę, używałby przynajmniej papierowej, i powinniście ją znaleźć. Dlaczego morderca zostawił humanitron i całą resztę, a zabrał torbę?

– Zabił doktora i ukradł jego torbę?

– Jakby zamierzał przejąć jego praktykę.

– Ten świr chce zastąpić Doktora Śmierć?

– To brzmi sensownie, prawda? Zamordował Mate'a, więc nie może jawnie wykańczać śmiertelnie chorych. Ale niewykluczone, że coś kombinuje.

Milo potarł nerwowo twarz, jakby chciał ją umyć bez wody.

– Więcej mokrej roboty?

– To tylko teoria – odparłem.

Spojrzał na zaciągnięte niebo, klepnął plikiem zdjęć w udo i zagryzł policzek.

– Ciąg dalszy nastąpi. Pięknie, po prostu uroczo. I wysnułeś tę teorię tylko dlatego, że być może była jakaś lekarska walizka i być może ktoś ją sprzątnął?

– Jeśli uważasz, że moja hipoteza nie jest nic warta, możesz nie brać jej pod uwagę.

– A skąd mam wiedzieć, czy jest coś warta? – odrzekł Milo, wsuwając kopertę do kieszeni marynarki. Wyciągnął notes, otworzył go i zapisał coś obgryzionym ołówkiem. Zamknął go po chwili. Cała okładka pokryta była gryzmołami. – Torba mogła trafić do kostnicy i być może nikt nawet tego nie odnotował.

– Całkiem możliwe – potwierdziłem.

– No to pięknie.

– Cóż, moi mili – powiedziałem, naśladowując chrapliwy głos telewizyjnego komika – jeśli chodzi o teorię, to chyba byłoby na tyle.

Milo powachlował się notesem i parsknął gardłowym śmiechem, który skojarzył mi się z ostrzegawczym warknięciem psa myśliwskiego. Chłodne powietrze stało nieruchomo. Pocił się.

– Przepraszam, jestem trochę rozdrażniony. Najchętniej bym się przespał – wyjaśnił, spoglądając po raz kolejny na zegarek.

– Czekasz na kogoś? – spytałem.

– Na tych dwoje rannych ptaszków, Paula Ulricha i Tanie Stratton. Rozmawiałem z nimi w dzień, kiedy popełniono morderstwo, ale niewiele od nich wyciągnąłem. Byli zbyt roztrzęsieni, zwłaszcza dziewczyna. Chłopak bez przerwy ją uspokajał. Trudno się dziwić, po tym, co



zobaczyła, ale odniosłem wrażenie, że jest... jakaś taka krucha. Jakby mogła się rozpaść przy dotknięciu. Przez cały tydzień starałem się umówić z nimi na spotkanie. Odpowiadała mi automatyczna sekretarka. W końcu udało mi się ich złapać wczoraj wieczorem, chciałem przyjść do nich do domu, ale powiedzieli, że wolą się spotkać tutaj, co uznałem za dowód odwagi. Może traktują to jako rodzaj autoterapii czy coś w tym rodzaju. – Uśmiechnął się. – Jak widzisz, przebywanie w twoim towarzystwie nie idzie na marne.

– Jeszcze trochę i będziesz mógł przyjmować pacjentów.

– Wątpię. Ci, którzy zwierają mi się ze swoich kłopotów, trafiają za kratki.

– Kiedy mieli tu być?

– Powinni przyjechać piętnaście minut temu. Po drodze do biura. Oboje pracują w Century City – wyjaśnił Milo, kopiąc czubkiem buta w piasek. – Może strach ich obleciał. Zresztą nawet jeśli się zjawią, nie bardzo wiem, czego się po nich spodziewam. Ale muszę to zrobić, prawda? A ty, jak oceniasz Mate'a? Czy był dobroczyńcą, czy seryjnym mordercą?

– Może jednym i drugim – odparłem. – Sprawiał wrażenie aroganta gardzącego ludźmi, trudno więc uwierzyć w szczerłość jego altruistycznych pobudek. Nic też nie wskazywało na to, że był jakoś szczególnie wrażliwy na cierpienia ludzi. Przeciwnie: zamiast pomagać pacjentom, zajmował się przekładaniem papierów z biurka na biurko. Na tym polegała jego kariera zawodowa. Nigdy nie pracował jako lekarz, dopóki nie zaczął pomagać ludziom w umieraniu. Gdybym miał wskazać główny motyw jego działania, powiedziałbym, że lubił być w centrum uwagi. Z drugiej strony, rodziny, z którymi rozmawiałeś, nie broniły go bez powodu. Niejednemu oszczędził cierpienia. Większość ludzi, którzy przycisnęli guzik jego maszyny, cierpiała straszliwie.

– A więc nie potępiasz Mate'a, nawet jeśli jego motywy nie były do końca czyste?

– Jeszcze nie wyrobiłem sobie zdania na temat tego, co robił.

– Aha. – Milo pogmerał przy turkusowej spince krawata.

Miałem o wiele więcej do powiedzenia, dlatego czułem się trochę nieswojo, jakbym coś przed nim ukrywał. Odgłos silnika samochodu uchronił mnie przed dalszą analizą mojego postępowania. Tym razem wóz nadjeżdżał od wschodu. Milo odwrócił się.

W kilkuletnim granatowym BMW 300 siedziało dwoje ludzi. Samochód zatrzymał się. Szyba od strony kierowcy opadła. Mężczyzna za kierownicą miał ogromne sumiaste wąsy. Siedząca koło niego młoda kobieta patrzyła prosto przed siebie.

– To oni – powiedział Milo. – Nareszcie ktoś, kto szanuje prawo.

Milo dał znak ręką i wąsaty kierowca zaparkował bmw za fordem. – Mogę tu stanąć, panie poruczniku?

– Jasne, to bez różnicy – odparł Milo.

– Nie chciałem czegoś popsuć – powiedział mężczyzna niepewnie.

– W porządku, panie Ulrich. Dziękuję, że państwo zgodzili się przyjechać.

Kierowca wyłączył silnik; wysiedli. Ulrich był mężczyzną średniego wzrostu, dobiegającym czterdziestki, dobrze zbudowanym, opalonym, z lekko zadartym nosem. Miał krótko obcięte, miękkie, kasztanowate włosy, spod których przezierała różowawa skóra. Odnosiło się wrażenie, że cała energia jego owłosienia ześrodkowała się w wąsach, szerokich na całą twarz, rozdzielonych pośrodku na dwa rudobrazowe pasma, usztywnionych żelem, bujnych jak u wiarusa z innej epoki. Ten jedyny przejaw ekstrawagancji nie pasował do ubrania, jakby specjalnie dobranego po to, żeby wtopić się w Century Park East: czarny garnitur, biała, zapięta pod szyję koszula, granatowo-srebrny krawat, czarne buty.

Podeszli do nas; Ulrich trzymał dziewczynę pod rękę. Była od niego młodsza, przed trzydziestką; tego samego wzrostu, co on, szczupła, o wąskich ramionach; jej sztywny sposób chodzenia wskazywał, że nie może być dobrym piechurem. Błada cera świadczyła o tym, że prowadzi raczej domowy tryb życia. Skóra kobiety była kredowobiała, aż przezroczysta, nawet cera Milo wydawała się w porównaniu aż różowa. Ciemnokasztanowate, prawie czarne włosy obcięte jak u chłopaka sterczały wyraźnymi kosmykami. Nosila duże ciemne okulary w czarnych oprawkach, ciemnobrazową jedwabną bluzę na długiej sukience w brązowy wzór i plecione sandały na płaskim obcasie.

– Dzień dobry, panno Stratton – powiedział Milo, podając jej rękę. Wyciągnęła niepewnie dłoń. Z bliska widziałem róż na jej policzkach i bezbarwną pomadkę na spękanych wargach. Spojrzała na mnie.

– To jest pan Delaware, nasz konsultant psychologiczny.

– Aha – powiedziała kobieta. Najwyraźniej nie zrobiłem na niej wrażenia.

– Doktorze, to nasi świadkowie, panna Tania Stratton i pan Paul Ulrich. Dziękuję, że państwo przyjechali. Jestem naprawdę wdzięczny.

– Nie ma za co – odrzekł Ulrich, zerkając na swoją towarzyszkę. – Ale nie wiem, czy możemy powiedzieć panu coś nowego.

Okulary zasłaniały oczy panny Stratton, nie pozwalały odgadnąć wyrazu twarzy. Ulrich chciał się uśmiechnąć, ale jakby go coś powstrzymało. Jego wąsy znieruchomiały.

Starał się udawać spokój po tym, co zobaczyli. Ona nawet się nie starała. Typowy damsko-męski kontredans. Próbowałem sobie wyobrazić, co czuli, zaglądając do wnętrza furgonetki.

Kobieta dotknęła okularów.

– Czy możemy załatwić to szybko?

– Oczywiście, proszę pani – odparł Milo. – Kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz, nie pamiętali państwo niczego niezwykłego, ale zdarza się, że szczegóły przypominają się po jakimś czasie...

– Niestety, nic się nam nie przypomniało – przerwała mu kobieta. Mówiła cichym, nosowym głosem, z charakterystycznym dla Kalifornijek przeciąganiem sylab. – Zastanawialiśmy się nad tym wczoraj wieczorem, ale nie mamy nic nowego do powiedzenia.

Objęła ramiona rękami i spojrzała w prawo. Tam, gdzie stała furgonetka. Ulrich otoczył ją ramieniem. Kobieta nie odsunęła się, ale też nie przytuliła do niego.

– Jak dotąd nasze nazwiska nie pojawiły się w gazetach – powiedział Ulrich. – I tak pozostanie, panie Sturges, prawda?

– Najprawdopodobniej – odparł Milo.

– Ale nie na pewno?

– Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. W takiej sprawie nigdy nic nie wiadomo. Jeśli uda nam się schwytać winnego, państwa zeznanie może być potrzebne. Ja na pewno nie ujawnię państwa nazwisk, jeśli o to chodzi. Z punktu widzenia policji, im mniej informacji się wydostaje, tym lepiej.

Ulrich dotknął przerwy między wąsami.

– A to dlaczego?

– Tajemnica śledztwa.

– Tak, jasne... Rozumiem. – Popatrzył na partnerkę. Kobieta zwilżyła usta językiem.

– Przynajmniej uczciwie pan przyznaje, że nie jest w stanie zapewnić nam dyskrecji. Czy wiecie już coś o mordercy?

– Jeszcze nie, proszę pani.

– Zresztą i tak by nam pan nie powiedział, prawda?

Milo uśmiechnął się.

– Piętnaście minut sławy – odezwał się Ulrich. – Andy Warhol to powiedział. Wiadomo, co się z nim stało.

– A co się stało? – spytał Milo.

– Poszedł do szpitala na rutynową operację, a wyszedł w worku. Panna Stratton odwróciła raptownie głowę; błysnęły ciemne szkła okularów.

– Chciałem tylko powiedzieć, że sława to nic dobrego, kochanie. Im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym lepiej. Pomyśl o księżnej Dianie... albo o doktorze Mate.

– My nie jesteśmy sławni, Paul.

– I bardzo dobrze, kochanie.

– Sądzi pan, że śmierć doktora Mate'a miała coś wspólnego z jego sławą czy też niesławą? –

spytał Milo.

– Nie wiem, nie znam się na tym. Ale to możliwe, prawda? To logiczne, wzięwszy pod uwagę to, kim był. Co nie oznacza, że go wtedy rozpoznaliśmy... Był w takim stanie, że... – Mężczyzna potrząsnął głową. – Mniejsza z tym. Pan też podczas przesłuchania nie powiedział nam, kto to był. Dowiedzieliśmy się dopiero z telewizji...

Panna Stratton dotknęła jego ramienia.

– To chyba wszystko. Musimy iść do pracy – oznajmił Ulrich.

– Czy państwo zawsze chodzą tędy na spacer przed pójściem do pracy? – spytał Milo.

– Spacerujemy cztery, pięć razy w tygodniu – odparła kobieta.

– Dla zdrowia – dodał Ulrich.

Panna Stratton opuściła rękę i odwróciła się.

– Oboje wcześniej wstajemy – ciągnął mężczyzna, jak gdyby wymagało to wyjaśnienia. – Długo pracujemy, więc jeśli nie uda nam się wyjść na spacer rano, później nie ma szans.

Milo wskazał piaszczystą drogę.

– Często państwo tędy chodzą?

– Raczej nie – odparła panna Stratton. – To jedno z miejsc, gdzie spacerujemy. W gruncie rzeczy rzadko tu bywamy. Właściwie tylko w niedzielę. Jest daleko, a my musimy wrócić, wykąpać się, przebrać. Wolimy trzymać się bliżej domu.

– Encino – domyślił się Milo.

– Tak, jest zaraz za wzgórzem. Ale tego ranka wstaliśmy wcześniej. Zaproponowałem Mulholland, bo tak tu ładnie – ciągnął Ulrich, podchodząc do dziewczyny. Położył jej rękę na ramieniu.

– O której państwo tu dotarli? – spytał Milo. – O szóstej, szóstej piętnaście?

– Przeważnie wyjeżdżamy z domu przed szóstą – odparła panna Stratton. – Wydaje mi się, że dojechaliśmy o szóstej dwadzieścia, może trochę później, bo parę minut zajęło parkowanie. Słońce już wzeszło, było je widać nad tym grzbietem – dodała, wskazując wzgórze za bramą, po wschodniej stronie.

– Staramy się zobaczyć chociaż końcówkę wschodu słońca. Po drugiej stronie bramy człowiek czuje się jak w innym świecie – mówił Ulrich. – Ptaki, sarny, wiewiórki. Księżna szaleje, bo może wreszcie pobiegać bez smyczy. Tania ma tego psa od dziesięciu lat, a ona nadal dokazuje jak szczeniak. Ma świetny węch, wydaje się jej, że jest psem do tropienia narkotyków.

– Aż za dobry – skrzywiła się kobieta.

– Gdyby Księżna nie pobiegła do furgonetki, czy podeszliby państwo do samochodu? – spytał Milo.

– To znaczy?

– Czy było w niej coś, co zwracało uwagę?

– Księżna musiała coś wywęszyć – odparł Ulrich. – Ma nadzwyczajny instynkt.

– Ciągłe przynosi mi prezenty – powiedziała panna Stratton. – Martwe wiewiórki, ptaki.

A teraz to. Ilekroć sobie przypomnę, czuję mdłości. Naprawdę muszę już iść, mam kupę roboty.

– Czym się pani zajmuje? – spytał Milo.

– Jestem asystentką wiceprezesa Unity Bank, pana Geralda Van Armstrena.

Milo zerknął w notatki.

– A pan jest finansistą?

– Konsultantem finansowym. Przeważnie zajmuję się nieruchomościami. Panna Stratton odwróciła się niespodziewanie i ruszyła w stronę samochodu.

– Kochanie? – zawołał Ulrich. Nie odpowiedziała. – Przepraszam panów. Ona naprawdę głęboko to przeżyła; mówi, że nigdy nie zapomni tego widoku. Myślałem, że przyjazd tutaj może pomóc, ale to chyba nie był dobry pomysł. – Potrząsnął głową zerkając na dziewczynę, która stała tyłem. – Beznadziejny.

Milo podszedł do kobiety. Tania Stratton położyła dłoń na klamce samochodu. Powiedział coś do niej. Potrząsnęła głową odwróciła się. Widziałem dokładnie jej wyrazisty biały profil.

Ulrich zakolysał się na piętach i głęboko westchnął. Kosmyk, który jakoś uniknął żelu, zadrżał.

– Od kiedy są państwo razem? – spytałem.

– Od pewnego czasu. Ona jest taka wrażliwa...

Milo coś mówił, profil panny Stratton pozostawał nieruchomy. Wyglądali razem jak dwoje aktorów w teatrze kabuki.

– Od jak dawna uprawiają państwo piesze wycieczki?

– Od lat. Ja zawsze je lubiłem. Trochę potrwało, zanim udało mi się namówić Tanie. Ona nie jest... No, to chyba będzie koniec spacerów – Ulrich zerknął w stronę samochodu. – Wspaniała dziewczyna, tylko potrzebuje... specjalnego traktowania. Coś mi się przypomniało. Wczoraj wieczorem, dziwne, co? Mogę powiedzieć panu, czy poczekać na niego?

– Proszę mówić.

Ulrich wygładził lewy wąs.

– Nie chciałem mówić przy Tani. Nie sądzę, żeby to było szczególnie ważne, ale po prostu Tania uważa, że im więcej powiemy, tym bardziej się w to uwikłamy. Ja mam inne zdanie. Widziałem samochód. Stał zaparkowany przy drodze od strony południowej. Minęliśmy go, jadąc tutaj. Jakies czterysta metrów w tamtą stronę – dodał, wskazując na wschód. – To chyba nic ważnego, prawda? Zanim przyjechaliśmy, Mate nie żył już od pewnego czasu. Więc dlaczego morderca miałby się kręcić w pobliżu?

– Jaki to był wóz? – spytałem.

– Bmw, taki jak nasz. Dlatego zwróciłem na niego uwagę. Ciemniejszy od naszego. Czarny

albo ciemnoszary.

– Ten sam model?

– Trudno powiedzieć, bo zapamiętałem tylko znak na masce. W okolicy musi być pełno samochodów tej marki, prawda? Ale pomyślałem, że warto o tym powiedzieć.

– Nie zauważył pan tablicy rejestracyjnej?

Ulrich roześmiał się.

– No tak, i może jeszcze twarz psychotycznego mordercy, śliniącego się za kierownicą. Nie, niestety. Wiem tylko, że to było ciemne bmw. Przypomniałem sobie o tym, bo detektyw Sturges zadzwonił wczoraj wieczorem i poprosił, żebyśmy pogrzebali w pamięci. Więc się postarałem. Nie mógłbym nawet przysiąc, że wóz był ciemny. Może szary albo brązowy. Dziwne, że w ogóle go sobie przypomniałem. Po tym, co zobaczyliśmy w środku, trudno myśleć o czymś innym. Ten, kto zabił Mate'a, musiał go naprawdę nienawidzić.

– Przez które okno zaglądali państwo do środka?

– Najpierw przez przednią szybę. Zobaczyłem krew na fotelach, powiedziałem „O cholera”. Księżna obiegła samochód, a my poszliśmy za nią. I wtedy zobaczyliśmy wszystko.

Panna Stratton wsiadła do wozu; Milo wrócił do nas.

– Czas już na mnie. Miło było pana poznać, panie Delaware – powiedział Ulrich i ruszył biegiem do samochodu. Wsiadając, zsalutował Milo. Włączył silnik, wykręcił i ruszył ostro drogą.

Opowiedziałem Milo o ciemnym bmw.

– No, to coś mamy – powiedział i roześmiał się zimno. – A właściwie nic. Ulrich miał rację. Po co morderca miałby kręcić się w pobliżu trzy czy cztery godziny po zabójstwie? – Wsadził notes do kieszeni. – Jedno przesłuchanie załatwione.

– Ta kobieta jest strasznie spięta – zauważyłem.

– Dziwisz się? Wzbudziła twoje podejrzenia?

– Nie, ale rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o kruchości. Co ci powiedziała przy samochodzie?

– Że to Paul wpadł na pomysł, żeby tu przyjechać. To Paul namawiał ją do spacerów, to Paul ma zacięcie do sportu i najchętniej mieszkałby na drzewie. Coś mi się zdaje, że nie pałali do siebie płomiennym uczuciem, kiedy tu przyjechali i natknęli się na zwłoki Mate'a. I chyba nie pomogło to ich miłości..

– Wizyta na miejscu mordy jako afrodyzjak.

– Na niektórych może tak działać... Chyba pójdę tropem tego bmw... A nuż uda się odnaleźć samochód kogoś, kto mieszka w okolicy i to będzie to – powiedział Milo, drapiąc się po policzku. Perspektywa siedzenia przy telefonie najwyraźniej mu się nie uśmiechała. – Ale po kolei. Najpierw skontaktuję się z moimi pomocnikami i zobaczę, jak idzie sprawdzanie listy

krewnych ofiar Mate'a. Gdybyś miał ochotę, możesz przejrzeć materiały dotyczące doktora.

– Dasz mi jakieś wytyczne?

– Nic szczególnego. Załóżmy, że ktoś nienawidził go tak, że gotów był zabić, ale niekoniecznie ogłaszał to w prasie. Może ujawni się w Internecie.

– Ten morderca jest wyjątkowo ostrożny. Dlaczego miałby się zdradzać?

– To mało prawdopodobne, ale nigdy nie wiadomo. W zeszłym roku mieliśmy taki przypadek. Facet napastował seksualnie, a później zabił swoją pięcioletnią córeczkę. Podejrzewaliśmy go, ale nie mieliśmy ani jednego dowodu. Nagle pół roku później drań zaczął się tym przechwalać innemu pedofilowi w kawiarence internetowej. Dowiedzieliśmy się o tym przez przypadek. Kolega z obyczajówki zajmujący się pedofilami skojarzył szczegóły.

– Nie mówiłeś mi o tym.

– Bo ja nie jestem od tego, żeby zatruwać ci życie brudami. Robię to tylko wtedy, kiedy potrzebuję pomocy.

– Jasne. Zrobię, co będę mógł.

Milo klepnął mnie w ramię.

– Dziękujemy panu. Szefostwo się wścieka, że akurat teraz, kiedy liczba przestępstw zaczęła spadać, napatoczyła się taka głośna sprawa. A już myśleli, że zbiorą dobre opinie w mediach tuż przed ustalaniem budżetu. Więc jeśli dobrze się spiszesz, może uda mi się szybko wyděbić od nich wynagrodzenie dla ciebie.

Zasapałem jak podniecony pies.

– Och, jaki pan łaskawy.

– Co jest? Czyżby policja źle cię kiedyś potraktowała? – spytał Milo.

– Jak króla.

– Króla... Pomyślałem o Księżnej. Czy to nie ją powinienem przesłuchać? Może i do tego dojdzie.

Zjechałem z Mulholland przy Beverly Glen. Jazzowa stacja zaczęła ostatnio gadać jak najęta, więc zmieniłem ją na klasyczną. Grali coś miłego dla ucha, chyba Debussy'ego. Za ładne jak na taki poranek. Wyłączyłem radio i zamyśliłem się nad śmiercią Eldona Mate'a.

Gdy tylko o niej usłyszałem, zadzwoniłem.

Nikt nie oddzwonił, a teraz telefon byłby o wiele bardziej niezręczny niż w zeszłym tygodniu. Ale jak długo mogłem współpracować z Milo, nie wyjaśniając mu wszystkiego?

Wątpliwości piętrzyły się. Niektóre odpowiedzi można znaleźć w podręcznikach, ale nie wszystkie. Życie zawsze jest bogatsze od podręczników.

Dojechałem do domu targany niepewnością.

Dom stał cichy, chłodny w cieniu rosnących wokół sosen; dębowe podłogi połyskiwały, białe ściany lśniły w świetle poranka. Robin zostawiła mi grzanki i kawę na stole. Nie było też psiego przywitania. Poranna gazeta leżała złożona na blacie w kuchni.

Robin poszła ze Spikiem do pracowni. Miała kilka poważnych zamówień. Zajęci myślami o naszych obowiązkach, nie zdążyliśmy rano porozmawiać.

Napełniłem filiżankę i wypilem kawę. Cisza działała mi na nerwy. Kiedyś ten dom był mniejszy, ciemniejszy, znacznie mniej wygodny i praktyczny. Musieliśmy go odbudować kilka lat temu, kiedy został spalony przez pewnego psychopata. Wszyscy orzekli zgodnie, że wyszło mu to na dobre. Czasem, gdy zostawałem sam, zdawało mi się, że przestrzeni jest aż za dużo.

Dawno przestałem udawać, że jestem emocjonalnie niezależny. Kiedy kochasz kobietę tak długo, że ta miłość utrwała się nie tylko w radości, ale i w przyzwyczajeniu, jej obecność zajmuje zbyt wiele miejsca, żeby można ją było zignorować. Wiedziałem, że Robin oderwałaby się od pracy, gdybym zajrzał do pracowni, ale nie miałem ochoty na towarzystwo, więc zamiast wyjść tylnymi drzwiami, sięgnąłem do telefonu w kuchni, żeby sprawdzić, czy ktoś dzwonił. Problem telefonu bez odpowiedzi rozwiązał się sam.

– Dzień dobry, panie Delaware – przywitała mnie operatorka. – Jest tylko jedna wiadomość, przyszła kilka minut temu. Dzwonił pan Richard Doss, podaję numer.

Doss nie dzwonił ze swojego biura w Santa Monica, bo numer zaczynał się na 805. Wybrałem go.

– Nieruchomości RTD – odpowiedział kobiecy głos.

– Doktor Delaware. Pan Doss dzwonił do mnie.

– Proszę poczekać.

Przez chwilę szumiało w słuchawce, a potem usłyszałem znajomy głos.

– Witam, doktorze. Kopa lat.

Chrapliwy ton, mocno akcentowane sylaby, nuta sarkazmu. Richard Doss zawsze mówił tak,



jakby kogoś albo coś przedrzeźniał. Nigdy nie udało mi się rozstrzygnąć, czy jest to zamierzone, czy takie jest naturalne brzmienie jego głosu.

– Dzień dobry, Richardzie.

Znowu szum, zanikające słowa odpowiedzi. Usłyszałem go ponownie po kilku sekundach.

– Może nas znów rozłączyć, bo jestem na strasznym zadupiu, w Carpinteria. Oglądam działkę, ładny sadzik z krzewami avocado, który zamieni się w małe centrum handlowe, jeśli tylko bezwzględni kapitaliści dostaną go w swoje łapska. Gdyby połączenie się przerwało, proszę do mnie nie dzwonić, ja oddzwonię. Ten sam numer? Doss zawsze lubił dyktować warunki.

– Ten sam, Richardzie. – Uparcie nalegał, żebym zwracał się do niego po imieniu, a nie po nazwisku. Była to tylko jedna z wielu reguł, jakie wyznaczył. Złudzenie poufałości. Nigdy nie zauważyłem, aby Richard T. Doss choćby na sekundę przestał się kontrolować.

– Wiem, dlaczego pan zadzwonił. A pan myśli, że wie, dlaczego oddzwoniłem.

– Chodzi o śmierć Mate’a.

– Co za radość. Bydlak dostał wreszcie to, na co zasłużył.

Nie odpowiedziałem.

– Daj pan spokój, doktorze – roześmiał się Doss. – Trochę poczucia humoru. Ja zawsze tak podchodzę do życiowych wyzwań. Czy nie to właśnie doradzają psychologowie? Uważa pan humor za coś szkodliwego?

– Czy śmierć doktora Mate’a stanowi dla pana jakieś wyzwanie? Znowu śmiech.

– No cóż... Nawet pozytywne wyzwanie jest wyzwaniem, prawda?

– Tak.

– Myśli pan, że jestem mściwy... A propos, nie było mnie wtedy w mieście. Oglądałem hotel w San Francisco. W towarzystwie dziesięciu chronicznie przygnębionych bankierów z Tokio. Zapłacili za niego trzydzieści milionów pięć lat temu, a teraz ręce ich świerzbią, żeby się go pozbyć za znacznie mniejszą sumę.

– To dobrze.

– Jasne, że tak. Pamięta pan tę antyjapońską histerię parę lat temu? Promienie śmierci z kraju Wschodzącego Słońca, jeszcze trochę, a nasze dzieci będą jadły *sushi* na drugie śniadanie w szkole? Tyle w tym prawdy, co w filmach o Godzilli. Wszystko przychodzi i odchodzi cyklicznie, żeby być mądrym, wystarczy długo żyć. – Śmiech. – Coś mi się wydaje, że ten łobuz nie czuje się już mądrałą. Cóż... Zna pan już moje alibi.

– Potrzebuje pan alibi? – Właśnie o tym pomyślałem, gdy usłyszałem o śmierci Mate’a.

Cisza, ale tym razem nie z winy telefonu; dobiegał mnie oddech Dossa. Kiedy się ponownie odezwał, jego głos był cichszy i bardziej napięty.

– Nie mówiłem tego w sensie dosłownym, doktorze. Policja będzie próbowała się ze mną skontaktować. Pewnie mają jakąś listę osób do przesłuchania. Jeśli ułożyli ją w porządku

chronologicznym, będę na końcu albo blisko końca. Ten bydlak wykończył jeszcze dwie kobiety po Joannę. Ale nie mówmy już o tym. Nie zadzwoniłem, żeby rozmawiać o nim, tylko o Stacy.

– Jak ona się miewa?

– W zasadzie dobrze. Jeśli pan pyta, czy śmierć tego drania obudziła bolesne wspomnienia matki, to odpowiem, że nie zauważyłem niczego, co by na to wskazywało. Oczywiście, rozmawialiśmy o morderstwie. Ale o Joannę nie wspominaliśmy, odkąd Stacy przestała się z panem spotykać. Mate nigdy jej nie interesował, i to dobrze. Nie traci czasu na takie brudy. Właściwie wszyscy dobrze sobie radzimy. Eryk jest w Stanford, skończył rok z doskonałymi ocenami, a teraz szlifuje z profesorem ekonomii swoją pracę. Lecę do niego w ten weekend, może zabiorę Stacy, niech rozejrzy się po kampusie.

– Zdecydowała się na Stanford?

– Jeszcze nie, dlatego chcę, żeby się z panem zobaczyła. Jej stopnie naprawdę się poprawiły od czasu, gdy zaczął pan z nią rozmawiać. W tym semestrze pracuje naprawdę pełną parą. Zapisła się na wszystkie kursy, celuje w świadectwo z wyróżnieniem. Zastanawiamy się, czy powinna ubiegać się o wcześniejsze przyjęcie, czy grać na dwa fronty. Stanford i Ivy przyjmują większość studentów wcześniej. To, że należy do dynastii nie zaszkodzi, ale konkurencja i tak jest ogromna. Właśnie dlatego dzwonię. Stacy nadal ma problem z podejmowaniem decyzji, a termin składania podań o wcześniejsze przyjęcie upływa w listopadzie, więc trzeba się spieszyć. Zakładam, że znajdzie pan dla niej czas w tym tygodniu.

– To możliwe, ale...

– Opłata taka sama, zgadza się? Chyba że pan podniósł.

– Taka sama...

– Nie dziwię się. Państwowa opieka zdrowotna rozszerza działalność, więc musiałby pan być w poważnych tarapatkach finansowych, żeby się zdecydować na podwyżkę. Mamy pana dane w komputerze, proszę wysłać rachunek do biura.

Zaczerpnąłem tchu.

– Panie Richardzie, niech mnie pan posłucha. Chętnie zajmę się Stacy, ale zanim to zrobię, musi pan wiedzieć, że jestem konsultantem policji w sprawie morderstwa Mate'a.

– Rozumiem... A właściwie nie bardzo. Dlaczego to robią?

– Doradzam policji od dawna, i wielokrotnie pracowałem z detektywem, który prowadzi śledztwo. Nie rozmawialiśmy o żadnym konkretnym aspekcie dochodzenia, on po prostu chce mieć konsultanta psychologicznego.

– Dlatego, że ten sukinkot był stuknięty?

– Dlatego, że detektyw liczy na moją pomoc...

– Panie doktorze, to jest tak niejasne, że nic nie rozumiem.

– Ale prawdziwe – odparłem, ponownie zaczerpując tchu. – Nie wspominałem nic o tym, że

spotykam się z członkami pańskiej rodziny, ale może dojść do konfliktu. Bo policja rzeczywiście sprawdza listę...

– Ofiar Mate'a – wtrącił Doss. – Tylko niech pan nie gada tego gówna o „podróżnikach”.

– Chcę powiedzieć, że policja prędzej czy później dotrze do pana. Wolałem z panem porozmawiać, zanim podejmę jakiegokolwiek inne decyzje. Nie chciałem, aby uważał pan, że istnieje konflikt interesów...

– A więc znalazł się pan w niejasnej sytuacji i próbuje ustalić swoje położenie.

– To nie jest kwestia mojego położenia. Chodzi o to, że...

– Dąży pan do tego, żeby postąpić właściwie. Świetnie, akceptuję to. W biznesie nazywamy to rzetelnym podejściem. Co pan zamierza?

– Zwrócił się pan do mnie o pracę ze Stacy, więc zrezygnuję z roli konsultanta w sprawie śmierci Mate'a.

– Dlaczego?

– Stacy jest moją pacjentką, więc nie mogę pracować dla policji.

– Jaki powód im pan poda?

– Nie muszę tego tłumaczyć. Ale tak czy inaczej, policja może się dowiedzieć o naszej znajomości. Takie rzeczy zawsze jakoś wychodzą na jaw.

– W porządku. Nie musi pan utrzymywać niczego w tajemnicy z mojego powodu. Sam im powiem, że Stacy była pańską pacjentką. Bo co tu ukrywać? Że troskliwy ojciec stara się pomóc dziecku, które tego potrzebuje? Najlepiej, gdyby sam pan powiedział o tym policji.

Doss zachichotał.

– Chyba szczęśliwie się złożyło, że mam alibi. Wie pan co, doktorze? Niech pan przyśle policję do mnie. Z przyjemnością powiem im, jakie uczucia budzi we mnie ten drań. Powiem im, że z największą rozkoszą zatańczę na jego grobie. Proszę nawet nie myśleć o rezygnacji z wynagrodzenia za konsultację, doktorze Delaware. Nie chciałbym się przyczynić do obniżenia panu zarobków w czasach, gdy panoszy się państwowa służba zdrowia. Niech pan dalej pracuje dla gliniarzy. W gruncie rzeczy, to mi nawet odpowiada.

– Dlaczego?

– Kto wie, może uda się panu dokopać do czegoś w życiu tego bydlaka, wyciągnąć na światło dzienne jakieś brudy, które pomogą zrozumieć światu, kim naprawdę był.

– Richardzie...

– Tak, wiem. Zachowa pan dyskrecję, dyskrecja to dla pana najwyższy priorytet itepe. Ale wszystko zostanie w policyjnych aktach, a policjanci mają duże gęby. Informacje i tak się wydostaną... Odpowiada mi to, doktorze Delaware. Pracując dla nich, odda mi pan podwójną przysługę. No, to kiedy mogę przywieźć Stacy?

Wyzaczyłem spotkanie na jutro rano i odłożyłem słuchawkę, czując się, jakbym stał na

dziobie malutkiej łódki w szalejącym sztormie.

Upłynęło pół roku od chwili, gdy rozmawiałem z Richardem Dossem, ale w naszych relacjach nic się nie zmieniło. Zresztą nie było po temu żadnego powodu. Richard się nie zmienił, nigdy nie było to jego zamiarem.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie od niego usłyszałem, było to, że gardził Mate'em. Kiedy telewizja podała wiadomość o śmierci Mate'a, natychmiast przemknęło mi przez myśl: Richard zagiął na niego parol.

Usłyszawszy szczegóły morderstwa, poczułem się lepiej. Taka rzeź nie pasowała do Richarda. Ale czy mogłem być do końca pewny? Richard odkrył się przede mną tylko tyle, ile chciał.

Zawsze dążył do tego, żeby panować nad sytuacją. Należał do ludzi, którzy sprawiają, że tam, gdzie są, robi się tłoczno. Może właśnie częściowo dlatego Joannę Doss zwróciła się do Eldona Mate'a.

Skierowanie dostałem od Judy Manitow, sędzi sądu rodzinnego, z którą niegdyś współpracowałem. Jej sekretarka zostawiła krótką wiadomość: zmarła sąsiadka, a jej siedemnastoletnia córka potrzebuje pomocy psychologicznej.

Zadzwoń, targany wątpliwościami. Mam niewielu pacjentów, unikam długotrwałych terapii, a ten przypadek nie wyglądał na taki, z którym można się szybko uwinąć. Ale ceniłem sobie kontakty z Judy Manitow. Była inteligentna, choć odrobinę władcza, troszczyła się o dzieci. Zadzwoń do niej; sama podniosła słuchawkę.

– Nie mogę obiecać, że to pójdzie szybko – przyznała. – Chociaż Stacy zawsze sprawiała wrażenie rozsądnego dzieciaka i nie sprawiała kłopotów. Aż do tej pory.

– Jak zmarła jej matka?

– W okropny sposób. Przewlekła choroba, stale pogarszający się stan. Miała dopiero czterdzieści trzy lata.

– Na co chorowała?

– Nikomu nie udało się postawić diagnozy. Właściwą przyczyną śmierci było samobójstwo. Nazywała się Joannę Doss. Może o niej czytałeś? To się stało trzy miesiące temu. Była jedną z... Chyba nie można powiedzieć pacjentką. Nie wiem, jak on nazywa te osoby.

– Wędrowcami. Nie, nie czytałem o tej kobiecie.

– To nie był długi artykuł. Na ostatniej stronie dodatku „Westside”. Teraz, kiedy nikt już nie próbuje ścigać Mate'a, nie rezerwują dla niego pierwszych szpalt. Znałam Joannę od dawna, od urodzenia naszych najstarszych dzieci. Razem je wychowywałyśmy, prowadziłyśmy do przedszkola. Dwukrotnie rodziłyśmy dzieci w tym samym roku. Najpierw była moja Alisson i jej Eryk, a potem Becky i Stacy. Becky i Stacy przyjaźniły się. Milutkie dziecko, zawsze wydawało

się, że... stoi mocno na ziemi. Więc może to nie będzie bardzo długa terapia, może wystarczy popracować nad rozpaczą. Zajmowałeś się tym przecież, prawda? Pracowałeś na oddziale onkologicznym w szpitalu.

– To stara historia – odrzekłem. – Tam sytuacja była odwrotna. Próbowałem pomóc rodzicom, którzy stracili dzieci. Ale rzeczywiście, miałem do czynienia z wszelkimi rodzajami strat bliskich osób.

– To dobrze. Wydawało mi się, że to mój obowiązek, bo znam rodzinę, a Stacy jest strasznie przygnębiona. Zresztą, czy może być inaczej? Wiem, że ją polubisz. I jestem pewna, że rodzina wyda ci się interesująca.

– Interesująca – powiedziałem. – Najstraszniejsze słowo w języku angielskim.

Judy roześmiała się.

– To tak, jakby ktoś chciał cię umówić z brzydkim chłopakiem, którego nie znasz. „Czy jest przystojny?”. „Jest interesujący”. Nie to miałam na myśli, Alex. Dossowie są inteligentni, chyba nie znam inteligentniejszej rodziny. Każde z nich jest indywidualistą. Jedno mogę ci obiecać: nie będziesz się nudził. Joannę zrobiła dwa doktoraty, pierwszy z angielskiego w Stanford. Miała dostać etat wykładowcy, kiedy przeprowadzili się do Los Angeles. Szybko się przestawiła, zapisała jako studentka na kurs nauk przyrodniczych; była wtedy w ciąży z Erykiem. Zrobiła doktorat z mikrobiologii, uczelnia zatrudniła ją do pracy badawczej. Zanim zachorowała, miała już swoje laboratorium. Richard własną pracą dorobił się fortuny. Zrobił magisterium w Stanford. On i Bob należeli do tego samego stowarzyszenia studenckiego. Wykupuje zapuszczone posiadłości, doprowadza je do porządku, rozbudowuje. Bob mówi, że zarobił miliony. Eryk to absolutny, wszechstronny geniusz, zdobywa nagrody we wszystkim: w nauce, sporcie; prawdziwy żywioł. Stacy nigdy nie miała jego pewności siebie. Jest bardziej... zamknięta w sobie. Więc nie ma się co dziwić, że to właśnie ona najbardziej przeżyła śmierć Joannę. Poza tym, jest dziewczyną. Matki i córki łączy szczególna więź.

Zamilkła na chwilę.

– Chyba się trochę rozgadałam, co? Pewnie dlatego, że naprawdę lubię tę rodzinę. Poza tym, szczerze powiedziawszy, jestem w kropce. Richard nie był zachwycony pomysłem psychoterapii. Musiałam nad nim trochę popracować, żeby się zgodził. W końcu to Bob go przekonał. Grają razem w tenisa w Cliffside; w zeszłym tygodniu Richard wspomniał, że Stacy opuściła się w nauce, zaczęła zdradzać objawy przemęczenia; spytał, czy Bob zaleca kurację witaminową. Bob odparł, że Richard głądzi jak idiota, że Stacy nie potrzebuje witamin, tylko kontaktu z psychologiem.

– To musi być głęboka przyjaźń – zauważyłem. – Chciałbym zobaczyć ten ich mecz.

– Testosteron uderzył Bobowi do głowy. Kocham mojego męża, ale on nie jest wzorem subtelności. Tak czy owak, podziałało. Richard się zgodził. Więc gdybyś zechciał zobaczyć się

ze Stacy, nie wysłałbym na idiotkę.

– Jasne.

– Dzięki, Alex. Nie będzie problemów z rachunkami. Richard świetnie sobie radzi finansowo.

– A emocjonalnie?

– Prawdę mówiąc, też nie najgorzej. Co nie znaczy, że to często okazuje. Miał czas pogodzić się z chorobą Joannę, bo trwało to przeszło rok... Alex, nigdy w życiu nie widziałam takiej okropnej przemiany. Rzuciła pracę, zamknęła się w sobie, przestała o siebie dbać. Przytyła... I to nie kilka kilogramów, ale trzydzieści, może czterdzieści. Zamieniła się w... nieruchomą górę mięsa. Leżała w łóżku, jadła, spała i skarżyła się na ból. Ciągle miała wysypki. Prawdziwy horror.

– I nikt nie postawił diagnozy?

– Nikt. Badało ją kilku lekarzy, między innymi Bob. Nie był jej internistą, bo woli nie leczyć ludzi, których zna osobiście. Zrobił przysługę Joannę i Richardowi. Nie znalazł żadnej choroby i skierował Joannę do immunologa, który odesłał ją do kogoś innego. I tak to trwało.

– Kto podjął decyzję o zwróceniu się do Mate'a?

– Z pewnością Joannę, nie Richard. Nic mu nie powiedziała, po prostu znikła któregoś wieczoru, a nazajutrz rano znaleziono ją martwą w Lancaster. Może właśnie za to Richard tak bardzo nienawidzi Mate'a. Został pominięty i dowiedział się o wszystkim dopiero od policji. Próbował skontaktować się z Mate'em, ale on nie odpowiadał na jego telefony. Niepotrzebnie zbaczam z tematu.

– Wręcz przeciwnie, wszystko, co wiesz, może okazać się pomocne.

– Nic więcej nie wiem, Alex. Joannę zabiła siebie i porzuciła dzieci. Mogę sobie tylko wyobrażać, co przechodzi biedna Stacy.

– Czy, twoim zdaniem, jest załamana?

– Nie należy do tych, które zalewają się łzami, ale wydaje mi się, że tak. Trochę przytyła. Nie tak jak Joannę, nie, najwyżej pięć kilo. Ale nie jest wysoka. Wiem, jak dziewczęta w tym wieku dbają o siebie. Poza tym wydaje się jakaś cichsza, zamyślona.

– Czy Stacy nadal przyjaźni się z Becky?

– Kiedyś były ze sobą naprawdę blisko – odparła Judy – ale Becky o niczym nie wie, wiesz, jakie są dzieci. Wszyscy bardzo lubimy Stacy. Pomóż jej, Alex, proszę.

Nazajutrz rano po tej rozmowie zadzwoniła do mnie sekretarka Dossa i poprosiła, żebym poczekał, aż zgłosi się szef. Przez kilka minut w słuchawce grała muzyka pop, a później odezwał się Richard, bardzo pobudzony, prawie wesoły. Ton jego głosu wcale nie wskazywał na to, że rozmawiam z mężczyzną, którego żona trzy miesiące wcześniej popełniła samobójstwo. Ale, jak

zauważyła Judy, miał czas oswoić się z tym faktem.

Nie zauważyłem niechęci do kontaktu z psychologiem, o której wspominała Judy. Zdawało się, że podnieca go nowe wyzwanie.

Od razu zaczął wyznaczać reguły.

Nie chcę więcej słyszeć „panie Doss”, doktorze. Proszę zwracać się do mnie po imieniu.

Wynagrodzenie otrzyma pan co miesiąc przez moje biuro, oto numer.

Stacy nie może sobie pozwolić na opuszczanie szkoły, więc sesje muszą być popołudniowe.

Oczekuję, że powie mi pan, jaki rodzaj terapii pan stosuje i jak długo ona potrwa.

Po zakończeniu wstępnego rozpoznania proszę przedstawić mi swoje wnioski na piśmie i wtedy postanowimy, co robić dalej.

– W jakim wieku jest Stacy? – spytałem.

– W zeszłym miesiącu skończyła siedemnaście lat.

– Wobec tego muszę pana o czymś poinformować. Z prawnego punktu widzenia Stacy nie ma prawa do tajemnicy lekarskiej, ale nie mogę pracować z nastolatką, jeśli ojciec nie wyrazi zgody na zachowanie tajemnicy.

– To znaczy, że ja nie będę wiedział, co się dzieje.

– Niekoniecznie...

– Dobrze. Kiedy mogę ją przywieźć?

– Jeszcze jedno. Najpierw muszę zobaczyć się z panem.

– Dlaczego?

– Zanim spotkam się z pacjentką, przeprowadzam wywiad z rodzicami.

– Nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Jestem zajęty, właśnie zawieram kilka skomplikowanych kontraktów. Po co ta rozmowa doktorze? Trzeba się skupić na konkretnej sprawie: rozpaczy Stacy po stracie matki. Nie chodzi o jej dzieciństwo. Mógłbym zrozumieć, że analiza jej rozwoju miałaby znaczenie, gdyby rzecz dotyczyła kłopotów z nauką czy niedojrzałości, ale jestem pewien, że problemy w szkole wynikają z reakcji na śmierć matki. Proszę mnie źle nie zrozumieć, wiem, na czym polega terapia rodzinna, ale w tym wypadku nie to jest potrzebne. Konsultowałem się z psychologiem rodzinnym podczas choroby żony. Polecił mi tego szarlatana lekarz, który już dla mnie nie pracuje. Psycholog uważał, że należy wciągnąć do tego Stacy i Eryka. Nie miałem na to chęci, ale się zgodziłem. A on zaczął nalegać, żeby wszyscy uczestniczyli w terapii, łącznie z Joanną. Jakiś typ spod znaku New Age, miniaturowa fontanna w poczekalni, protekcyjny głos. Uważałem to za nonsens. Judy Manitow twierdzi, że jest pan bardzo dobry.

W podtekście mogłem odczytać, że wprawdzie Judy ma dobre chęci, ale daleko jej do nieomyślności.

– Bez względu na kierunek terapii, panie Doss...

– Richardzie.

– Muszę się z panem najpierw zobaczyć.

– A czy nie moglibyśmy załatwić tego przez telefon? Przecież właśnie teraz to robimy. Jeśli chodzi o pieniądze, proszę mi przesłać rachunek telefoniczny. Tak właśnie robią moi adwokaci.

– Nie o to chodzi. Chcę się z panem spotkać oko w oko.

– Dlaczego?

– Bo tak pracuję, Richardzie.

– No cóż, to brzmi dość dogmatycznie. Tamten nalegał na terapię rodzinną, pan upiera się przy osobistym spotkaniu oko w oko.

– Z doświadczenia wiem, że tak jest najlepiej.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Przykro mi, nie będę mógł pracować z pańską córką.

Roześmiał się gardłowo. Jego śmiech przypominał odgłos wydawany przez mechaniczne zabawki.

– Musi pan mieć pełne ręce roboty, żeby sobie pozwolić na takie podejście, doktorze. Gratuluję.

Na kilka sekund zapadła cisza i zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniłem błędu. Ten człowiek przeżył piekło, więc może powinienem wykazać więcej elastyczności? Ale coś w jego zachowaniu tak właśnie mnie nastawiło: on się stawiał, więc i ja się postawiłem. Amatorszczyzna, Delaware. Następnym razem pomyśl.

Już miałem ustąpić, gdy Doss przerwał milczenie.

– No cóż, cenię ludzi z kręgosłupem. Spotkam się z panem jeden raz. Ale nie w tym tygodniu, bo wyjeżdżam... Zerknę w kalendarz... Proszę poczekać.

Znowu muzyka, syntetyzatorowa słodka papka w rytmie walca.

– W tym tygodniu mam czas tylko we wtorek o szóstej.

– Świetnie.

– A więc nie jest pan aż tak zajęty, co? Proszę mi podać adres. Podałem.

– To dzielnica willowa.

– Pracuję w domu.

– Rozsądnie, można obniżyć koszty. Do zobaczenia we wtorek. Może pan zacząć ze Stacy w poniedziałek. Jest wolna zaraz po szkole...

– Spotkam się z nią po naszej rozmowie.

– Ale z pana twardej, doktorze. Powinien pan robić to, co ja. Zarobki są o niebo lepsze, i też można pracować w domu.



Po telefonie Richarda postanowiłem wyjść z domu. Zrobiłem kawę dla siebie i Robin i poszedłem do ogrodu. Minałem grządkę kwiatów, które Robin zasiała zeszłej zimy i kamienną ścieżką zszedłem do wodospadu przy stawie. Postawiłem filiżankę z kawą na kamiennym stole, sypnąłem ozdobnym karpom garść karmy. Ryby rzuciły się w górę, zanim płatki spadły na powierzchnię wody, zakotłowały przy brzegu. Ołowiane niebo odbijało się w lustrze wody, nadając jej metaliczną barwę. Powietrze było chłodne i pozbawione woni, nieruchome jak na miejscu zbrodni, lecz zieleń roślin i woda łagodziły wrażenie martwoty.

Na wzgórzach rozsiadła się wrześniowa mgła. Nasza działka nie jest duża, lecz od zachodniej strony graniczy z terenem nienadającym się pod zabudowę, i zewsząd otaczają ją stare świerki i drzewa gumowe, co stwarza iluzję odosobnienia. Nad koronami drzew wisiała szarość.

Przykucnąłem, pozwalając jednemu z większych karpów skubnąć się w palec. Czasem przypominam sobie, że życie jest ulotne, a ja jestem wielkim szczęściarzem, bo mogę żyć wśród piękna i względnego spokoju. Mój ojciec zapił się, mama była dzielna, ale nieustannie smutna. Nie cierpiałem nad tym, przeszłość nie była dla mnie krępującą kamizelką bezpieczeństwa, ale dla tych, którzy wyssali nieszczęście z mlekiem matki, wspomnienia mogą być gorzką pociechą.

Usłyszałem stukanie dłuta w pracowni Robin. Pracownia jest miniaturką parterowego domu z wysokimi oknami i starymi, pociemniałymi drzwiami z drewna sosnowego, które Robin ocaliła z jakiegoś rozbieranego budynku w śródmieściu. Uchyliwszy ostrożnie drzwi, usłyszałem cichy dźwięk gitary Ry Coopera. Robin stała pochylona nad roboczym blatem; była ubrana w czarną koszulkę i szary dżinsowy kombinezon, włosy upięła wysoko czerwoną jedwabną chustką. Wieczorem na pewno będą ją bolały plecy. Nie usłyszała, jak wchodzę. Szczupłymi, gładkimi dłońmi przesuwiała dłuto po powierzchni kawałka jodły z Alaski w kształcie gitary. Spike umościł się wygodnie u jej stóp na stosie poskręcanych wiórów i chrapał, aż mu uszy powiewały.

Patrzyłem przez chwilę, jak Robin wygładza pudło rezonansowe, stuka, obrabia je dłutem, znowu stuka, przesuwa palcami wzdłuż wewnętrznych krawędzi, zamyśla się, by po chwili podjąć pracę. Jej wąskie dziecięce nadgarstki wydawały się zbyt wężowe na metalowe dłuto, lecz posługiwała się tym narzędziem jakby to była zapałka.

Zagryzła wargę, polizała ją i przygarbiła się jeszcze bardziej. Kosmyk kasztanowatych włosów wysunął się spod chustki; odgarnęła go niecierpliwie.

Nie zauważyła mnie, chociaż stałem nie dalej niż o trzy metry od niej. Jak większość twórców, nie dostrzegała czasu i miejsca, kiedy jej umysł był czymś zajęty.

Stanąłem z drugiej strony stołu. Ciemne jak mahoń oczy rozszerzyły się. Położyła dłuto na blacie; między pełnymi, miękkimi wargami błysnęła biel odrobiny za dużych siekaczy. Uśmiechnąłem się, wyciągając rękę z filiżanką. Z przyjemnością patrzyłem na oliwkową twarz

w kształcie serca; zdobiło ją o kilka zmarszczek więcej niż lata temu, gdy się poznaliśmy, ale nadal była gładka. Zwykle Robin nosiła kolczyki, lecz tego ranka ich nie miała. Ani zegarka, ani biżuterii, ani makijażu. Spieszyła się, więc nie chciała sobie zaprzętać głowy drobiazgami.

Poczułem, że coś dotyka mojej kostki, usłyszałem sapanie i pomruk. Spike warknął i szturchnął mnie łbem w łydkę. Przygarnęliśmy go razem, ale on wybrał ją.

– Zawołaj swoją bestię.

Robin roześmiała się i wzięła filiżankę.

– Dziękuję, kochanie – powiedziała, muskając dłonią moją twarz. Spike warknął głośniej. – Nie denerwuj się, nadal jesteś moim przystojniakiem – zapewniła go.

Odstawiła kawę i oplotła mi szyję rękami. Spike szczeknął bez przekonania szorstkim, gardłowym tonem, który wydobywał się z krótkiej, grubej, buldożej gardzieli.

– No, Spikey – powiedziała do psa, wsuwając palce w moje włosy.

– Jeśli go teraz pogłaszciesz, ja zacznę warczeć.

– Więc co mam robić?

– To – odparłem, przesuwając ręce po jej plecach aż do pośladków, a potem znów w górę, do łopatek. Naciskałem kręgi palcami po kolei.

– Jakie to przyjemne. Jestem trochę obolała.

– Niewłaściwa postawa przy pracy. Tylko nie myśl, że próbuję cię pouczać.

– Ależ nic podobnego.

Pocałowaliśmy się, tym razem mocniej. Robin przylgnęła do mnie całym ciałem, które waży nie więcej niż pięćdziesiąt kilo. Rozpinając ramiączka ogrodniczek, czułem na uchu jej ciepły oddech. Dżinsy opadły na biodra i oparły się o krawędź blatu. Pogładziłem jej lewe ramię, z przyjemnością wyczuwając mocne mięśnie pod gładką skórą. Wsunąwszy palce pod koszulkę, odszukałem miejsce – a właściwie dwa miejsca – które ją często bolały, tuż nad kością ogonową. Robin nie jest bynajmniej koścista: ma kształtne biodra, uda i piersi z miękką, tak bardzo kobiecą warstewką tłuszczu. Ale jej talia jest wystarczająco wąska, abym mógł przykryć jedną dłonią oba bolące miejsca.

Przytuliła się do mnie, wyginając.

– Jesteś... taki niegrzeczny.

– Myślałem, że to przyjemne.

– No właśnie. Powinnam pracować.

– Ja też.

Ująłem ją pod brodę, a drugą ręką sięgnąłem do pośladka. Nie miała biżuterii ani makijażu, ale zdążyła się wyperfumować. Czułem jej delikatny zapach.

Przesunąłem dłoń z powrotem na bolące miejsca na plecach.

– Nie przerywaj – szepnęła, odnajdując palcami mój rozporek. – Wszystko zepsujesz, nie chce

mi się teraz myśleć o pracy.

– Zepsułem? To dopiero początek.

Dotknąłem jej brzucha. Jęknęła. Spike zaczął szaleć.

– Czuję się jak wyrodna matka – powiedziała, wyprowadzając go na zewnątrz.

Kiedy skończyliśmy, kawa dawno wystygła, ale i tak ją wypiliśmy. Czerwona chustka leżała na podłodze, a wióry nie tworzyły już schludnego stosiku. Siedziałem nago na starym skórzanym fotelu z Robin na kolanach. Nadal dyszałem ciężko, nadal pragnąłem ją całować. Wreszcie wstała, ubrała się i wróciła do pracy nad gitarą. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Co tam?

– Trochę poszaleliśmy. Muszę sprawdzić, czy coś nie zostało na moim arcydziele.

– Na przykład?

– Na przykład pot.

– Może by nie zaszkodził – zauważyłem. – Mogłabyś powiedzieć, że stosujesz naprawdę organiczne metody w lutnictwie.

– Raczej orgazmiczne.

– Te również. – Wstałem i objąłem ją, rozkoszując się zapachem włosów. – Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparła ze śmiechem. – To takie męskie.

– Czy mam to rozumieć jako komplement?

– To zależy od nastroju. W tej chwili to raczej kapryśna uwaga. Zawsze, kiedy to robimy, mówisz mi, że mnie kochasz.

– To chyba dobrze, prawda? Mężczyzna powinien wyrażać swoje uczucia.

– Bardzo dobrze – potwierdziła bez wahania. – I zawsze można na ciebie liczyć pod tym względem.

– Mówię ci to też przy innych okazjach, prawda?

– Oczywiście, ale to jest...

– Przewidywalne.

– W stu procentach.

– A więc pani profesor Castagna prowadziła zapiski?

– Nie musiałam. Nie myśl, że się skarżę, słonko. Zawsze możesz mi mówić, że mnie kochasz. Chciałam powiedzieć, że to takie słodkie.

– Ta moja przewidywalność.

– Lepsza niż niestabilność.

– No cóż, mogę wprowadzić jakieś urozmaicenia, mówić to w innych językach, na przykład po węgiersku. Czy mam zadzwonić do szkoły językowej?

Cmoknęła mnie w policzek i wzięła dłuto.

– Stuprocentowy mężczyzna.

Spike zaczął skrobać w drzwi. Wpuściłem go; przemknął jak strzała koło moich nóg, zahamował ostro przed Robin i położył się na grzbiecie, pokazując brzuch. Krótkie nogi zamachały w powietrzu, gdy przyklęła i podrapała go.

– O rany – westchnąłem. – Z powrotem do młyna.

– Dzisiaj żadnych maszyn, tylko to – odparła Robin, wskazując dłuto.

– Mówiłem o sobie. Zerknęła przez ramię.

– Czeka cię ciężki dzień?

– Jak zwykle. Kłopoty innych ludzi. Ale w końcu za to mi płacą prawda?

– A jak spotkanie z Milo? Dowiedział się czegoś na temat Mate'a?

– Na razie nic. Poprosił, żebym poszukał informacji. Chyba zacznę od komputera.

– Łatwo będzie znaleźć coś o Doktorze Śmierć.

– Jasne. Ale trafienie na coś wartościowego to już całkiem inna historia. Jeśli zabrnę w ślepy zaułek, spróbuję w bibliotece, może w dziale biomedycznym.

– Ja będę tu przez cały dzień – oznajmiła Robin. – Jeśli mi nie przeszkodzisz, odwalę kawał roboty. Może zjemy wcześniej kolację?

– Świetnie.

– Chodzi o to, żebyś wrócił jak najwcześniej. Chcę znowu usłyszeć, że mnie kochasz.

Stuprocentowy mężczyzna.

Często, zwłaszcza kiedy przyjmowałem więcej pacjentów, spędzaliśmy razem wieczory, podczas których niewiele mówiłem. Mimo wykształcenia i treningu psychologicznego, czasami nie udawało mi się wydusić z siebie słów, które grzęzły gdzieś po drodze między głową a ustami. Czasem obmyślałem, co miłego powiem Robin, ale jakoś mi nie wychodziło.

Ale kochaliśmy się... Ze mną jakoś tak jest, że ciało pobudza emocje. Chyba należałoby mnie umieścić w grupie z dominującym chromosomem Y.

Uważa się, że mężczyźni wykorzystują miłość, żeby mieć możliwość uprawiania seksu, a kobiety na odwrót. Jak większość złotych myśli na temat ludzkich zachowań, dalekie to jest od prawdy bezwzględnej: znam kobiety, które uczyniły sztukę z bezmyślnego promiskuityzmu i mężczyźni tak spętanych uczuciem, że sama myśl o seksie z obcą kobietą napawała ich odrazą prowadzącą do impotencji.

Nigdy nie byłem pewien, w którym punkcie między tymi biegunami umieścić Richarda Dossa. Kiedy go poznałem, nie miał fizycznych kontaktów z żoną od ponad trzech lat.

Oznajmił mi to w ciągu kilku minut od wejścia do mojego gabinetu. Jak gdyby wiedza o tym była dla mnie ważna. Upierał się, że z całej rodziny tylko córka może być moją pacjentką, a mimo to sam zaczął mówić. Jeśli chciał w ten sposób coś wyjaśnić, nigdy nie dowiedziałem się,

co to było.

Poznał Joannę Heckler na studiach, nazwał ten związek idealnym i na dowód przytoczył fakt, że byli małżeństwem przez ponad dwadzieścia lat. Kiedy spotkałem się z Richardem, jego żona nie żyła od dziewięćdziesięciu trzech dni, ale mówił o niej jakby należała do odległej przeszłości. Gdy wyznał, że głęboko kochał Joannę, nie miałem powodu mu nie wierzyć, chociaż w jego głosie, oczach i zachowaniu nie dostrzegłem nic, co by potwierdzało te słowa.

Co nie znaczy, że nie był zdolny do okazywania emocji. Kiedy otworzyłem mu drzwi domu, wpadł do środka jak burza, rozmawiając przez maleńki, srebrzysty telefon komórkowy, i nie przestał perorować z ożywieniem nawet po wejściu do mojego gabinetu. Machnięciem wskazującego palca dał mi znać, że potrwa to tylko minutę.

– No dobra, Scott, muszę kończyć – oznajmił. – Rozpracuj ich. Jeśli dadzą nam procent, jaki obiecali, wchodzimy w to. Jeśli nie, nie ma o czym mówić. Przekonaj ich, żeby się zdecydowali od razu. Znasz procedurę.

Oczy Richarda błyszczały, wolna ręka gestykulowała. Był w swoim żywiole.

– Później pogadamy – powiedział, wyłączając telefon i zakładając nogę na nogę.

– Negocjacje? – spytałem.

– Jak zwykle. No więc dobrze, pomówmy o Joannę. – Gdy wypowiedział imię żony, ożywienie uleciało z jego głosu.

Spodziewałem się kogoś o innym wyglądzie. Trening psychologiczny ma na celu wyostrzyć umysł, lecz każdy człowiek wyrabia sobie jakieś wyobrażenia, a ja stworzyłem sobie obraz Richarda Dossa na podstawie relacji Judy Manitow i pięciominutowej telefonicznej potyczki z nim samym.

Agresywny, wymowny, dominujący. Był członkiem korporacji studenckiej, tenisista należący do klubu. Tenisowy partner Boba Manitow, który jest lekarzem, lecz wygląda na biznesmena. Nie wiedzieć czemu, wyobraziłem sobie kogoś podobnego do Boba: rosnącego, mocno zbudowanego mężczyznę z krótko obciętymi włosami z przedziałkiem, siwymi na skroniach. Do tego dobrze skrojony ciemny garnitur, biała lub niebieska koszula i elegancki krawat.

Richard Doss miał metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i twarz podstarzałego krasnoludka, o szerokim czole, zwężającą się, zakończoną drobnym, niemal kobiecym podbródkiem. Był zbudowany jak tancerz: bardzo szczupły, o szerokich ramionach i wąskiej talii. Nieproporcjonalnie duże dłonie z doskonale utrzymanymi lśniącymi paznokciami, opalenizna z Palm Springs, jaką rzadko się teraz widuje ze względu na coraz bardziej rozpowszechniony strach przed czerniakami. Richard miał zdrową cerę człowieka, który lekceważy ostrzeżenia przed rakiem skóry.

Długie, czarne, kędzierzawe włosy nasuwały skojarzenia z latami sześćdziesiątymi, fryzurą białego afro. Na szyi nosił wąski złoty łańcuszek. Dwa górne guziki czarnej jedwabnej koszuli

z zapinanymi kieszonkami i szerokimi wyłogami były rozpięte, odsłaniając opaloną, bezwłosą klatkę piersiową. Szerokie, szyte na miarę spodnie z szarego tweedu podtrzymywał pasek z krokodylej skóry ze srebrną klamrą. Dobrane kolorem mokasyny na gołych stopach. W jednej ręce trzymał niewielki czarny przedmiot przypominający saszetkę, w drugiej srebrzysty telefon.

Na pierwszy rzut oka sklasyfikowałbym go jako typ hollywoodzki, jednego z tych samozwańcych producentów, których widuje się w kawiarniach przy Sunset Plaża. Wynajmują tanie mieszkania, jeżdżą szpanerskimi samochodami wziętych na raty, z głowami pełnymi knoń, nie pomysłów.

Richard Doss przybył z Pało Alto do Los Angeles i przejął tutejszą modę aż do granic parodii.

– Moja żona mogłaby posłużyć jako świadectwo klęski współczesnej medycyny – zaczął. W tej chwili odezwał się telefon. Przystawił go do ucha.

– Cześć. Co? Dobra... Ale nie teraz. To na razie. – O czym mówiłem?... A, współczesna medycyna. Byliśmy u tuzina lekarzy, zrobili jej wszystkie badania, jakie można znaleźć w książkach. Tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny, serologia, toksykologia, dwie punkcje. Wszystko na nic. Niepotrzebnie, jak się później dowiedziałem. Neurolog nie wiedział, od czego zacząć.

– Jakie miała objawy? – spytałem.

– Bóle stawów, głowy, nadwrażliwość skóry, przemęczenie. Od tego się zaczęło. Kiedyś była kłębkiem energii. Metr pięćdziesiąt wzrostu, czterdzieści osiem kilo wagi. Tańczyła, grała w tenisa, uprawiała forsowne marsze. Zmiana nastąpiła stopniowo, z początku myślałem, że to grypa albo jakiś wirus, których pełno ostatnio w powietrzu. Zdawało mi się, że najlepiej będzie zniknąć jej z oczu i dać wypocząć. Zanim do mnie dotarło, że dzieje się coś poważnego, straciłem z nią kontakt, jakby przeniosła się na inną planetę. – Zagiął palec na złotym łańcuszku. – Rodzice Joannę nie żyli długo, może coś w jej genach... Zawsze miała rozwinięty instynkt macierzyński, ale to też zanikło. To był zdaje się główny objaw, odsunięcie się. Ode mnie, dzieci, wszystkiego.

– Judy powiedziała mi, że pańska żona była mikrobiologiem. Czym się dokładnie zajmowała?

Richard potrząsnął głową.

– Szuka pan oczywistych rozwiązań: zaraziła się czymś w laboratorium. To logiczna, ale błędna hipoteza. Przebadano labolatorium na wszystkie strony w poszukiwaniu niebezpiecznych wirusów, alergenów i tym podobnych. Joannę pracowała z mikrobami, ale to były mikroby roślinne: pleśnie i grzyby, które atakują rośliny uprawne. Zwłaszcza brokuły. Dostała dotację z uczelni na badanie brokułów. Lubi pan brokuły?

– Pewnie.

– Ja nie. Wiadomo, że może dojść do zakażenia między roślinami i zwierzętami, ale to, nad czym pracowała Joannę, nie należy do tej kategorii – ani sprzęt, ani żadne odczynniki. Przeszła wszystkie badania krwi, jakie zna medycyna. – Richard miętosił w palcach mankiet czarnej koszuli. Miał zegarek z czarnym cyferblatem i złotą obwódką, tak cienki, że wyglądał jak tatuaż.

– Nie oszukujmy się, przyczyna choroby Joannę pozostanie nieznana. Wróćmy do tego, co najważniejsze, czyli jej odsunięcia. Pierwszą rzeczą, której spróbowałem, była rozrywka i życie towarzyskie. Nie chciała z nikim wychodzić, nawet na kolacje ze współpracownikami. Była zbyt zmęczona, nie miała apetytu. Chociaż w łóżku jadła bez końca. Należymy do klubu Cliffside. Joannę grała tam w tenisa i chodziła na siłownię. Nic z tych rzeczy. Zaczęła wcześniej kłaść się spać i później wstawać. W końcu przestała wychodzić z łóżka. Skarżyła się na coraz gorszy ból. Powiedziałem, że może ją boleć właśnie z braku ruchu, mięśnie się kurczą, sztywnieją. Nie odpowiedziała. Wtedy zaczęliśmy chodzić do lekarzy.

Richard założył nogę na nogę.

– No i zaczęła tyć. Jedzenie było jedyną rzeczą, z której nie zrezygnowała. Cukierki, ciasto, chipsy, wszystko, co słodkie i tłuste. – Skrzywił usta, jakby przegryzł coś niesmacznego. – Pod koniec ważyła sto kilo. W ciągu niespełna roku waga jej ciała podwoiła się. Pięćdziesiąt kilogramów czystego tłuszczu – niesamowite, prawda? Trudno było uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, z którą się ożeniłem. Była taka gibka, wysportowana. Nagle okazało się, że moja żona jest jakąś aseksualną, obcą istotą. Jeśli żyje się z kimś przez dwadzieścia pięć lat, nie można tak nagle przestać lubić tej osoby, ale nie będę zaprzeczał: moje uczucia wobec niej się zmieniły. Praktycznie przestała być moją żoną. Próbowałem namówić ją, żeby zaczęła jeść owoce i pić soki, ale nie chciała o tym słyszeć. Zamawiała jedzenie, kiedy byłem w pracy. Mogłem zastosować drastyczniejsze środki: farmaceutyczną kurację odchudzającą, kłódkę na lodówce, ale wydawało się, że tylko jedzenie trzyma ją przy życiu. Pomyślałem, że to okrutne pozbawiać ją tej przyjemności.

– Przypuszczam, że lekarze zbadali wszystkie funkcje metaboliczne.

– Tarczycę, przysadkę, poziom adrenaliny, wszystko. Znam się na tym tak, że mógłbym być endokrynologiem. Przyrost wagi wynikał tylko z tego, że Joannę tonęła w jedzeniu. Kiedy proponowałem ograniczenie, reagowała tak samo jak na wszystkie inne moje propozycje. Wyłączała się kompletnie. Proszę spojrzeć.

Richard wyjął z saszetki dwa zdjęcia w plastikowej oprawie. Nie wysilił się, żeby mi je podać, tylko wyciągnął rękę. Musiałem wstać, żeby po nie sięgnąć.

– Przed i po – rzucił.

Kolorowe zdjęcie z lewej strony przedstawiało dwoje młodych ludzi. Zielony trawnik, wysokie drzewa, imponujące beżowe gmachy. Współpracowałem kiedyś z pewnym profesorem ze Stanford, więc rozpoznałem kampus.

– Ja byłem na ostatnim roku, ona na drugim – powiedział Doss. – Zdjęcie zostało zrobione tuż po naszych zaręczynach.

Wielu studentów w latach siedemdziesiątych nosiło długie włosy, brody, podarte dżinsy i sandały. Kontrkultura ustępowała konwencjonalnej modzie dopiero wówczas, gdy młodzi ludzie przyjmowali do wiadomości rzeczywistość, w której trzeba zarabiać na życie.

Richard odwrócił tę chronologię. Na zdjęciu ubrany był w białą koszulę, wyprasowane szare spodnie, miał krótko obcięte włosy i okulary w rogowych oprawkach. Jego twarz była blada, typowa twarz pilnego studenta siedzącego z nosem w książkach.

Typ przyszłego biznesmena, jakiego się spodziewałem.

Roztargniony wyraz twarzy, żadnych widocznych oznak radości z zaręczyn.

Dziewczyna, którą trzymał pod rękę, uśmiechała się. Joannę Heckler była drobna i ładna. Miała jasną cerę, wąską twarz i długie, proste włosy, na czole nosiła białą opaskę. I okulary – mniejsze niż Richarda, w złotych oprawkach. Na palcu połyskiwał diamentowy pierścionek. Jasnoblękitna sukienka bez rękawów wyglądała skromnie jak na tamtą epokę.

Para elfów.

Powiadają, że małżonkowie, którzy żyją ze sobą długo, upodabniają się do siebie. Richard i Joanna byli do siebie podobni na początku, potem zaczęli się różnić.

Spojrzałem na wyblakłe zdjęcie z polaroidu. Widoczna na nim osoba nie przypominała nikogo.

Widok od strony nóg ogromnego, istic królewskiego łoża. Pomięta złota kapa rozesłana na pokrytej tapicerką ramie, piramida poduszek opartych o wezglowie. A pośrodku głowa.

Biała, okrągła. Tak nabrzmiała, że rysy twarzy się rozpląnęły. Policzki jak pęcherze, oczy zatopione wśród fałdów tłuszczu. Ledwie widoczne brązowe włosy zaczesane do góry. Wydęte usta pozbawione wyrazu.

Pod głową zapadała się beżowa poduszka. Po prawej stronie stała elegancka nocna szafka z ciemnego, połyskującego drewna ze złotymi uchwytyami szuflad. Na ścianie za wezglowiem widać było brzoskwińową tapetę z szafirowymi kwiatami, a nieco wyżej kawałek połączanej ramy i płótna obrazu, który nie zmieścił się w kadrze.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy Richard Doss zrobił swojej żonie fotografię pośmiertną. Ale oczy były otwarte... Zdawało mi się, że widzę w nich rozpacz... Lecz to było coś straszniejszego. Śmierć za życia.

– Eryk je zrobił – wyjaśnił Doss. – Mój syn. Na pamiątkę.

– Matki? – spytałem, odchrząkując.

– Tego, co stało się z jego mamą. Szczerze powiedziawszy, był wkurzony.

– Był zły na matkę?

– Nie - odrzekł Richard, jak gdyby tłumaczył coś idiotcie. – Na sytuację. Mój syn właśnie



w taki sposób radzi sobie z gniewem.

– Prowadząc dokumentację?

– Porządkując rzeczy, układając je na swoim miejscu. Osobiście uważam, że to doskonały sposób radzenia sobie ze stresem. Pozwala przebrnąć przez te emocjonalne śmieci, przeanalizować faktyczną wartość zdarzeń, pozostać w kontakcie z tym, co się czuje, a potem ruszyć dalej. Bo jaki mamy wybór? Taplać się w nieszczęściu innych? Pozwolić się zniszczyć?

Skierował ku mnie palec, jak gdybym o coś go oskarżył.

– Jeśli pan to uważa za gruboskórność, doktorze, to trudno. Nie mieszkał pan w moim domu, nie przeżył tego, co ja przeżyłem. Joannę odchodziła od nas przez ponad rok. Mieliśmy czas, żeby uświadomić sobie, jak się sprawy mają. Eryk to wyjątkowo bystry chłopak – jest najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego znam. A i tak go to dotknęło. Był wtedy na drugim semestrze w Stanford, przyjechał do domu, żeby być z Joanną. Poświęcił się dla niej, więc proszę o tym pamiętać, jeśli zrobienie tego zdjęcia wyda się panu okrucieństwem. Zresztą, jego matce nie sprawiało to różnicy. Ona po prostu leżała, i ta fotografia dokładnie oddaje jej stan pod koniec życia. Nigdy nie zrozumieję, jak zebrała w sobie dość sił, żeby skontaktować się z tym łajdakiem.

– Doktorem Mate'em.

Puścił to mimo uszu, obracając w dłoni srebrzysty telefon. Wreszcie nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnąłem się na znak, że nie oceniam tego, co mówi. Oczy Richarda, do połowy przymknięte, świeciły spod powiek jak grudki węgla.

– Zabiorę je – oznajmił, pochylając się w moją stronę z wyciągniętą dłonią. Musiałem wstać, żeby mu podać zdjęcia.

– A jak sobie radziła Stacy? – spytałem.

Richard powoli rozsunął zamek saszetki, umieścił fotografie w środku i ponownie założył nogę na nogę. Cały czas kręcił aparatem w palcach, jakby licząc na to, że telefon odezwie się i uchroni go od odpowiedzi.

– Stacy to całkiem inna historia – odrzekł wreszcie.

Włączyłem komputer. Okazało się, że nazwisko Eldona Mate'a występuje na ponad stu stronach internetowych.

Większość z nich prezentowała przedruki artykułów prasowych dotyczących kariery Mate'a jako tego, który organizował swoim pacjentom podróże bez powrotu. Argumentów za i przeciw było bez liku – ani jednej, ani drugiej stronie nie brakowało mocnych opinii ekspertów. Debata na wysokim poziomie intelektualnym, żadnych rojeń psychopatów, żadnego okrucieństwa, którym charakteryzowało się morderstwo doktora.

Na stronie zatytułowanej „Doktor Śmierć – własna strona” znalazłem reprezentacyjne zdjęcie Mate'a, krótkie opisy wyroków uniewinniających go, a także notkę biograficzną. Mate przyszedł na świat sześćdziesiąt trzy lata temu w San Diego, zdobył tytuł magistra chemii na uniwersytecie stanowym, a potem pracował jako chemik w rafinerii. Zapisał się do szkoły medycznej w Guadalajara w Meksyku, gdy miał czterdzieści lat. Odbył praktykę w szpitalu w Oakland i otrzymał dyplom lekarza internisty w wieku czterdziestu sześciu lat.

Nie specjalizował się. Pracował w biurach wydziałów ochrony zdrowia na całym Południowym Zachodzie, zajmował się nadzorem szczepień i papierkową robotą. Nikt nie wspominał o tym, żeby kiedykolwiek miał do czynienia z pacjentami.

Zaczął pracę zawodową jako lekarz w średnim wieku, a jednocześnie unikał kontaktu z ludźmi. Czyżby zajął się medycyną wyłącznie po to, aby być bliżej śmierci?

U dołu strony widniało nazwisko mecenasa Roya Haiseldena i numer jego telefonu. Nie podał adresu internetowego.

Dalej następowały opisy przypadków eutanazji.

Kilka pierwszych miało związek z Rogerem Damonem Sharveneau, specjalistą od respiracji w szpitalu w Rochester w stanie Nowy Jork, który osiemnaście miesięcy wcześniej przyznał się do zabicia trzech pacjentów na oddziale intensywnej terapii poprzez dodanie chlorku potasu do kroplówek. Po to, aby – jak to określił – „ułatwić im podróż”. Adwokat Sharveneau utrzymywał, że jego klient jest niepoczytalny. Doprowadził do zbadania go przez psychiatrę, a ten zaliczył osobowość pacjenta do strefy pogranicza i przepisał lek antydepresyjny. Kilka dni później Sharveneau odwołał swoje zeznanie. Bez przyznania się do winy jedynym dowodem przeciwko niemu było to, że przebywał w pobliżu oddziału intensywnej terapii każdej nocy, w której doszło do zgonu. Dotyczyło to jednak również trzech innych techników, więc policja uwolniła Sharveneau, a sprawę zaliczyła do niezakończonych. Sharveneau złożył wniosek o rentę inwalidzką, udzielił wywiadu lokalnej gazecie i oświadczył, że działał pod wpływem tajemniczego lekarza nazwiskiem Burke, którego nikt nigdy nie widział. Wkrótce potem przedawkował środek antydepresyjny i zmarł.

Sprawa skłoniła policję do zajęcia się innymi specjalistami od techniki respiracyjnej mieszkającymi w okolicy Rochester. Okazało się, że w całym stanie w szpitalach i ośrodkach rehabilitacyjnych pracuje kilku z kryminalną przeszłością. Szef wydziału opieki zdrowotnej zobowiązał się do wzmocnienia nadzoru nad pracownikami.

Wpisałem w okienko nazwisko Sharveneau i znalazłem tylko jeden artykuł. Autor pisał o braku postępów w pierwszym śledztwie oraz przytaczał opinie ludzi, którzy wątpili, czy owych trzydziestu sześciu pacjentów rzeczywiście zmarło nienaturalną śmiercią.

Następna strona poświęcona była sprawie sprzed dziesięciu lat: cztery pielęgniarki z Wiednia zabiły trzystu ludzi, podając za duże dawki morfiny i insuliny. Nastąpiły aresztowania i wyroki od piętnastu lat więzienia do dożywocia. Na stronie znalazła się też wypowiedź Eldona Mate'a, który stwierdził, że działanie pielęgniarek mogło być spowodowane miłosierdziem.

Dwa lata później podobna sprawa wydarzyła się w Chicago: dwie salowe, pozostające w lesbijskim związku, zabijały śmiertelnie chorych starszych pacjentów. Ta, która zgodziła się mówić, dostała łagodniejszy wyrok, druga – dożywocie. I tym razem Mate wypowiadał się w ich obronie.

Sprawa z Cleveland była wcześniejsza o dwa miesiące. Kevin Arthur Haupt, technik sanitarny pracujący na nocną zmianę w karetce pogotowia, postanowił skrócić leczenie dwunastu pijaków z atakami serca. Podczas przewozu do szpitala zatykał im usta i nosy dłonią. Wszystko wyszło na jaw, gdy jedna z niedoszłych ofiar, zdrowsza niż można się było spodziewać, ocknęła się i zaczęła bronić przed uduszeniem. Haupt został aresztowany i oskarżony o wielokrotne morderstwo. Przyznał się do winy i otrzymał wyrok trzydziestu trzech lat więzienia. W wywiadzie dla gazety Mate podawał w wątpliwość racjonalność wydawania pieniędzy podatników na reanimację alkoholików.

W artykule poświęconym Holandii, gdzie pomoc w samobójstwie nie jest ścigana prawem, znalazłem informację, że zabójstwa z udziałem lekarzy stanowią już dwa procent wszystkich zarejestrowanych zgonów w tym kraju, a dwadzieścia pięć procent lekarzy przyznaje, iż dokonało eutanazji pacjentów nierokujących nadziei na wyzdrowienie, bez ich zgody.

Parę lat temu, gdy pracowałem w klinice pediatrycznej, należałem do Komitetu Podtrzymywania Życia – grupy złożonej z sześciu lekarzy i mnie, powołanej przez zarząd szpitala w celu opracowania wskazówek dotyczących końcowej fazy leczenia dzieci w ostatnim stadium choroby. Różniliśmy się bardzo i nie doszliśmy do niczego poza wygłaszaniem mnóstwa sprzecznych opinii. Jednak każde z nas wiedziało, że niemal co miesiąc nieznacznie przekraczająca dopuszczalną dawkę ilość morfiny dostawała się do kroplówki podłączonej do jakiejś małej rączki. Dzieci cierpiące na raka kości bądź mózgu, z obumarłymi wątrokami, spustoszonymi płucami po prostu „przestawały oddychać”, kiedy rodzice zdążyli się z nimi pożegnać.

Jakaś litościwa dusza kończyła bolesną agonię dziecka, które i tak skazane było na nieuchronną śmierć, a zarazem skracała oczekiwanie rodziców.

Eldon H. Mate utrzymywał, że kieruje się tymi samymi pobudkami.

Dlaczego więc nie mogłem uwolnić się od wrażenia, że Mate za pomocą swojego humanitronu robi coś innego?

Czyżby dlatego, że lekarze i pielęgniarki pracujące na oddziałach onkologicznych kierowali się litością, a motywacja Mate'a wydawała mi się podejrzana?

Dlatego że tak obrzydliwie pławił się w błyskach fleszy?

Czy też w akcie straszliwej hipokryzji godziłem się na to, iż ludzie, których znałem, skrycie wchodzili w boskie kompetencje, a zarazem odrzucałem postawę Mate'a, który otwarcie mówił o tym, co robi? Co z tego, że krzykliwy mały człowieczek ze skleconą przez siebie maszyną do zabijania nie czarował wdziękiem? Czy psychika tego, który pomaga przepawić się na drugą stronę naprawdę się liczy, jeśli cel podróży pozostaje taki sam?

Mój ojciec zmarł na marskość wątroby, niewydolność nerek i całego organizmu. Doprowadził się do tego stanu, przez całe życie oddając się zabójczym nałogom. Ze skurczonymi mięśniami i obwisłą, pożółkłą skórą zamienił się w karła, którego ledwie rozpoznawałem.

Toksyczne związki w jego organizmie skumulowały się i w ciągu kilku tygodni Harry Delaware zapadł w otępienie, letarg i wreszcie w śpiączkę. Gdyby odszedł, wyjąc z bólu, czy odnosiłbym się teraz z taką rezerwą do humanitronu?

A co z takimi ludźmi jak Joannę Doss, którzy cierpią, a lekarze nie potrafią zdiagnozować ich choroby?

Jeśli uznamy śmierć za jedno z praw obywatelskich, czyjej medycyny opis ma jakiegokolwiek znaczenie? Bo właściwie czyje to życie?

Religia udziela odpowiedzi na to pytanie, lecz jeśli usuniemy Boga z równania, sprawy mocno się komplikują. Szkoda, że nie otrzymałem daru wiary i posłuszeństwa. Co by się stało, gdyby pewnego dnia okazało się, że zżera mnie rak albo unieruchomił paraliż?

Siedząc tak z palcem zawieszonym nad klawiszem ENTER, wracałem myślą do ostatnich dni mojego ojca. To dziwne, bo wcześniej rzadko o nim myślałem.

Przypomniałem sobie ojca jako zdrowego człowieka. Duża łysa głowa, pomarszczony gruby kark, ręce szorstkie od wieloletniej pracy przy tokarce. Oddech kwaśny od alkoholu, chrapliwy śmiech nałogowego palacza. Pompki na jednej ręce, której klepięcie w plecy aż bolało. Dopiero gdy był po pięćdziesiątce, mogłem mu dotrzymać pola w pojedynku na ręce, który za jego przyczyną stał się powitalnym rytuałem podczas moich – z biegiem czasu coraz radszych – wizyt w rodzinnym Missouri.

Bezwiednie przesunąłem się na krawędź krzesła, jak gdyby przyjmując pozycję do zmagania na ręce. Prawie czułem dotknięcie naszych rozgrzanych lepkich nadgarstków. Łokcie ślizgały się

po kamiennym blacie stołu w kuchni, a my, purpurowi na twarzy, napinaliśmy drżące mięśnie. Mama wychodziła z bolesnym wyrazem twarzy.

Kiedy ojciec miał pięćdziesiąt pięć lat, przeważnie wygrywałem ja, a od czasu do czasu remisowaliśmy. Z początku się śmiał.

Alexander, kiedy byłem młody, włożyłem po murach!

Potem zapalał chesterfielda, marszczył brwi i mrucząc coś pod nosem, wychodził. Wreszcie zacząłem przyjeżdżać tylko raz na rok. Kiedy umierał, przez dziesięć dni siedziałem z mamą, trzymając ją za rękę. To była moja najdłuższa wizyta w rodzinnym domu od czasu, gdy wyjechałem na studia.

Otrząsnąłem się ze wspomnień i nacisnąłem klawisz. Komputer, doskonały, milczący towarzysz, odwdzieczył się, wyświetlając na ekranie nowy obraz.

Była to strona stowarzyszenia walki o prawa osób niepełnosprawnych pod nazwą Jeszcze Żyjemy z siedzibą w Waszyngtonie. Na początek credo organizacji: „Każde ludzkie życie jest cenne, nikt nie powinien oceniać wartości życia innej osoby”. Potem następowała część poświęcona Mate’owi, który był dla nich wcielonym Hitlerem. Archiwalne zdjęcie grupy członków stowarzyszenia pikietujących przed motelem, w którym Mate zostawił jednego z „podróżnych”. Kobiety i mężczyźni w fotelach na kółkach z transparentami. Reakcja Mate’a: „Jesteście zgrają krzykaczy, którzy powinni lepiej przyjrzeć się motywom swoich działań”.

Dalej następowały cytaty z wypowiedzi Mate’a i Roya Haiseldena:

Przyszła po mnie brygada szturmowa, ale ja nie zgodziłem się zagrać roli potulnego Żyda. (Mate, 1991)

Darwin z przyjemnością poznałby prokuratora Clarksona. Ten idiota to brakujące ogniwo ewolucji między planktonem a ssakami. (Haiselden, 1993)

Igła w tętnicy jest o wiele bardziej humanitarna niż bomba atomowa, ale nie słyhać, żeby jakieś półgłówki wznosiły lament z powodu prób atomowych, prawda? (Mate, 1995)

Każdy pionier, każdy człowiek obdarzony wizją skazany jest na cierpienie. Jezus, Budda, Kopernik, bracia Wright. Facet, który wynalazł klej do kopert, prawdopodobnie musiał znosić obelgi ze strony producentów wosku. (Mate, 1995)

Ależ oczywiście, wystąpiłbym w *Tonight Show*, moi drodzy, ale nic z tego nie będzie. Za dużo idiotycznych reguł. Pomógłbym komuś odbyć podróż na drugą stronę w czasie programu, gdyby durnie, którzy te reguły wymyślili, zgodzili się na to. Zrobiłbym to na żywo, jeśli można tak powiedzieć. Osiągnęliby najwyższą oglądalność, daję wam na to słowo. Mogliby powtarzać ten program bez końca. W tle kazałbym puścić jakąś muzykę, najlepiej klasyczną. Zrobiłbym to z jakimś biedakiem z zaawansowaną dystrofią mięśni – bez władzy w kończynach, pęcherzu i odbytnicy, oślinionego, z dyndającym bezwładnie językiem – który zapaskudziłby całe studio,

i wszyscy zobaczyliby, jak ślicznie wygląda rozkład i choroba. Gdybym mógł to pokazać, całe to świętoszkowate ględzenie o godności życia raz dwa rozpląnęłoby się bez śladu. Załatwiłbym sprawę w kilka minut – bezpiecznie, estetycznie, bez zbędnego gadania. Operator kamery zrobiłby zbliżenie twarzy podróżnego, pokazałby jego spokój, kiedy tiopental zacznie działać. Świat dowiedziałby się, że prawdziwe miłosierdzie nie ma twarzy księdza czy rabina podającego się za boskiego sługę czy jakiegoś niedojdy z rządu, który nie zaliczył podstawowego kursu biologii, a teraz próbuje mnie uczyć, co jest życiem, a co nim nie jest. Bo to jest proste jak drut, moi drodzy: kiedy mózg nie pracuje, nie żyjecie i koniec, kropka. *Tonight Show...* tak, to byłoby pouczające. Gdyby mi pozwolili przeprowadzić wszystko jak należy, zrobiłbym to jak nic. (Mate, 1997, w odpowiedzi na pytanie, dlaczego zależy mu na popularności).

Doktor Mate zasługuje na Nagrodę Nobla i to podwójną. W dziedzinie medycyny i pokojową. Nie odmówiłbym przyjęcia części sumy. Należy mi się, jako jego adwokatowi. (Haiselden, 1998)

Dotarłem też do paru innych osobliwych informacji, mniej lub bardziej związanych z zagadnieniem:

Artykuł sprzed trzech lat z Denver o pewnym „alternatywnym” artyście o dziwnym nazwisku Zero Tollrance, który namalował cykl obrazów inspirowanych osobą Mate’a i jego maszyną. Tollrance, wcześniej nieznany malarz, wystawił trzydzieści płócien w opuszczonym domu w zaniedbanej dzielnicy Denver. Jakiś pisarz przedstawił relację z wystawy na łamach dziennika „Denver Post”.

... Kilkanaście portretów kontrowersyjnego „doktora śmierci” pod postacią znanych osobistości: Jerzego Waszyngtona z portretu Gilberta Stuarta, Błękitnego chłopca Thomasa Gainsborough, autoportretu Vincenta van Gogha z zabandażowanym uchem, Marilyn Monroe z obrazu Andy Warhola. Pozostałe prace przedstawiały trumny, ludzkie zwłoki, czaszki i mięso żżerane przez larwy. Być może najambitniejszym dziełem Tollrance’a jest wierna reprodukcja Lekcji anatomii Rembrandta, ukazująca sekcję zwłok z doktorem Mate’em w podwójnej roli: jako lekarza-wykładowcy i jako pokrojonego trupa.

Spytany, ile sprzedał obrazów, Tollrance „odszedł bez komentarza”.

Mate jako ten, który tnie zwłoki nożem, i jako ofiara. Ciekawie byłoby pogadać z panem Tollrance’em. Trzeba to zapisać i wydrukować.

Dwa cytaty z biuletynu wydawanego przez radę naukową Uniwersytetu Harvarda: przeprowadzono ankietę, której wyniki świadczą o tym, że wprawdzie pięćdziesiąt dziewięć i trzy dziesiąte procenta krewnych starszych pacjentów opowiada się za legalizacją samobójstwa przy pomocy lekarza, lecz tylko trzydzieści dziewięć i dziewięć dziesiątych procenta starszych osób zgadza się z tym. Z badania wykonanego w ośrodku leczenia raka wynika, że dwie trzecie Amerykanów jest za takim rodzajem śmierci, lecz osiemdziesiąt osiem procent pacjentów

cierpiących na raka wołało się nad tym nie zastanawiać i uważało, że gdyby lekarz coś takiego zaproponował, podważyłoby to ich zaufanie do niego.

Na stronie organizacji feministycznej znalazłem artykuł zatytułowany: „Miłosierdzie czy mizoginizm: czy doktor Mate ma coś przeciwko kobietom?” Autorka zastanawiała się, dlaczego osiemdziesiąt procent „podróżnych” Mate’a było płci żeńskiej. Napisała, że Mate nigdy nie był w związku z kobietą i odmawiał odpowiedzi na pytania dotyczące jego życia prywatnego. Potem następowały spekulacje w duchu freudowskim.

Milo nie wspominał, że Mate miał jakąś rodzinę. Trzeba to zbadać.

Ostatnia strona: cztery lata temu organizacja pod nazwą Świecka Piechota Humanistyczna przyznała Mate’owi swój najwyższy tytuł Heretyka. Przed ceremonią za dwieście dolarów sprzedano na aukcji strzykawkę, której Mate użył nieco wcześniej podczas „operacji”. Przedmiot został natychmiast skonfiskowany przez policjanta w cywilu, powołującego się na stanowe przepisy zdrowotne. Funkcjonariusz wrzucił strzykawkę do plastikowej torebki i wyszedł przy wtórze głośnych protestów. Podczas przemówienia Mate zaofiarował swoją kurtkę jako nagrodę pocieszenia i nazwał policjanta „umysłowym insektem o moralności rotowirusa”.

Moją uwagę zwróciło nazwisko zwyciężczyni aukcji.

Alice Zoghbie. Skarbniczka Świeckiej Piechoty Humanistycznej, a obecnie przewodnicząca Klubu Sokratesa. Ta sama, która wynajęła furgonetkę dla Mate’a i wyjechała do Amsterdamu.

Odnalazłem stronę klubu z logo przedstawiającym głowę greckiego filozofa otoczoną wiankiem z cykuty. Siedziba stowarzyszenia znajdowała się przy Glenmont Circle w Glendale w Kalifornii. Milo miał rację.

Credo organizacji odwoływało się do „niepodzielnej władzy nad swoim życiem, nieskrępowanej przestarzałymi i barbarzyńskimi konwencjami narzuconymi społeczeństwu przez zorganizowaną religię”. Podpisano Alice Zoghbie, MPA\*. [\* skrót od Master of Public Administration]. Opłata w wysokości stu dolarów uprawniała każdego szczęśliwca do otrzymywania zawiadomień o wszelkich imprezach i innych korzyści płynących z członkostwa w klubie. Możliwość wpłat za pomocą kart American Express, VISA, MasterCard i Diners Club.

Tytuł magistra, posiadany przez Alice Zoghbie, niewiele mi mówił o wykonywanym przez nią zawodzie. Dopiero kiedy w okienku poszukiwania wpisałem jej nazwisko, ukazał się długi artykuł w „San Jose Mercury News”, który uzupełnił luki.

Autor artykułu zatytułowanego KONTROWERSYJNE WYPOWIEDZI LIDERKI ORGANIZACJI POPIERAJĄCEJ EUTANAZJĘ tak przedstawiał Alice Zoghbie:

Około pięćdziesiątki, chuda jak patyk, wysoka. Była dyrektorka personalna szpitala zajmuje się obecnie prowadzeniem Klubu Sokratesa, organizacji walczącej o zalegalizowanie samobójstw

popelnianych przy pomocy lekarzy. Do niedawna członkowie stowarzyszenia unikali rozgłosu, skupiając się na opracowywaniu ekspertyz w sprawach związanych z prawem do śmierci. Jednak wypowiedzi Alice Zoghbie podczas niedzielnego lunchu w hotelu Western Inn w San Jose zwróciły uwagę na działalność klubu i wzbudziły wątpliwości co do jego rzeczywistych celów.

Podczas spotkania, w obecności pięćdziesięciu osób, Zoghbie wygłosiła przemówienie, w którym domagała się „humanitarnego pozbywania się pacjentów z chorobą Alzheimera i innymi dolegliwościami osłabiającymi „sprawność umysłową”, a także niepełnosprawnych dzieci oraz wszystkich innych ludzi, którzy z punktu widzenia prawa nie są w stanie „podjąć decyzji, do której z pewnością sami by doszli, gdyby byli w pełni władz umysłowych”.

„Pracowałam w szpitalu przez dwadzieścia lat”, oświadczyła opalona, białowłosa kobieta, i widziałam na własne oczy nadużycia popełniane w imię medycyny. Prawdziwe współczucie nie polega na tworzeniu warzyw. O prawdziwym współczuciu będziemy mogli mówić wówczas, gdy uczeni połączą swój potencjał intelektualny i opracują skalę pomiaru cierpienia. Tym, którzy przekroczyliby wyznaczony próg, można by w odpowiednim czasie pomóc, nawet gdyby sami nie byli w stanie uwolnić się od bólu.

Miejscowi duchowni religijni zareagowali na propozycję pani Zoghbie szybko i negatywnie. Biskup katolicki Armand Rodriguez nazwał jej plan „wezwaniami do ludobójstwa”, zaś doktor Archie Van Sandt z Kościoła baptystów oskarżył ją o to, że jest „instrumentem zajadłego sekularyzmu”. Rabin Eugene Brandner stwierdził, że pomysły Alice Zoghbie „w żadnym punkcie nie są styczne z żydowskim myśleniem”.

Dwa dni później z Klubu Sokratesa wyszło oświadczenie, którego autor próbował złagodzić wymowę uwag pani Zoghbie, określając je jako „zaproszenie do dyskusji, a nie sformułowanie celów działania klubu”.

Doktor J. Randolph Smith, dyrektor komitetu krzewienia etyki medycznej, odniósł się do sprostowania z rezerwą. „Z zapisu przemówienia jasno wynika, że jest to precyzyjnie sformułowany cel działania. Organizacje takie jak Klub Sokratesa dążą do zepchnięcia nas w czeluść amoralności. Akceptacja poglądów wyrażonych przez panią Zoghbie prowadzi bezpośrednio do tego, że po legalizacji morderstw tych, którzy sobie tego życzą, otwiera się droga do zabijania tych, którzy nigdy o to nie prosili, tak jak to się dzieje w Holandii”.

Wyszedłem z Internetu i zadzwoniłem do Milo. Słuchawkę podniósł jakiś młody mężczyzna, który spytał podejrzliwie, kim jestem, i przełączył mnie na oczekiwanie.

Po kilku sekundach odezwał się Milo.

– Cześć.

– Nowy sekretarz?

– Detektyw Stephen Korn, jeden z moich pomocników. Co tam?



– Znalazłem coś dla ciebie, ale nic szczególnie ważnego. – Miałem też problem natury etycznej, który należało rozwiązać, ale zostawiłem to na później.

– Co znalazłeś?

– W większości dane biograficzne i sprzeczne poglądy. Ale wyłynęło też nazwisko Alice Zoghbie...

– Właśnie do mnie dzwoniła – przerwał mi Milo. – Jest już w Los Angeles i chce porozmawiać.

– Zdawało mi się, że ma wrócić dopiero za dwa dni.

– Skróciła pobyt ze względu na śmierć Mate'a.

– Spóźniony żal? Mate nie żyje od tygodnia.

– Ona twierdzi, że dowiedziała się dopiero wczoraj. Była gdzieś w Nepalu, wspinała się... Amsterdam miał być ostatnim etapem podróży. Takie spotkanie maniaków prawa do śmierci z całego świata. Nie najlepsze miejsce, żeby udławić się kurczakiem w potrawce, co? W każdym razie, ta kobieta mówi, że w Nepalu była odcięta od wszelkich wiadomości, do Amsterdamu dotarła trzy dni temu i na lotnisku dowiedziała się od gospodarzy spotkania o śmierci Mate'a. Spędziła tam noc, a potem kupiła bilet powrotny na samolot.

– A więc wróciła przedwczoraj – zauważyłem. – To znaczy, że i tak zadzwoniła do ciebie z opóźnieniem. Dała sobie czas na przemyślenia?

– Musiała się pozbierać. Właśnie tak powiedziała.

– Kiedy jesteś z nią umówiony?

– Za trzy godziny u niej w domu. – Milo podał adres przy Glenmont.

– To siedziba Klubu Sokratesa. Znalazłem ich stronę internetową. Wpisowe sto dolców, karty kredytowe mile widziane. Ciekawe, czy wystarcza jej na płacenie rachunków.

– Nie jesteś przekonany o dobrych intencjach tej kobiety?

– Jej poglądy nie budzą zaufania. Uważa, że staruszków i niepełnosprawne dzieci powinno się uwalniać od niedoli czy tego chcą, czy nie. Mam cytaty z jej przemówienia, będziesz mógł sobie przeczytać. Ściągnąłem też trochę informacji o innych maniakach.

Opowiedziałem mu o Rogerze Sharvенеau i reszcie szpitalnych wampirów, a potem o wystawie obrazów Zero Tollrance'a.

– Pięknie – powiedział Milo. – Świat sztuki zawsze był miły i przytulny.

– W związku z Tollrance'em zaciekała mnie jedna rzecz: w *Lekcji anatomii* przedstawił Mate'a jako profesora ze skalpelem i jako przedmiot sekcji.

– No i co?

– To świadczy o pewnej ambiwalencji: ktoś chce zabawić się w doktora wobec doktora.

– Uważasz, że powinienem zainteresować się tym gościem na serio?

– Rozmowa z nim mogłaby być ciekawa.

– Tollrance, wyjątkowo prawdziwe nazwisko... z Denver... Dobra, sprawdzę.

– Ile nazwisk z listy rodzin odhaczyli twoi pomocnicy?

– Ustalili wszystkie numery telefonów i zadzwonili. Udało im się porozmawiać mniej więcej z połową tych ludzi. Wszyscy kochają Mate'a.

Oj, nie wszyscy.

– Chcesz, żebym odwiedził z tobą Alicję w Krainie Śmierci?

– Jasne. Patrz, jakie to życie okrutne. Jednego dnia wspinasz się na góry w Nepalu, a następnego musisz gadać z gliniarzami... Ta baba jest pewnie jedną z tych, co uprawiają jogging, aerobik i Bóg wie co jeszcze. Kondycja ponad wszystko.

– Zależy czyje ciało masz na myśli.

Umówiliśmy się w komendzie za dwie godziny; odłożyłem słuchawkę. Chciałem wspomnieć o rodzinie Dossów, ale zrezygnowałem. Wymówka: niektórych tematów nie należy poruszać w rozmowie telefonicznej.

Chciałem wiedzieć więcej o tym, jakim Eldon Mate był lekarzem, więc pojechałem do biblioteki uniwersyteckiej. W indeksie czasopism znalazłem kilka artykułów, ale nie było to nic nowego. Przejrzałem naukowe bazy danych w poszukiwaniu artykułów napisanych przez Mate'a. Znając już przebieg jego nijakiej kariery zawodowej, nie spodziewałem się niczego ciekawego, lecz znalazłem dwa cytaty. Pierwszy pochodził z listu napisanego przez niego przed trzydziestu laty do redaktora naczelnego periodyku „Chemical Abstracts” w odpowiedzi na artykuł o polimeryzacji; chodziło o łączenie małych molekuł w większe i o potencjalnym wykorzystaniu tego procesu do ulepszenia benzyny. Autor artykułu, profesor Massachusetts Institute of Technology, zbył polemikę Mate'a jako nieistotną. Mate pracował wówczas jako chemik w firmie ITEG Petroleum.

Druga wzmianka pochodziła sprzed szesnastu lat; Mate napisał do szwedzkiego czasopisma „Medline”, specjalizującego się w anatomii patologicznej. Miał już wówczas tytuł lekarza medycyny, przedstawił się jako pracownik szpitala Oxford Hill w Oakland w Kalifornii. Nie wspominał, że był internistą pierwszego stopnia.

W liście tym, zatytułowanym PRECYZYJNY POMIAR CZASU ŚMIERCI: DAR DLA SPOŁECZEŃSTWA, Mate z nikim nie polemizował. Zaczął od cytatu z sir Thomasa Browne'a:

Wszyscy walczymy przeciwko naszemu lekarstwu, bo śmierć jest lekarstwem na wszystkie choroby. Dalej ubolewał:

Proces śmierci komórek traktowany jest z odrazą, a lekarze wykazują moralne tchórzostwo, stając wobec zjawisk towarzyszących śmierci. Jako najwyżsi opiekunowie ciała i umysłu zwanego „duszą”, musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby zdemistyfikować proces zakończenia życia, wykorzystując wszelkie naukowe narzędzia, jakimi dysponujemy, aby uniknąć niepotrzebnego przedłużania „życia” narzucanego przez mity, których źródłem jest teologia.

Dlatego precyzyjne określenie czasu śmierci pomoże wyrwać broń z ręki handlarzom owych mitów i zredukować koszty wynikające z heroicznych wysiłków, które przyczyniają się do mnożenia oddychających trupów.

Właśnie taki cel przyświecał moim próbom określenia, które zjawiska fizyczni nie są sygnałem zakończenia najważniejszych procesów życiowych. Centralny: system nerwowy często generuje sygnały po ustaniu akcji serca i odwrotnie. Nawet uczeń liceum może podtrzymać przez dłuższy czas bicie serca za pomocą stymulujących środków farmakologicznych. Co więcej,

śmierć mózgu nie jest jasno wyodrębnionym zjawiskiem, co wywołuje liczne wątpliwości i niepewność. Przyjrzałem się więc innym zmianom ustrojowym, zwłaszcza występującym w oku i mięśniach, które korelują z naszą znajomością procesu umierania.

Spędziłem wiele godzin, siedząc obok pacjentów w stanie przedagonalnym, patrząc im w oczy i obserwując najmniejsze drgania mięśni ich twarzy. I choć moje badania są w fazie początkowej, ich wyniki mogą napawać optymizmem: zaobserwowałem bowiem, że ustaniu akcji serca i mózgu towarzyszą jednoczesne drgawki gałek ocznych i wyraźne zwiótczenie warg. Spod krtani niektórych pacjentów wydostaje się również swoisty odgłos, w prozie sensacyjnej określany mianem charkotu przedśmiertnego. Nie dzieje się tak jednak zawsze, dlatego znacznie lepszym wskaźnikiem jest opisane wyżej zjawisko oczno-mięśniowe, które na własny użytek nazwałem „syndromem gasnącego światła”. Uważam, że powinniśmy zbadać je z najwyższą uwagą, gdyż może posłużyć jako prosty, a zarazem bardzo dokładny wskaźnik zamarcia funkcji życiowych komórek ustrojowych.

Pensum internisty wynosiło w owym czasie sto godzin tygodniowo. Ten lekarz znalazł czas, aby oddawać się swoim nadobowiązkowym zainteresowaniom.

Siedział nieruchomo i wpatrywał się w oczy umierających ludzi, starając się uchwycić ten właściwy moment.

Potwierdziły się moje pierwsze przeczucie dotyczące jego intencji. Obsesją Mate'a od samego początku były szczegóły umierania, a nie jakość życia.

Redakcja szwedzkiego czasopisma nie skomentowała listu. Ciekawe, jak odniesiono się do dodatkowych zajęć Mate'a w szpitalu Oxford Hill w Oakland.

Wyszedłem z czytelnicy, zadzwoniłem do informacji telefonicznej w Oakland i spytałem o numer telefonu szpitala. Nie było go.

Wróciłem do komputera i odszukałem sygnaturę wykazu placówek medycznych podlegających państwowej opiece zdrowia. Sprawdziłem szpital Oxford Hill od roku, w którym zaczął tam pracować Mate. Placówka działała rzeczywiście, ale w spisie figurowała jeszcze tylko przez pięć lat.

Szpital był więc całkowicie legalny, tyle że został zamknięty. Trudno liczyć, że uda mi się znaleźć kogoś, kto pamięta internistę w średnim wieku o makabrycznym hobby.

A właściwie jaki jest sens grzebania w przeszłości Mate'a? Został ofiarą, a ja powinienem zrozumieć tego, kto stał się jego katem, a nie rozplątany kawał ludzkiego mięsa znaleziony w wynajętej furgonetce.

Wyszedłem z biblioteki i pojechałem na komendę.

Milo stał przed budynkiem z dwoma mężczyznami nieco przed trzydziestką. Mieli na sobie

szare sportowe marynarki i ciemne spodnie; w opartych o uda dłoniach trzymali notesy. Obaj dorównywali Milo wzrostem, i byli o jakieś dwadzieścia kilo lżejsi. Miny mieli niewesołe.

Ten z lewej miał nadętą twarz o płaskich rysach i ufryzowane jasne włosy. Drugi nosił okulary, a jego ciemna czupryna była wyraźnie przerzedzona.

Milo powiedział coś do nich; weszli do środka.

– Twoje dobre skrzaty? – spytałem, kiedy podszedł.

– Korn i Demetri. Nie podoba im się, że pracują dla mnie, a ja nie mam o nich zbyt dobrej opinii. Kazałem im wrócić do telefonów i dzwonić do rodzin ofiar Mate’a. Kręcili nosem, że muszą tak długo siedzieć... Co za pokolenie. Gotów do odwiedzin u pani Zoghbie? Weźmy moje ferrari, na wypadek gdyby trzeba było wezwać wsparcie.

Poszedł na policyjny parking po drugiej stronie ulicy, a ja ruszyłem za nim samochodem. Kiedy wyjechał, zaparkowałem na jego miejscu. Wszędzie stały znaki ostrzegawcze: TYLKO DLA POLICJI. WSZYSTKIE INNE POJAZDY ZOSTANĄ ODHOLOWANE.

Wsiadłem do wozu i podałem Milo materiały ściągnięte z Internetu. Odłożył kartki między dwa duże segregatory na tylnym siedzeniu. W kabinie unosiła się woń starych kanapek. Milo wyłączył zacinające się policyjne radio.

– A jeśli... – zacząłem, wskazując znak.

– Zapłacę za ciebie – odparł, patrząc na lewo. Zmarszczył czoło, odchrząknął, nacisnął pedał gazu i wyjechał na Santa Monica Boulevard; potem skierował się do trasy 405 północ, prowadzącej do doliny. Wiedziałem, co muszę zrobić. Czułem, że mięśnie mam napięte. Gdy minęliśmy olbrzymie białe budynki Muzeum Getty’ego, opowiedziałem o Joannie Doss.

Milo nie odezwał się przez jakiś czas. Potem otworzył okno, splunął i zamknął je z powrotem. Upłynęła kolejna minuta.

– Czekales na właściwy moment, żeby mi powiedzieć?

– Prawdę mówiąc, tak. Jeszcze kilka godzin temu musiałem utrzymywać w tajemnicy moje kontakty z nimi. Potem pan Doss poprosił, żebym spotkał się z jego córką. Powiedziałem, że będę się musiał wycofać z pracy nad sprawą Mate’a, ale on stwierdził, że to nie jest konieczne.

– Hierarchia lojalności, co? – szczęka mu drgała. Nie odpowiedziałem.

– A gdyby zabronił ci wspominać o swojej córce?

– Wtedy bym się wycofał, mówiąc, że nie mogę wyjaśnić powodów. Przejechaliśmy kilometr bez słowa. Milo pokręcił głową, jakby gimnastykował mięśnie szyi.

– Dossowie... Miejscowa rodzina, mieszkają przy Palisades. Są prawie na końcu mojej listy. Ona miała czterdzieści kilka lat.

– Podróżna numer czterdzieści osiem.

– Znales ją?

– Już nie żyła, kiedy zacząłem sesje ze Stacy, jej córką.

– Pan Doss to jeden z tych, którzy nie odpowiedzieli na nasze telefony.

– Dużo podróżuje.

– Ach tak... Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Na przykład?

Milo wzruszył ramionami.

– Sam mi powiedz. Przecież nie zabronił ci mówić, zgadza się?

Patrzył na drogę, ale czułem się, jakby mnie uważnie obserwował.

– Przykro mi, jeśli cię to wkurza. Może powinienem jednak wycofać się ze sprawy od razu.

Milo milczał przez dłuższą chwilę, jak gdyby rozważając tę możliwość.

– Nie, chyba po prostu grymaszę. Wszyscy mamy własne zasady postępowania. A więc czemu pani Doss zgłosiła się do doktora Mate'a?

– To jedna z osób, której choroby lekarze nie potrafili zdiagnozować. Wspominałem ci o tym. Jej stan pogarszał się przez dłuższy czas. Przemęczenie, chroniczne bóle; wycofała się z życia towarzyskiego, przestała wychodzić z łóżka, przytyła czterdzieści kilo.

Milo gwizdnął, dotykając swojego brzucha.

– I nie wiadomo, z jakiego powodu?

– Była u wielu lekarzy, ale żaden nie postawił prawidłowej diagnozy.

– Może coś z głową?

– Nie znałem jej, Milo.

Uśmiechnął się.

– To znaczy, że ty również tak myślisz... A Mate i tak ją zabił... Przepraszam, pomógł jej odejść. To mogło wkurzyć kogoś z członków rodziny, zwłaszcza jeśli uważał, że kobieta nie jest naprawdę chora.

Zamilkł.

Nie odezwałem się.

– Jak długo po śmierci pani Doss poznałeś jej córkę?

– Trzy miesiące.

– Dlaczego masz się z nią znowu spotykać? Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Mate'a?

– O tym nie mogę mówić – odparłem. – Powiedzmy, że nie jest to coś, czym musiałbyś się martwić.

– Jakaś sprawa wynikła akurat teraz, po śmierci Mate'a?

– Chodzi o uczelnię. Dzieciaki naprawdę się tym przejmują.

Milo nie odpowiedział. Na drodze panował wyjątkowo mały ruch; pędziliśmy w stronę skrzyżowania z trasą 101. Milo zjechał rampą prowadzącą na wschód i po chwili włączyliśmy się w nieco większy ruch. Pomarańczowe znaki ostrzegały o tym, że niebawem zaczną się tu roboty drogowe, które potrwać półtora roku. Wszyscy przekraczali dozwoloną prędkość o jakieś

dziesięć kilometrów, jakby chcieli nacieszyć się szybkością przed wprowadzeniem ograniczeń.

- Czy pan Doss jest wielbicielem Mate’a, tak jak wszyscy pozostali z mojej listy?
- Lepiej, jeśli on sam wyrazi swoje zdanie na ten temat. Milo uśmiechnął się nieprzyjemnie.
- Facet nie przepadał za Mate’em.
- Nie powiedziałem tego.

– Zgadza się – rzucił Milo, nieco zwalnając. Minęliśmy zjazd do Van Nuys, Sherman Oaks i północnego Hollywood i wjechaliśmy na trasę 134.

– W pewnej feministycznej gazecie przeczytałem opinię, że Mate nienawidził kobiet, bo osiemdziesiąt procent jego podróży było płci żeńskiej, a jego samego nigdy nie widziano z kobietą. Wiesz coś o jego życiu osobistym?

Niezręczna zmiana tematu. Milo wiedział, dlaczego to robię, ale nie zaprotestował.

– Na razie nic. Mieszkał sam, a właścicielka domu twierdzi, że z nikim się nie spotykał. Nie zaglądałem jeszcze do rejestru małżeństw, ale jak dotąd nikt nie upomniął się o pieniądze z ubezpieczenia.

- Ciekawe, czy w ogóle był ubezpieczony.
- Czemu nie?
- Przecież nie cenił życia.

Może masz rację, w jego mieszkaniu nie znalazłem żadnej polisy. Ale mógł trzymać je u adwokata, tego cholernego Haiseldena, który wciąż jest nieuchwytny. Może pani Zoghbie skieruje nas do niego?

– Dowiedziałaś się czegoś o niej?

– Nienotowana, nie miała nawet mandatów za parkowanie. Odbija jej chyba tylko na punkcie umierających. Coraz więcej takich, prawda? A może tak mi się tylko wydaje.

Ogród pani Zoghbie nie odzwierciedlał jej fascynacji kulturą śmierci.

Mieszkała w wiejskim domku w stylu angielskim w północnej części Glendale. Uroczą siedzibą. Nad pokrytą dachówkami wieżyczką błyszczał miedziany kurek wskazujący kierunek wiatru. W dwudzielnych oknach bieleły się pięknie upięte koronkowe firanki. Kamienna ścieżka skręcała w stronę żelaznego daszku nad rzeźbionymi dębowymi drzwiami. Pod ścianami domu kwitły pomarszczone purpurowe kwiaty *Limonium*, dalej jaśniała burza kolorowych niecierpków, a niżej ścieliła się warstwa niskich pnączy i z białymi kwiatami.

Na brukowanym podjeździe, w cieniu młodego, starannie przystrzyżonego drzewka wspartego na kołku, stało białe audi. Po drugiej stronie rósł równie dobrze utrzymany, ale znacznie większy sykomor. Tam, gdzie padały promienie słońca, trawnik był tak zielony, że wyglądał jak pomalowany farbą. Drzewo zaczęło już zrzucać liście; tylko rdzawobrzęde plamki na trawie i kamieniach świadczyły o tym, że nie wszystko daje się sprzątnąć.

Milo zaparkował samochód na ulicy; ruszyliśmy ścieżką w stronę domku. Duża kołatka na frontowych drzwiach miała kształt koziej głowy; gdy Milo uniósł górną część pyska zwierzęcia, wydawało się, że kozioł śmieje się szyderczo. Milo puścił kołatkę, pod jej uderzeniem dębowe drzwi zawibrowały. Otworzyły się, zanim dźwięk zamarł.

– Policja? – powiedziała kobieta, podając nam rękę. Uścisk był krótki i mocny. – Proszę wejść!

Alice Zoghbie rzeczywiście była po pięćdziesiątce. Według mnie miała pięćdziesiąt kilka lat, lecz mimo ogorzałej cery i białych włosów sprawiała wrażenie osoby znacznie młodszej.

Była wysoka, miała pełne piersi, mocne ramiona, długie ręce pokryte zdrowo zaróżowioną skórą i duże szafirowe oczy. Zaprowadziła nas do niewielkiego, eleganckiego salonu. Poruszała się jak tancerka – szybko, płynnie, kołysząc rytmicznie biodrami.

Salon urządzono równie starannie jak grządki kwiatów: ściany były żółte, z białymi stiukami; pośrodku stała kanapa pokryta czerwonym adamaszkiem, obok krzesła z kwiatowymi wzorami. Kilka małych stolików rozmieszczono przemyślnie w różnych miejscach pokoju. Na ścianach wisiały kalifornijskie obrazy olejne w złożonych ramach z epoki. Nie wyglądały na arcydzieła, ale każdy znajdował się w odpowiednim miejscu.

Alice Zoghbie stanęła koło niebieskiego fotela i wskazała nam kanapę. Kiedy usiedliśmy, umościła się na fotelu, wsuwając jedną nogę pod drugą, i wygładziła burzę białych włosów. Zapadliśmy się w miękkość kanapy. Milo, ze względu na wagę, wyglądał na niższego ode mnie. Widziałem, jak wierci się niepewnie.

Gospodyni splotła palce na kolanach. Miała okrągłą twarz, skóra na szczękach była napięta, z wyraźnie widoczną linią biegnącą od kąćków oczu. Ubrana w luźny błękitny sweter z dekoltem, świeżo wyprasowane niebieskie dzinsy, białe skarpetki i zamszowe pantofle w tym samym kolorze, nosiła w uszach srebrzyste perły, a na szyi złoty łańcuszek przetykany kolorowymi kamieniami. Nie miała pierścionków. Między nią a nami stał intarsjowany stolik do kawy z japońską misą pełną cukierków: złotych, zielonych, w kolorze whisky i mięty.

– Proszę – powiedziała, wskazując słodycze. Beztroski ton kontrastował z poważnym wyrazem twarzy.

– Dziękujemy – odparł Milo. – Dziękujemy też za to, że zechciała się pani z nami spotkać.

– To takie wstrętne. Czy domyślają się panowie, kto poświęcił Eldona?

– Poświęcił?

– Tak to wyglądało – wyjaśniła. – Jakby jakiś fanatyczny dureń chciał coś udowodnić. – Spojrzała na swoją zaciśniętą pięść i otworzyła ją.

– Rozmawialiśmy z Eldonem o tym, czy jakiś szaleniec nie zechce zrobić czegoś takiego, żeby trafić na pierwsze strony gazet. On uważał, że tak nie będzie, uwierzyłam mu. A jednak stało się, prawda?



– A więc doktor Mate się nie bał?

– Nie powodował nim strach. Eldon był panem siebie. Wiedział, że tylko dyktując warunki, można określić sposób swojego odejścia. Poza tym, zaangażował się w to, co robi. Zamierzał długo żyć.

Milo poruszył się, jakby próbując utrzymać się na powierzchni morza czerwonego adamaszku. Widząc, że zapada się jeszcze głębiej, przesunął się na krawędź sofy.

– Ale rozmawiali państwo o ryzyku.

– To ja poruszyłam ten temat. Mówiliśmy ogólnie, więc nie mogę wskazać żadnego konkretnego świra, który gotów byłby coś takiego zrobić. Może to któraś z tych żałosnych kalek, które obrzucały go wyzwiskami.

– Jeszcze Żyjemy – odpowiedziałem.

– Tak, oni albo ktoś w ich rodzaju.

– Rozmawiali państwo ogólnie, ale czy stało się coś takiego, co panią zaniepokoiło? – spytał Milo.

– Nie, chodziło mi tylko o to, żeby Eldon bardziej na siebie uważał. Ale on nie chciał mnie słuchać. Po prostu nie wierzył, że ktoś może się na niego porwać.

– Czy proponowała pani podjęcie jakichś środków bezpieczeństwa?

– Tylko podstawowe. Widzieli panowie jego mieszkanie?

– Tak.

– No to wszystko jasne. To aż śmieszne, ale każdy mógł tam wejść. Nie chodzi o to, że Eldon był lekkomyślny. Po prostu nie umiał się przystosować do otoczenia. Większość wybitnych ludzi tak się właśnie zachowuje. Na przykład Einstein. Jakaś fundacja przysłała mu czek na dziesięć tysięcy dolarów, a on nigdy go nie zrealizował.

– A doktor Mate był wybitny – powiedział Milo. Alice Zoghbie popatrzyła na niego.

– Był jednym z największych umysłów naszego pokolenia.

Coś tu nie grało, nie pasowało do szkoły medycznej w Meksyku, pracy w drugorzędnym szpitalu, a później posady urzędnika. Alice Zoghbie chyba odgadła, o czym myślę, bo popatrzyła na mnie.

– Einstein pracował jako urzędnik, dopóki świat go nie odkrył. Bo świat nie był dość inteligentny, żeby go zrozumieć. Umysł Eldona nigdy nie przestawał pracować. Zajmował się wszystkim, naukami przyrodniczymi, historią. I w przeciwieństwie do większości ludzi, nie pozwolił, żeby ograniczyło go życie osobiste.

– Bo mieszkał sam? – spytałem.

– Nie to miałam na myśli. Eldona nie rozpraszały nieistotne drobiazgi. Pewnie uważają panowie, że poświęcił się kojeniu bólu, bo jego rodzice umarli w cierpieniach. – Nakreśliła w powietrzu ukośny krzyż. – Błąd. Oboje rodzice Eldona dożyli długiego wieku i odeszli

spokojnie.

– Może właśnie to na niego wpłynęło – zauważył Milo. – Zobaczył, jak to powinno się odbywać.

Alice Zoghbie wyprostowała zgiętą nogę.

– Chodzi mi o to, żeby panowie zrozumieli, że Eldon obejmował swoim umysłem cały świat.

– Musiał dużo wiedzieć.

Kobieta rzuciła mu pełne urazy spojrzenie.

– Mówienie o nim martwi mnie.

Powiedziała to spokojnie, niemal z dumą. Milo patrzył na nią z kamienną twarzą. Ja zachowywałem się tak samo.

Gospodyni spojrzała na nas, jakby na coś czekając. Nagle po jej policzkach popłynęły cienkie strużki łez.

Płynęły równolegle do wąskiego nosa. Siedziała bez ruchu, aż łzy dotarły do kącików ust; wtedy otarła je długimi palcami. Paznokcie były pomalowane lśniącem różowym lakierem. Gdzieś w głębi domu odezwał się zegar.

– Mam nadzieję, że znajdziecie tego podstępnego skurwysyna, który to zrobił. Nie można pozwolić, żeby im to uszło na sucho. To byłoby najgorsze.

– Im?

– Im, jemu, nieważne.

– Co byłoby najgorsze, proszę pani?

– Brak konsekwencji. Wszystko powinno mieć swoje konsekwencje.

– Moja robota polega na łapaniu podstępnych skurwysynów – oznajmił Milo.

Kobieta popatrzyła nań bez wyrazu.

– Czy mogłaby nam pani powiedzieć coś, co pomogłoby to zrobić?

– Proszę tak często nie powtarzać słowa „pani”, bo to brzmi protekcyjnie. Co mogę powiedzieć? Szukajcie fanatyka, jakiegoś religijnego ekstremisty. Najgorsi są katolicy. Choć mułmanie też nie są lepsi. Mogę coś powiedzieć na ten temat, bo miałam męża mułmanina.

– Przyjrzała się Milo. – Z jakiej rodziny pan pochodzi?

– Z katolickiej, proszę pani.

– To tak jak ja. Musiałam na kolanach wyznawać grzechy, co za kretynstwo. A więc oboje nas spotkało to nieszczęście. Świeczki, poczucie winy i śmieszni starzy impotenci w dziwnych nakryciach głowy, plotący jakieś nonsensy. Tak, ja szukałabym wśród katolików. Albo odrodzonych chrześcijan. Właściwie wśród wszystkich fundamentalistów. Ortodoksyjni Żydzi są podobni, ale mają mniejszą skłonność do przemocy niż katolicy, bo jest ich mniej i nie podnoszą tak wysoko głowy. Wszyscy fanatycy są ulepieni z tej samej gliny: Bóg jest po mojej stronie, więc wszystko mi wolno i już. Jakby papież, imam czy ktokolwiek inny był koło ciebie, kiedy

twoja ukochana osoba skręca się z bólu i dławi wymiocinami. Ten cały ruch obrony prawa do życia jest obrzydliwy. Życie jest święte, ale wolno podkładać bomby pod kliniki, gdzie dokonuje się aborcji albo strzelać do lekarzy. Eldon jest tego przykładem. Szukajcie fanatyka religijnego.

Uśmiech nie pasował do tyrady, którą przed chwilą wygłosiła. Oczy były już suche.

– A skoro mowa o grzechu – ciągnęła – to najgorszym grzechem jest hipokryzja. Dlaczego nie możemy uwolnić się od bzdur, które wpajają nam w dzieciństwie i nauczyć się myśleć niezależnie?

– Wychowanie – zauważyłem.

– To odpowiednie dla niższych gatunków zwierząt. A my podobno mamy być lepsi.

Milo wyciągnął notes.

– Czy wie pani coś o rzeczywistych groźbach wobec doktora Mate'a? Wydawało się, że rutynowe policyjne pytanie nudzi Alice Zoghbie.

– Jeśli jakies były, Eldon nic mi o nich nie mówił.

– Czy zna pani Roya Haiseldena, adwokata doktora Mate'a?

– Poznaliśmy się.

– Może nam pani powiedzieć, gdzie jest pan Haiselden? Jakoś nie możemy do niego dotrzeć.

– Roy może być wszędzie – odparła gospodyni. – Jest właścicielem automatów do prania w różnych miejscach stanu.

– Automatów do prania?

– Takich na monetę. W ten sposób zarabia pieniądze. To, co zarabia u Eldona nie wystarcza na zapłacenie rachunków. Właściwie praca dla Eldona zniszczyła jego praktykę.

– Znała ich pani od dawna?

– Eldona od pięciu lat, Roya trochę krócej.

– Czy jest jakiś powód, dla którego pan Haiselden nie odpowiada na nasze telefony?

– Musicie go o to sami zapytać.

Milo uśmiechnął się.

– Jak poznała pani doktora Mate'a?

– Przez pewien czas śledziłam jego karierę. – Teraz ona z kolei się uśmiechnęła. – Gdy się o nim dowiedziałam, to było tak, jakby zapaliła się gigantyczna żarówka. Ktoś wreszcie wstrząsnął ziemią, zaczął robić to, co należy. Napisałam do niego list. Można to nazwać listem od fanki, chociaż to trochę dziecinne. Powiedziałam, że podziwiam jego odwagę. Pracowałam już wtedy w stowarzyszeniu humanistycznym. Odeszłam z pracy, a właściwie odesłano mnie na emeryturę. Postanowiłam poszukać sensu tego wszystkiego.

– Wyrzucono panią z powodu poglądów? – spytałem.

Odwróciła się do mnie.

– A dziwi to pana? – sarknęła. – Pracowałam w szpitalu i miałam odwagę mówić o rzeczach,

o których należało powiedzieć. A to ukuło w tyłek półgłówka, który tam rządził.

– Co to był za szpital?

– Szpital Miłosierdzia w Pasadenie.

Katolicka placówka.

– Odejście z tego śmietnika było najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu zdarzyła. Założyłam Klub Sokratesa, nie zerwałam kontaktu z SHI. Organizowaliśmy konferencję w San Francisco, a Eldon właśnie odniósł kolejne zwycięstwo w sądzie, więc pomyślałam, że nikt lepiej nie wyznaczy tonu naszego spotkania. Odpowiedział bardzo uprzejmie i oczywiście przyjął zaproszenie. Później spotykaliśmy się dość często... Wyłącznie towarzysko, bez seksualnych podtekstów, jeśli zamierzaliście o to spytać. To był kontakt intelektualny. Zapraszałam Eldona na kolację, gotowałam, dyskutowaliśmy. Pewnie były to jedyne porządne posiłki, jakie jadał.

– Doktor Mate nie dbał o jedzenie? – spytał Milo.

– Jak większość geniuszy, Eldon nie zwracał uwagi na własne potrzeby. Jestem świetną kucharką, więc przynajmniej to mogłam zrobić dla swojego mistrza.

– Czy doktor Mate uczył panią czegoś?

– Był moim przewodnikiem filozoficznym! – odparła, kierując w naszą stronę wyprostowany palec. – Przestańcie marnować czas ze mną i zajmijcie się łapaniem tego popaprańca.

Milo zapadł się w kanapę, jakby poddając się sile grawitacji.

– A więc zaprzyjaźniliście się. Była pani zdaje się jedyną kobietą, z jaką utrzymywał kontakty...

– Eldon nie był gejem, jeśli do tego pan zmierza. Był po prostu wybredny. Kiedyś się ożenił, a potem rozwiódł. Nie było to budujące doświadczenie.

– Dlaczego?

– Nie mówił mi. Wyczuwałam, że nie ma ochoty o tym rozmawiać, a ja szanowałam jego wolę. Coś jeszcze?

– Porozmawiajmy o weekendzie, kiedy doktor Mate został zamordowany. To pani...

– Wynajęłam furgonetkę? Tak. Robiłam to już wcześniej, bo kiedy Eldon osobiście zjawiał się w agencjach wynajmu samochodów, czasami zdarzały się kłopoty.

– Nie chcieli mu wynajmować.

Alice Zoghbie skinęła głową.

– Tej nocy, kiedy zginął – ciągnął Milo – doktor Mate zamierzał asystować przy śmierci kolejnego podróżnego.

– Tak myślę.

– Nie powiedział pani o tym?

– Oczywiście, że nie. Eldon nigdy nie rozprawiał o swoich zajęciach zawodowych. Dzwonił i mówił: „Alice, potrzebuję na jutro furgonetki”.

– Dlaczego nie rozmawiał o pracy? – spytał Milo.

– Etyka, panie poruczniku – odparła kobieta z przesadnie akcentowaną cierpliwością. – Poufność kontaktu z pacjentem. Eldon był lekarzem.

Zadzwoił telefon; dźwięk był równie odległy jak bicie zegara.

– Powinam odebrać – oznajmiła gospodyni. – To może być jakiś dziennikarz.

– Nawiązali z panią kontakt?

– Nie, ale mogą zechcieć, kiedy się dowiedzą, że wróciłam.

– Skąd mogą się dowiedzieć, proszę pani?

– Niech pan nie udaje naiwnego. Mają swoje sposoby – odparła, tanecznym krokiem wychodząc z salonu.

Milo potarł dłońmi twarz.

– Myślisz, że Mate ją obracał?

– Dobitnie powiedziała, że ich kontakty miały charakter towarzyski, a nie seksualny, bo chcieliśmy o to spytać. Więc niewykluczone.

Alice Zoghbie wróciła zaszepiona.

– Prasa? – spytał Milo.

– Telefon od księgowej. Jest kłopot. Izba skarbowa mnie wzywa. Niespodzianka, co? Muszę zebrać swoje dokumenty, więc jeśli to wszystko... – Wskazała drzwi.

Wstaliśmy.

– Wspina się pani po górach dla rozrywki? – spytał Milo.

– Chodzę po górach, poruczniku. Uprawiam marsze po łagodnych stokach, nie używam karabinków ani czekanów. – Zmierzyła go badawczym spojrzeniem. – Kiedy człowiek przestanie się ruszać, to jakby już umarł.

Słyszając to, przypomniałem sobie, co Richard Doss powiedział do mnie pół roku temu: „Odpocznę po śmierci”.

– Czy doktor Mate prowadził aktywne życie? – spytał Milo.

– Umysłowe. Nigdy nie udało mi się go namówić na ćwiczenia sportowe. Ale co to ma wspólnego z...

– A więc nie wie pani, komu doktor Mate zamierzał pomóc tego dnia, kiedy został zamordowany?

– Już powiedziałam, że nigdy nie rozmawialiśmy o pacjentach.

– Pytam, bo...

– Myśli pan, że zabił go podróżny? To nonsens.

– Dlaczego, proszą pani?

– Mówimy o chorych ludziach, poruczniku. Słabych, sparaliżowanych, zżeranych śmiertelnymi odmianami raka. Skąd taka osoba miałaby potrzebną do tego siłę? I dlaczego?

Proszę mnie już zostawić.

Przytupywała nerwowo nogą. Wyobrażam sobie, że perspektywa kontroli urzędu skarbowego może wyprowadzić człowieka z równowagi.

– Jeszcze chwila. Dlaczego wybrali państwo filię firmy Avis w Tarzana? To daleko zarówno stąd, jak i z domu doktora Mate'a.

– Właśnie o to chodziło, poruczniku.

– To znaczy?

– O zatarcie śladów. Na wypadek, gdyby ktoś nabrał podejrzeń i odmówił nam wypożyczenia samochodu. Dlatego wybrałam Avis. Zmienialiśmy firmy. Wcześniej korzystaliśmy z samochodu wypożyczonego w agencji Hertza, a jeszcze przedtem w Budget.

Podeszła bardzo szybkim krokiem do drzwi i stanęła, znów przytupując.

– To niemożliwe, żeby to był któryś z podróżnych. Żaden z nich nie podniósłby ręki na Eldona. Przeważnie potrzebowali pomocy, żeby dotrzeć w umówione miejsce...

– Kto im pomagał?

Milczenie. Alice Zoghbie splotła dłonie z uśmiechem.

– O nie, o tym nie będziemy rozmawiać.

– Czy ktoś jeszcze brał w tym udział? – spytał Milo. – Czy doktor Mate miał współpracowników?

– Nic z tego. Nie powiedziałabym, nawet gdybym chciała, bo nie wiem. Wolałam nie wiedzieć.

– Dlatego, że doktor Mate nigdy nie omawiał z panią szczegółów swojej działalności?

– Proszę już iść.

– Założmy, że doktor Mate miał pomocników...

– Może pan zakładać, co chce.

– Skąd pani wie, że któryś z nich nie zwrócił się przeciwko niemu?

– Czemu miałby to zrobić? – roześmiała się szorstko. I zbyt głośno. – Nie możecie tego pojąć: Eldon był wybitnie inteligentny. Nie darzył zaufaniem byle kogo. – Alice Zoghbie wystawiła stopę za próg. – Szukajcie Fa-na-ty-ka – powiedziała, podkreślając każdą sylabę ruchem palca.

– A jeśli fanatyk udawał współpracownika?

– Niech pan da spokój – odparła ze śmiechem, wyrzucając ręce w górę. Po chwili opuściła je raptownie. Niezgrabne ruchy wyraźnie kontrastowały z taneczną gracją chodu, którą wcześniej zaprezentowała. – Nie będę odpowiadać na te idiotyczne pytania! To dla mnie bardzo trudne chwile!

Znów się rozplakała. Tym razem łzy popłynęły raptownym strumieniem. Alice Zoghbie otarła je pośpiesznie. A potem zatrzęsła za nami drzwi.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w samochodzie, Milo spojrzął na waniliowy domek.

– Co za jędra.

– Jej zachowanie zmieniło się wyraźnie po telefonie – zauważyłem. – Może sprawiła to wiadomość o kontroli izby skarbowej, a może była zawiedziona, że to nie prasa. Ale mógł to być równie dobrze współpracownik Mate’a, który ostrzegł ją, że ma zachować dyskrecję.

– Myślisz, że Doktor Śmierć też miał swoje dobre skrzaty?

– Ta kobieta niemal potwierdziła ich istnienie. W związku z tym powstaje następujący problem: rano uznaliśmy, że morderca mógł zwabić Mate’a do Mulholland, udając podróżnego. A jeśli Mate znał tę osobę i ufał jej?

– Skrzat, który zamienił się w wampira?

– Skrzat nawiązał kontakt z Mate’em, bo lubi zabijać. Potem uznał, że dość już terminowania. Czas zacząć działać na własny rachunek. To pasowałoby do zabawy w doktora i do kradzieży walizki Mate’a.

– Więc nie muszę uganiać się za katolikami i ortodoksyjnymi Żydami? Nasza droga stara Alicja byłaby skarbem dla Trzeciej Rzeszy. Szkoda, że linie lotnicze potwierdzają jej alibi. – Milo stuknęła lekko w tablicę. – Zbuntowany współnik... Muszę dopaść tego Haiseldena, dowiedzieć się, co to za papiery.

– A skrytki na nazwisko Mate’a?

– Na razie nic nie znaleźliśmy, na pocztę też nie. Wygląda na to, że Mate przez cały czas zacierał za sobą ślady.

– Jakby prowadził grę. Poza tym, miał wrogów.

– Więc dlaczego nie zachowywał większej ostrożności? Alice Zoghbie miała rację co do jego domu. Mate całkowicie nie dbał o swoje bezpieczeństwo.

– Przerośnięte ego – powiedziałem. – Jeśli bawisz się w Boga, zaczynasz w to wierzyć. Mate’owi od samego początku chodziło o rozgłos. Balansował na granicy etyki lekarskiej długo przed zbudowaniem tej swojej maszyny. – Opowiedziałem o liście do szwedzkiego czasopisma, czuwaniu przy łóżkach umierających pacjentów, patrzeniu im w oczy.

– Obumieranie komórek? Cholerny porąbaniec. Wyobrażasz sobie, co czuli jego pacjenci? Leżysz na intensywnej terapii, tracisz przytomność, odzyskujesz, i nagle widzisz jakiegoś palanta w białym kitlu, który siedzi na brzegu łóżka i wlepia w ciebie gały. Nie robi nic, żeby ci pomóc; chce tylko dokładnie wiedzieć, w którym momencie wykitujesz. Jak on zaglądał tym ludziom w oczy, skoro byli aż tak chorzy?

– Może podnosił im powieki?

– Albo podtrzymywał zapałkami – powiedział Milo, ponownie uderzając w tablicę. – Musiał

mieć fajne dzieciństwo. – Zerknął na waniliowy domek. – Była żona. Pierwsze słyszę. Lepiej żeby nie zrobiła ze mnie w prasie takiego idioty, jakim się teraz czuję. – Uśmiechnął się. – Były żony to świetne informatorki. Uwielbiają gadać.

Wyjął telefon komórkowy.

– Steve, to ja... Nie, nie było żadnego trzęsienia ziemi. Zadzwoń do archiwum cywilnego i sprawdź, czy mają jakieś dokumenty małżeńskie albo rozwodowe Eldona. Jeśli nie, spróbuj w innych okręgach. Orange, Ventura, Berdoo, dzwoń do wszystkich.

– Przed wstąpieniem do szkoły medycznej pracował w San Diego – powiedziałem.

– Zaczynaj od San Diego, Steve. Właśnie się dowiedziałem, że tam urzędował, zanim został lekarzem... Dlaczego? Bo to może być ważne... Co? Poczekaj. Gdzie studiował? – rzucił w moim kierunku.

– W Guadalajara.

– To w Meksyku, Steve – powiedział Milo, marszcząc brwi. – Nawet nie próbuj, niczego się tam nie dowiesz.

– Praktykował w Oakland, w szpitalu Oxford Hills, siedemnaście lat temu. Szpital już nie istnieje, ale może zostały jakieś dokumenty.

– To doktor Delaware – wyjaśnił rozmówcy Milo. – Szperał na własną rękę... Tak, on się tym zajmuje... Co? Zapytam. Jeśli nic nie wypali z tego, co mówiłem, spróbuj u koleżków z ubezpieczeń społecznych. Nikt się nie zgłosił po ubezpieczenie, ale może coś idzie do spadkobierców z budżetu federalnego... Wiem, że to godzina przy telefonie i można dostać kręćka, ale na tym to polega. Jeśli nie dowiesz się niczego od ludzi z ubezpieczeń, dzwoń do pozostałych okręgów w całym stanie, Kern, Riverside, i tak dalej... Tak, tak... Haiselden się odezwał? Dzwońcie dalej... Zostaw pięćdziesiąt wiadomości w domu i biurze, jeśli trzeba. Zoghbie powiedziała, że facet jest właścicielem automatów pralniczych... Tak, sprawdźcie. A jak i to do niczego nie doprowadzi, zaczynajcie wypytywać sąsiadów, nie dawajcie im spokoju... Co? Jakie? – Milo uśmiechnął się nieznacznie. – Ciekawe, tak, znam to nazwisko. Na pewno. Wyłączył telefon.

– Maluch się nudzi... Kazał cię spytać, czy praca ze mną doprowadzi go do obłądu.

– Istnieje taka możliwość. Czemu się śmiałeś?

– Zadzwoił wreszcie twój znajomy, Doss. Korn i Demetri pojedą do niego jutro.

– Świetnie.

– Czy pani Doss mogła poruszać się samodzielnie? – spytał.

– Chyba tak. Możliwe, że sama pojechała na spotkanie z Mate'em.

– Możliwe?

– A któż to wie?

– Po prostu wyszła i zostawiła małżonka w domu?



Wzruszyłem ramionami. Tak właśnie było. Wyszła w środku nocy, nie zostawiwszy żadnej kartki ani ostrzeżenia. Nawet się nie pożegnała. To była najgorsza rana, jaką zadała Stacy.

– Nie wykazała wielkiej wrażliwości – zauważył Milo.

– Ból może do tego doprowadzić.

– Muszę zadzwonić do doktora Mate'a... Wezmę dwie aspiryny, przywiążę się do maszyny i... nie dzwońcie do mnie rano.

Milo włączył silnik, a potem odwrócił się do mnie, oparty o kierownicę.

– Wkrótce osobiście zobaczymy się z panem Dossem. Czy jest coś, o czym nie wiem, a powinienem?

– Nie lubił Mate'a. Chciał, żebym ci o tym powiedział – odparłem.

– Kpi sobie?

– Raczej chodziło o to, że nie ma nic do ukrycia.

– O co miał pretensje do Mate'a?

– Nie wiem.

– O to, że zabił mu żonę, a on nie wiedział, że tak się stanie?

– Możliwe.

Milo przechylił się do mnie; jego duża twarz znalazła się o centymetr od mojej. Poczułem zapach tytoniu i płynu po goleniu. Kierownica wpiła się w marynarkę, której materiał skrzył się koło otłuszczonej szyi.

– O co chodzi, Alex? Facet decyduje, co masz mówić? Czemu przekazujesz mi informacje po kawałku?

– Nie lubię rozmawiać o pacjentach. Czasami mają ochotę mówić o wszystkim, a potem nagle zmieniają zdanie. Ale właściwie o co chodzi, Milo? To, co Doss sądził o doktorze Mate nie ma znaczenia. Ma alibi równie dobre jak Alice Zoghbie. Tamtego dnia był w San Francisco, oglądał jakiś hotel.

– Chciał go kupić?

Skinąłem głową.

– Był w towarzystwie grupy japońskich biznesmenów. Ma rachunki z hotelu.

– Sam ci o tym powiedział?

– Tak.

– A to ciekawe – powiedział Milo, dotykając oka kostką zaciśniętej dłoni – bo z mojego doświadczenia wynika, że to przestępcy przygotowują sobie alibi.

– On nie był przygotowany. To wynikło w trakcie rozmowy.

– „Co słyhać, Richard?” „Klawo, doktoru... A propos, mam alibi”?

Nie odpowiedziałem.

– Kupował hotel. Nadziani biznesmeni jak Doss przeważnie wysyłają któregoś

z pracowników do załatwiania takich spraw. Dlaczego miałby sam odwalać brudną robotę? I co jest warte to jego alibi?

– Ten, kto zamordował Mate’a, zrobił to wyjątkowo brutalnie, jakby wyładowywał na nim swoją złość. Czy twoim zdaniem to wyglądało na zleconą robotę?

– To zależy od zlecenia. I od wykonawcy. – Milo położył ciężką dłoń na moim ramieniu. Poczułem się nieprzyjemnie, jak podejrzany. – Myślisz, że Doss mógłby to zorganizować?

– Nie zauważyłem niczego, co by na to wskazywało – odparłem dość sztywno.

– Czyli „niewykluczone” – powiedział Milo, cofając rękę.

– Właśnie dlatego nie chciałem o tym rozmawiać. W zachowaniu Richarda Dossa nie dopatrzyłem się żadnych sygnałów, świadczących o tym, że jest zdolny do takiej brutalności.

– To z kolei brzmi jak wypowiedź biegłego sądowego.

– Więc uważaj się za szczęściarza, bo za ekspertyzy w sądzie dobrze mi płacą.

Spojrzelismy sobie w oczy. Milo odsunął się i patrzył na dom Alice Zoghbie. W koronie sykomora uwijały się dwie sójki kalifornijskie.

– Ciekawe – powiedział.

– Co?

– Pracowaliśmy razem przy tylu sprawach, a teraz ni stąd ni zowąd coś nas jakby ciut poróżniło.

Kilka ostatnich słów wypowiedział z wyraźnym irlandzkim akcentem. Roześmiałem się bez przekonania, żeby wypełnić ciszę, chociaż wcale nie było mi wesoło. Śmiech jakby zamarł między gardłem a ustami.

– Nie można jakoś ocalić tej przyjaźni? – spytałem.

– No, dobra – westchnął Milo, jakby mnie nie usłyszał. – Zapytam wprost: czy wiesz coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć? O Dossie albo kimś innym?

– Odpowiadam wprost: nie.

– Chcesz rzucić tę sprawę?

– A ty chcesz, żebym ją rzucił?

– Nie, jeśli ty nie chcesz.

– Ja nie chcę, ale...

– A dlaczego chcesz zostać? – spytał Milo.

– Z ciekawości.

– Co cię w tym ciekawi?

– Po prostu, kto to zrobił i dlaczego. No i jeżdżąc z policją, czuję się cholernie bezpieczny. Ale jeśli chcesz, żebym zrezygnował, to powiedz.

– O Jezu. Nie, nie i jeszcze raz nie.

Roześmialismy się. Milo zaczął się pocić, a mnie bolała głowa.

– A więc do dzieła? Ty robisz swoje, ja swoje?

– I tak będę w Szkocji przed tobą.

– Nie o Szkocję chodzi – odparł – tylko o Mulholland Drive. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia pan Doss. Może sam z nim pogadam. Kiedy jesteś umówiony z córką... jak jej na imię?

– Stacy. Jutro. Zapisał.

– Ile dzieci jest w rodzinie?

– Stacy ma brata, Eryka, o dwa lata starszego. Studiuje w Stanford.

– Będziesz z nią rozmawiał o szkole.

– Tak.

– Może też będę chciał z nią pogadać.

– Ale ona nie pocięła Mate'a.

– Masz z nią dobry kontakt, więc zapytaj, czy przypadkiem tatuś nie kazał tego zrobić.

– Jasne.

Milo wrzucił bieg.

– Chętnie bym rzucił okiem na mieszkanie Mate'a.

– Dlaczego?

– Żeby zobaczyć, jak mieszkał geniusz. Gdzie to jest?

– W Hollywood, a gdzieżby indziej? Nie ma jak show-biznes. Dobra, pokażę ci. Zapnij pas.

Dom, w którym mieszkał Mate, stał przy ulicy North Vista, między Sunset i Hollywood. Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze siedemdziesięcioletniego szeregowca. Na dole mieszkała gospodyni, mała staruszka nazwiskiem Ednalynn Krohnfeld, która poruszała się z trudem i nosiła aparat słuchowy. Honorowe miejsce w jej salonie zajmował sześćdziesięciocalowy telewizor marki Mitsubishi. Kobieta wpuściła nas do środka, wróciła na fotel, położyła na kolanach brązowy pled i utkwiała wzrok w ekranie. Pokazywali jakiś talk show. Kolory były rozregulowane, ludzie mieli marchewkową skórę. Był to kiepski program, dwie zaniedbane kobiety obrzucały się nawzajem wyzwiskami, zamiast przekleństw raz po raz słychać było dźwięk pii. Prowadząca program tleniona blondynka w za dużych okularach, spod których wyzierały wąskie oczy jaszczurki, reprezentowała głos rozsądku.

– Chcieliśmy jeszcze raz zobaczyć mieszkanie doktora Mate’a, proszę pani – powiedział Milo.

Cisza. W prawym górnym rogu ekranu mignął obraz mężczyzny patrzącego nieruchomym wzrokiem. Facet uśmiechał się bezczelnie; brakowało mu dwóch przednich zębów. Podpis głosił: „Duane, mąż Deneshy, kochanek Jeanine”.

– Pani Krohnfeld?

Kobieta przekręciła głowę o ćwierć obrotu, ale nie oderwała wzroku od telewizora.

– Czy przypomniawszy sobie coś od naszej rozmowy w zeszłym tygodniu?

Staruszka zmrużyła oczy. Zastłony były zaciągnięte. W zagraconym starymi, kiepskimi meblami z mahoniu pokoju panował półmrok. Milo powtórzył pytanie.

– Co miałam sobie przypomnieć?

– Wszystko, co dotyczy doktora Mate’a.

– On nie żyje – odparła kobieta, kręcąc głową.

– Czy ktoś tutaj zaglądał?

– Co?

Milo powtórzył.

– Po co miałby zaglądać?

– Żeby spytać o doktora Mate’a, wejść do jego mieszkania?

Cisza. Kobieta zacisnęła dłoń na pledzie, mrużąc oczy.

Duane wtoczył się na scenę i zajął miejsce między jędzami. Wzruszył lekceważąco ramionami i usiadł, rozstawiając szeroko nogi. Pani Krohnfeld mruknęła coś pod nosem.

Milo przykucnął obok fotela.

– Co pani mówiła?

– Zwykły przybłąda – odparła staruszka, nie odrywając spojrzenia od ekranu.

– Ten w telewizji?

– Nie, nie. Ten, co wlaził po schodach. – Niecierpliwym gestem wskazała okno, a potem przyłożyła obie dłonie do policzków. – Włóczęga z długimi włosami, brudny... Taki uliczny śmieć.

– Wchodził do mieszkania doktora Mate'a? Kiedy?

– Nie wszedł, bo go wygoniłam – odrzekła gospodyni, wpatrując się w pomarańczowy melodramat.

– Kiedy to było?

– Parę dni temu, może w czwartek.

– Czego chciał? – spytał Milo.

– A skąd mam wiedzieć? Myśli pan, że go wpuściłam?

Jedna z kobiet zerwała się na równe nogi, wskazując rywalkę palcem i miotając przekleństwa. Duane, rozparty w fotelu, sycił się każdą chwilą rozgrywającego się wokół niego spektaklu.

Pii, pii, pii. Czerwone usta pani Krohnfeld otworzyły się.

– Okropność!

– Co jeszcze może pani powiedzieć o tym włóczędze?

Milczenie. Milo głośniejszym głosem powtórzył pytanie. Pani Krohnfeld podskoczyła na fotelu.

– Tak, włóczęga. Wszedł... – Wskazała znów palcem. – Chciał wejść, ale go zobaczyłam, krzyknęłam przez okno, żeby się wynosił, i uciekł.

– Na nogach?

– Tacy nie jeżdżą mercedesami – mruknęła gospodyni. – Co za gnida. – Tym razem mówiła o Duanie. – Głupie idiotki, marnują czas na taką gnidę.

– W czwartek.

– Albo w piątek... Patrzcie tylko. – Kobiety skoczyły na siebie i zaczęły targać się za włosy.

– Idiotki.

Milo westchnął i podniósł się.

– Idziemy na górę, proszę pani.

– Kiedy mogę wynająć mieszkanie?

– Wkrótce.

– Im szybciej, tym lepiej. Idiotki.

Schody prowadzące do mieszkania Mate'a znajdowały się po prawej stronie szeregowca. Zanim zacząłem się po nich wspinać, zerknąłem na wewnętrzne podwórko. Kawałek wybetonowanej powierzchni z trudnością wystarczał do zaparkowania dwóch samochodów. Stary chevrolet Mate'a stał obok jeszcze starszego chryslera. Cienie pustych sznurów na białej bieliznie tworzyły pajęczynę na betonie. Za niskim ogrodzeniem widać było sąsiednie budynki,

przeważnie bloki mieszkalne nieco wyższe od szeregowca. Gdyby urządzić tu przyjęcie z grillem, wielu ludzi mogłoby za pomocą węchu odtworzyć jadłospis.

Mate gonił za popularnością i nie potrzebował prywatności nawet poza godzinami pracy.

Czy był ekshibicjonistą? A może Alice Zoghbie miała rację, mówiąc, że nie potrafił znaleźć dla siebie właściwego otoczenia?

Tak czy inaczej, był łatwym celem.

Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Milo, który zagryzł wargę i poprowadził mnie do drzwi mieszkania Mate'a.

Oślaniał je niewielki daszek. Pod drzwiami walały się ulotki barów szybkiej obsługi. Milo podniósł garść kartek, zerknął i wyrzucił. Żółta taśma odcinała się wyraźnie od drewnianej płyty drzwi. Milo zerwał ją jednym ruchem, przekręcił klucz i weszliśmy do środka. Pojedynczy zamek, bez rygła. Każdy mógł otworzyć drzwi kopnięciem.

Woń pleśni, grzybów, zgnilizny i starego papieru. Wydawało się, że powietrze ma konsystencję zawiesiny.

Milo podniósł rolety. Światło wydobyło z mroku wir kurzu, który wznieciliśmy, poruszając się w ciasnej przestrzeni.

Ciasnej, bo całą przednią część mieszkania wypełniały półki z książkami, zrobione ze sklejki i rozdzielone wąskimi alejkami. Niewykończone drewno uginało się pod ciężarem wiedzy.

Życie umysłu. Eldon Mate zamienił całą swoją siedzibę w bibliotekę.

Nawet na blacie w kuchni piętrzyły się książki. W lodówce stały butelki wody, a oprócz tego kawał gnijącego sera i parę miękkich już warzyw.

Kurz osiadał mi na ramionach, gdy przeglądałem tytuły książek. Chemia, fizyka, matematyka, biologia, toksykologia. Dwie półki zawierały pozycje z patologii i medycyny kryminalnej, a jedna poświęcona była naukom prawnym: prawo cywilne, jurysdykcja i kodeksy karne bodaj wszystkich stanów.

Większość stanowiły rozpadające się tomy w miękkich okładkach, o popękanych grzbietach. Tanie skarby, jakie można znaleźć w każdym niedrogim antykwariacie.

Ani jednej pozycji beletrystycznej.

Wszedłem do maleńkiego pokoiku, w którym Mate spał. Trzy na trzy, niski sufit, a pod nim naga żarówka przykręcona do białej porcelanowej oprawki. Gołe szare ściany zażółciły się teraz od promieni słońca, sączących się do środka przez żaluzje w kolorze krochmalu. Większość pomieszczenia zajmowało tanie łóżko i nocna szafka, obok z trudnością mieściła się komoda z surowego drewna z czterema szufladami. Na jej blacie stał dziesięciocalowy telewizor marki Zenith, skrajne przeciwieństwo olbrzymia pani Krohnfeld.

Zajrzałem do sąsiadującej z sypialnią łazienki; czasami łazienka mówi więcej o mieszkańcu niż wszystkie inne pomieszczenia. Tym razem było inaczej. Maszynka i krem do golenia,

w apteczce środek na przeczyszczenie i aspiryna. Na ściankach wanny pierścien w kolorze bursztynu, zielone mydło w warstwie osadu, usadowione na brązowej plastikowej podstawie niczym martwa żaba.

Wypełniona po brzegi szafa pachniała ostro kamforą. Było tam paręnaście białych koszul, o kilka mniej par szarych spodni, wszystkie z metką Sears, czarny garnitur od Zachary'ego Alla z szerokimi klapami, które dawno wyszły z mody, trzy pary czarnych butów, dwie bluzy, również Searsa, oraz dwa wąskie czarne poliestrowe krawaty madę in Korea.

– Jaka była sytuacja finansowa Mate'a? – spytałem. – Nie wygląda na to, żeby wydawał dużo na ubrania.

– Kupował żywność, benzynę, książki, płacił za naprawę samochodu, czynsz i telefon. Nie mam jeszcze jego formularzy podatkowych, ale w szafce było parę książeczek bankowych – powiedział Milo, wskazując komodę. – Głównym źródłem dochodów Mate'a była zdaje się emerytura z publicznej służby zdrowia. Dwa i pół tysiąca dolarów miesięcznie, przelewane na konto, plus sporadyczne wpłaty gotówkowe, od dwustu dolarów do tysiąca. Podejrzewam, że to darowizny. W sumie dawały około tysiąca pięciuset rocznie.

– Od kogo te darowizny?

– Pewnie od zadowolonych podróżnych albo ich rodzin. Nikt spośród tych, z którymi rozmawialiśmy, nie przyznaje się do zapłacenia Mate'owi choćby centa, ale kto by się chciał przyznać do tego, że wynajął faceta do zabicia babuni? Mate wyciągał około pięćdziesięciu tysięcy rocznie, nie był więc biedakiem. Miał trzy książeczki rachunków okresowych, na sto tysięcy każda. Nędzne oprocentowanie, więc chyba nie przykładął wagi do inwestowania pieniędzy. Trzysta tysięcy to mniej więcej jego dziesięcioletnie dochody minus wydatki i opodatkowanie. Wygląda na to, że oszczędzał każdego centa, jakiego zarobił od chwili, gdy zajął się uśmiercaniem ludzi.

– Trzysta tysięcy. Lekarz zarobiłby przez dziesięć lat znacznie więcej. Więc nie robił tego dla pieniędzy. Szło mu o sławę lub działał z pobudek ideowych. Albo jedno i drugie.

– To samo można powiedzieć o doktorze Mengele – zauważył Milo, zerkając pod cienki materac. – Już tu zaglądałem. – Musiało go zabość w krzyżu, bo syknął, prostując się.

– W porządku?

Opadło mnie nieprzyjemne wrażenie. Do sypialni wdzierał się zapach książek oraz inny, bardziej dojrzały, ludzki, a raczej męski, który w połączeniu z wonią naftaliny tworzył przygnębiający zaduch starości. Jak gdyby wszystko w tym pomieszczeniu było od dawna ustalone i nic nie miało się zmienić. To samo odczucie uderzyło mnie w furgonetce na Mulholland. A może to tylko moja wyobraźnia.

– Znalazłeś coś ciekawego w rachunkach telefonicznych? – spytałem.

– Nie. Może uganiał się za popularnością, ale po powrocie do domu nie był gadatliwy.

Czasami przez parę dni do nikogo nie dzwonił. A jeśli już rozmawiał przez telefon, to z Haiseldenem, Alice Zoghbie, supermarketem, apteką, antykwariatami, szewcem, sklepem Searsa i żelaznym.

– A rachunki za telefon komórkowy?

– Facet miał czarno-biały telewizor – roześmiał się Milo. – Nie miał ani komputera, ani sprzętu stereofonicznego. Pisał na maszynie do pisania. W komodzie znalazłem arkusze czerpanego papieru.

– I nie było na nich żadnych odcisków, jak to się zdarza w filmach?

– Tak, a ja jestem Brudny Harry.

– Staroświecki gość – zauważyłem – ale jak już coś robił, to etycznie.

Wysunąłem górną szufladę szafy. Leżały tam warstwy poukładanej bielizny, białe i zaokrąglone jak olbrzymia cukrowa wata, po obu stronach spoczywały pozwijane czarne skarpetki. Środkową szufladę zajmowały swetry, brązowe i czarne. Wsunąłem pod nie rękę, lecz nic nie znalazłem. Następna szuflada wypełniona była książkami medycznymi.

– W ostatniej to samo – powiedział Milo. – Poza zabijaniem ludzi, drugim hobby Mate'a było czytanie.

Przyklęknąłem, żeby otworzyć dolną szufladę. Leżały tam cztery tomy w twardej okładce, ze zniszczonymi grzbietami i krawędziami. Otworzyłem pierwszą. *Zasady chirurgii*.

– Wydana w 1934 - zauważyłem.

– Może gdyby uczył się na bieżąco, ta wątroba, którą podrzucił do szpitala, wyglądałaby lepiej.

Moją uwagę zwróciła czwarta książka, mniejsza od pozostałych, w rubinowej skórzanej okładce. Połyskująca nowością, z wytłaczanymi wzorami na grzbiecie... Ozdobne złote litery na szorstkiej jak pomarańcza powierzchni sztucznej skóry.

Kolekcjonerskie wydanie *Beowulfa*, opublikowane przez oficynę pod nazwą Towarzystwo Miłośników Klejnotów Literatury.

Wziąłem książkę do ręki. Była za lekka. Coś zakołatało w środku. Podniosłem okładkę. Ani jednej kartki, pusta przestrzeń. Na wewnętrznej stronie okładki metka MADE IN TAIWAN.

Pudełko ze sklepu z pamiątkami.

Tym, co grzechotało, był miniaturowy stetoskop. Dziecięca zabawka. Różowa plastikowa rurka, srebrne plastikowe słuchawki i końcówka. Słuchawki złamane, obok luźne kawałki plastiku.

– Połóż to – nakazał Milo, mrużąc oczy.

– Co się stało? – spytałem, spełniając polecenie.

– Zaglądałem do tej cholernej szuflady, kiedy przetrząsaliśmy mieszkanie, i tego tam nie było. Inne książki tak, ale tej nie. Czytając daty wydania, pomyślałem, że Mate uczył się ze



starodruków.

Zajrzał do wnętrza pudełka.

– Ktoś tu był? – spytałem. – Morderca zostawia pamiątkę tego, co zrobił w furgonetce?

Złamany stetoskop jako wiadomość: Mate wyeliminowany z interesu, teraz ja jestem doktorem?

Milo schylił się, sycząc z bólu.

– Przeciął równo plastik. Sądząc po kurzu, zrobił to tutaj... Bardzo równo.

– To nic trudnego, jeśli miał duże nożyce. Okropnie złośliwy krasnoludek.

– Przyszedł świętować zwycięstwo? – spytał Milo, drapiąc się po twarzy.

– I zostawić swój ślad.

Milo podszedł do drzwi i zerknął na półki z książkami.

– Byłem tu dwa razy od dnia morderstwa. Wszystko inne wygląda na nienaruszone...

Mówił bardziej do siebie niż do mnie, wiedząc, że przy tylu książkach nie można mieć pewności. Żółta taśma na drzwiach nikogo nie mogła powstrzymać przed wyważeniem zanka.

– Pani Krohnfeld widziała jakiegoś włóczęgę... – zacząłem.

– Który wszedł na schody i uciekł, kiedy na niego krzyknęła. Powiedziała, że facet wyglądał jak obszarpaniec. Czy nie należałoby się spodziewać, że ten, którego szukamy, jest lepiej zorganizowany?

– Sam powiedziałeś, że niektórzy lubią posługiwać się innymi.

– Morderca miałby kazać jakiemuś włóczędze włamać się do mieszkania i zostawić pudełko?

– Czemu nie?

– Jeśli to rodzaj naszczania na grób Mate'a, posłużenie się kimś chyba zmniejsza satysfakcję, prawda?

– Tak, ale może chodziło mu o zachowanie ostrożności – odparłem. – A wydawanie poleceń też daje pewną satysfakcję: Ja jestem szefem, ja mam władzę. Mogło być tak: morderca zna okolicę, bo przez pewien czas śledził Mate'a. Krąży po Hollywood, znajduje bezdomnego, płaci mu za dostarczenie paczki. Połowa pieniędzy z góry, druga po wykonaniu zadania. Może nawet przyczał się gdzieś na ulicy, żeby dopilnować faceta. Wybrał kogoś zaniedbanego specjalnie, dla bezpieczeństwa: nawet gdybyś złapał takiego włóczęgę, niewiele mógłby ci powiedzieć. Dodatkowe zabezpieczenie.

Milo wciągnął powietrze, wydał policzki, po czym wypuścił je bezgłośnie. Wyjął z kieszeni rękawice chirurgiczne i plastikową torebkę.

– Do akcji wkracza doktor Milo – powiedział, naciągając rękawiczki. – Dotknąłeś pudełka, ale zaręczę za ciebie. – Podniósł pudełko i obejrzał ze wszystkich stron.

– Ktoś, kto zna okolicę – ciągnął. – Przy Hollywood Boulevard jest pełno sklepików z pamiątkami. Może znajdę kogoś, kto niedawno to sprzedał.

– Może tytuł książki nie jest przypadkowy?

– *Beowulf*?

– To waleczny bohater, który zabija potwora.

Spędziliśmy w mieszkaniu jeszcze godzinę. Przetrzęsaliśmy półki z książkami i kuchnię w poszukiwaniu innych fałszywych tomów, ale nic nie znaleźliśmy. W niektórych książkach tkwiły paragony sprzed kilkadziesiąt lat z tanich księgarń w San Diego, Oakland, Los Angeles.

Po wyjściu Milo przykleił z powrotem żółtą taśmę, zamknął drzwi na klucz i strzepnął kurz z marynarki. Miałem wrażenie, że się skurczył. Po drugiej stronie ulicy, w skąpym cieniu zaniedbanej magnolii stała śniadokóra kobieta w średnim wieku z torebką w dłoni i zwiniętą gazetą pod pachą. Rzuciła się w oczy, stojąc tak w środku dnia na pustej ulicy miasta. Nie było tu przystanku, pewnie zamierzała złapać okazję. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, po czym nieznajoma przełożyła torebkę do drugiej ręki i rozpostarła gazetę.

– Jeśli pudełko jest „podarkiem”, to potwierdza hipotezę, że Mate miał współnika albo współników. Ktoś chce zająć miejsce Mate’a, w dosłownym sensie. Umieścił pudełko w sypialni, najbardziej osobistym miejscu mieszkania. To coś w rodzaju gwałtu. W furgonetce morderca obciął Mate’owi genitalia. Uwielbia władzę, dominację. Bawi się w Boga, jest psychopatycznym monoteistą, więc musi wyeliminować konkurencję. I robi to na terenie rywala. Widzę go, jak przechadza się po mieszkaniu i napawa triumfem. Wśliznął się na teren zabezpieczony przez policję, co wywołuje u niego dodatkowy dreszczyk emocji. Może przyszedł w nocy, żeby zmniejszyć możliwość wpadki, ale to nie jest pewne. Gdybyś ty albo ktokolwiek inny zjawił się tu niespodziewanie, znalazłby się w pułapce. Sypialnia jest w samym końcu mieszkania, które nie ma tylnego wyjścia. Nie miałby się gdzie ukryć, chyba że w szafie, więc żeby się wymknąć, musiałby przejść do pokoju i przycziąć się w labiryncie regałów. Myślę, że podnieca go niebezpieczeństwo. To samo wrażenie odniosłem na miejscu zbrodni. Operację przeprowadził na otwartej przestrzeni, wyjął z okien tekturę, żeby znaleziono ciało Mate’a. Posprzątał po sobie, ale miejsce zbrodni zostawił nienaruszone. I do tego list. Pedantyzm, a jednocześnie lekkomyślność. Psychopata z ponadprzeciętnym ilorazem inteligencji. Dość bystry, żeby planować swoje działania na krótką metę, ale jego słabym punktem jest to, że lubi się narażać.

– Czy to ma mnie pocieszyć?

– On nie jest Supermanem, Milo.

– To dobrze, bo i ja nie pochodzę z planety Krypton.

Milo stał, machając plastikową torebką. Kobieta po drugiej stronie ulicy podniosła głowę. Nasze spojrzenia znów się spotkały. Spuściła wzrok na gazetę.

– Zebraliśmy odciski palców w całym mieszkaniu. Jeśli morderca wszedł do mieszkania, mógł czegoś dotknąć. A my wszystko pozacieraliśmy. Jak sprowadzę techników jeszcze raz, może być zabawnie.

– Wątpię, czy zostawił odciski. Jest zbyt ostrożny.

– Na wszelki wypadek zrobię to. – Ruszył po schodach i nagle się zatrzymał. – Do kogo jest skierowana ta wiadomość? Bo przecież nie do opinii publicznej. Nie mógł mieć pewności, że znajdziemy pudełko tak jak zwłoki i kartkę.

– On mówi sam do siebie. Robi wszystko, żeby zwiększyć swoją satysfakcję, przywołać wspomnienia morderstwa. Może korci go, by wrócić na miejsce zbrodni, ale uważa to za zbyt niebezpieczne, więc włamanie się do domu Mate’a, samemu czy za pośrednictwem kogoś innego, jest tego najlepszą namiastką.

Przypomniałem sobie słowa Richarda Dossa. Z największą rozkoszą zatańczę na jego grobie.

– I ten złamany stetoskop. Jeśli prawidłowo zinterpretowałem zniknięcie torby Mate’a, morderca chce powiedzieć: „Ja mam prawdziwe narzędzia, a ty połamane śmieci”.

Zeszliśmy na dół.

– Hipoteza o współpracownikach skłania do myślenia – powiedział Milo, gdy znaleźliśmy się na ulicy. – Mecenas Haiselden powinien już dawno wrócić, a nadal go nie ma. Kto spędzał z Mate’em najwięcej czasu? Kto lepiej znał mieszkanie, a może nawet miał do niego klucz? Ten facet nie zachowuje się tak, jak powinien. Mate leży zimny od tygodnia, więc Haiselden powinien organizować konferencje prasowe jedna po drugiej. A on się nie pokazał, tylko zaszył jak mysz w dziurze. Co robi, zbiera szmal z automatów? Nie ma co mówić, gość nie ukrywa się bez powodu. Alice Zoghbie stwierdziła, że poza reprezentowaniem interesów Mate’a, Haiselden nic nie robił jako prawnik. To znaczy, że zaangażował się bez reszty. Mate był jego jedyną przepustką do sławy. Może chciał czegoś więcej, miał już dość grania drugich skrzypiec. Napatrzył się na maszynę Mate’a, widział, jak facet zabija kolejnych podróżnych, uznał, że ma kwalifikacje, aby samemu zostać doktorem od śmierci. Może Haiselden to jeden z tych, którzy poszli na prawo, bo nie dostali się na medycynę.

– Interesujące spostrzeżenie – zauważyłem. – Pasuje do tego pewna informacja, którą znalazłem w Internecie. Relacja z konferencji prasowej, którą Haiselden zwołał po jednym z procesów Mate’a. Powiedział wtedy, że Mate zasługuje na Nagrodę Nobla, a jemu, jako jego adwokatowi, należy się część pieniędzy.

Milo zacisnął pięści.

– Zleciłem poszukiwanie Kornowi i Demetriemu, ale teraz zajmę się tym osobiście. Od razu pojedę do jego domu. Facet mieszka w South Westwood. Podrzucę cię na komendę albo możesz jechać ze mną.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziła piąta. To był długi dzień.

– Zadzwoń do Robin i zabiorę się z tobą.

Podeszliśmy do wozu. Milo schował plastikową torebkę z dowodem w bagażniku, podszedł do drzwi od strony kierowcy i zatrzymał się, zerkając w lewo.

Śniada kobieta nadal stała w tym samym miejscu. Szybkim ruchem odwróciła głowę; wiedziałem, że nas obserwowała.

Usilnie wpatrywała się w gazetę. Papier drżał, choć nie było wiatru. Musiała zacisnąć dłonie. Pleciona torebka leżała na trawie.

Milo patrzył na nią, ale ona nie zwracała na to uwagi. Oblizła usta i jeszcze bardziej zagłębiła się w lekturze.

Na ułamek sekundy oczy nieznajomej powędrowały w stronę mieszkania Mate'a.

– Zaczekaj – powiedział Milo.

Ruszył w kierunku kobiety, a ja za nim. Rozchyliła usta. Były różowe, lekko spękane, na krawędziach białe od pomadki. Miała ciemną skórę i worki pod oczami.

Wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat, była niska, przysadzista, miała pulchną twarz i wielkie, piękne czarne oczy. Nosila granatowy poliestrowy żakiet narzucony na niebiesko-białą sukienkę w kwiaty, sięgającą do połowy łydki. Tani, cienki materiał podkreślał kręłą sylwetkę. Ze starych, lecz czystych tenisówek marki Nike wystawały lekko spuchnięte grube kostki. Opuszczone białe skarpetki odsłaniały zniszczoną skórę łydek. Paznokcie miała obcięte kwadratowo, a czarne, splecione w warkocz włosy przetykane siwizną sięgały do pasa. Skóra, lekko obwisła na szyi, szczęce i policzkach, była napięta na szerokim czole. Nie miała makijażu i nie nosiła biżuterii. Wyglądała na wieśniaczkę.

Podczas pracy w szpitalu poznałem kilka kobiet latynoskiego pochodzenia, które nosiły się podobnie, zrezygnowawszy z wszelkich ozdób. Długie włosy splecione w warkocz, workowate sukienki. Wszystkie były głęboko wierzącymi katoliczkami.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Pan jest... z policji, tak? – spytała niepewnie zaskakująco młodym głosem. Mówiła bez żadnego akcentu; słyhać było tylko minimalne zmiękczenie końcówek sylab. Mogłaby pracować w sekstelefonie.

– Tak, proszę pani – odparł Milo, migając odznaką. – A pani... Kobieta sięgnęła do torebki i wyjęła czerwony portfel z tworzywa imitującego skórę krokodyla. Okazała się dokumentem, jakby robiła to wiele razy.

Podsunęła Milo legitymację pracownika państwowej służby ubezpieczeń.

– Guillerma Salcido – odczytał Milo.

– Guillerma Salcido Mate – dodała tonem wyzwania. – Nie używam już jego nazwiska, ale to nic nie zmienia. Nadal jestem żoną doktora Mate'a... A właściwie wdową po nim.

Guillerma Mate wyprostowała się, jakby wypowiedzenie tych słów ją wzmocniło. Odebrała Milo identyfikator i wsunęła z powrotem do torebki.

– Poślubiła pani doktora Mate'a? – spytał Milo z niedowierzaniem.

Kobieta sięgnęła ponownie do torebki i wyjęła kolejny dokument.

Było to świadectwo ślubu z wyblakłymi literami koloru tektury. Wydane dwadzieścia siedem lat temu w mieście San Diego, w tymże okręgu. Guillerma Salcido de Vega i Eldon Howard Mate postanowili spróbować, czy ziści się ich sen o małżeńskim szczęściu.

– Proszę.

– Tak, widzę. Mieszka pani w Los Angeles?

– W Oakland. Kiedy się dowiedziałam, nie była pewna, czy powinnam przyjechać... To było tak dawno temu. Jestem zapracowana, opiekuję się starszymi ludźmi podczas rehabilitacji. Ale pomyślałam, że jednak przyjadę. Eldon przysyłał mi pieniądze ze swojej emerytury. Teraz, po jego śmierci, powinnam się zorientować w sytuacji. Więc wsiadłam do autobusu, a kiedy przyjechałam, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Co za straszne miejsce, wszystkie ulice rozkopane. Zgubiłam się. Nigdy wcześniej tutaj nie byłam.

– W Los Angeles?

– Nie, tutaj – odparła, wskazując grubym palcem dom, w którym mieszkał Mate. – Może to było jakimś znakiem.

– Znakiem?

– To, co stało się z Eldonem. Nie, nie jestem prorokiem. Ale kiedy dzieją się rzeczy niezgodne z naturą, czasem oznacza to, że trzeba działać. Pomyślałam, że powinnam sprawdzić. Na przykład, kto zajmie się pogrzebem. On był niewierzący, ale każdego trzeba pochować, bo przecież Eldon nie chciał, żeby go poddać kremacji.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Więc może ja powinnam to zrobić. Kościół mi pomoże.

– Kiedy ostatnio widziała pani doktora Mate'a?

Kobieta dotknęła palcem górnej wargi.

– Dwadzieścia pięć lat temu i... pięć miesięcy. Zaraz po tym, jak urodził się mój syn... jego syn. Eldon junior, nazywają go Donny. Eldon nie lubił Donny'ego, on w ogóle nie lubił dzieci. Powiedział to szczerze na samym początku, ale myślałam, że to tylko takie gadanie, że zmieni zdanie, jak będzie miał swoje dziecko. Więc zaszłam w ciążę. I co się stało? Eldon mnie zostawił.

– Ale utrzymywał panią?

– Niezupełnie. Trudno nazwać utrzymaniem pięćset dolarów miesięcznie. Zawsze

pracowałam. Ale przysyłał pieniądze przekazem pocztowym, co miesiąc, w terminie, to trzeba przyznać. W tym miesiącu nie dostałam, więc pięć dni po upływie terminu postanowiłam porozmawiać z kimś w wojsku. To była renta wojskowa, teraz powinni wysłać pieniądze prosto do mnie. Nie wiedzą panowie przypadkiem, do kogo się zwrócić?

– Może zdobędę dla pani numer telefonu – odparł Milo. – Jak często, w ciągu tych dwudziestu pięciu lat, widywała się pani z doktorem Mate'em?

– W ogóle nie utrzymywaliśmy kontaktów. Eldon po prostu przysyłał pieniądze. Kiedyś myślałam, że czuje się winny. Dlatego, że mnie zostawił. Ale teraz myślę, że to nie było tak. Żeby czuć się winnym, trzeba w coś wierzyć, a Eldon w nic nie wierzył. Więc może robił to z przyzwyczajenia, nie mam pojęcia. Kiedy żyła jego matka, wysyłał jej pieniądze. Nie odwiedzał jej, tylko wysyłał pieniądze. Zawsze bardzo mocno trzymał się swoich nawyków, wszystko robił dokładnie tak samo, za każdym razem. Koszule w jednym kolorze, spodnie też. Mówił, że dzięki temu ma więcej czasu na myślenie o tym, co ważne.

– Na przykład?

Wzruszyła ramionami. Nagle zamrugała powiekami i zachwiała się, jakby miała upaść. Podtrzymaliśmy ją.

– Nic mi nie jest – rzuciła gniewnie, uwalniając się. Wygładziła sukienkę, jakbyśmy ją pognięli. – Mam trochę za niski poziom cukru we krwi, nic wielkiego, muszę po prostu coś zjeść. Przywiozłam jedzenie z domu, ale ktoś ukradł mi torbę.

Zerknęła na Milo. – Chcę coś zjeść.

Podwieźliśmy ją do baru na Santa Monica koło La Brea. Matowo-złote przegródki, brudne szyby, woń smażonego bekonu, brząk zastawy zbieranej do plastikowych pojemników przez młodych chłopców. Milo wybrał stolik w kącie, gdzie zwykle siadają policjanci, żeby mieć na oku cały lokal. Siedzący obok dwaj robotnicy drogowi pochłaniali swoją codzienną porcję steku z jajkiem, reklamowanego pod szyldem baru. Cena jak z lat pięćdziesiątych, za niska, żeby pokryć koszt uboju. Lokal musiał być deficytowy.

Guillerma Mate zamówiła podwójnego cheeseburgera z frytkami i napój dietetyczny.

– Szynka, sałatka z ziemniakami i kawa.

Wystrój lokalu nie wzmagał apetytu, ale rano wypiętem tylko kawę. Zamówiłem więc rostbef z bułką, zastanawiając się, czy mięso pochodzi od budżetowej krowy.

Na posiłek nie czekaliśmy długo. Moja wołowina okazała się letnia i miała konsystencję gumy, a sposób, w jaki Milo kroił swoją szynkę, dał mi do zrozumienia, że nie trafił lepiej. Guillerma Mate jadła chciwie, zachowując powściągliwość. Kroiła burgera na drobne kawałeczki i wsuwała je do ust z regularnością linii montażowej. Skończywszy kanapkę, zabrała się do frytek. Nie zostawiła ani jednej.

Otarła usta i napiła się.

– Już mi lepiej. Dziękuję.

– Bardzo proszę.

– Kto zabił Eldona? – spytała.

– Sam chciałbym wiedzieć, proszę pani. Ta renta...

– Miał dwie, ale ja dostawałam tylko jedną, te pięćset dolarów z wojska. Większą, ze służby zdrowia, w wysokości dwóch tysięcy, zatrzymywał dla siebie. Wątpię, czy mogłam wydobyć od niego więcej. Dawał mi pieniądze, mimo że nie byliśmy rozwiedzeni. – Pochyliła się w naszą stronę. – Zarabiał więcej?

– Słucham?

– No, za te wszystkie zabójstwa, których dokonał?

– Co pani o nich myśli?

– Co myślę? Obrzydlistwo, śmiertelny grzech. Dlatego nie używam jego nazwiska. We wszystkich dokumentach kazałam zamienić nazwisko na Salcido. Kiedy się pobieraliśmy, Eldon nie był lekarzem. Zapisał się na medycynę, kiedy mnie zostawił. Pojechał aż do Meksyku, bo nigdzie nie chcieli go przyjąć. Był za stary. Mam znajomych w Oakland, którzy wiedzą, że byliśmy małżeństwem. W moim kościele. Ale nie rozgłaszam tego, wstydzę się. Niektórzy radzili mi, żebym znalazła adwokata, Eldon jest bogaty, mogę dostać od niego więcej. Ale powiedziałam, że to byłyby pieniądze za grzech. Znajomi mówili, żebym wzięła je mimo to i oddała na kościół. Sama nie wiem... Czy Eldon zostawił testament?

– Na razie nic o tym nie wiadomo.

– A więc trzeba będzie... zatwierdzić prawo do spadku, czy jak to się nazywa.

Milo nie odpowiedział.

– Właściwie spotkałam się z Eldonem, zaraz po jego odejściu. Ale tylko kilka razy. Donny i ja mieszkaliśmy w San Diego, a on był niedaleko w Meksyku. Potem, kiedy już został lekarzem, zaczął pracować w szpitalu w Oakland. Wtedy zrobiłam coś strasznie głupiego: zabrałam Donny'ego i pojechałam za nim. Nie wiem, co sobie wtedy myślałam... Że może teraz, kiedy jest lekarzem... To było głupie. Ale zjawiłam się tam z moim synem, który nawet nie znał ojca.

– Z Oakland nic nie wyszło? – spytałem.

– Z Oakland wyszło. Nadal tam pracuję. Z Eldonem nie wyszło. Nie chciał rozmawiać z Donnym, nie chciał wziąć go na ręce, nawet spojrzeć na niego. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Eldon miał na sobie biały kitel, Donny się wystraszył, zaczął płakać. Eldon się wściekł, wrzeszczał, żebym zabrała stąd tego bachora. I tak się skończyło.

Pani Salcido wzięła w palce listek sałaty.

Dzwoniłam do niego jeszcze parę razy, ale nie był zainteresowany. Odmówił spotkania.

Narodziny Donny'ego zniechęciły go kompletnie. Przeprowadziłam się więc do San Francisco, znalazłam pracę. Zabawne, bo po kilku latach wróciłam do Oakland. Czysze są tam niższe. Ale wtedy Eldona już tam nie było. Czeki przychodziły z Arizony, miał jakąś państwową posadę, nie wiem, co robił. Już wtedy przyszło mi do głowy, żeby skontaktować się z adwokatem.

– Dlaczego nie wniosła pani pozwu? – spytałem.

– Po co? Nie miałam zamiaru szukać sobie kogoś innego, a Eldon przysyłał mi swoją rentę wojskową. Sam pan wie, jak to jest.

– Jak to jest? – spytał Milo.

– Jeśli nie podejmie się decyzji od razu, nic z tego nie wyjdzie. Eldon przysyłał pieniądze co miesiąc i to mi wystarczało. A kiedy zaczął się zajmować zabijaniem, zrozumiałam, jakie miałam szczęście, że mnie opuścił. Kto chciałby mieszkać z kimś takim? Kiedy o tym usłyszałam, rozchorowałam się, naprawdę. Zobaczyłam go w telewizji. Nie widziałam go od lat, i ni stąd ni zowąd pojawił się na ekranie. Wyglądał starzej, wyłysiał, ale głos miał taki sam. Przechwalał się tym, co zrobił. Teraz już naprawdę zwariował, pomyślałam. Następnego dnia usiadłam przy telefonie, zmieniłam nazwisko na polisie ubezpieczeniowej i wszędzie, gdzie mogłam.

– Nigdy nie rozmawiała z nim pani o tym, co robi?

– Nie rozmawiałam z nim o niczym – odparła. – Chyba już o tym mówiłam?

Odsunęła talerz i napiła się napoju przez słomkę.

– Nawet gdyby naprawdę się wzbogacił, jak to by wyglądało, gdybym nagle się zjawiła i zażądała pieniędzy? – Dotknęła palcem rączki noża. – To były brudne pieniądze. Ja pracowałam przez całe życie, dobrze sobie radziłam. Proszę powiedzieć, czy on się wzbogacił na tym zabijaniu?

– Nic na to nie wskazuje.

– Więc po co to robił?

– Twierdził, że pomaga ludziom.

– Diabeł podaje się za anioła. Znałam Eldona, wcale go nie interesowało pomaganie komukolwiek, tylko sobie.

– Był egoistą? – spytałem.

– I to jakim. Zawsze w swoim świecie, robił tylko to, co chciał. Czytał, ciągle tylko czytał.

– Czemu tu pani przyjechała? – spytał Milo.

Guillerma Salcido wyciągnęła ręce, jakby w oczekiwaniu na podarunek. Jej ręce były wytarte, blade, pocięte ciemniejszymi liniami.

– Już powiedziałam. Pomyślałam, że trzeba... Chyba byłam ciekawa.

– Czego?

Wyprostowała się na krześle.

– Chciałam się dowiedzieć, jak żył. Gdzie mieszkał, co się z nim stało. Nigdy nie potrafiłam



go zrozumieć.

– Jak żeście się spotkali? – spytałem.

Uśmiechnęła się i wygładziła sukienkę. Upiła łyk lemoniady.

– Czemu pan pyta? Dlatego, że on był lekarzem, a ja mam ciemną skórę?

– Nie...

– Nie szkodzi, jestem do tego przyzwyczajona. Kiedy byliśmy małżeństwem, a ja woziłam Donny'ego w wózku, ludzie myśleli, że jestem służącą. Bo Donny jest podobny do Eldona. Wykapany ojciec, a Eldon i tak go nie lubił. Dziwne, co? Ale to mnie już nie martwi, liczy się tylko to, żeby być dobrym w oczach Jezusa. Właśnie dlatego nie będę się starać o pieniądze, które Eldon zarobił na zabijaniu. Jezus by się smucił. Wiem, że panowie uznają mnie za jakąś religijną wariatkę, ale moja wiara jest silna. Kiedy się żyje dla Jezusa, dusza pełna jest bogactw.

Roześmiała się.

– Co nie znaczy, że nie warto od czasu do czasu zjeść porządnego obiadu.

– Może deser? – zaproponował Milo.

Kobieta udała, że się namyśla.

– Jeśli panowie będą jeść. Milo zawołał kelnerkę.

– Szarlotkę na gorąco. A dla pani...

– Skoro mówimy o cieście, ciastka z kremem czekoladowym?

– Oczywiście – odparła kelnerka, zapisała i spojrzała na mnie. Potrząsnąłem głową.

– Eldon nie wierzył w Jezusa, i w tym cały kłopot – ciągnęła Guillerma Salcido, wodząc palcami po ustach. – W nic nie wierzył. Chcecie wiedzieć, jak się poznaliśmy? Zwykły przypadek. Eldon mieszkał w budynku, w którym moja mama sprzątała. Nie była legalną imigrantką, więc nie mogła dostać porządnej pracy. Ojciec był stuprocentowo legalny, miał pozwolenie na pracę, urządził ogródki w firmie Luckett Construction, która była wtedy największa. Kiedy ojciec dostał obywatelstwo, sprowadził mamę z San Salwador, ale ona nie postarała się o papiery. Ja urodziłam się tutaj, jestem Amerykanką. Znajomi nazywają mnie Willy. Spotykałam Eldona przy sprzątaniu alejek albo przycinaniu kwiatów. Czasem ze sobą rozmawialiśmy.

– To było w San Diego?

– Tak. Kilka lat wcześniej skończyłam liceum, pomagałam mamie, chodziłam na kurs, marzyłam, że zostanę pielęgniarką. Eldon był o wiele starszy, miał wtedy trzydzieści sześć lat, a wyglądał na czterdziestkę. Stracił już większość włosów. Z początku nie wydawał mi się atrakcyjny, ale później go polubiłam. Bo był taki grzeczny. Nie na pokaz, ale zawsze. I spokojny. A ja miałam dość hałaśliwych mężczyzn. Poza tym, uważałam go wtedy za geniusza. Pracował jako chemik, wszędzie miał pełno książek naukowych i innych, ciągle czytał. Wówczas robiło to na mnie wrażenie. Zdawało mi się, że edukacja jest drogą do zbawienia.

– Ale to się zmieniło?

– Mądrzy czy głupi – wszyscy jesteśmy tylko śmiertelnikami. Jedynym geniuszem jest ten na górze – powiedziała, wskazując sufit. – Czy geniusz zabijałby innych ludzi? Nawet tych, którzy o to proszą? Czy to mądre, skoro wszyscy będziemy musieli odpowiedzieć za nasze uczynki w innym świecie?

Potrząsnęła głową i ciągnęła, patrząc w sufit.

– Nie chciałabym być teraz na twoim miejscu, Eldon.

Kelnerka przyniosła deser. Guillerma Salcido poczekała, aż Milo skosztuje szarlotki, i dopiero wtedy zabrała się do swojego ciastka.

– Ale z początku była pani pod wrażeniem jego wykształcenia – powiedziałem.

– Zdawało mi się, że wykształcenie to wszystko. Chciałam być wykwalifikowaną pielęgniarką, kiedy się przeprowadziłam do Oakland... Pewnie pan nazwałby to mrzonkami. Myślałam, że Eldon otworzy prywatną praktykę, a ja będę pracować razem z nim. Ale okazało się, że on nie chce mieć nic wspólnego z Donnym i ze mną, więc musiałam pracować i nie skończyłam szkoły. – Oblizła wargi. – Nie narzekam. Zajmuję się starszymi ludźmi, robię to, co robią pielęgniarki. I wiem już, że nie ma drogi na skróty do szczęścia, bez względu na pracę wykonywaną na tym świecie. Najważniejszy świat to ten drugi, a jedyną drogą do niego jest Jezus. Właśnie tego uczyła mnie matka, tylko że wtedy jej nie słuchałam. Nikt jej nie słuchał, i to był ciężar, który musiała nieść na barkach. Mój ojciec był bezbożnikiem. Nie udało się jej go nawrócić aż do chwili, gdy leżał na łożu śmierci, gdy ból stał się nieznośny, więc co mu pozostało poza modlitwą? Zebrała łyżeczką śmietanę z wierzchu ciastka.

– Mój ojciec przez całe życie palił papierosy, zachorował na raka płuc, który rozszerzył się na kości, doszedł aż do kręgosłupa. Umarł w boleściach, dławiąc się i krzycząc. To było okropne, bardzo poruszyło Eldona.

– Eldon widział, jak pani ojciec umiera? – spytałem.

– A jakże. Ojciec zmarł tuż po naszym ślubie. Odwiedzaliśmy go w szpitalu, a on krztusił się krwią, wył z bólu. Eldon bladł jak trup i musieliśmy wychodzić. Kto by pomyślał, że zostanie lekarzem? Wiecie, co sobie myślę? Może wizyty u mojego ojca skłoniły Eldona do zabijania. To było naprawdę okropne, mama i ja wspierałyśmy się modlitwą. Ale Eldon się nie modlił, nawet gdy mama go błagała. Mówił, że nie będzie hipokrytą. Jeśli się nie ma wiary, taki widok może przerazić – powiedziała, kończąc ciastko.

– Czy wie pani o czymś, co pomogłoby nam ustalić, kto zabił pani męża? – spytał Milo.

– Chyba ktoś, komu nie podobało się to, co robił Eldon.

– Ma pani na myśli konkretną osobę?

– Nie... Ale to logiczne. Wielu ludzi nie pochwała działalności Eldona. Nie mówię o ludziach bogobojnych, bo oni nie zabijają. Ale może... – Uśmiechnęła się. – Gdyby to był ktoś taki jak on.

Człowiek bez wiary, który znienawidził Eldona. Bo Eldon miał trudną osobowość... Nie dbał o to, co mówił ani jak. W każdym razie tak właśnie się zachowywał, kiedy byliśmy małżeństwem. Bez przerwy kłócił się z ludźmi... Gdyby się znalazł na przykład tutaj, zaraz by zaczął narzekać na jedzenie, szukać kierownika, awanturować się. Może rozzłościł niewłaściwego człowieka, a ten pomyślał: on robi coś takiego i uchodzi mu to na sucho, więc można zabijać. To tak samo jak zawiązać buty. Spójrzmy prawdzie w oczy, jeśli nie wierzy się w tamten świat, co powstrzyma człowieka przed zabijaniem, gwałceniem, kradzieżą, wszystkim, co podszeptnie żąda?

Milo siedział nieruchomo z widelcem wbitym w ciastko. Zastanawiałem się, czy myśli to samo, co ja: tak niewiele słów, a ile przenikliwości.

– To do kogo mam się zwrócić w sprawie tej renty? I spadku? – spytała Guillerma Salcido.

W samochodzie Milo wykonał kilka telefonów i dowiedział się numeru urzędu rent wojskowych.

– Jeśli chodzi o spadek – powiedział – nadal próbujemy się skontaktować z adwokatem doktora Mate'a. Nazywa się Roy Haiselden. Czy dzwonił kiedyś do pani?

– Ten grubas, którego zawsze widziałam obok Eldona w telewizji? Nie. Myśli pan, że on ma testament?

– Jeżeli istnieje testament, to możliwe, że znajduje się u niego. Jak dotąd żadne dokumenty nie zostały zarejestrowane w archiwum okręgu. Zawiadomię panią, jeśli tylko zdobędę jakieś wiadomości.

– Dziękuję. Chyba zostanę w mieście przez kilka dni, może się czegoś dowiem. Są tu jakieś czyste, tanie noclegi?

– W Hollywood będzie ciężko, proszę pani. A przyzwoity hotel nie będzie tani.

– Nie powiedziałam, że w ogóle nie mam pieniędzy. Mam pracę, przywiozłam ze sobą dwieście dolarów. Chodzi mi tylko o to, żeby nie wydać więcej niż potrzeba.

Zawieźliśmy ją do West Coast Inn na Fairfax koło Beverly. Zameldowała się i zapłaciła banknotem studolarowym. W drodze do pokoju na pierwszym piętrze Milo ostrzegł, żeby nie obnosiła się z gotówką na ulicy.

– Nie jestem głupia – odrzekła Guillerma.

Pokoik był mały, czysty i hałaśliwy, z widokiem na Fairfax. Ulicą sunęły samochody, a dalej piętrzyły się nowoczesne zgrabne budynki telewizji CBS.

– Może zobaczę jakiś quiz – powiedziała kobieta, rozsuwając zasłony. Wyjęła kwiecistą sukienkę z torby i podeszła do szafy. – Dziękuję za wszystko.

Milo wręczył jej wizytówkę.

– Proszę zadzwonić, jeśli coś sobie pani przypomni. A przy okazji, gdzie jest pani syn?

Guillerma stała tyłem do nas. Otworzyła drzwi szafy i długo wieszała sukienkę. Zdjęła dodatkową poduszkę z górnej półki. Ścisnęła ją kilka razy i otrzepała dłonią.

– Proszę pani?

– Nie wiem, gdzie jest Donny – odparła wreszcie.

Jeszcze raz klepnęła poduszkę. Nagle wydała się drobna i przygarbiona.

– Donny jest bardzo bystry, jak Eldon. Spędził rok w więzieniu stanowym w San Francisco. Kiedyś myślałam, że też zostanie doktorem. Miał dobre stopnie, lubił się uczyć.

Stała, obejmując poduszkę.

– I co się stało? – spytałem.

Ramiona opadły.

Podszedłem i stanąłem obok niej. Odsunęła się i umieściła poduszkę na toalecie.

– To podobno przez narkotyki, tak mówią moi znajomi z kościoła. Ale ja nigdy nie widziałam, żeby brał narkotyki.

– Zmienił się – zauważyłem.

Guillerma schyliła się i zasłoniła oczy dłońmi. Ostrożnie ująłem ją za łokieć. Miała miękką, pulchną skórę. Poprowadziłem ją do fotela i podałem chusteczkę. Ścisnęła ją i po chwili otarła twarz.

– Donny zmienił się nie do poznania – powiedziała. – Przestał o siebie dbać. Zapuścił długie włosy i brodę, zrobił się niechlujny, jak bezdomni. Ale on ma dom, tylko nie chce do niego wrócić.

– Kiedy go pani ostatnio widziała?

– Dwa lata temu.

Zerwała się nagle, weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Usłyszeliśmy szum wody z kranu; po chwili wróciła i oznajmiła, że jest zmęczona.

– Gdzie będę mogła coś zjeść, kiedy zgłodnieję?

– Lubi pani chińszczyznę? – spytał Milo.

– Jasne. Zjem byle co.

Zadzwoił do restauracji i poprosił o dostarczenie jedzenia za dwie godziny. Kiedy wychodziliśmy, Guillerma przeglądała program telewizyjny.

Milo usiadł za kierownicą i zmarszczył czoło.

– Szczęśliwa rodzinka, nie ma co. A bezdomny syn, prawdopodobnie uzależniony od narkotyków, może mieć motyw, żeby zabić Mate'a. Może nadal chce być Mate'em. Może niepotrzebnie tak szybko wykluczyłem włóczęgę z kręgu podejrzanych.

– Jeśli Donny jest inteligentny, to nawet po załamaniu nerwowym mógł obmyślić plan. Mate odrzucił go i zostawił w sposób najgorszy z możliwych. Taki gniew często rodzi przemoc.

A popularność Mate'a jeszcze pogorszyła sprawę. W Donnym mogło się zagotować, może postanowił, że przejmie rodzinny biznes... Wyniszczający związek ojca i syna. Może Mate zgodził się z nim zobaczyć, wyznaczył spotkanie w Mulliolland, bo nie chciał wpuścić Donny'ego do mieszkania. Może nawet obawiał się o swoje bezpieczeństwo i dlatego ustawił furgonetkę tyłem. Ale chciał doprowadzić sprawę do końca... czy to z poczucia winy, czy dlatego, że podniecało go niebezpieczeństwo.

Milo nie odpowiedział. Połączył się z główną kartoteką i poprosił o sprawdzenie akt Eldona S. Mate'a. Nic. Dopiero kiedy kazał wprowadzić nazwisko Eldon Salcido, okazało się, że mężczyzna miał trzy wyroki, wszystkie w Kalifornii.

Sześć lat temu za jazdę pod wpływem alkoholu, kradzież dwa lata później i napad półtora roku temu. Odsiadka w więzieniu w okręgu Marin, wyjście na wolność sześć miesięcy temu.

– Półtora roku w więzieniu, a on nawet nie zadzwonił do matki – zauważyłem. – To oznacza, że jest bardzo odizolowany. Zaczął od prowadzenia pod wpływem alkoholu, a skończył na napadzie. Staje się coraz bardziej agresywny.

– Wartości rodzinne – powiedział Milo. – Ciekawe, co powie niezłomna wdowa, gdy okaże się, że Mate zostawił w banku trzysta tysięcy dolarów. Ciekawe, czy Alice Zoghbie albo ktoś inny upomni się o ten szmal... Właśnie po to przyjechała tu pani Guillerma zwana przez przyjaciół Willy. To zawsze sprowadza się do złości i walki o pieniądze. Zajmę się Donnym, ale tymczasem trzeba spróbować wykurzyć z nory tego cholernego adwokata.

Roy Haiselden mieszkał w lepszych warunkach niż jego najważniejszy klient, ale też nie jak sułtan. Zwykły, parterowy dom w brzoskwiowym kolorze stał przy Camden Avenue, na zachód od Westwood i na południe od Wilshire. Równo przycięty trawnik, żadnych ozdobnych krzewów, pusty podjazd. Wbity w trawę znak firmy instalującej systemy alarmowe. Milo zadzwonił, a potem zastukał do drzwi, zamkniętych na solidny zamek. Wepchnął klapkę skrzynki na listy i zerknął do środka.

– Same ulotki – powiedział. – Żadnej poczty. Więc wyjechał niedawno.

Znowu zadzwonił i zapukał. Spróbował zajrzeć przez białe zasłony w oknach od frontu, mruknął jednak pod nosem, że nie widzi nic szczególnego. Na podwórku, wśród trawy znajdował się owalny basen otoczony murkiem z cegły. Woda zazieleniła się od wodorostów.

– Jeśli Haiselden zatrudniał kogoś do opieki nad basenem, to dawno zrezygnował z jego usług – zauważyłem. – Może wyjechał na dłużej i odwołał dostarczanie poczty.

– Korn i Demetri to sprawdzili. Poza tym był tu ogrodnik.

Garaż był podwójny, zamknięty. Milo zdołał podnieść o kilka centymetrów drzwi i zerknął do środka.

– Nie ma samochodu. Stary rower, jakieś węże do polewania i różne graty.

Obejrzał dom ze wszystkich stron. Większość okien była zakratowana i zamknięta na skoble, podobnie jak tylne drzwi. Okno w kuchni, bez firanki, było wysokie i wąskie. Milo podsadził mnie, żebym zajrzał do środka.

– Naczynia w zlewozmywaku, ale czyste... Żadnej żywności... Wysoko na oknie końcówka alarmu, ale nie widzę przewodów.

– Pewnie atrapa. Niektórzy cwaniacy uważają, że ktoś się na to nabierze.

– Zbyt pewny siebie – dodałem. – Jak Mate. Milo opuścił mnie na ziemię.

– No, dobra, pogadajmy z sąsiadami.

Oba sąsiednie domy okazały się puste. Milo napisał na odwrocie wizytówki prośbę o telefon i zostawił w skrzynkach pocztowych. W następnym drzwi otworzył młody czarnoskóry mężczyzna. Gładko ogolony, o pełnej twarzy, bez butów, w szarej koszulce sportowej z logo uniwersytetu i czerwonych bawełnianych szortach. Pod pachą trzymał książkę, a w zębach żółty marker. Wyjął go i poprawił książkę; zobaczyłem tytuł: *Struktura organizacyjna. Podręcznik dla zaawansowanych*. W pokoju były dwa jasnobłękitne krzesła i niewiele oprócz tego. Puszki z napojami, torebki chipsów, na cienkim dywaniku leżało duże, poplamione tłuszczem pudełko po pizzy.

Chłopak przywitał Milo uprzejmie, ale na widok odznaki jego twarz stężała.

– Tak? – spytał. Byłem pewien, że ma ochotę dodać: „Czego znowu chcecie?”. Ciekawe, ile

razy zatrzymano go, gdy jechał samochodem przez Westwood.

Milo cofnął się i przyjął swobodną postawę.

– Chciałem zapytać, czy nie widział pan ostatnio sąsiada, pan Haiseldena.

– A, jego. Nie, nie widziałem go od kilku dni.

– Czy mógłby pan powiedzieć, od ilu dni, panie...

– Chambers – dokończył mężczyzna. – Curtis Chambers. Zdaje mi się, że widziałem, jak odjeżdżał jakieś pięć, sześć dni temu. Nie wiem, czy od tego czasu wracał, bo siedzę i się uczę. Czemu pan pyta?

– Czy pamięta pan, o jakiej porze pan go widział, panie Chambers?

– Rano, przed dziewiątą. Miałem się spotkać z profesorem, a on miał czas tylko do dziewiątej. To był chyba wtorek. O co chodzi?

Milo uśmiechnął się i podniósł palec.

– Jakim samochodem odjechał pan Haiselden?

– Jakąś furgonetką. Srebrną, z niebieskim paskiem z boku.

– To jego jedyny wóz?

– Tylko w tym go widziałem.

– Czy ktoś z nim mieszka?

– Nic o tym nie wiem – odparł Curtis Chambers. – Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Próbujemy skontaktować się z panem Haiseldenem w sprawie...

– Morderstwa doktora Mate'a?

– Widział go pan z doktorem Mate'em?

– Nie, ale wszyscy wiedzą, że był jego adwokatem. Sąsiedzi o tym gadają. Ten Haiselden to świr. W zeszłym roku urządziliśmy prywatkę, mieszkamy tu we czterech, sami studenci. Żadnych szaleństw, wszyscy jesteśmy kujonami, przez cały rok ta jedna impreza dla uczczenia końca semestru. Nie chcieliśmy nikogo denerwować, nawet rozesłaliśmy wiadomości do sąsiadów. Pani Kapłan – ta, która mieszka w domu obok – przysłała nam butelkę wina. Nikomu nie przeszkadzaliśmy, tylko Haiseldenowi. Wezwał gliniarzy. Było dwadzieścia po jedenastej i może mi pan wierzyć, że nic strasznego się nie działo, może muzyka grała trochę za głośno. Drętwy hipokryta. I to po tym wszystkim, co zrobił sąsiadom.

– A co zrobił?

– Ściągnął reporterów, telewizję, cały ten chłam.

– To było niedawno?

– Nie, parę lat temu – wyjaśnił Chambers. – Ja tego nie widziałem, nie mieszkalem tutaj, ale jeden z kolegów tak. Mówił, że ulica wyglądała jak ogród zoologiczny. Wtedy jeszcze Mate bywał czasem aresztowany. Razem z Haiseldenem odbywali tu konferencje prasowe. Zjeżdżały

ekipy telewizyjne ze światłami, kamerami, całym sprzętem. Blokowali ruch, zostawiali na trawnikach tony niedopałków i innego śmiecia. Niektórzy sąsiedzi poskarżyli się w końcu Haiseldenowi, ale nic sobie z tego nie robił. A potem zadzwonił po policję w czasie naszej prywatki. To palant, ciągle chodzi ze złą miną. Czemu go szukacie? Wykończył swojego kumpla?

– Dlaczego pan tak myśli, panie Chambers?

Chłopak uśmiechnął się.

– Bo go nie lubię... I dlatego, że zrezygnował z pracy. Skoro był tubą Mate'a, można przypuszczać, że dostałby kolejne zlecenia, zarobił więcej pieniędzy. Bo na tym to wszystko polega, prawda? Tylko to mi przeszkadzało w tym, co robił Mate.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Milo.

– Było jakoś, robienie widowiska z cierpienia innych. Chcesz uwolnić kogoś od bólu, w porządku. Ale czy to nie powinna być prywatna sprawa? Ten kolega opowiedział mi, że facet uwielbiał pokazywać się przed kamerą. Więc dalej powinien to robić. Ale pewnie teraz, po śmierci Mate'a, nie ma czego komentować.

– Chyba nie – zgodził się Milo. – Chce pan jeszcze coś o nim powiedzieć?

– Nie. Ale jeśli zostawi mi pan numer, zadzwonię, kiedy go zobaczę. Nasyłać gliny na prywatkę. Co za jełop.

– Najpierw pani Mate, a teraz on – powiedział Milo, kiedy wracaliśmy. – Trafne spostrzeżenia przypadkowych ludzi. Zdaje się, że wszyscy wszystko wiedzą oprócz mnie.

– Prawnik, który jeździ furgonetką.

– Tak, widać to ulubiony środek transportu psychopatycznych morderców. Ciekawe, co? Seryjny morderca, który reprezentuje w sądzie drugiego seryjnego mordercę. I to skutecznie.

– Chyba tylko to robił skutecznie – zauważyłem. – Nie mógł zarobić na życie praktyką, więc zajął się automatami do prania. Alice Zoghbie twierdzi, że to z powodu Mate'a, ale możliwe, że Haiselden cienko prządl już wcześniej, a Mate go uratował. Załapał się na to wszystko, chodził na przyjęcia, płał się w popularności. A potem doszło do konfliktu. Albo, jak powiedziałeś, Haiselden zapragnął czegoś więcej.

– Jest coraz bardziej podejrzany. Czas wybrać się do jego biura.

– Gdzie to jest?

– Przy Miracle Mile, w starej części, na wschód od Museum Row. Dzierżawi biuro nad perską restauracją. Jest tam jeszcze kilka innych prywatnych firm, które oszczędzają na czynszu. Cały budynek wygląda trochę jak dekoracja do starego filmu gangsterskiego.

– Ma sekretarkę?

– Byłem tam dwukrotnie, Korn i Demetri też dwa razy. Drzwi były ciągle zamknięte i nikt



nie otwierał. Trzeba dotrzeć do właściciela. Nie ma sensu, żebyś tracił czas. Wracaj do Robin.

Nie zaprotestowałem. Byłem zmęczony. Poza tym musiałem zajrzeć do karty Stacy Doss przed jej jutrzejszą wizytą.

– Na kim się skoncentrujesz? – spytałem. – Na Haiseldenie czy na Donnym?

– Czy muszę wybierać między drzwiami numer jeden i drzwiami numer dwa? A może wybiorę numer trzeci? Najlepiej na obu. Jeśli Donny jest włóczęgą, znalezienie go może trochę potrwać. Chcę się dowiedzieć, czy wypuszczono go na dobre, czy tylko warunkowo. Może ma kuratora, z którym można pogadać. Jeśli to jego widziała pani Krohnfeld, może nadal włóczy się gdzieś po Hollywood. To by pasowało do twojej hipotezy, że włóczył się za Mate'em.

– Tropienie tatusia.

– Który żyje we własnym świecie i wydaje mu się, że jest nieśmiertelny... Chyba uderzę do Petry, zna ulice jak mało kto.

Petra Cortnor pracowała jako detektyw w wydziale zabójstw, była młoda, inteligentna, uparta; ostatnio dostała awans na detektywa drugiego stopnia w nagrodę za pomoc Milo przy śledztwie w sprawie serii zabójstw ludzi upośledzonych. Potem rozwiązała razem z partnerem sprawę Lisy Ramsey, byłej żony aktora telewizyjnego, której ciało znaleziono w Griffith Park. Skierowała do mnie pacjenta, dwunastoletniego chłopca, który widział zbrodnię, bo mieszkał w parku. Dziecko okazało się jednym z najciekawszych przypadków w mojej karierze, wyjątkowo inteligentne, o złożonej osobowości. Rozeszły się pogłoski, że partner Petry, Stu Bishop, ma dostać pracę w zarządzie policji, a ona sama przed końcem roku zostanie awansowana na detektywa trzeciego stopnia. Pewnie potem nowy szef znajdzie jej jakieś eksponowane stanowisko.

– Pozdrów ode mnie Petrę – powiedziałem.

– Jasne – odrzekł Milo, ale jego wzrok błędził gdzieś w dali.

Był w swoim świecie. A ja cieszyłem się, że nie muszę mu towarzyszyć.

Poniedziałek, wpół do dziesiątej, koniec bardzo długiego dnia. Robin płała się w wannie, a ja przeglądałem w łóżku kartę Stacy Doss. Jutro rano będziemy rozmawiać ze Stacy, podobno o nauce. Za pierwszym razem wykorzystwała szkołę jako przykrywkę.

Marzec, ciepłe piątkowe popołudnie. Przed wizytą Stacy spotkałem się z dwojgiem nieszczęśliwych dzieci uwikłanych przez rodziców w spór o prawo do opieki nad nimi. Przez godzinę pisałem sprawozdanie, a potem czekałem na Stacy. Byłem jej ciekaw.

Mimo spostrzeżeń związanych z Richardem Dossem – a właściwie z ich powodu – starałem się podejść do jego córki z otwartym nastawieniem. Zachodziłem w głowę, jaka może być córka ze związku Richarda z Joannę. Nie miałem pojęcia.

Czerwona lampka sygnalizująca obecność kogoś przy bocznym wejściu zapaliła się dokładnie o czasie. Stacy, niewysoka dziewczynka, około metra pięćdziesięciu pięciu centymetrów – byłoby dziwne, gdyby dziecko Dossów osiągnęło wzrost koszykarki – trzymała pod pachą dużego formatu książkę w jasnozielonej okładce, której tytuł zasłaniał rękaw. Ubrana była w biały sweterek, obcisłe dżinsy i białe skarpetki.

Zwykłe krągłości typowe dla tego wieku, odrobinę pyzata buzia, ale żadnej nadwagi. Jeśli przytyła pięć kilo, jak twierdziła Judy Manitow, to wcześniej musiała być wyjątkowo chuda. Przypomniałem sobie zdjęcia córek Judy, które trzymała w gabinecie w budynku sądu. Dwie blondyneczki w króciutkich sukienkach... Bardzo szczupłe. Młodsza, Becky, wydawała się wręcz koścista.

Wszystko jedno, to Stacy była moją pacjentką. Miała pełne policzki, lecz podłużną twarz, przypominającą zdjęcie matki z czasów studenckich. Wysokie, szerokie czoło Richarda z kilkoma maleńkimi krostkami. Odrobinę szelmowski wyraz twarzy, odziedziczony po obojgu rodzicach.

Uśmiechała się nerwowo. Przedstawiłem się, wyciągając dłoń. Podała mi rękę, patrząc w oczy i uśmiechając się.

Ten uśmiech kosztował ją wiele wysiłku.

Była ładniejsza od Joannę, miała ciemne migdałowe oczy i drobne rysy, które podobają się chłopcom. Pewnie mówią o niej, że jest ładniutka.

Po ojcu odziedziczyła gęste, ciemne kręcone włosy. Długie i rozpuszczone, lśniły od jakiegoś środka pielęgnującego. Jej cera koloru śmietany była jaśniejsza niż cera Richarda, i delikatna, z widocznymi błękitnymi żyłkami na szczęce i skroniach. Skórka koło paznokcia, za krótko obcięta, zaczerwieniła się i spuchła.

Stacy ścisnęła mocniej książkę i podążyła za mną.

– Widziałam w ogrodzie ładną małą sadzawkę. Trzyma pan w niej karpie?

– Tak.

– Państwo Manitow też mają taką, tylko większą.

– Aha. – Byłem kilka razy w gabinecie Judy Manitow, ale nigdy w jej domu.

– Doktor Manitow zainstalował niesamowity wodospad. Można tam pływać. Pańska sadzawka jest bardziej... dostępna. Ma pan piękny ogród.

– Dziękuję.

Weszliśmy do gabinetu; Stacy usiadła z książką na kolanach. Teraz mogłem odczytać zapisany żółtymi literami tytuł: *Wybierz dla siebie najlepszą uczelnię!*

– Nie miałaś kłopotu ze znalezieniem mojego domu? – spytałem, siadając naprzeciwko niej.

– Ależ skąd. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną zobaczyć.

Nie jestem przyzwyczajony do podziękowań ze strony nastolatków.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Stacy. Zarumieniła się i odwróciła głowę.

– Czytasz to dla przyjemności?

– Niezupełnie – odparła z niepewnym uśmiechem. Rozejrzała się po gabinecie.

– Chcesz o coś zapytać?

– Nie, dziękuję – odrzekła, jakbym jej coś zaproponował. Uśmiechnąłem się.

– Chyba powinnam mówić o matce – powiedziała wreszcie Stacy.

– Jeśli chcesz.

– Nie wiem, czy chcę. – Palec wskazujący prawej dłoni powędrował do obrzmiałego palca lewej, przesunął się po nim. Pociągnęła krawędź obciętej skórki. Kropelka krwi wydłużyła się. Stacy zakryła ją prawą ręką.

– Tata mówi, że martwi się o moją przyszłość, ale myślę, że powinnam porozmawiać o mamie. – Ustawiła twarz tak, że zasłaniały ją ciemne włosy. – To chyba byłoby dla mnie dobre. Tak mówi moja przyjaciółka, która chce zostać psychologiem. Becky Manitow, córka sędzi Manitow.

– Becky bawi się w psychoterapię?

Stacy potrząsnęła głową, jakby myślenie o koleżance zmęczyło ją. Miała brązowe oczy, jak ojciec, ale w zupełnie innym odcieniu.

– Becky sama chodzi na psychoterapię i uważa, że to lekarstwo na wszystko. Schudła, nawet więcej niż chciała jej matka, więc wysłali ją do jakiegoś psychologa, i teraz sama chce zostać terapeutką.

– Przyjaźnicie się?

– Przyjaźniłyśmy. Becky nie jest... Nie chcę być niegrzeczna, ale ona nie interesuje się szkołą.

– Nie jest intelektualistką. Stacy roześmiała się cicho.

– Powiedzmy. Mama dawała jej korepetycje z matematyki.

Judy nigdy nie wspominała o problemie córki. Zresztą nie było powodu. Ale zaciekało mnie, dlaczego Judy nie skierowała Stacy do terapeuty, do którego chodziła Becky. Może lubiła mieć wszystko schludnie poukładane w osobnych przegródkach i nie pasowało jej to do ustalonego porządku.

– Nieważne, co mówi Becky albo ktoś inny. Ty sama wiesz, co jest dla ciebie najlepsze.

– Tak pan myśli?

– Tak myślę.

– Nawet mnie pan nie zna.

– Mimo to uważam, że jesteś kompetentna w tych sprawach i będę tak uważał, dopóki nie okaże się, że jest inaczej.

– No, dobrze – przytaknęła ze słabym uśmiechem, który przyszedł jej z wielkim trudem. Judy Manitow postawiła chyba tramą diagnozę: możliwe, że dziewczyna ma depresję.

Podniosła rękę. Krew na palcu zaschła; Stacy potarła bolące miejsce.

– Ale nie wiem, czy chcę. To znaczy, mówić o mamie. Bo co mogę powiedzieć? Kiedy o niej myślę, wpadam w dołek na kilka dni, a mam już tego dosyć. Właściwie, to nawet nie był szok... To, co się z nią stało, było naprawdę straszne, ale mama chorowała bardzo długo... Ojciec mówił to samo. Czy to jej słowa, czy jego?

– To brzmi jak kwestia z jakiegoś horroru. Ale moja mama umierała naprawdę długo... Nie tak jak mama koleżanki, która zginęła w wypadku na nartach. Wpadła na drzewo i było po wszystkim. – Stacy strzeliła palcami. – Cała rodzina patrzyła na to. To jest dopiero szok. Mama... Ja wiedziałam, że tak będzie. Zastanawiałam się, kiedy, ale...

Pierś Stacy podnosiła się i opadała, noga stukwała o podłogę. Palec wskazujący jeszcze raz powędrował do zaczerwienionego miejsca koło paznokcia, podrapał i cofnął się.

– Może rzeczywiście powinniśmy porozmawiać o mojej tak zwanej przyszłości – zaproponowała, podnosząc zieloną książkę. – Czy mogę skorzystać z łazienki?

Nie było jej przez dziesięć minut. Po upływie siedmiu już miałem wstać i sprawdzić, czy wyszła z domu, ale niespodziewanie wróciła. Włosy upięła w luźny kok, a usta błyszczały od pomadki.

– A więc – zaczęła. – Uczelnia, proces wyboru, mój brak poczucia celu.

– To zabrzmiało, jakbyś powtarzała czyjeś słowa.

– Tata, wychowawczynie w szkole, brat, wszyscy. Niedługo skończę osiemnaście lat, jestem prawie dorosła, więc powinnam mieć już jakieś aspiracje zawodowe, powinnam układać listę zajęć nadobowiązkowych, pisać życiorys pełen przechwałek, myśleć o tym, jak się najlepiej sprzedać. To wszystko jest takie... fałszywe. Chodzę do liceum Pali, wszyscy w mojej klasie

mają kręćka na punkcie wyboru uczelni. Ja nie, więc traktują mnie jak dziwadło z innej planety. – Wolną ręką przerzuciła szybko kartki zielonej książki.

– Nie możesz się w to wciągnąć?

– Nie chcę. Naprawdę mnie to nie interesuje, panie doktorze. Wiem, że gdzieś w końcu trafię. Ale czy to naprawdę sprawia jakąś różnicę, gdzie?

– A sprawia?

– Nie mnie.

– A wszyscy ci powtarzają że powinno.

– Albo to mówią wprost, albo... no sam pan wie... to wisi w powietrzu. Ta atmosfera. Cała szkoła podzieliła się na pół. Albo jesteś fajtłapą i skończysz w jakieś lokalnej szkółce, albo jesteś kujonem i masz obsesję na punkcie Stanford czy Ivy League. Powinnam być kujonem, bo mam dobre stopnie. Powinnam siedzieć z nosem w książkach przygotowujących do egzaminów końcowych, wypełniać formularze podań.

– Kiedy zdajesz egzaminy?

– Już zdałam, w grudniu. Wszyscy je zdawaliśmy, żeby poćwiczyć. Dobrze mi poszło, nie wiem, dlaczego mam to robić po raz drugi.

– Jaki miałaś wynik?

– Tysiąc pięćset dwadzieścia – odparła, rumieniąc się.

– To doskonale.

– Zdziwiłby się pan. W naszej szkole ci, którzy dostają tysiąc pięćset osiemdziesiąt, podchodzą jeszcze raz. Jeden chłopak poprosił rodziców o potwierdzenie, że jest amerykańskim Indianinem, aby dostać jakieś dodatkowe punkty. Nie widzę w tym sensu.

– Ja też nie.

– Jestem przekonana, że gdyby większości uczniów starszych klas zaproponować, że dostaną się do Harvardu, Stanford czy Yale, jeśli kogoś zamordują, zgodziliby się.

– Brutalny przykład – zauważyłem.

– Świat jest brutalny. Tak w każdym razie mówi ojciec.

– To rodzaj presji.

– Chyba tak. Poznał pan mojego ojca... Jakie sprawił na panu wrażenie?

– To znaczy?

– Dogadaliście się? Powiedział mi, że jest pan bystry, ale w jego głosie było coś... jakby nie był do pana przekonany. – Zachnęła się. – Mam za dużą buzię... Tata jest nadmiernie aktywny, ciągle musi być w ruchu, musi myśleć, coś robić. Choroba mamy doprowadziła go do szaleństwa. Zanim zachorowała, wspólnie prowadzili bardzo aktywne życie: biegali, tańczyli, grali w tenisa, podróżowali. Kiedy przestała żyć, został sam. Wtedy mu odbiło.

Zabrzmiało to jak kliniczna ocena kogoś, kto stoi z boku. Rodzinna obserwatorka? Czasem

dzieci przyjmują taką rolę, bo jest łatwiejsza niż uczestnictwo.

– Trudno mu było się przestawić – zauważyłem.

– Tak, ale w końcu dotarło to do niego.

– Co?

– Że musi działać na własną rękę. On zawsze znajdzie sposób, żeby się przystosować.

A to zabrzmiało jak oskarżenie. Uniosłem pytająco brwi.

– Jego sposób radzenia sobie ze stresem to ruch. Podróże służbowe. Pan wie, czym zajmuje się ojciec, prawda?

– Rozbudową nieruchomości.

Stacy potrząsnęła głową, jak gdybym źle zrozumiał.

– Rozbudową podupadłych nieruchomości. Zarabia pieniądze na porażkach innych ludzi.

– Chyba rozumiem, dlaczego uważa, że świat jest brutalny.

– O tak. Brutalny świat podupadłych nieruchomości – roześmiała się. Westchnęła, jej ręce się rozluźniły. Położyła książkę na brzegu stołu i odepchnęła ją. Ręce wróciły na kolana. Luźne, bezbronne. Ramiona opadły jak u nastolatki. Dopiero teraz miałem wrażenie, że czuje się u mnie dobrze.

– Nazywa siebie bezwzględnym kapitalistą. Pewnie wie, co o nim mówią. W gruncie rzeczy jest z siebie dumny.

Powiedziała to z pogardliwym podtekstem, jednostajnym tonem, jak mnich recytujący modlitwę. Kpiła ze swojego ojca wobec obcego człowieka, lecz robiła to z wdziękiem. Takie sygnały często zapowiadają uchylenie wieczka na przykrytym garnku, w którym od dawna wrze.

Czekałem na więcej. Stacy skrzyżowała nogi, opuściła ramiona jeszcze niżej i potrząsnęła włosami, jakby chciała podkreślić nonszalancję.

Wzruszenie ramionami miało oznaczać: twoja kolej.

– Coś mi się zdaje, że nieruchomości nie są twoją pasją – powiedziałem.

– Kto to wie? Chcę zostać architektem, więc nie powinnam aż tak bardzo ich nie lubić. Szczerze mówiąc, w ogóle nie czuję niechęci do biznesu, w przeciwieństwie do niektórych moich znajomych. Tyle że wolałabym coś budować, niż być... Wolałabym być twórcza.

– Niż być czym?

– Chciałam powiedzieć: hiena. Ale to nie jest w porządku wobec ojca. To nie jego wina, że niektórym ludziom się nie udaje. On po prostu wykorzystuje nadarzające się możliwości. Nic w tym złego, po prostu nie chciałabym tego robić... Właściwie nie mam pojęcia, co chciałabym robić. – Wykonała gest, jakby dzwoniła wyimaginowanym dzwonkiem. – Uwaga, głęboka myśl. Nie mam celu.

– A architektura?

– Chyba mówię to ludziom, bo nie mam nic innego do powiedzenia. Możliwe, że nie będę

lubić architektury.

– Czy są jakieś przedmioty w szkole, które cię interesują? – spytałem.

– Kiedyś lubiłam nauki przyrodnicze. Przez jakiś czas zdawało mi się, że mogłabym wybrać medycynę. Chodziłam na wszystkie kursy przygotowawcze, dostałam piątki z egzaminów. A teraz sama nie wiem.

– Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? – Czyżby śmierć matki, która była naukowcem?

– Po prostu... Medycyna nie jest już tym, czym była kiedyś, prawda? Becky powiedziała mi, że jej ojciec nie znosi swojej pracy. Jakieś urzędnicy z biura opieki zdrowotnej dyktują, co mu wolno, a czego nie. Doktor Maniłow nazywa ich zakląką medycyny. Po tych wszystkich szkołach dobrze byłoby mieć trochę swobody w tym, co się robi. Pan lubi swoją pracę?

– Bardzo.

– Psychologia – wypowiedziała to słowo, jakby przed chwilą je poznała. – Mnie interesuje bardziej prawdziwa nauka... Przepraszam, to było niegrzeczne! Miałam na myśli nauki ścisłe...

– Nie czuję się dotknięty – odrzekłem z uśmiechem.

– Ja naprawdę szanuję psychologię. Ale bardziej mi odpowiada chemia albo biologia. Lepiej się czuję w takich konkretnych dziedzinach.

– Psychologia jest nauką miękką. To jedna z przyczyn, dla których ją lubię.

– Co znaczy?

– Ludzka natura jest nieprzewidywalna. Dzięki temu życie jest ciekawe, wymaga wysiłku.

Stacy zastanowiła się.

– Miałam w szkole kurs psychologii, w pierwszej klasie. Nie można było za to zdobyć punktów na świadectwo, czyli właściwie się nie liczył, ale okazał się ciekawy... Becky dostała kręćka na tym punkcie, każdy nowo poznany symptom natychmiast komuś przypisywała. A potem nagle się ode mnie oddaliła... niech pan nie pyta, dlaczego, bo nie wiem. I nie obchodzi mnie to, nie miałyśmy wspólnych zainteresowań od czasu, gdy lalki powędrowały do szafy... Chyba nie ciekawi mnie żaden rodzaj medycyny. Wszystko to wydaje mi się za mało naukowe. Mama była u wszystkich specjalistów, jakich można sobie wyobrazić, i żaden nie umiał jej pomóc. Jeśli zdecyduję się zrobić coś ze swoim życiem, wolałabym, żeby to było coś bardziej twórczego.

– Chcesz szybko widzieć rezultaty tego, co robisz?

– Niekoniecznie szybko. Chcę, żeby były ważne. – Dotknęła ręką koka. – To co, że nie umiem wyznaczyć sobie celu? Jestem drugim dzieckiem, więc to chyba normalne? Mój brat ma dość koncentracji za nas oboje, dokładnie wie, czego chce: zdobyć Nagrodę Nobla z ekonomii, a potem zarobić miliony. Pewnego dnia przeczyta pan o nim w „Fortune”.

– Tak, to naprawdę dokładnie wytyczony cel.

– Eryk zawsze wie, czego chce. Jest geniuszem. Kiedy miał pięć lat, wziął „The Wall Street

Journal”, przeczytał artykuł o popycie i podaży na rynku soi i następnego dnia wygłosił dzieciom w przedszkolu wykład na ten temat.

– Czy to rodzinna opowieść? – spytałem.

– Co to znaczy?

– Odniosłem wrażenie, że powtarzasz coś, co usłyszałaś od rodziców. Chyba że to pamiętasz. Ale miałaś wtedy dopiero trzy lata.

– Tak – przyznała Stacy, nieco zmieszana. – Chyba tata mi to opowiedział. Albo mama, któreś z nich. Ojciec nadal opowiada tę historyjkę. Chyba od niego ją usłyszałam.

Pytanie: Jakie historyjki tata opowiada o Stacy?

– Czy to coś znaczy?

– Nie – odparłem. – Po prostu ciekawią mnie rodzinne opowieści. A więc Eryk potrafi się skoncentrować na dążeniu do celu.

– I do tego jest genialny. Dosłownie. Jest najinteligentniejszą osobą, jaką znam. Ale nie jest nudziarzem. Uparty, nigdy nie daje za wygraną. Jak raz sobie coś postanowi, nie popuści.

– Lubi Stanford?

– Z wzajemnością.

– Twój rodzice tam studiowali?

– Tak, to rodzinna tradycja.

– Czy to też jest rodzaj presji?

– Jestem pewna, że tata byłby wniebowzięty. Oczywiście, o ile się dostanę.

– Myślisz, że się nie dostaniesz?

– Nie wiem... I nic mnie to nie obchodzi.

Ustawiłem fotele w pewnej odległości, żeby Stacy czuła się swobodnie. Teraz pochyliła się, jak gdyby szukała fizycznego kontaktu.

– Nie chcę się deprecjonować, panie doktorze. Wiem, że jestem bystra. Nie tak jak Eryk, ale jestem. Pewnie bym się dostała, choćby po to, żeby przedłużyć rodzinną tradycję. Tylko że prawdę mówiąc, dostałam inteligencję na próżno, ona się zmarnuje. Wyzwania intelektualne, zmienianie świata albo robienie wielkiego szmalu nie obchodzi mnie nic a nic. Może to lekkomyślność, ale taka właśnie jestem.

Wyprostowała się i oparła na fotelu.

– Ile czasu nam zostało? Zapomniałam zegarka.

– Dwadzieścia minut.

– No więc... – zaczęła, wodząc wzrokiem po ścianach.

– Męczący dzień? – spytałem.

– Nie, wręcz przeciwnie. Tylko powiedziałam kolegom, że spotkam się z nimi w Beverly Center. Jest dużo wyprzedaży, świetny moment na robienie lekkomyślnych zakupów.



- To musi być fajne.
- Bezmyślne.
- Nie ma nic złego w zabawie.
- Powinnam cieszyć się życiem?
- Oczywiście.
- Oczywiście – powtórzyła. – Bawić się.

Jej oczy wypełniły się łzami. Podałem jej chusteczkę. Ścisnęła ją i zgmiotła w delikatnej, białej piątce.

- Porozmawiajmy o mojej mamie – powiedziała.

Spotkałem się ze Stacy trzynastcie razy. Przez cztery tygodnie po dwa razy, a potem przez pięć tygodni po jednym razie. Zjawiała się punktualnie i chętnie współpracowała. Połowa każdej sesji wypełniona była szybkim, nerwowym opowiadaniem o filmach, książkach, szkole, kolegach. Unikała starannie tego, co nieuniknione, a potem poddawała się. Sama podejmowała decyzję, bez żadnej zachęty z mojej strony.

- Ostatnich dwadzieścia minut każdego spotkania zarezerwowanych było dla matki.

Nie płakała, tylko opowiadała cicho, z przejęciem. Stacy miała szesnaście lat, kiedy Joannę Doss zaczęła się pogrążyć; opisywała ten proces w podobny sposób, jak ojciec: jako stopniowy, nieprzerwany, zakończony groteską.

– Patrzyłam, jak leży na łóżku, taka bierna... Właściwie zawsze taka była. Podejmowanie decyzji zostawiała ojcu. Ona gotowała kolację, ale on ustalał menu. Była dobrą kucharką, ale nie miało dla niej znaczenia, co gotuje. Tak jakby to była jej praca, a ona chciała ją wykonać dobrze, ale nie zamierzała udawać... inspiracji. Kiedyś, dawno, znalazłam małe pudełko, w którym zbierała wycinki z przepisami. Więc wtedy jej chyba zależało. Ale za moich czasów już nie.

- Więc to ojciec miał najwięcej do powiedzenia w rodzinie – zauważyłem.

- Ojciec i Eryk.

- Ty nie?

– Też miałam czasem coś do powiedzenia – odrzekła Stacy z uśmiechem – ale wolałam zatrzymać to dla siebie.

- Dlaczego?

- Uznałam, że to dobra strategia.

- Na co?

- Na przyjemne życie.

- Czy Eryk i ojciec wykluczają cię z podejmowania decyzji?

– Nie, skąd. W każdym razie nie robią tego świadomie. Ich łączy chyba jakaś... męska wspólnota. Dwa potężne mózgi, które prą do przodu. Przyłączenie się do nich byłoby jak skok do pędzącego pociągu... Dobra metafora, co? Chyba powinnam ją wykorzystać w wypracowaniu

z angielskiego. Mój nauczyciel to pretensjonalny snob, uwielbia metafory.

– A więc przyłączanie się do nich jest niebezpieczne.

Stacy położyła palec na dolnej wardze.

– To nie znaczy, że patrzą na mnie z góry... Chyba nie chcę, żeby uważali mnie za idiotkę. Oni po prostu... tworzą tandem. Kiedy Eryk jest w domu, czasem czuję się, jakbym miała przed sobą kopię taty.

– A kiedy go nie ma?

– To znaczy?

– Czy dogadujesz się z ojcem?

– Tak, ale on dużo podróżuje i mamy różne zainteresowania. Lubi kolekcjonować, a mnie kolekcjonowanie rzeczy w ogóle nie bawi.

– Co kolekcjonuje?

– Zaczął od dzieł malarzy kalifornijskich. Potem sprzedał wszystkie obrazy z wielkim zyskiem i zajął się chińską porcelaną. Całe ściany domu są tym wypełnione. Dynastia Han, Sung, Ming i Bóg wie co jeszcze. Doceniam te rzeczy, są piękne. Ale po prostu nie interesuje mnie kolekcjonerstwo. Trzeba być optymistą, żeby zbierać porcelaną na terenie narażonym na trzęsienia ziemi. Przykleja je do półek specjalnym woskiem z muzeum, ale co z tego. Jeśli przyjdzie Wielkie Trach, nasz dom zamieni się w cmentarzysko zastawy stołowej.

– A jak było po ostatnim wstrząsie?

– Wtedy jeszcze tata nie zbierał porcelany. Zaczął, kiedy mama zachorowała.

– Myślisz, że istnieje jakiś związek? – spytałem.

– Między czym?

– Zbieraniem porcelany i chorobą twojej matki.

– Dlaczego... Ach, rozumiem. Przestali robić te rzeczy, więc musiał się zająć czymś innym. Możliwe. Przecież już mówiłam, że tata umie się przystosować.

– A jakie było zdanie mamy na temat porcelany?

– Nie miała zdania. Nie miała zdania o niczym... Erykowi podoba się porcelana. Może ją odziedziczy, mnie to nie interesuje. – Uśmiechnęła się nagle. – Jestem królową apatii.

Pod koniec szóstej sesji Stacy powiedziała:

– Czasem się zastanawiam, za jakiego faceta wyjdę. Ciekawe, czy będzie tak dominujący jak tata albo Eryk, bo do nich przywykłam, czy ktoś zupełnie inny. Nie, nie myślę o tym zbyt często. Ale ostatnio Eryk przyjechał na weekend i razem z tatą poszli na aukcję sztuki azjatyckiej. Patrzyłam, jak wychodzą razem z domu niczym bliźniaki. To mniej więcej wszystko, co wiem o mężczyznach.

Potrząsnęła głową.

– Tata ciągle coś kupuje. Czasami mi się wydaje, że interesuje go tylko jedno: ekspansja. Jak gdyby jeden świat to dla niego za mało. Eryk chciał się dzisiaj wybrać ze mną do pana.

– Czemu?

– Nie ma jutro zajęć i spytał, czy posiedziałabym z nim dzisiaj w domu, bo jutro odlatuje. To miło z jego strony, prawda? On jest naprawdę dobrym bratem. Powiedziałam, że najpierw muszę zobaczyć się z panem. Nie wiedział, że tu przychodzę, tata strasznie dba o dyskrecję. Wygłosił mi mowę, że chociaż nie skończyłam jeszcze osiemnastu lat, jego zdaniem, mam pełne prawa. Jakby robił mi z tego wyjątkowy prezent, ale mnie się wydaje, że jest trochę zakłopotany. Kiedy wspomniałam o terapii Becky, szybko zmienił temat... W każdym razie Eryk nie wiedział o panu i był bardzo zaskoczony. Zaczął mi zadawać pytania, chciał wiedzieć, czy pan jest mądry, którą uczelnię pan skończył. A ja zdałam sobie sprawę, że nie wiem. Wskazałam moje dyplomy.

– Stary, dobry uniwersytet. Nie Stanford czy Ivy League, ale chyba go zadowolili.

– Uważasz, że musisz zaspokajać wymagania Eryka?

– Pewnie, przecież to on jest mądrałą... Nie, Eryk ma prawo do swoich opinii, ale one nie mają wpływu na mnie. Postanowił nie przychodzić, wybrał przejażdżkę rowerem. Może kiedyś go pan pozna.

– Jeśli będę grzeczny? Roześmiała się.

– Oczywiście. Poznanie Eryka to nagroda jedyna w swoim rodzaju. Wiele myślałam o Eryku. O koszmarnych zdjęciach, które zrobił matce.

Stojąc przy łóżku, rejestrował jej żalony stan w ostrym, bezwzględny blasku flesza. A ojciec nosił te fotki przy sobie niczym trofea myśliwskie. Czy Richard Doss nienawidził swojej żony aż tak bardzo?

– Jak Eryk przyjął śmierć matki? – spytałem.

– Milczeniem. Milczącym gniewem. Zwolnił się ze szkoły, żeby być przy niej. Zaraz po jej śmierci wyjechał. – W głosie Stacy wyczułem chłód, dotknęła palcem paznokcia, spuściła wzrok.

Zły ruch. Nie wolno wspominać o bracie, trzeba się koncentrować na niej.

Ciekawe, czy widziała zdjęcia.

– No cóż.

– No cóż – powtórzyła, zerkając na zegarek.

Zostało jeszcze dziesięć minut. Stacy zmarszczyła brwi. Spróbowałem ponownie nawiązać kontakt.

– Dwa tygodnie temu mówiliśmy o tym, że wyrażanie swoich opinii w twojej rodzinie nie jest łatwe. Jak twoja matka...

– Nie miała żadnych opinii. Obróciła się w pustkę.

– W pustkę – powtórzyłem.

– Tak. Dlatego nie byłam zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, co zrobiła... przy pomocy

Mate'a. To znaczy zdziwiłam się, gdy usłyszałam o tym w wiadomościach. Ale kiedy szok minął, zdałam sobie sprawę, że wszystko pasuje... Absolutna bierność.

– A więc nie dała ci żadnego znaku...

– Żadnego. Nie powiedziała ani słowa, nie pożegnała się. Pochwaliła, że ładnie wyglądam. Czasami tak mówiła. Wymazała się z rzeczywistości. Bo prawda jest taka, że wycofała się z życia, zanim pojawił się Mate. Dziennikarze zawsze pokazują to tak, jakby Mate coś robił, ale to nieprawda. Jeśli inne jego ofiary zachowywały się tak samo jak mama, to nic nie musiał robić. Nawet nie kiwnął palcem, nie dała mu szansy. Mama nie chciała być.

Już miałem sięgnąć po chusteczkę higieniczną. Nagle Stacy wyprostowała się i postawiła stopy na podłodze.

– To wszystko jest strasznie smutne, panie doktorze.

Chłodna ocena osoby patrzącej z zewnątrz, którą zapamiętałem z pierwszej sesji.

– Tak.

– Mama była wyjątkowo mądra, miała dwa doktoraty, mogła zdobyć Nagrodę Nobla, gdyby tylko chciała. To po niej Eryk odziedziczył inteligencję. Ojciec też jest bystry, ale mama była genialna. Jej rodzice też. Pracowali jako bibliotekarze, nie zarabiali wiele, ale byli mądrzy. Oboje młodo umarli. Na raka. Może mama bała się, że też ją to spotka. Dzięki niej Becky Maniłow podciągnęła się z matematyki z D na B. Kiedy Becky przestała się z nią widywać, znowu zaczęła dostawać D.

– Becky przestała brać korepetycje, bo twoja mama zachorowała?

– Chyba tak. Milczenie. Minuta do końca.

– Nasz czas się skończył, prawda? – spytała Stacy.

– Za chwilę się skończy.

– Nie, zasady to zasady. Dziękuję za pomoc. Teraz już nieźle sobie radzę. W miarę. – Zebrała książki.

– W miarę?

– Nigdy nie wiadomo – odparła. Nagle się roześmiała. – Proszę się o mnie nie martwić. Ze mną wszystko w porządku. Czy mam jakiś wybór?

W czasie kilku ostatnich sesji przychodziła gotowa do rozmowy o swoim żalu. Z powagą, bez płaczu, zmian tematu, dygresji czy ucieczek w beztroski śmiech.

Starła się.

Chciała zrozumieć, dlaczego matka odeszła bez pożegnania. I wiedziała, że na niektóre pytania nie ma odpowiedzi.

Mimo to Stacy zadawała je. Dlaczego to spadło na jej rodzinę? Na nią?

Czy matka w ogóle była chora? A może to były sprawy psychosomatyczne, jak powiedział

doktor Manitow... Usłyszała jego rozmowę z żoną, kiedy, wydawało im się, że są sami. Nie wiem, Bob, odparła sędzia Manitow. Wierz mi, Judy, fizycznie jest z nią wszystko w porządku, powiedział doktor. To powolne samobójstwo.

W łazience sąsiadującej z kuchnią Stacy wściekała się na niego. Jak mógł coś takiego powiedzieć, drań?

Ale jednocześnie dało jej to do myślenia. Bo lekarze nie wykryli u matki żadnego schorzenia. Ojciec powtarzał, że lekarze nie wiedzą wszystkiego, że nie są tak mądrzy, jak im się zdaje. A potem przestał ją wozić na badania. Czy to nie świadczy o tym, że nawet on uważał, iż choroba żony kryje się w głowie? Bo przecież badania powinny coś wykazać...

W czasie jedenastej sesji Stacy zaczęła mówić o Eldonie.

Nie była na niego zła, jak ojciec. Albo Eryk. Oni zawsze reagowali gniewem, jeśli stawali wobec czegoś, co było poza ich kontrolą. Taka typowa męska wściekłość, chęć zniszczenia, zmiążdżenia przeciwnika.

– Twój ojciec chciał zmiążdżyć Mate'a? – spytałem.

– To retoryka. Mówi tak o wszystkim, co mu się nie podoba. Jeśli ktoś chce go wykiwać w interesach, żartuje, że zetrze go na proch, zmiecie z powierzchni ziemi. Takie gadanie typowego macho.

– A co ty o nim sądzisz?

– Żałosny nieudacznik. Przy jego pomocy czy bez niej, mama przestałaby być.

Na początku dwunastej sesji Stacy oznajmiła, że nie ma nic więcej do powiedzenia o matce, że powinna zająć się swoją przyszłością. Bo w końcu postanowiła, że mimo wszystko chce mieć jakąś przyszłość.

– Może jednak architektura – powiedziała z uśmiechem. – Wyeliminowałam wszystkie inne możliwości. Ruszam ostro do przodu, panie doktorze. Chcę się dostać na wydział architektury w Stanford. Wszyscy będą zadowoleni.

– Nawet ty?

– Nawet ja. Nie ma sensu nic robić, jeśli nie przyniesie to satysfakcji. Dziękuję, że pomógł mi pan to sobie uświadomić.

Chciała zakończyć terapię, ale zachęciłem ją do jeszcze jednego spotkania. Przyszła z broszurkami i katalogiem wykładów w Stanford. Przejrzeliśmy razem program wydziału architektury. Była raczej pewna, iż dokonała właściwego wyboru.

– O ile nie ma pan nic przeciwko temu – powiedziała – chciałabym spotkać się z panem w przyszłym roku, kiedy złożę papiery. Może mógłby mi pan udzielić kilku wskazówek... Jeśli pan się tym zajmuje.

– Oczywiście, z przyjemnością. Poza tym, zawsze możesz zadzwonić, jeżeli będziesz chciała o czymś porozmawiać.

– Jest pan bardzo miły. Spotkania z panem były bardzo pouczające.

Nie musiałem pytać, co chce przez to powiedzieć. Byłem mężczyzną, ale nie takim jak jej ojciec czy brat.

Dochodziła dziesiąta, kiedy zamknąłem teczkę. Stacy zakończyła terapię, twierdząc, że odnalazła cel w życiu. Rano jej ojciec dał mi do zrozumienia, że przemiana okazała się tymczasowa. Obiecała zadzwonić, ale nie zadzwoniła. Zwykle młodzieńcze roztargnienie? A może nie chciała, żebyem dostrzegł jej porażkę?

Mimo iż Stacy obwieściła swoją niezależność, nigdy nie uważałem, że w jej przypadku odniosłem terapeutyczny triumf. Z tym, co przeszła, nie można się uporać w ciągu trzynastu sesji. Chyba przez cały czas wiedziałem, że coś przede mną ukryła.

Czy jutro rano naprawdę będziemy mówić o studiach?

Przeglądając kartę po raz kolejny, znalazłem coś w moich notatkach z jedenastej sesji. Było zapisane moimi charakterystycznymi skrótami, których nauczyłem się podczas pracy w sądzie.

Pacj. odkr. wróg. ojc. do Mate'a.

„Oni zawsze reagowali gniewem, jeśli stawali wobec czegoś, co było poza ich kontrolą. Taka typowa męska wściekłość, chęć zniszczenia, zmiążdżenia przeciwnika”.

Zadzwonił telefon.

– Doktorze Delaware, godzinę temu przyszła wiadomość do pana – oznajmiła operatorka. – Pan Fusco przekazał, że może pan do niego zadzwonić o dowolnej porze.

Nie znałem tego nazwiska. Poprosiłem o przeliterowanie.

– Leimert Fusco. Myślałam, że imię brzmi Leonard, ale poprawił mnie. – Podała numer w Westwood. – I jeszcze jedno, panie doktorze. Ten mężczyzna powiedział, że pracuje w FBI.

Budynek administracji federalnej, w którym mieści się kwatery FBI, jest właśnie w Westwood, na rogu Wilshire i Veteran. Kilka przecznic od domu Roya Haiseldena. Czy to istotne? I dlaczego ten facet zadzwonił do mnie, a nie do Milo?

Trzeba to uzgodnić z Milo. Pomyślałem, że po tak frustrującym dniu Milo nie poszedł od razu do domu, więc zadzwoniłem do niego na komendę. Nikt nie odebrał, w domu też, a komórka była poza zasięgiem.

Niepewny, czy robię słusznie, wybrałem numer Fusco. Głęboki, szorstki głos, przypominający szuranie ciężkich butów o cement, wyrecytował zwykłą formułkę: „Tu agent specjalny Leimert Fusco. Proszę zostawić wiadomość”.

– Mówi doktor Alex Delaware...

– Dziękuję, że pan tak szybko oddzwonił, doktorze – przerwał głos, który był nagrany na sekretarce.

– Czym mogę panu służyć?

Śmiech.

– W ilu śledztwach bierze pan udział? Proszę się nie martwić, doktorze, wiem, że

współpracuje pan z detektywem Sturgisem, uprzedziłem go o moim telefonie do pana. Niedługo się z nim spotkam, nie był pewien, czy pan też będzie mógł przyjechać. Pomyślałem, że porozmawiam z panem osobiście, żeby sprawdzić, czy ma pan jakieś informacje, którymi chciałby się pan podzielić z FBI. Mam na myśli głównie spostrzeżenia psychologiczne. Nawiasem mówiąc, jestem psychologiem.

– Rozumiem. – Ale naprawdę nic z tego nie rozumiałem. – To, co wiem, a nie jest tego dużo, przekazałem już detektywowi Sturgisowi.

– Tak. On też dał mi to do zrozumienia. Milczałem.

– Ale dziękuję panu. Trudna sprawa, co?

– Na to wygląda.

– No cóż, taka już nasza praca. Dziękuję za telefon.

– Nie ma za co.

– Wie pan, doktorze, my, w FBI, naprawdę mamy doświadczenie w tej dziedzinie.

– W jakiej dziedzinie?

– Zabójstw dokonanych przez psychopatów. Morderstw z podtekstem psychoseksualnym.

Nasze bazy danych są imponujące.

– To świetnie. Mam nadzieję, że coś znajdziecie.

– Ja też mam taką nadzieję. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę.

Czułem się jak człowiek nagrany przez niewidzialną kamerę w głupiej sytuacji.

Coś mnie zastanowiło... Zadzwoiłem do informacji i spytałem o numer FBI.

Kilka początkowych cyfr w numerze telefonu Fusco świadczyło o tym, że jest to prawdopodobnie numer wewnętrzny. Kobięcy głos nagrany na sekretarce oznajmił, że o tej porze nikt już nie urzęduje. Licho nie śpi, agendy rządowe tak.

Wybrałem numer Milo, znowu bez powodzenia.

Telefon Fusco zaniepokoił mnie. Za krótki, trochę bezcelowy. Jakby chciał mnie sprawdzić.

Wiedziałem, że to paranoiczne, ale mimo to wstałem, sprawdziłem wszystkie drzwi i okna, włączyłem alarm. Kiedy wszedłem do sypialni, Robin czytała w łóżku książkę; wśliznąłem się pod kołdrę obok niej. Miała na sobie moją koszulkę i nic więcej. Pogładziłem ją po boku.

– Pilnie pracowałaś – zauważyła.

– Etyka pracy Środkowego Zachodu. – Sięgnąłem pod koszulkę i wyczułem pod palcami gęsią skórę między łopatkami.

– Idziemy spać? – spytała, ziewając.

– Nie wiem.

Lekkim ruchem potargała mi włosy.

– Kolejna zarwana noc?



- Mam nadzieję, że nie.
- Jesteś pewien, że nie chcesz się położyć?
- Jeszcze trochę. Słowo.
- To ja śpię.

Zgasiła światło, pocałowaliśmy się; Robin przekreśliła się na bok. Wstałem, zamknąłem za sobą drzwi, poczłapałem do kuchni i zaparzyłem sobie zielonej herbaty. Spike chrapał na posłaniu w przedśionku.

Wypiłem herbatę i spróbowałem o wszystkim zapomnieć. Zielona herbata zwykle mi smakuje, ale dzisiaj skojarzyła mi się z rybnym hot dogiem bez ryby.

Przypomniałem sobie, że przemądrzali spece w białych kitlach uważają ten napój za jedyny zdrowy napar ziołowy, ze względu na ogromną zawartość antytoksyn. Życie bombarduje nas wszelkiego rodzaju truciznami, więc dlaczego sobie nie pomóc?

Spróbowałem jeszcze raz zadzwonić do Milo, tym razem w odwrotnym porządku: najpierw na komórkę, potem do domu, i w końcu na komendę. Udało się: Milo podniósł słuchawkę w swoim gabinecie.

- Gdzie byłeś? – spytałem jak zirytowany ojciec.
- Tutaj. Co się stało?
- Dzwoniłem parę minut temu i powiedzieli, że wyszedłeś.

– Byłem na górze, w biurze porucznika. Nie chodziło o śledztwo. Zdaje się, że moi detektywi w pieluszkach są niezadowoleni. Zadania, które wykonują w wydziale zabójstw, nie odpowiadają im. Czuję się jak przedszkolanka.

- Nie znalazłeś Haiseldena?

– Odczep się, też mi psychoterapeuta. Biuro zamknięte, właściciel kamienicy to jakiś Chińczyk, ledwo duka po angielsku. Haiselden ma zapłacić czynsz dopiero za dwa tygodnie, więc co go obchodzi, gdzie jest? Chyba powinienem jeszcze raz zajrzeć do domu, sprawdzić, kto zajmuje się ogrodem... Posłałbym tam Korna i Demetriego, ale oni kwękają, więc muszę być ostrożny.

- Znalazłeś się w defensywie? Myślałem, że policja to służba paramilitarna.

– Ostatnio bardziej przypomina żłobek. Wiesz, że można teraz dostać się do akademii policyjnej z wyrokiem za narkotyki na koncie, pod warunkiem że wykroczenie nie było zbyt poważne? Naćpani gliniarze, wyobrażasz sobie? No dobra, co sływać?

Opowiedziałem o telefonie Fusco.

– Władze federalne przemówiły. Facet ma doktorat z psychologii, spodziewałem się, że do ciebie zadzwoni.

– Nie chciałem z nim rozmawiać bez uzgodnienia z tobą. Co nie znaczy, że mam mu coś ciekawego do powiedzenia.

– Tak, oczywiście. Przepraszam bardzo, powinienem ci powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Przyjechał z Wirginii, z Zespołu Nauk Behawioralnych, ważny gość. Wygląda na to, że mój telefon do archiwum kogoś obudził.

– Co proponuje?

– Konsylium. Pewnie chce wybadać, czego się dowiedziałem, i nawet sobie nie wyobraża, że to dla niego strata czasu. Jeśli uzna, że śledztwo nie rokuje nadziei na rozwiązanie, machnie ręką a jeśli zobaczy, że mam jakiś wartościowy trop, spróbuje się podłączyć i zebrać trochę laurów... Przesłał mi faksem taki słodki liścik: „Jeśli tylko mogę w czymś pomóc, bla bla bla... Zastępca dyrektora Zespołu Nauk Behawioralnych”, i tak dalej.

– Powiedział, że umówiłeś się z nim na spotkanie.

– Chciał jutro, ale się nie zgodziłem, obiecałem, że pozostaniemy w kontakcie. Będę przeciągał, ile się da, dopóki nie dostanę od szefów polecenia, żeby się z nim zobaczyć. Strata czasu. A może powinienem podejść do tego z otwartą głową, jak sądzisz?

– Ale nie za bardzo otwartą, żeby ci mózg nie wypadł.

– To już się stało... Jeśli w końcu dojdzie do tego spotkania, to na jego koszt. Dwufuntowe steki z ziemniakami w Dining Car albo w Palm... Już zaczynam się głodzić. Przez trzy miesiące w roku muszę pracować na Urząd Skarbowy. Niech FBI zapłaci przynajmniej rachunek za mój cholesterol. Coś jeszcze?

– Nadal chcesz się spotkać jutro z panem Dossem?

– O jedenastej w jego biurze. Czemu pytasz?

– Bo ja mam się spotkać o jedenastej ze Stacy.

– Patrz, jaka synchronizacja. Chcesz mi coś powiedzieć o kochanym tatuśku?

– Nie.

– No, więc owocnej psychoterapii, jadę do domu. Jeśli zasnę za kierownicą, możesz sobie wziąć mój piórnik.

– Uważaj na siebie.

– Zawsze to robię. Słodkich snów, profesorku.

– Nawzajem.

– Ja nie śnię, Alex. To sprzeczne z regulaminem.

Wtorek, godzina jedenasta. Słońce, upał, czyste powietrze – poranek piękny ponad miarę. Lecz pogoda nie miała znaczenia. Czekałem w gabinecie ponad pół godziny, ale Stacy się nie pojawiła.

Odwałem trochę papierkowej roboty, zadzwoniłem do szkoły. Sekretarka знаła moje nazwisko, bo prowadziłem też innych uczniów. Tak, Stacy zwolniła się z zajęć dwie godziny temu. Zadzwoniłem do domu, nikt nie odebrał. Żadnej wiadomości o odwołaniu sesji na mojej automatycznej sekretarce. Już miałem wybrać numer biura Dossa, ale z nastolatkami trzeba uważać i nie nadszarpnąć ich zaufania, zwłaszcza gdy mają ojca takiego jak Richard.

Poza tym Milo właśnie rozmawiał z Richardem, co dodatkowo komplikowało sprawę.

Po upływie kolejnych dziesięciu minut skończył się czas sesji. Stacy zrobiła sobie wagary, normalna rzecz, tylko że jej zdarzyło się to pierwszy raz. Z drugiej strony, nie widziałem się z nią od pół roku, a w okresie dojrzewania to szmat czasu. Może to ojciec namówił ją na spotkanie, a ona w końcu mu się postawiła.

A może miała z tym coś wspólnego śmierć Mate'a. Czyżby przypomniała jej o tym, co się może stać z kobietą, która pozwala sobie nie być?

Wypełniłem kartę, spodziewając się telefonu od kogoś z rodziny Dossów jeszcze tego samego dnia.

Ale to Milo wyjaśnił sprawę.

Zjawił się u mnie tuż po trzynastej.

– Spokojny poranek, co? – rzucił, przechodząc obok mnie i kierując się prosto do kuchni. Już dawno zaprzyjaźnił się z moją lodówką. Przywitał ją nieznacznym uśmiechem i na początek poczęstował się kartonem mleka i dojrzałą brzoskwinia.

– Niewiele zostało – mruknął, zerkając do środka – nie warto brudzić szklanki.

Podszedł do stołu, podniósł karton, otarł usta i zaatakował zębami brzoskwinie jakby chciał się zemścić na wszystkich owocach.

– Panienska Doss nie przyjsć na sesję – zaczął. – *Swami* Milo wiedzieć, bo panienska Doss przyjsć do tatusiowego biura akurat wtedy, kiedy miała się spotkać z tobą. A ja właśnie zaczynałem pogawędkę z ojczulkiem. Chodziło o brata. Wygląda na to, jakby zniknął.

– Ze Stanford?

– Ze Stanford. Doss przesunął spotkanie z jedenastej na dziesiątą. Ledwie zdążyłem wstąpić w progi jego świątyni. Byłeś tam kiedyś?

Pokiwałem głową.

– Apartament z widokiem na ocean, super wyposażenie plus prywatne muzeum. Antyki, obrazy, ale przede wszystkim orientalne, łatwo tłukące się przedmioty: setki mis, czar, waz,

statuetek, flakonów na kadzidło i czego dusza zapragnie. Na szklanych półkach wszystko to wygląda, jakby unosiło się w powietrzu. Aż się bałem głębiej odetchnąć, ale chyba właśnie o to chodzi. Może specjalnie zmienił godzinę spotkania, żeby wytrącić mnie z równowagi. Zostawił wiadomość o północy, dziwne, że w ogóle do mnie dotarła. Pewnie chodziło o to, żeby nie dotarła, przyszedłbym o jedenastej, a on by powiedział, no cóż, trudno. Ale ja się stawiłem, poczekałem, nawet w końcu mnie wprowadzono. Doss siedział za biurkiem szerokim jak rzeka, musiałem przygiąć kark aż do bólu, żeby podać mu rękę – ten facet niczego nie zostawia przypadkowi, co, Alex?

Przypomniałem sobie, jak musiałem sięgać po zdjęcia.

– I co było później?

– Ledwie posadziłem tyłek, odezwał się jego interkom. „Mówi Stacy”. Doss osłupiał. Nim zdążył odłożyć słuchawkę, mała wpadła do biura z otwartą buzią, jakby chciała coś powiedzieć, ale zauważyła mnie, rzuciła mu spojrzenie typu: Tato, musimy pogadać na osobności. Doss poprosił, żebym ich na chwilę zostawił. Wyszedłem do poczekalni, sekretarka wisiała przy telefonie, więc nie domknąłem drzwi do końca. Wiem, że to nieładnie, ale...

Przebiegły uśmiezek detektywa, z dużą domieszką podejrzliwości.

– Byli strasznie podekscytowani, usłyszałem parę razy nazwę Stanford, imię Eryk, więc domyśliłem się, że chodzi o jej brata. Wtedy Doss zaczął zadawać pytania: „Kiedy?”, „Jak?”, „Jesteś pewna?”, jakby to, co się stało, było jej winą. Niestety, sekretarka oderwała się od słuchawki, rzuciła mi mordercze spojrzenie i zamknęła drzwi. Czekałem jeszcze dziesięć minut.

Milo obgryził złoty miąższ aż do pestki i zabrał się do mleka. Biały płyn wlewał się łukowatą strugą do gardła policjanta z dziobka kartonu wiszącego dwa centymetry nad jego ustami. Mięśnie gardła naprężyły się, zaczęły pulsować. W końcu opuścił pusty karton.

– To jest to - mruknął.

– Co się stało potem?

– Po paru minutach Stacy wyszła z bardzo nerwowym wyrazem na twarzy. Za nią wynurzył się Doss i oświadczył, że nie może teraz rozmawiać, pilne sprawy rodzinne. Zgodnie z regulaminem, zapytałem: Czy mogę w czymś pomóc? Doss spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: nie ze mną te numery, frajerze. Kazał mi ustalić następny termin spotkania z sekretarką i zniknął w porcelanowym pałacu. Sekretarka popatrzyła w kalendarz: jutro nie ma szans, może w czwartek? Świetnie. Na parkingu poprosiłem strażnika o wskazanie wozu Dossa. Czarne bmw 85 Oi z chromowanymi kołami, przyciemnionymi szybami – co jest niedozwolone – i spojlerem. Najbardziej błyszcząca rzecz, jaką w życiu widziałem, jak umaczana w szkło. Z garażu jest tylko jedno wyjście, więc zaparkowałem trochę dalej na ulicy i czekałem. Ale Doss się nie pokazał. Widocznie, jeśli powstał jakiś problem, załatwiał go przez telefon. Jedno mi utkwiło w pamięci: ciemne bmw. Właśnie taki samochód widział Paul Ulrich tego ranka, kiedy

zabito Mate'a.

– W Westside jest ich jak psów.

– To fakt – przytaknął Milo, dwoma susami pokonując odległość do lodówki. Wyciągnął karton soku pomarańczowego, otworzył i podniósł do ust. – Ale moja ciekawość nie została zaspokojona, więc zadzwoniłem do Stanford, połączyłem się z akademikiem Eryka i porozmawiałem z chłopakiem, z którym dzieli pokój. Nazywa się Chad Soo. Udało mi się wydobyć od niego, że Eryk przez kilka dni wyglądał na załamane, a przez kilka następnych nie zjawił się w akademiku.

– Kiedy to było?

– Wczoraj, Chad zadzwonił dopiero dzisiaj rano. Nie chciał wpędzać kolegi w tarapaty, ale Eryk nie przyszedł na ważne kolokwium, co do niego nie pasuje, więc następnego dnia pomyślał, że może jednak trzeba kogoś zawiadomić. Zadzwonił do domu i rozmawiał ze Stacy.

– Sam ci to wszystko powiedział?

– Myślał, że rozmawia z dyrektorem szkoły Stacy. Jak to jest z tymi dziećmi, Alex? Jego matka nie żyje od dziewięciu miesięcy, a on wpada w depresję dopiero teraz, po zabójstwie Mate'a?

– Śmierć Mate'a mogła przywołać wspomnienia.

– Tak... No i w ten sposób dowiedziałem się, że czeka cię milcząca sesja. Stacy nie zadzwoniła?

– Jestem pewien, że zrobi to, jak sytuacja się wyjaśni.

Milo łyknął soku.

– A co do bmw – zacząłem – Ulrich mówił, że widział mniejszy model, taki jak jego.

– Tak, masz rację. Wstałem.

– Spróbuję zadzwonić do Stacy z gabinetu.

– To znaczy, że mam spadać.

– To znaczy, że możesz zostać w kuchni.

– Świetnie. Zaczekam.

– Dlaczego?

– Coś mi się nie podoba w tej rodzinie.

– Co?

– Są za bardzo skryci, mają za dużo sekretów. Doss nie powinien bawić się ze mną w kotka i myszkę, chyba że ma coś do ukrycia.

Ruszyłem do gabinetu.

– Tylko zamknij za sobą dokładnie wszystkie drzwi – krzyknął Milo.

Sekretarka Richarda zasłoniła się napiętym terminarzem szefa jak tarczą: rozmawiając z nią

można było odnieść wrażenie, że szansa dzisiejszego spotkania z Dossem jest mniejsza niż prawdopodobieństwo, że na świecie nagle zapanuje pokój.

– Dzwonię w sprawie Stacy. Czy nie wie pani, gdzie ona może być?

– Czy coś się stało?

O jedenastej nie zjawiła się na umówioną wizytę – wyjaśniłem.

– Naprawdę? – powiedziała. Ale nie usłyszałem w jej głosie zaskoczenia. – Jestem pewna, że musi być jakiś powód... Czy mam dopisać opłatę za sesję do rachunku, doktorze?

– Nie o to chodzi. Chcę się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Ach tak, rozumiem... No cóż, pana Dossa nie ma. Ale jakiś czas temu widziałam Stacy. Czuje się dobrze. Nie mówiła, że była umówiona na spotkanie z panem.

– To pan Richard ustalił termin. Może zapomniał jej powiedzieć. Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił.

– Przekażę wiadomość, doktorze, ale pan Doss wyjechał w interesach.

– Jak zwykle? – spytałem. Chwila milczenia.

– Nie zapomnimy o rachunku, panie doktorze. Do widzenia. Wracając do kuchni, łudziłem się nadzieją, że Milo wpadł nagle na jakiś ślad, wyszedł i nie będę musiał zachowywać kamiennej twarzy. Ale on siedział przy stole i wyglądał na zbyt zadowolonego, jak na detektywa, który rozpracowuje morderstwo i nie ma ani jednego tropu.

– Gadka-szmatka i nie zwracaj pan głowy? – spytał. Wzruszyłem ramionami.

– I co teraz?

– Robimy swoje... Doss to ciekawy typ. Mały człowieczek za monstrualnym biurkiem, jego fotel musi chyba stać na jakimś podeście. Założę się, że należy do tych, których podnieca zastraszenie przeciwnika. Magia dominacji. Tak, muszę mu się dokładnie przyjrzeć.

– A co z Royem Haiseldenem i Donnym Mate'em?

– Ich też szukam. Okazało się, że poczta została odwołana. Przesyłki czekają na doręczenie w filii w Westwood. Alice Zoghbie mówiła prawdę, Haiselden ma automaty pralnicze. Jest posiadaczem sześciu, głównie we wschodniej części stanu: El Monte, Artesia, Pasadena.

– Zbieranie pieniędzy bywa ryzykowne. Sam się tym zajmował?

– Tego jeszcze nie wiem. Mam tylko dane jego firmy. Roy Haiselden, Kleen-U-Up, Inc. A jeśli idzie o Donny'ego Mate'a, nie wyszedł na warunkowe, odsiedział cały wyrok. Petra o niego wypytuje. Dzięki za przekazkę.

Milo musnął mnie ręką po ramieniu. Lekko, bardzo lekko. Ruszył do wyjścia.

– Szczęśliwego polowania – rzuciłem.

– Nic mnie tak nie uszczęśliwia, jak polowanie.

Stacy zadzwoniła o czwartej po południu. Ledwie ją słyszałem; zastanawiałem się, skąd dzwoni. Czyżby dostała od Richarda własny srebrny telefon?

– Przepraszam za kłopot – powiedziała bez skruchy, chłodnym głosem. Znow się odgrodziła murem.

– Co się stało, Stacy?

– Jeszcze pan nie wie? – spytała beznamiętnie.

– Chodzi o Eryka.

– A więc ojciec się nie pomylił.

– W jakiej sprawie?

– Tego policjanta, który do niego przyszedł. Ojciec powiedział, że to pański przyjaciel. On przekazuje informacje panu, a pan jemu. Nie przyszło panu do głowy, że to może być kłopotliwe?

– Stacy, rozmawiałem na ten temat z twoim ojcem i...

– Ale ze mną pan nie rozmawiał.

– Bo nie było okazji. Zamierzałem poruszyć ten temat dzisiaj.

– A gdybym powiedziała, że mi się to nie podoba?

– Wtedy zrezygnowałbym z udziału w śledztwie. Właśnie tak zamierzałem uczynić, ale twój ojciec mnie od tego odwiódł. Chciał, żebym to robił dalej.

– Dlaczego?

– O to musiałabyś spytać jego.

– Chciał, żeby pan dalej brał udział w śledztwie?

– Powiedział to bardzo jasno. Stacy, jeśli chodzi o kwestię poufności...

– Nie rozumiem. Był zły, kiedy mówił mi o tym policjancie.

– Detektyw Sturgis go rozgniewał?

– Ojciec złościł się, że przesłuchują go jak przestępcę. I ma rację. Jakby było mało tego, co przeszliśmy w związku z mamą, jeszcze policja się czepia. A ja nagle dowiaduję się, że pan z nimi współpracuje. To nie w porządku.

– W takim razie wycofam się ze śledztwa.

– Nie, nie trzeba.

– Jesteś moją pacjentką, masz pierwszeństwo.

Cisza.

– No właśnie. Nie jestem pewna, czy chcę być pańską pacjentką. To nie pana wina. Po prostu nie wiem, czy potrzebuję terapii.

– A więc to był pomysł twojego ojca?

– Wtedy też. Nie, nie powinnam tego powiedzieć. Za pierwszym razem, kiedy już w to weszłam, czułam się dobrze. Naprawdę. Pomógł mi pan. Nie chciałam być niegrzeczna. Po prostu zdaje mi się, że już nie potrzebuję pomocy.

– Możliwe. Ale czy nie byłoby dobrze spotkać się i o tym porozmawiać? Jestem teraz wolny.

– Nie wiem... Trochę się spieszę... Co ten policjant powiedział panu o Eryku?

– Że twojego brata nie było przez kilka dni w akademiku. I że opuścił kolokwium.

– Dokładnie przez półtora dnia. To chyba nic wielkiego, Eryk zawsze chodził swoimi drogami.

– Nawet kiedy mieszkał w domu?

– Nawet kiedy był w szkole. Brał rower i znikał na cały dzień. Później mówił, że zaglądał do antykwariatów, grał w bilard nad morzem albo siedział w sądzie w Santa Monica i przysłuchiwał się rozprawom. Dzwonili ze szkoły, ale Erykowi wszystko uchodziło na sucho, bo miał najlepsze stopnie. A kiedy zrobił prawo jazdy, wyjeżdżał na całą noc i wracał rano. Dopiero wtedy ojciec zaczynał się pieklić. Zaglądał do pokoju, a tam pościelone łóżko i ani śladu Eryka. A on parkował samochód, wchodził do kuchni i jakby nigdy nic robił sobie grzanki. Ojciec pytał, gdzie był, ale Eryk nie chciał powiedzieć.

– Mama też brała udział w tych sprzeczkach?

– Kiedy jeszcze była zdrowa, trzymała stronę ojca. Ale to ojciec grał zawsze pierwsze skrzypce.

– Czy Eryk był karany?

– Ojciec groził, że odbierze mu klucze, ale on nic sobie z tego nie robił. I tak wszyscy wiedzieli, że to tylko gadanie.

– Dlaczego?

– Bo Eryk to jego oczko w głowie. Ilekroć tata zaczyna narzekać, wystarczy, że Eryk powie: „Co, same szóstki to nie dość? Chcesz, żebym zdobył ponad tysiąc sześćset punktów z egzaminów?”. Tak samo było w liceum. Był żywą reklamą szkoły. Zdobywca nagrody Banku Ameryki, nagrody dla wzorowego ucznia, za osiągnięcia w nauce, członek drużyny hokejowej, szermierczej, baseballowej. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej do Stanford wykładowca poprosił dyrektora naszego liceum i oświadczył, że właśnie rozmawia z jednym z największych geniuszy naszego stulecia. Więc czemu mieliby się go czepiać?

– Nie martwisz się o brata?

– Nie bardzo... Jedyne, co mnie niepokoi, to jego nieobecność na egzaminie. Eryk nigdy nie zaniedbuje obowiązków akademickich... Może wyruszył gdzieś na przechadzkę...

– Na przechadzkę?

– Kiedy mieszkał w domu i wychodził na noc, czasem wracał z zabłoconymi butami, zakurzony. Wiem, że przynajmniej raz spędził noc pod gołym niebem. Mniej więcej rok temu,



kiedy opiekował się mamą. Nasze pokoje sąsiadują ze sobą, obudziłam się, kiedy wrócił, poszłam zobaczyć, co się dzieje. A Eryk zwijał namiot, pakował do plecaka chipsy, cukierki, kielbaski i coś tam jeszcze. „Obraziłeś się na wszystkich i wybierasz się na samotną wyprawę?”, spytałam. Wściekł się i wyrzucił mnie z pokoju. Więc może teraz też wybrał się na taką wycieczkę. Wokół Pało Alto jest mnóstwo fajnych miejsc. Może chciał się wyrwać z miasta i popatrzeć na gwiazdy. Eryk uwielbiał kiedyś astronomię, miał swój własny teleskop i specjalistyczny sprzęt.

Usłyszałem, jak Stacy wstrzymuje oddech.

– Co się stało?

– Pomyślałam, że... Mieliśmy kiedyś taką żółtą sukę, którą wzięliśmy ze schroniska. Wabiła się Helen. Eryk zabierał ją na długie spacery, ale potem ona się zestarzała i nie mogła sama chodzić, więc Eryk zbudował dla niej wózek... Wyglądali śmiesznie, ale on traktował tę zabawę bardzo poważnie. Helen umarła... Rok przed mamą. Eryk został z nią przez całą noc. Na pewno tak było. Kiedy go o to zapytałam, powiedział, że długo myślał w nocy w górach. Więc może teraz też miał dość stresu i poszedł się odprężyć. A jeśli chodzi o test, to pewnie uznał, że wytłumaczy się profesorowi. Eryk każdego potrafi przekonać.

– Dlaczego jest zestresowany?

– Nie wiem. – Chwila milczenia. – No dobrze. Szczerze mówiąc, ciężko przeżywa śmierć mamy. Bardzo źle to wszystko znosił od samego początku, o wiele gorzej ode mnie. Ojciec pewnie powiedział panu coś innego, prawda?

„Mój syn właśnie w taki sposób radzi sobie z gniewem... Porządkuje rzeczy, układa je na swoim miejscu... Uważam, że to doskonały sposób radzenia sobie ze stresem... Pozwala pozostać w kontakcie z tym, co się czuje, a potem ruszyć dalej”.

– Nie rozmawialiśmy o Eryku – odparłem.

– Tata uważa, że to ja jestem pokrecona. Bo ja się załamuję, a Eryk umie zachować pozory – dostaje dobre stopnie, nie traci z pola widzenia celu, do którego dąży, mówi to, co ojciec chce usłyszeć. Ale ja wiem, co się za tym kryje. To on najbardziej cierpiał z powodu mamy. Ja się wypłakałam, zanim mama umarła, a Eryk udawał, że wszystko jest w porządku. Powtarzał, że mama wyzdrowieje. Siedział z nią, grał w karty. Udawał wesołka, jakby nic złego się nie działo, jakby była po prostu przeziębiona. Myślę, że do tej pory sobie z tym nie poradził. Może wiadomość o śmierci doktora Mate’a obudziła wspomnienia.

– Czy Eryk mówił coś na temat Mate’a?

– Nie. W ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy, od tygodni. Czasem przysyła e-maile, ale poza tym nie mamy kontaktu... Kiedyś, kilka dni przed śmiercią mamy, Eryk wszedł do mojego pokoju, zobaczył, że płaczę i spytał, o co chodzi. Powiedziałam, że to z powodu mamy, a on jakby nie rozumiał, zaczął na mnie wrzeszczeć, że jestem głupim mazgajem i mięczakiem, że do niczego nie dojdę, że załamywanie się nie prowadzi donikąd, że nie mogę być egoistką, nie

powinnam myśleć o swoich uczuciach... Nie powinnam się w nich pograżać, tak dokładnie powiedział. Muszę się skupić na tym, co czuje mama. Wszyscy musimy myśleć pozytywnie, nie poddawać się.

– To musiało być bardzo nieprzyjemne – wtrąciłem.

– Nie. Eryk ciągle na mnie krzyczy, taki ma styl. Eryk to mózgowiec o poziomie emocjonalnym małego dziecka. Może właśnie teraz reaguje z opóźnieniem na tamte przeżycia i próbuje sobie poradzić po swojemu. Myśli pan, że powinnam się o niego martwić?

– Nie, ale uważam, że postąpiłaś właściwie, zawiadamiając ojca.

– I wpadłam na tego detektywa... Wie pan, co zrobił ojciec? Wynajął samolot i poleciał do Paño Alto. Wyglądał na zmartwionego. A to z kolei zmartwiło mnie.

– Ojciec nie ma zwyczaju się martwić?

– Nie. Mówi, że niepokój to domena głupców.

Brak niepokoju to domena psychopatów, pomyślałem.

– Więc zostałaś sama w domu.

– Na parę dni. Przywykłam, ojciec jest ciągle w podróży. A Gisella – nasza pomoc domowa – przychodzi codziennie.

Głos zaczął falować.

– Gdzie jesteś, Stacy?

– Na plaży, koło dużego parkingu. Pewnie przyjechałam tu prosto z biura taty – roześmiała się. – Dziwne, wcale tego nie pamiętam.

– Na jakiej plaży?

– Zaraz... Tam stoi jakiś znak... Topanga. Tutaj jest całkiem ładnie, panie doktorze. Na drodze duży ruch, ale na plaży pusto... Jakiś facet kręci się koło miejsca, do którego woda dochodzi w czasie przyływu, jakby czegoś szukał... Trzyma coś w rękach... Chyba detektor metalu... Znam to miejsce, widać je z biura taty.

Głos Stacy zmiękł, zrobił się jakby senny.

– Zostań tam, Stacy. Przyjadę do ciebie za dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.

– Nie ma potrzeby – odparła. Zabrzmiało to bardzo oficjalnie.

– Zrób to dla mnie, Stacy.

Cisza, jakieś trzaski w słuchawce. Przez chwilę zdawało mi się, że straciłem łączność.

– Dobrze, właściwie czemu nie. I tak nie mam dokąd pójść.

Jechałem za szybko, myśląc o Eryku. Inteligentny, porywczy samotnik, przyzwyczajony do tego, że wszyscy mu ustępują. Jedyne w rodzinie, który zdołał wyrwać się spod dominacji Richarda. Dążył do kontroli nad wszystkim za wszelką cenę, ale był bezradny wobec tego, co najważniejsze: śmierci matki.

Bliski ojcu, który pogardzał Mate'em, i otwarcie wyrażał swoją nienawiść.

Znikał, kiedy chciał, lubił góry i znał teren. Ciemne zakątki, takie jak fragment drogi w Mulholland.

Wystarczająco porywczy, aby dopuścić się zbrodni? Dość bystry, żeby dokładnie uprzątnąć miejsce przestępstwa?

Jak daleko zawiodło go synowskie przywiązanie?

Po śmierci Joannę Richard usiłował nawiązać kontakt z Mate'em, ale doktor nie oddzwonił. Czyżby Joannę ostrzegła go przed mężem? Wiedziała, że Richard sprzeciwi się jej decyzji, dlatego ją przed nim zataiła. Przed dziećmi także.

A jeśli Mate odpowiedział na telefon Eryka?

Biedny, zrozpaczony chłopiec, który chciał porozmawiać o ostatnich chwilach życia matki. Czy w Eldonie odezwał się lekarz, dlatego zareagował na wołanie o pomoc?

Ciemne bmw zaparkowane na drodze.

Pożyczył samochód taty...

Pędziłem na zachód bulwarem Sunset, obracając tę myśl w głowie na wszystkie strony. Czyste spekulacje, nie pisnę słowa ani Milo, ani nikomu innemu, lecz w tej układance wszystko do siebie pasowało.

Musiałem zatrzymać samochód na czerwonym świetle w Mandeville Canyon, lecz mój umysł pracował dalej na najwyższych obrotach.

Stacy trafnie, jak na siostrę przystało, podsumowała Eryka: mózgowiec niedojrzały emocjonalnie.

I do tego pałający młodzieńczym gniewem. Właśnie ktoś taki, ogarnięty pasją planowania, a zarazem lekkomyślnie śmiały, mógł zamienić brązową furgonetkę w rzeźnię na kółkach.

Złamany stetoskop... Beowulf. Szczęśliwej podróży, ty chory draniu.

Zarżnąć potwora, jak w micie, jak w kolejnej grze komputerowej.

Imitacja książki nosiła znamiona działania nastolatka. Wśliznąć się do mieszkania Mate'a, zostawić kartkę. I jej treść. Prymitywna zagrywka, lecz poparta intelektem, który zaczynał mnie przerażać.

Gdzie był Eryk w zeszłą niedzielę? Podróż ze Stanford do Los Angeles to nic trudnego, samoloty latają przez cały dzień. Fraszka dla studenta z kartą kredytową. Załatwił sprawę, z powrotem do szkoły i na wykład, jakby nic się nie stało.

A teraz ten doskonały student po raz pierwszy opuszcza test. Czyżby nie potrafił uwolnić się od tego, co zrobił? A może jakiś inny stres wypłynął na wierzch przez pęknięcia idealnego, porcelanowego wizerunku rodziny Dossów?

Richard poleciał do Stanford, zostawiając Stacy samą. Dziewczyna siedzi na plaży, zagubiona... Przeczuwałem, że zawsze była samotna. Nie śmiała się odezwać, więc nie

poświęcano jej uwagi.

Usłyszałem klakson. Światło zmieniło się na zielone, a ja dalej siedziałem bez ruchu, jakby zagubienie było zaraźliwe.

Ruszyłem ostro, przestrzegając samego siebie, żeby nie dać się złapać w tę pułapkę. Takie snucie hipotez nie jest bezpieczne dla świadomości. Poza tym Milo miał innych podejrzanych.

Roy Haiselden, Donny Mate. Richard Doss.

A może żaden z nich? Ale to nie moja sprawa. Muszę skupić się na tym, do czego zdobyłem kwalifikacje.

Znalazłem Stacy bez trudu. Mały biały mustang stał przodem do morza na parkingu koło plaży. Był odpływ, żółty piasek stykał się z wodą pod błękitnym niebem. Ocean był piękny, lecz wzburzony. Skręcając z drogi, zobaczyłem mężczyznę z detektorem metalu. Stał z ugiętymi nogami, pochylony nad jakimś znaleziskiem pięćdziesiąt metrów od samochodu Stacy.

Okna jej wozu były zamknięte. Wysiadając z samochodu, spostrzegłem, że szyba mustanga od strony kierowcy opuszcza się. Twarz Stacy nie była już taka pyzata jak pół roku temu. Policzki zapadły, ciemne kręgi pojawiły się pod oczami, przybyło krost. Żadnego makijażu. Czarne włosy upięte w kok czerwoną gumową opaską.

– Nie wiedziałam, że lekarze nadal jeżdżą na wizyty domowe – powiedziała z nikłym uśmiechem. – A właściwie plażowe. Musiał się pan nieźle przestraszyć mojego głosu, skoro pofatygował się pan aż tutaj. Przepraszam.

Mężczyzna z detektorem wyprostował się i odwrócił w naszą stronę, jakby usłyszał, co mówimy. Ale nie mógł słyszeć, rzecz jasna. Był daleko, a poza tym zagłuszał nas ryk oceanu.

– Dlaczego pan przyjechał, doktorze? – spytała Stacy. – Zwłaszcza po, jak się wobec pana zachowałam.

– Chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Myślał pan, że zrobię coś głupiego?

– Nie, ale w twoim głosie wyczułem niepokój o Eryka. Zostałaś sama. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, chętnie to zrobię.

Stacy patrzyła przed siebie; dłonie zacisnęła na kierownicy, aż uciekła z nich krew.

– To bardzo miłe, ale... czuję się świetnie. Nie, nieprawda. Jestem popieprzona, prawda? Nawet nasz pies był popieprzony.

– Helen.

Skinęła głową.

– Była sparaliżowana, a Eryk włączył ją ze sobą. Właśnie dlatego przyjechał pan taki kawał drogi. Myśli pan, że zaczynam pękać.

– Wcale nie. Myślę, że dużo widzisz i rozumiesz.

Odwróciła się w moją stronę, przyglądając mi się szeroko otwartymi oczami.

– Może powinnam zostać psychologiem. Jak Becky, tylko że jej się to nie uda. Słyszałam, że ledwo zdaje egzaminy. Doktor Manitow i pani sędzia muszą być z tego powodu bardzo szczęśliwi...

– Mówisz, jakbyś była na nich zła – zauważyłem.

– Naprawdę? A nie jestem. Mam trochę żalu do Becky, bo zamieniła się w kompletną snobkę, nawet nie mówi mi cześć. Może odgrywa się na mnie za Eryka. Mój brat spotykał się kiedyś z Alison Manitow, a potem ją rzucił... Ale to był dawno... Czemu ja o tym opowiadam?

– Może chodzi ci to po głowie.

– Nie. Helen chodzi mi po głowie. Po naszej rozmowie telefonicznej zaczęłam o niej myśleć.

– Roześmiała się. – Ona musiała być najgłupszym kundlem, jaki chodził po ziemi, panie doktorze. Miała trzynaście lat i nigdy nie przyzwyczaiła się do domu. Kiedy wydawało się jej rozkaz, siedziała z wywalonym jęzorem i gapiła się. Eryk wymyślił jej przydomek: Najgłupsze Psie Dziwadło z Planety Idiotyzm. Skakała na niego, opierała się łapami, lizała, a on mówił: nabrałabyś rozumu, suko. Ale to on ją karmił, wyprowadzał na spacer, sprzątał jej kupy. Tata był zbyt zajęty, a mama za bardzo obojętna... Ten idiotyczny wózek, który sklecił dla Helen, utrzymywał ją przy życiu. Ojciec mówił, że trzeba ją uśpić, ale Eryk nie chciał o tym słyszeć. W końcu jej zdrowie zaczęło szwankować. Pod koniec musiał ją wynosić, żeby się załatwiła, i kłął przy tym cały czas. Wreszcie którejś nocy zabrał ją ze sobą na nocny wypad. Helen wyglądała okropnie: gnijące wargi, sierść wypadająca garściami. Ale nawet wtedy okazywała podniecenie, jakby chciała powiedzieć: o rety, jeszcze jedna przygoda. Nie było ich całą noc. A rano Eryk wrócił sam.

Stacy spojrzała na mnie.

– Nikt o tym nie rozmawiał. A kilka tygodni później umarła mama.

Palce uciekły od kierownicy, jakby oderwane siłą niewidzialnego demona, i zakryły twarz. Stacy pochyliła się i oparła czoło o kierownicę. Kok podskoczył, kosmyki kręconych włosów zafalowały. Trzęsła się jak mokry psiak, szum fal zagłuszał odgłos płaczu. Mężczyzna z detektorem odszedł dalej, pochylony, zanurzony w swoim świecie.

Wsunąłem dłoń przez okno i położyłem dłoń na ramieniu Stacy, ale dziewczyna wzdrygnęła się. Cofnąłem rękę.

Od tylu lat wysłuchuję ludzi cierpiących i umiem to przyjmować jak profesjonalista, lecz nigdy nie przestałem tego nienawidzić. Stałem nieruchomo, a Stacy łkała i trzęsła się, jej głos wznosił się i opadał jak płacz mewy.

Nagle znieruchomiła i przestała szlochać. Jej ręce podniosły się niczym wizjer odsłaniający twarz, która nadal spoczywała na kierownicy.

Pochyliłem się, usłyszałem jej szept.

– Znika, znika...

– Co znika?

Zamknęła oczy, otworzyła je i ciężkim, powolnym ruchem odwróciła twarz w moją stronę.

– Co? – spytała sennie.

– Co znika, Stacy? Wzruszyła obojętnie ramionami.

– Wszystko.

Jej uśmiech wcale mi się nie spodobał.

Wreszcie udało mi się ją przekonać, żeby wysiadła z wozu; poszliśmy spacerem po ścieżce wzdłuż brzegu; milczeliśmy. Mężczyzna z detektorem zmienił się w odległą, ruchomą plamkę.

– Zakopany skarb – powiedziała Stacy. – Ten facet w to wierzy. Widziałam go z bliska, ma chyba siedemdziesiąt lat, a szuka w piachu miedziaków... Przykro mi, że przeze mnie przyjechał pan aż tutaj. I przepraszam, że odzywałam się jak rozpieszczony bachor, że miałam pretensje o współpracę z glinami. Ma pan prawo robić, co chce.

– Musiało ci się to wydać niezrozumiałe. Ojciec wyraził zgodę, ale o niczym ci nie powiedział. Jeśli zmienił zdanie, to z kolei nie powiedział o tym mnie.

– Nic o tym nie wiem. Po prostu rozzłościł się, bo ten policjant przyszedł go przesłuchiwać, a on nie lubi, kiedy ktoś inny ma nad nim władzę.

– Mimo wszystko uważam, że najlepiej będzie, jeśli zrezygnuję...

– Nie, proszę tego nie robić z mojego powodu. To nieważne, naprawdę. Kim jestem, żeby odbierać panu okazję do zarobienia pieniędzy?

– Nie o to chodzi, Stacy...

– Ale ja nalegam. Ktoś zabił tego człowieka, i powinniśmy uczynić wszystko, żeby dowiedzieć się, kto to zrobił.

Powinniśmy.

– W imię sprawiedliwości. Dla społeczeństwa. Bez względu na to, kto to był. Nie można pozwolić, żeby komuś uszło to na sucho.

– Jaki był twój stosunek do doktora Mate'a?

– Nie mam do niego żadnego konkretnego stosunku. Panie doktorze, nigdy nie byłam wobec pana do końca szczerą. Nigdy nie mówiłam, jaka pokręcona jest moja rodzina. Ale tacy właśnie jesteśmy. Nikt z nikim naprawdę nie rozmawia. Jakbyśmy żyli razem, egzystowali, ale nie było między nami... łączności.

– Od kiedy zmarła mama?

– Nawet wcześniej. Kiedy ja byłam mała, a ona zdrowa, musiałyśmy bawić się razem, ale ja tego nie pamiętam. Nie chcę przez to powiedzieć, że była złą matką. Robiła wszystko, co trzeba. Ale nigdy nie czułam... Trudno to wyrazić. Tak jakby składała się z powietrza, nie można było jej

uchwycić. Nie mogę zrozumieć tego, co zrobiła, doktorze. Ojciec i Eryk obwiniają Mate'a, w domu bardzo dużo mówiło się o tym, jaki z niego potwór. Ale to nieprawda, oni po prostu nie umieją spojrzeć prawdzie w oczy: to była jej decyzja, prawda?

Odwróciła się do mnie. Chciała usłyszeć prawdziwą odpowiedź, a nie psychoterapeutyczny zwrot.

– Tak, w gruncie rzeczy tak właśnie było.

– Mate tylko jej w tym pomógł, mogła wybrać kogokolwiek. Odeszła, bo nie zależało jej dość mocno, żeby próbować dalej. Podjęła decyzję, że nas opuści bez pożegnania.

Szybkim ruchem spłótła ręce na piersi, pociągając ramiona do przodu, jakby była skrepowana kaftanem bezpieczeństwa.

– Oczywiście, bolało ją, ale... – Zagryzła wargę i potrząsnęła głową.

– Ale co?

– Mimo tego bólu nie przestawała jeść... Kiedyś miała taką świetną figurę. To były zawsze ważne sprawy w naszym domu: figura mamy, kondycja fizyczna ojca. Oboje nosili zawsze bardzo skąpe kostiumy kąpielowe. To było krępujące. Pamiętam, jak państwo Manitow przyszli kiedyś do nas na basen, mama i tata pływali, obejmowali się w wodzie. A doktor Manitow przyglądał się im z niesmakiem. Ale myślę, że nie było w tym nic złego. Prawda? Czuli do siebie pociąg. Ojciec często mówił o tym, że nie starzeją się tak szybko jak inni ludzie, że zawsze będą dziećmi. A potem nagle mama... spuchła.

Stacy zrobiła krok, stąpnęła mocno nogą i zatrzymała się. Widać było, że walczy ze łzami.

– Po co to roztrząsać? Zrobiła to i już, koniec, kropka... Muszę skupić się na dobrych wspomnieniach, prawda? Bo ona była dobrą matką... Wiem o tym.

Podeszła do mnie.

– Wszyscy mówią, że trzeba żyć dalej, iść do przodu. Ale dokąd ja mam iść, doktorze?

– Właśnie tego musimy się dowiedzieć. Po to tu jestem.

– Tak, jest pan tutaj. – Objęła mnie w pół i wczepiła palce w marynarkę na plecach. Zapach szamponu – zbyt słodki, brzoskwiniowy – podrażnił mi nozdrza.

Ktoś patrzący z daleka pomyślałby, że to romans na plaży.

Profesjonalizm nakazywał odsunąć się. Wybrałem kompromis: trzymając rękę przy boku, unikałem pełnego uścisku. Jednocześnie poklepałem Stacy lekko po plecach.

Kiedyś, zanim prawnicy zaczęli się wtrącać we wszystko, nazywano to kontaktem psychoterapeutycznym.

Obejmowałem Stacy przez chwilę, po czym delikatnie odsunąłem ją na długość ramienia.

Uśmiechnęła się. Ruszyliśmy przed siebie spacerem, krok w krok. Zachowałem odpowiednią odległość, żeby unikać przypadkowego kontaktu rąk.

– Rano mieliśmy rozmawiać o studiach – powiedziała ze śmiechem Stacy.

– Studia to nie jest cała twoja przyszłość, lecz tylko jej część. Jeden z tych celów, do których możesz dążyć.

– Mała część. No więc dobrze, zrobię tacie przyjemność, złożę papiery do Stanford. Jeśli się dostanę, będę tam studiowała. Czemu nie? Jedna uczelnia jest podobna do drugiej. Nie jestem rozpieszczonym dzieciakiem. Szczęściara ze mnie, że tatę stać na taki uniwersytet, wiem o tym. Ale są też inne rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać, prawda? Mogę przyjść jutro, jeśli ma pan czas i uwierzy, że tym razem nie zawiodę.

– Mam czas. Wobec tego może po szkole, o siedemnastej?

– Dobrze. Dziękuję... Wrócę teraz do domu, sprawdzę, czy tata dzwonił, może znalazł Eryka, który pewnie wrócił już do akademika i nawrzeszczał na ojca za to, że przyleciał z Los Angeles.

Zawróciliśmy i po chwili staliśmy koło jej wozu.

– Naprawdę proszę, żeby nie rezygnował pan ze współpracy z policją. Niech pan na siebie uważa.

Miłe dziecko.

Odprowadziłem ją wzrokiem, a potem wsiadłem do samochodu. Czułem się całkiem nieźle.



Wróciwszy do domu, zastałem Robin w kuchni. Mieszała łyżką w dużym niebieskim garnku upstrzonym białymi plamkami. Spike leżał w kącie i przymierzał się do smakowicie wyglądającej kości.

– Jesteś zmęczony – zauważyła, – To przez ten ruch na ulicach – odparłem, całując ją w policzek. W garnku pływały kawałki baraniny, pokrajana marchewka, śliwki i cebula. Woń rozgrzanego kminku i cynamonu wypełniła mi nozdrza i wycisnęła łzy z oczu.

– Nowa potrawa – oznajmiła Robin. – Dostałam przepis od tego faceta, od którego kupuję drewno klonowe.

Zanurzyłem łyżkę w garnku, podmuchałem, i spróbowałem.

– Smakuje cudownie. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

– Jesteś głodny?

– Jak wilk.

– Niewyspany, głodny – westchnęła. – Gdzież to był taki ruch? Opowiedziałem, jak musiałem pojechać do pacjentki na plażę.

– Nagły wypadek?

– Tak, ale udało się zażegnać niebezpieczeństwo. – Podłożyłem ręce pod pośladki Robin i posadziłem ją na blacie.

– A co to? – spytała. – Wybuch namiętności wśród garnków, realizacja jakichś męskich marzeń seksualnych?

– Może trochę później. Jeśli będziesz grzeczna. – Wyjąłem z lodówki resztkę białego wina, powąchałem i nalałem dwa kieliszki. – Najpierw uczcijmy.

– Jaką okazję?

– Żadną. I o to właśnie chodzi.

Reszta wieczoru upłynęła spokojnie. Nie zadzwonił ani Milo, ani nikt inny. Wyobraziłem sobie, jakie byłoby życie bez telefonu. Zjedliśmy trochę za dużo baraniny i wypiliśmy dość wina, żeby zaszumiało nam w głowie. Myśl o kochaniu wydawała nam się odległa, jakby zapisana w scenariuszu, którego nie mieliśmy ochoty zrealizować. Wystarczało nam, że jesteśmy razem.

Siedzieliśmy więc nieruchomo na tapczanie, trzymając się za ręce i nic nie mówiąc. Czy tak będzie wyglądać starość? Taka perspektywa wydała się nam nagle niesłychanie pociągająca.

Raptem w powietrzu nastąpiła jakaś zmiana, zaczęliśmy się dotykać, głaskać, całować. Po chwili, nadzy, zsunęliśmy się z tapczanu na podłogę, nie zważając na podrapane łokcie i dziwaczne pozy, od których bolały mięśnie.

Potem znów wylądowaliśmy w łóżku. Robin wzięła kąpiel. Oznajmiła, że jeszcze trochę

porzeźbi i spytała, czy mam coś przeciwko temu.

Kiedy wyszła, usadowiłem się w moim wielkim skórzanym fotelu i zacząłem czytać czasopisma; gdzieś w tle sączyły się dźwięki gitary hawajskiej. Na dłuższą chwilę udało mi się zapomnieć o rzeczywistości. Potem znów zacząłem myśleć o Stacy, Eryku, Richardzie. I długim umieraniu Joannę Doss.

Zastanawiałem się, czy mam zadzwonić jutro do Judy Manitow, spytać, czy przyszło jej coś do głowy od naszego ostatniego spotkania. Nie, to zły pomysł. Stacy mogłaby to uznać za niedyskrecję. A przecież powiedziała mi wystarczająco dużo, abym zrozumiał, że stosunki Dossów i Manitowów daleko wykraczały poza zwykłe kontakty sąsiedzkie. Joannę udzielała korepetycji Becky, Eryk porzucił Allison, Becky i Stacy oddaliły się od siebie.

A Bob patrzył z niesmakiem, jak Richard i Joannę okazują sobie czułość.

Judy i Bob próbowali się uporać z problemami Becky. A jednocześnie zależało im na Stacy, bo nakłonili Richarda, żeby się ze mną skontaktował.

Ze mną, nie z terapeutą Becky – czy dlatego, że chcieli strzec swojej prywatności, trzymać problemy Stacy z dala od problemów Becky? A może to była decyzja Becky. Przecież Stacy powiedziała mi, że Becky odsunęła się od niej, prawie przestała się odzywać. Tak czy inaczej, lepiej było unikać dalszych komplikacji.

Wstałem, żeby nalać sobie kolejną szklaneczkę scotcha. Licząc wypite wcześniej wino, znacznie przekroczyłem zwykłą dawkę alkoholu. Jakiś hawajski wirtuoz zagrał przeciągłe glissando na strunie C; wyobraziłem sobie palmy nad brzegiem morza.

Dokończyłem scotcha i nalałem sobie jeszcze jednego.

W środę rano obudziłem się z zasłużonym bólem głowy, skołowaciałym językiem i piaskiem pod powiekami. Robin już poszła do studia. Czułem zapach świeżo zaparzonej kawy.

Wziąłem krótki prysznic, ubrałem się, dzielnie utrzymując równowagę, i rozejrzałem za poranną gazetą. Robin tak bardzo rwała się do pracy, że nawet jej nie przyniosła, więc musiałem wyjść na ganek.

Na pierwszej stronie krzyczał wielki nagłówek:

TAJEMNICZY PORTRET DOKTORA ŚMIERĆ ZNALEZIONY NIESPODZIEWANIE  
OBRAZ NASUWA KOLEJNE PYTANIA W SPRAWIE MORDERSTWA ELDONA MATE'A

Santa Monica. Grant Kugler, właściciel galerii sztuki Primal Images przy Colorado Avenue przyszedł wczoraj wieczorem, żeby rozpakować fragmenty instalacji artystycznej. Ku swemu zaskoczeniu zauważył niespodziewany dar oparty o tylne drzwi galerii. Był to zapakowany w brązowy papier obraz olejny opisany jako kopia Lekcji *anatomii* Rembrandta. Kopia różniła się od słynnego oryginału tym, że przedstawiała doktora Eldona Mate'a w podwójnej roli – jako

lekarza dokonującego sekcji i jako trupa na stole.

„Nie jest to mistrzowskie dzieło – stwierdził Kugler – ale oceniłbym je jako dobre rzemiosło. Nie potrafię powiedzieć, kiedy znalazło się pod drzwiami mojej galerii. Nie jestem wielbicielem malarstwa figuratywnego, ale sztuka wykorzystana do skomentowania bieżących wydarzeń może być zabawna”.

Autor zacytował „policyjnego informatora, który zastrzegł sobie anonimowość”. Zauważył on „intrygujące podobieństwa między obrazem i szczegółami miejsca zbrodni dokonanej na Eldonie Mate, skłaniające do dociekań na temat tożsamości twórcy i powodu, dla którego porzucił swoje dzieło”. Obraz został zatrzymany przez policję.

Wyobraziłem sobie postawnych mężczyzn próbujących zakuć w kajdanki ramę obrazu. Ciekawe, kiedy zadzwoni Milo. Zdążyłem wypić pół filiżanki kawy, kiedy zaskrzeczał telefon.

– Pewnie już czytałeś – powiedział.

– Wygląda na to, że Zero Tollrance pojawił się w mieście.

– Próbowałem pójść tropem tego artykułu, który mi dałeś. Nikt nie zna Tollrance’a, mieszkał nielegalnie w jednym z tych pofabrycznych budynków, w których gnieźdzą się różne szumowiny. Nawet nie mam pewności, czy rzeczywiście tam był. Policjanci z Denver nigdy o nim nie słyszeli, a krytyk, który opisał wystawę, pamięta tylko tyle, że Tollrance wyglądał jak łachudra i nie odpowiadał na pytania. W ogóle nic nie mówił, tylko wskazał obrazy i odszedł. Facet uznał, że ma do czynienia z jakimś świrem. Dlatego użył określenia „sztuka poza nawiasem”.

– Co to znaczy, że Tollrance wyglądał jak łachudra?

– Nosił długie włosy i brodę. Krytyk orzekł, że ma „prymitywny talent”. Powiedział to samo, co właściciel galerii: że malarstwo figuratywne to nie jego działka. Na mój gust w świecie sztuki oznacza to, że jeśli umiesz rysować, jesteś do chrzanu.

– Więc po co poszedł na tę wystawę?

– Z ciekawości, z ciekawości, kolego. Nawet nie udało mi się z niego wydobyć, skąd wiedział o wystawie. Może Tollrance przesłał mu zaproszenie faksem, a może nie. Powiedział, że nie było wielkich tłumów, nikt nie kupował. Nigdy więcej nie miał wiadomości od Tollrance’a, nie ma pojęcia, co się stało z obrazami.

– My przynajmniej wiemy, gdzie jest jeden z nich. Brodaty łachudra to może być ten sam człowiek, którego przepędziła pani Krohnfeld. Niewykluczone, że to Donny Salcido.

– Też przyszło mi to do głowy – mruknął Milo.

– A gdzie przebywał Donny w czasie, gdy odbyła się wystawa?

– Nie wiem, ale nie w więzieniu. Przymknęli go dopiero cztery miesiące później.

– Jego matka powiedziała, że mieszkał już wtedy na ulicy. Być może podryfował na wschód, wylądował w Kolorado i znalazł pusty budynek, w którym mógł tworzyć swoją sztukę. To

zabawne, że matka nie wspomniała o uzdolnieniach Donny'ego. Ale z drugiej strony w ogóle nie bardzo miała ochotę o nim mówić.

– Odwiedziłem ją w hotelu. Wyprowadziła się wczoraj. Myślisz, że Donny najpierw namalował, jak kroją ojczulka, a później postanowił to przeprowadzić w rzeczywistości?

– Możliwe, że obraz był kolejną próbą nawiązania kontaktu z ojcem. Może próbował mu się „sprzedać”, zaimponować i został ponownie odrzucony.

– Dlaczego podzucił obraz do galerii?

– Jest artystą, pragnie uznania. Weź pod uwagę, jaki obraz wybrał. Pozostałe były zwykłymi portretami Mate'a. W *Lekcji anatomii* przedstawił doktora na stole operacyjnym.

– Popatrzcie, co zrobiłem z tatuśkiem. Jakby chciał się popisać.

– W tym samym celu zostawił list. I złamany stetoskop.

– Z drugiej strony – zaczął Milo – Tollrance może być jeszcze jednym przymierającym głodem artystą, i zrobił to dla rozgłosu. Mógł wykorzystać śmierć Mate'a, żeby tchnąć nowe życie w swoją martwą karierę. Jeśli takie było jego zamierzenie, to mu się udało: trafił na pierwsze strony gazet i utrudnił mi życie. Gdyby jutro pojawił się na ekranie telewizora z agentem, cały scenariusz psychologiczny można wyrzucić do kosza.

– Możliwe – przyznałem. – W końcu to Los Angeles. Ale jeśli się nie pokaże, to też będzie o czymś świadczyć.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Tymczasem obraz leży spokojnie w naszym magazynie dowodów rzeczowych. Chcesz zobaczyć?

– Jasne. Malarstwo figuratywne to jak najbardziej moja działka.

Obraz nie jest taki zły, ale to nie Rembrandt – powiedziałem. Milo przesunął palcem wzdłuż górnej krawędzi płótna. Byliśmy w sali wydziału zabójstw i rabunków, na pierwszym piętrze komendy zachodniego Los Angeles. Kilku detektywów siedziało przy biurkach, kilku zerknęło z ciekawością na Milo, który ustawiał obraz na krześle.

Arcydzieło Zero Tollrance'a pogrążone było w brązach i czerniach, ciemne w tonacji; tylko ramię mężczyzny, z obnażonymi ścięgnami i więzadłami, namalowane zostało różową farbą.

Trup miał miękką twarz Eldona Mate'a z charakterystycznym wyrazem wiecznego niezadowolenia. Nawet przeciętnie utalentowany malarz, jakim był Zero Tollrance, nie pozostawił co do tego wątpliwości. Siedmiu odzianych ekstrawagancko mężczyzn z kozimi bródkami i potarganymi włosami przyglądało się nieboszczykowi z akademicką obojętnością. Ten, który przeprowadzał sekcję – drugi Mate – w czarnej todze z białym koronkowym kołnierzykiem i wysokim czarnym kapeluszu, dotykał strzępów ramienia skalpelem ze znudzonym wyrazem twarzy.

Geniusz twórcy oryginalnego obrazu pozwolił oderwać mu się od okrucieństwa tej sceny. Prosta wersja Tollrance'a ukazywała je w całej ostrości. Ruchy pędzla były zamaszyste, gniewne, pigmenty niemal zlewały się na płótnie, tu i ówdzie sterczały ostre czubki zastygłej farby.

Obraz był niewielkiego formatu: pięćdziesiąt siedem centymetrów na czterdzieści pięć. Spodziewałem się czegoś bardziej imponującego.

Czyżby chodziło o sprowadzenie Mate'a do właściwych rozmiarów?

Milo podniósł stosik kartek i upuścił na biurko.

– Kugler, właściciel galerii, od rana nie daje mi spokoju. Nagle pokochał realizm.

– Pewnie dostał ofertę od jakiegoś faceta, jednego z tych, którzy gotowi są zapłacić fortunę za pomazaną farbą niebieską sukienkę.

Zewsząd słychać było dzwoniące telefony, brzęczenie kluczy, śmiechy. W powietrzu wisiała woń przypalanej kawy i potu.

– Dostałem zaproszenie do programu, którego gospodarz lubuje się w plotkach i sensacji. A o szóstej rano szefostwo przysłało mi liścik przypominający, że mam trzymać gębę na kłódkę.

– A więc Tollrance kupił sobie trochę popularności – zauważyłem. – Ciekawe, na jak długo to go zadowoli.

– Chcesz powiedzieć, że woli prawdziwy realizm?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak dotąd nie popełnił żadnej pomyłki – oznajmił Milo, stukając w krawędź płótna. – Ani jednego odcisku. Może masz rację, że jest wyjątkowo ostrożny. – Ustawił obraz tak, żebym mógł lepiej widzieć. – Masz jakieś uwagi na temat obrazu?

– Nic szczególnego. Nienawiść do Mate’a, ambiwalentne emocje. Ale tego nie muszę ci mówić.

Zadzwoił telefon.

– Sturgis... Tak, witam. – Twarz Milo rozjaśniła się. – Naprawdę? Dziękuję. Kiedy?... Tak, bardzo mi odpowiada. Jest tu ze mną doktor Delaware, tak, doskonale.

– To Petra – powiedział, odkładając słuchawkę. – Chyba znalazła coś w związku z Donnym. Jedzie na rozprawę w sądzie w Santa Monica, wstąpi tu za dziesięć minut. Poczekamy na nią przed wejściem.

Staliśmy przy krawężniku. Milo przechadzał się, paląc cygaretkę, a ja rozmyślałem o rodzinie Dossów. Po kilku minutach Petra Connor zaparkowała czarną hondę w zastrzeżonej strefie i wysiadła, jak zwykle starannie odmierzając ruchy. Nigdy nie widziałem jej ubranej inaczej niż w ciemny kostium ze spodniami. Ten był obcisły, z połyskującej zielonkawo wełny, chyba za drogi jak na kieszeń detektywa drugiej klasy, za to świetnie podkreślał smukłą sylwetkę Petry. Na nogach miała średniej wysokości szpilki zawiązane na kostkach. Włosy policjantki były krótko obcięte, na ramieniu wisiała czarna skórzana torebka o fakturze przypominającej znoszoną kurtkę motocyklową. Spod zakietu nie wystawała kabura pistoletu, więc pewnie trzymała go w torebce.

Słabe wrześnie światło wyjątkowo korzystnie uwydatniało biel jej skóry, kształt szczęki, wyrazistego podbródka i strome go nosa. Petra była na swój sposób ładna, ale zawsze unosiła się wokół niej jakaś aura, która kazała trzymać się z daleka. Z wielką uwagą śledziła proces powrotu do zdrowia Billy’ego Straighta, co świadczyło o tym, że za przenikliwym spojrzeniem brązowych oczu kryje się wewnętrzne ciepło. Było to jednak tylko przypuszczenie, bo Petra nigdy nie mówiła o sobie. Wyobrażałem sobie, że musiała pokonać wiele przeszkód, aby osiągnąć to, co osiągnęła.

– Cześć – rzuciła z chłodnym uśmiechem. Wiedziałem, o co mam zapytać.

– Jak się miewa nasz chłopak?

– Jak na mój gust, świetnie sobie radzi. Same szóstki, i do tego zdał przed terminem. Niesamowite, wzięwszy pod uwagę, że w gruncie rzeczy wszystkiego nauczył się sam. Prawdziwy intelektualista, zgodnie z tym, co mówiłeś od początku.

– A wrzód?

– Powoli znika. Chłopak krzywi się trochę na lekarstwa, ale wykonuje polecenia lekarzy. Znalazł też sobie towarzystwo. Wreszcie. Podobne do niego, „twórcze egzemplarze”, cytuję za dyrektorką. Panią Adamson najbardziej niepokoi to, że niewiele go interesuje poza nauką, czytaniem i graniem na komputerze.

– A co ma robić?

– Nie jestem pewna, czy ma coś konkretnego na myśli. Ta kobieta sprawia wrażenie

nerwowej. Chce, żeby wszystko przebiegało zgodnie z planem. Wydaje mi się, że czuje się w obowiązku mnie informować. Dzwoni raz w tygodniu.

– W końcu jesteś długim ramieniem prawa.

Nieznaczny uśmiech.

– Wiem, że naprawdę jej na nim zależy. Uspokajam ją, żeby się nie denerwowała, że wszystko będzie dobrze.

Zamrugła oczami, jakby oczekując ode mnie potwierdzenia.

– Dobra rada – powiedziałem.

Na policzkach Petry ukazały się rumieńce.

– Można powiedzieć, że wiele osób się nim zajmuje. Może zbyt wiele, bo w gruncie rzeczy chłopak jest samotnikiem. Sam przyjeżdża o ustalonej godzinie w każdy piątek i zabiera go do Venice. Przez cały tydzień potworna nuda, a potem szaleństwo. Czy to nie za duży kontrast?

– Zróżnicowanie doświadczeń. Jestem pewien, że sobie z tym poradzi.

– To dobrze. Gdyby wynikły jakieś problemy, mogę do ciebie zadzwonić?

– Zawsze.

– Dzięki. – Petra odwróciła się do Milo. – Przepraszam, wiem, że na to czekasz. – Wyjęła z torebki folder. – Oto informacje o panu Salcido. Okazuje się, że nie jest nam całkiem nieznanym. Ze względu na prace przy renowacji Hollywood, radna Goldstein poleciła obserwować bezdomnych. Oddział Tropicieli Włóczęgów – jak go nazwaliśmy – przetrwał miesiąc. Nazwisko Salcido pojawiło się właśnie w ich raporcie. Przeważnie nie dokonywali aresztowań, tylko obserwowali poczynania mieszkańców pustostanów. Jeśli wpadli na trop handlu narkotykami albo innych przestępstw, zatrzymywali podejrzanych, ale głównym celem ich działalności było utrzymywanie radnej Goldstein w przekonaniu, że wszystko jest pod kontrolą.

Milo otworzył teczkę.

– Salcido mieszkał w opuszczonym budynku u zbiegu Western i Hollywood, tym z wielkim gzymsem, wybudowanym, zdaje się, przez Louisa B. Mayera czy innego rekina przemysłu filmowego. Później sprawdzono, że facet ma przeszłość kryminalną, co zostało odnotowane w aktach, które ci przekazuję.

– Okazuje się, że pieniądze z naszych podatków nie idą na marne – zauważył Milo, kartkując dokument. – Mieszkał sam?

– Tak, o ile nie ma tam nazwiska osoby towarzyszącej.

– Tu jest napisane, że funkcjonariusze zastali go w „pomieszczeniu pełnym śmieci”.

– Twierdził, że ma dobrze płatną pracę, ale nie przedstawił na to żadnych dokumentów. Uznali go za chorego psychicznie, prawdopodobnie uzależnionego od narkotyków, i zalecili zwrócenie się o pomoc lekarską w ośrodku. Odmówił.

– Dlaczego go stamtąd nie eksmitowali?

– Bez oficjalnej skargi od właściciela nie mieli podstaw. Wstąpiłam tam dzisiaj po drodze, ale go nie ma. Wszyscy się wynieśli. Zostałam tylko robotników budowlanych. Mają odnowić budynek. Przepraszam, że tylko tyle.

– Zawsze coś. Dzięki za pomoc – powiedział Milo. – A więc mieszkał sam...

Wiedziałem, że jego myśli krążą wokół opuszczonego budynku w Denver. Przewrócił kartkę.

– Nie zrobili mu zdjęcia?

– Tropiciele włóczęgów nie nosili ze sobą aparatów. Ale spójrz na ostatnią stronę. Poprosiłam o przefaksowanie fotografii z więzienia w Marin. Jakość nie jest co prawda olśniewająca, ale...

Milo znalazł zdjęcie, przyjrzał się i podał mi.

Na szyi Eldona Salcido Mate'a wisiała plakietka z numerem. Obowiązkową ponurą minę ożywiały mocny blask oczu, który równie dobrze mógł być oznaką szaleństwa, jak odbiciem ostrego światła w pomieszczeniu.

Długie, strąkowane włosy, ale twarz gładko ogolona. Jasna skóra, zgodnie z tym, co powiedziała Guillerma Salcido. Okrągła twarz, łagodny zarys szczęki. Drobne rysy, twarz o grzecznym wyrazie, który mógł w policjantach wyzwolić wyrzuty sumienia podczas aresztowania. Przedwczesne zmarszczki. Młody człowiek, który za szybko zaczął się starzeć.

Uderzające podobieństwo do twarzy mężczyzny przedstawionego na obrazie. Guillerma Salcido Mate miała rację: wykapany ojciec.

Milo przeczytał coś w aktach.

– Podobno twierdził, że pracuje w salonie tatuażu przy Bulwarze, ale nie pamiętał w którym.

– Pytałam w kilku, nigdzie go nie znali. Jeden z pensjonariuszy w Marin powiedział, że Salcido robił tatuaże innym więźniom. Pewnie tylko to go uratowało.

– Przed czym? – spytałem.

– W więzieniu rządzą gangi. Ktoś bez przynależności staje się łatwą ofiarą, chyba że ma coś do zaoferowania. Salcido sprzedawał swoją sztukę, ale żadna grupa nie chciała go ponoć przyjąć, bo uważano go za chorego psychicznie.

– Tatuaże. Chłopak lubi rysować – zauważył Milo. Petra skinęła głową.

– Czytałam o obrazie. Myślicie, że to on jest mordercą?

– Nie można tego wykluczyć.

– Jaki jest ten obraz?

– Nie powiesiłbym go w jadalni – odparł Milo. – Jesteś malarką, prawda?

– Raczej nie.

– Daj spokój, widziałem twoje obrazy.

– To przeszłość.

– Chcesz rzucić okiem?



Zerknęła na zegarek. – Jasne, czemu nie.

Petra trzymała obraz na długość ramienia, obracała, oglądała przymrużonymi oczyma. Położyła go na podłodze, cofnęła się o trzy kroki, znowu wróciła, żeby jeszcze raz popatrzeć z bliska.

– Dużo napaćkał tej farby – powiedziała. – Spieszył się, oprócz pędzla używał też chyba noża... O, tu widać... Pracował szybko, ale nie można powiedzieć, że niechlujnie, kompozycja jest całkiem poprawna, proporcje dobrze uchwycone.

Odwróciła się od obrazu.

– To tylko przypuszczenia, ale wydaje mi się, że autor tego obrazu miotał się między dokładnością a chęcią porzucenia pracy... Z początku wszystko dokładnie rozplanował, ale potem jakby praca go pochłonięła i przytłoczyła.

Milo zmarszczył brwi i zerknął na mnie.

– Tyle krytyki – oznajmiła Petra.

– Co to może znaczyć? – spytał Milo. – Starannie wszystko obmyślił, a potem wykonał byle jak.

– Tak się zachowuje większość artystów.

– Ma talent?

– Pewnie. Może nie wyjątkowy, ale jednak. No i ambicję. Porwał się na zrobienie kopii Rembrandta.

– Z jednej strony Rembrandt, z drugiej tatuaze.

– Jeśli Salcido dzięki nim zapewnił sobie bezpieczeństwo, musi być całkiem dobry. Praca na ludzkiej skórze jest bardzo trudna, trzeba wyczuwać zmiany gęstości naskórka, ruchy, różnice podatności na nakłucie.

Petra oblała się rumieńcem.

– Aż się boję pytać – powiedział Milo.

– Liceum – odparła z uśmiechem. – Muszę uciekać. Mam nadzieję, że na coś się przydałam.

– Jestem twoim dłużnikiem, Petra.

– Na pewno w jakiś sposób odbiorę dług – odrzekła, przekładając torbę na drugie ramię. – Chciałabym ci powiedzieć, że będziemy się rozglądać za Salcido, ale wiesz, jak to jest... Czas już na mnie.

– Powodzenia w sądzie – rzucił Milo.

– Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Zwykła strzelanina. Sprawę przeniesiono do naszej komendy, bo śródmieście jest zawałone ważniejszymi. Nieciekawy oskarżony, obrońca z urzędu bez doświadczenia, ale za to z listą klientów długą jak *Angielski pacjent*. Dzisiaj zatriumfuję!

Miło było cię widzieć, doktorze, będziemy się kontaktować w sprawie Billy'ego.

W czasie gdy rozmawialiśmy z Petrą, na biurko Milo trafiła nowa wiadomość.

– Agent specjalny Fusco – powiedział Milo, ciskając kartkę do kosza. – Wiadomość o obrazie pobudziła jego instynkt myśliwski.

Detektywi Korn i Demetri zmierzali w naszą stronę. Zatrzymali się przy biurku jak na granicy. Milo przedstawił nas sobie. Skinęli sztywno głowami, żaden nie wyciągnął ręki. Demetri miał trochę krzywo założone okulary i łysą głowę, na której łuszczyła się opalona skóra.

– Co nowego, panowie?

– Nic – odparł Demetri głosem tak niskim, że sprawiał wrażenie elektronicznie modulowanego. – I to jest właśnie problem.

Korn przesunął dłonią pod kołnierzykiem; jego ułożone pod suszarką włosy wyglądały jak obraza tonsury partnera.

– Spędziliśmy cały rano koło domu Haiseldena. Znaleźliśmy ogrodnika, to wielki sukces. Haiselden zapłacił z góry za miesiąc, facet nie ma pojęcia, gdzie się podziewa *señor*, i wisi mu to. Korespondencja piętrzy się na poczcie, ale nie możemy jej dotknąć bez nakazu. Chcesz, żebyśmy się postarali?

– Tak – odparł Milo.

– No, oczywiście.

– Jakiś problem, Steve?

– Nie, skąd. – Korn znów zaczął się bawić kołnierzykiem. Demetri zdjął okulary i wytarł je w rękaw marynarki.

– Nie traćcie nadziei, chłopcy – powiedział Milo. – Odwołanie doręczania korespondencji świadczy o tym, że facet naprawdę czmychnął. Czujcie na niego, może będziecie mieli szczęście i rozwiążecie sprawę, kto wie.

Detektywi wymienili spojrzenia. Demetri przestąpił z nogi na nogę.

– Zakładając, że Haiselden ma coś wspólnego ze śmiercią Mate'a. Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że nie ma.

– A to czemu, Brad?

– Nie ma na to żadnych dowodów. Poza tym, nic nie trzyma się kupy. Haiselden zarabiał forszę dzięki Mate'owi. Czemu miałby rezygnować ze źródła dochodu? Uważamy, że wyjechał na wakacje, pewnie z powodu depresji wywołanej tym, że źródło wyschło.

– Postanowił dać sobie trochę czasu na refleksję – powiedział Milo.

– Otóż to.

– Zdiagnozował u siebie depresję i postanowił zastanowić się nad swoimi uczuciami na słonecznej plaży.

Demetri zerknął na Korna.

– To całkiem możliwe – pospieszył mu z pomocą Korn. – Wokół Mate’a zrobiło się dużo szumu, więc Haiselden wziął sobie trochę wolnego, żeby pomyśleć. Powiedzmy sobie szczerze, nie masz żadnych dowodów, które by go obciążały.

– Absolutnie żadnych – odparł Milo – poza tym, że to właśnie on szukał rozgłosu, a teraz zniknął nagle, kiedy miał szansę, żeby pławić się w świetle reflektorów.

Młodzi detektywi milczeli.

– No, dobrze – ciągnął Milo – spróbujcie załatwić dostęp do jego korespondencji i rachunków z kart kredytowych. Może znajdzie się wśród nich wpłata na rzecz biura podróży. W ten sposób zweryfikujecie swoją hipotezę, że Haiselden wybrał się na wakacje.

Detektywi spojrzeli po sobie.

– Jasne, zrobimy, co każesz – powiedział Demetri. – Tylko najpierw chcieliśmy się wybrać do siłowni. Tyle godzin pracujemy, a nie mieliśmy nawet czasu poćwiczyć.

– Dobra, a potem możecie sobie zafundować podwójną porcję soków z enzymami.

– Jeszcze coś – dodał Demetri. – Widzieliśmy ten obraz. Jak na mój gust, prawdziwe gównno.

– Każdy jest krytykiem – odrzekł Milo.

I co teraz? – spytałem. – Jeśli tym dwóm uda się napisać porządny wniosek o uchylenie tajemnicy korespondencji, zajrzę do poczty Haiseldena. Ale chyba najpierw będę musiał poprawić ich błędy gramatyczne. Tymczasem sprawdzę galerie malarstwa, salony tatuażu, popytam, czy ktoś zna Donny’ego Mate’a pod jego nazwiskiem albo ewentualnie jako Zero Tollrance’a. To, że podrzucił obraz do galerii w Santa Monica, może znaczyć, że opuścił Hollywood i zamelinował się w jakimś pustostanie w zachodniej części stanu. Jest parę opustoszałych budynków w Venice, warto im się przyjrzeć.

– Stawiasz bardziej na niego niż na Haiseldena ze względu na obraz?

– Nie tylko. Ma przeszłość kryminalną, a Petra zauważyła w jego malarstwie połączenie inteligencji i psychozy. To potwierdza twoją hipotezę.

Jeśli idzie o Haiseldena, obciąża go tylko nagłe zniknięcie, więc ci dwaj detektywi od siedmiu boleści mogą mieć rację, że tracimy na niego czas. Ale niech mi to udowodnią. – Milo wstał. – A teraz muszę zareagować na zew natury. Przepraszam.

Ruszył w stronę toalety, a ja odsłuchałem przez jego telefon wiadomości nagrane na mojej automatycznej sekretarce.

Dwaj sędziowie prosili mnie o konsultację; była też wiadomość z biura Richarda Dossa z prośbą o telefon, nagrana pięć minut temu.

Sekretarka Richarda – ta sama, która potraktowała mnie wczoraj jak wynajętą pomoc domową – podziękowała mi za to, że tak szybko oddzwoniłem i poprosiła, żebym poczekał sekundę. Ledwie skończyła, odezwał się Richard.

– Dziękuję – powiedział tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałem: chropawym, łamiącym się, niepewnym. Mówił ciszej i wolniej.

– Co się stało, Richardzie?

– Znalazłem Eryka. Dzisiaj o czwartej rano, na terenie kampusu. W ogóle nie wyjechał, siedział w jakimś zakamarku pod drzewem. Był tam długo, nigdzie się nie ruszał, nie chciał powiedzieć, dlaczego. W ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Udało mi się przywieźć go ze sobą do Los Angeles. Opuści mnóstwo różnych egzaminów, ale nic mnie to nie obchodzi. Chcę, żeby się pan z nim zobaczył. Proszę.

– Czy Stacy wie o tym?

– Wiedziałem, że będzie się pan bał rywalizacji między rodzeństwem, czy jak to się nazywa, więc spytałem ją czy może pan spotkać się z Erykiem. Zgodziła się, ale jeśli chce pan to sprawdzić, zaraz pana połączę – powiedział tonem, który świadczył, że zmaga się z czymś niesłychanie trudnym.

– Nie trzeba, Richardzie. Czy kazał pan zbadać Eryka lekarzowi?

– On nie jest nawet zadrapany. Martwię się tylko o jego stan psychiczny. Zrobmy to jak najszybciej, dobrze? To wszystko w ogóle do niego nie pasuje. On zawsze był... Nigdy nie marnował czasu w ten sposób. Nie podoba mi się to, co się z nim teraz dzieje. Kiedy możemy się umówić?

– Proszę go przywieźć po południu. Ale najpierw niech go zbada lekarz, bardzo proszę. Trzeba się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy.

Cisza.

– Dobrze, jak pan sobie życzy. Czy mam zlecić jakieś konkretne badania?

– Niech lekarz sprawdzi, czy Eryk nie ma wstrząśnienia mózgu, gorączki albo ostrej infekcji.

– Dobrze, dobrze... A więc o której?

– Umówmy się na szesnastą.

– To za cztery godziny.

– Jeśli lekarz skończy wcześniej, proszę do mnie zadzwonić. Będę czekał. Gdzie jest teraz Eryk?

– Tu, w moim biurze. Siedzi w sali konferencyjnej. Jedna z moich pracownic dotrzymuje mu towarzystwa.

– Nie powiedział nic, od czasu gdy pan go znalazł?

– Ani słowa. Siedzi i milczy. Nie mogę przestać myśleć, że dokładnie tak samo zachowywała się Joannę. Tak to się zaczęło. Wycofała się.

– Jak reagują mięśnie Eryka, kiedy go pan dotyka?

– Normalnie, nie widać objawów katatonii. Patrzy mi w oczy, wiem, że rozumie, co się dzieje. Po prostu nie chce ze mną rozmawiać, odcina się. Strasznie mi się to nie podoba. I jeszcze jedno: nie chcę, żeby dowiedzieli się o tym w Stanford, bo mogą spisać go na straty. Jak dotąd jedyną osobą, która wie, jest jego kolega z pokoju, młody Chińczyk. Dałem mu do zrozumienia, że w interesie nas wszystkich leży, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu.

Trzask odkładanej słuchawki.

Milo wszedł do sali, ale zanim zdążył usiąść, jakiś detektyw oderwał arkusz papieru z faksu i podał mu.

– Patrz, następna wiadomość od agenta Fusco. Uparty biuralista, co? Położył faks na biurku. Była to odbitka artykułu prasowego wydrukowanego przed piętnastoma miesiącami w Buffalo w stanie Nowy Jork.

#### LEKARZ ZAWIESZONY ZA USIŁOWANIE MORDERSTWA

Policja poszukuje lekarza pogotowia, który ponoć dodał trucizny do napoju byłego przełożonego. Trzydziestoosmioletni Michael Ferris Burke podejrzany jest o sporządzenie trującej mieszanki w celu zamordowania Selwyna Rabinowitza, ordynatora oddziału pogotowia przy szpitalu Unitas Critical Care Center w Rochester. Burke został ostatnio przez Rabinowitza

zawieszony w czynnościach za, jak to określono, „wątpliwe praktyki medyczne”, i czynił zakamuflowane groźby wobec przełożonego. Rabinowitz wypił łyk zatrutej kawy i niemal natychmiast zachorował. Podejrzenie padło na Burke’a ze względu na groźby i dlatego, że podejrzany lekarz wyjechał z miasta. W schowku w pokoju lekarskim znaleziono kilka fiolek i strzykawek, lecz policja nie chce powiedzieć, czy należały do Burke’a. Rabinowitz leży w szpitalu, jego stan jest stabilny.

Pod artykułem widniało kilka linijek zapisanych ładnym charakterem:

Detektywie Sturgis.

Może chce pan dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Lem Fusco

– O co mu chodzi? – Spytał Milo. – Chce przez to powiedzieć, że to ma coś wspólnego z Mate’em?

– Burke. Nie wydaje ci się, że to nazwisko brzmi jakoś znajomo?

– Nie wiem. Mam taki mętlik w głowie, że wszystko brzmi znajomo. Przeczytałem artykuł jeszcze raz. Coś rzuciło mi się w oczy.

– Gdzie jest ten materiał, który ściągnąłem z Internetu?

Milo sięgnął do szuflady, pogmerał w papierach i znalazł wydruki. Od razu znalazłem to, czego szukałem.

– Patrz. Rochester w stanie Nowy Jork. Roger Sharveneau, technik reanimacyjny, który przyznał się do otrucia pacjentów, a później wycofał zeznanie. Kilka miesięcy później stwierdził, że był pod wpływem doktora Burke’a, którego nikt nigdy nie widział. Nikt nie poszedł tym tropem, bo Sharveneau mówił coś, a potem odwoływał, więc policja w końcu uznała, że wszystko zmyślił. Ale okazuje się, że doktor Burke pracował w Buffalo, sto kilometrów dalej, a Sharveneau zmarł od przedawkowania.

– No dobrze – westchnął Milo. – Poddaję się. Agent specjalny Fusco doczeka się spotkania ze mną. Chcesz przyjść?

– Jeśli zdążę, jestem umówiony na szesnastą.

– Co będziesz robił?

– To, czego mnie uczono w szkole.

– A tak, tym też się od czasu do czasu zajmujesz.

Milo wybrał numer podany przez Fusco na faksie.

– Wiadomość nagrana na taśmie... I to specjalnie dla mnie. Jeśli interesuje mnie to, co wiem, mam się z nim spotkać w Mort Deli przy Wilshire i Wellesley w Santa Monica. Będzie w sztywniackim krawacie.

– O której?

– Nie podał godziny. Wiedział, że zadzwonię po odebraniu faksu, jest pewien, że przyjdę.

Uwielbiam, jak się mną dyryguje – dodał Milo, zakładając marynarkę.

– W jakiej tonacji? W D-dur, jak detektyw albo jak dupek. Ale czemu właściwie miałbym nie pojechać. To niedaleko od Venice, a chcę się rozejrzeć w tamtejszych ruderach. Jedziesz?

– Wezmę swój samochód.

– Pewnie. Tak to się zaczyna. Jeszcze trochę i zażyczysz sobie własnego talerzyka i łyżeczki.

Z zewnątrz restauracja Mort Deli nie prezentowała się zbyt ciekawie: duże zamglone okno w ścianie pokrytej brązowymi deskami, a wyżej namalowany czerwonymi literami szyld obwieszczający, że można tu zjeść lunch za pięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Wnętrze w żółciach i szkarłatach, wąskie czarne przegródki wykończone czarnym skajem, tapeta, której wzór zdradzał inspirację upierzeniem papugi, i niemiła mieszanka woni pieczonych ryb, ogórków w occie i przejrzałych kartofli.

Rozpoznanie Leimerta Fusco nie sprawiłoby nikomu trudności, nawet gdyby nie miał na sobie krawata. Jediną klientką poza nim była staruszka podnosząca łyżkę zupy do drżących chorobliwie ust. Agent FBI siedział trzy przegródki za nią. Krawat był z szarego tweedu, identycznego jak sportowa marynarka.

– Witam – rzekł znanym mi już szorstkim głosem, wskazując kanapkę na talerzu. – Żeberka są nie najgorsze jak na Los Angeles.

– A gdzie są lepsze? – spytał Milo.

Fusco odłonił w uśmiechu dziąsła. Miał ogromne, końskie, białe jak hotelowe prześcieradło zęby i krótkie, krzaczaste siwe włosy, zarastające nisko czoło, długą, pomarszczoną twarz, agresywną szczękę i duży bulwiasty nos. Był tuż przed sześćdziesiątką i miał najsmutniejsze brązowe oczy, jakie kiedykolwiek widziałem, niemal całkowicie ukryte pod nawisłymi brwiami. Patrząc na szerokie ramiona i duże dłonie, można było odnieść wrażenie, że wielkie ciało źle się czuje w pozycji siedzącej.

– Czyli mam powiedzieć, skąd pochodzę? Ostatnio mieszkam w Quantico. A wcześniej w rozmaitych miejscach. Żeberka polubiłem w Nowym Jorku, bo gdzieżby indziej? Pięć lat spędziłem w głównym biurze na Manhattanie. Czy to wystarczające kwalifikacje, żeby panowie usiedli ze mną przy jednym stoliku?

Milo wśliznął się na ławę, a ja za nim. Fusco patrzył na mnie.

– Doktor Delaware? Świetnie. Mój doktorat nie jest z medycyny, tylko z teorii osobowości. – Poprawił tweedowy krawat. – Dziękuję, że pan przyszedł. Nie będę obrażał waszej inteligencji, pytając, jak sobie radzicie ze sprawą Mate'a. Przyszliście tutaj, panowie, bo chociaż uważacie, że to strata czasu, w waszej sytuacji nie byłoby mądrze odrzucać jakiegokolwiek informacji. Zamówicie coś, czy nasze spotkanie ma do końca przebiegać w atmosferze podejrzliwej obserwacji?

– A więc jaki jest pański ogólny pogląd na życie? – spytał Milo. Fusco wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ja nic nie będę jadł – oznajmił Milo. – Co z tym Burkiem? Zjawiała się kelnerka. Fusco odprawił ją gestem. Wypił łyk coli i odstawił wysoką szklanę.



– Michael Ferris Burke – zaczął, jakby recytował tytuł wiersza. – Przypomina wirus HIV: wiem, czym jest, co robi, ale nie mogę go złapać.

Powiedział to, patrząc łagodnie na Milo. Nie miałem pewności, czy aluzja do AIDS jest tylko przypadkową metaforą.

Wyraz twarzy Milo świadczył o tym, że dla niego sprawa jest jasna.

– Wszyscy mamy kłopoty. Chce mi pan przekazać jakieś informacje czy tylko pograć na nerwach?

Fusco z uśmiechem wziął z ławki ceglasczerwona teczkę, wielką jak akordeon, grubą na pięć centymetrów i związaną sznurkiem.

– Kopia akt Burke’a do waszej dyspozycji. A ściśle rzecz biorąc, Rushtona. Na studiach medycznych figurował jako Michael Ferris Burke, ale od urodzenia nazywał się Grant Huie Rushton. Posługiwał się jeszcze kilkoma pseudonimami. Lubi stwarzać się ciągle od nowa.

– Więc teraz może sobie znaleźć pracę w Hollywood – zauważył Milo.

Fusco pchnął teczkę w naszą stronę. Po krótkim wahaniu Milo wziął ją i położył na ławie między nami.

– Mogę o nim pokrótce opowiedzieć, jeśli chcecie.

– No, proszę.

Lewa powieka Fusco zadrżała, po czym znieruchomiała.

– Grant Huie Rushton urodził się czterdzieści lat temu w Queens w Nowym Jorku. A dokładnie we Flushing. Poród nastąpił w terminie, bez żadnych komplikacji. Jego rodzicami byli Philip Walter Rushton, dwudziestodwuletni rzemieślnik, i Lorraine Margaret Huie, dwudziestosiedmioletnia gospodyni domowa. Nie mieli więcej dzieci. Kiedy chłopiec miał dwa lata, oboje zginęli w wypadku samochodowym na autostradzie w Pensylwanii. Małego Granta zawieziono do Syracuse, gdzie jego wychowaniem zajęła się babka ze strony matki, Irma Huie, wdowa, od dawna uzależniona od alkoholu.

Fusco potarł dłonie.

– Logika i psychologia podpowiadają, że problemy Rushtona musiały się zacząć wcześniej, choć trudno to udokumentować, bo nigdy nie zasięgał porady u specjalisty. Dotarłem do papierów szkolnych, w których mowa o „problemach wychowawczych”. Nie był dzieckiem towarzyskim, dlatego trudno znaleźć jego kolegów. Kilkanaście miesięcy temu wybrałem się do Syracuse i odnalazłem ludzi, którzy pamiętali go jako inteligentnego, uzdolnionego, i wyjątkowo niedobrego chłopca. W relacjach powtarzało się słowo „podły”.

Agent podrapał wskazujący palec lewej dłoni palcem prawej.

– Okrucieństwo wobec zwierząt, napaści na inne dzieci, kradzieże i włamania do domów sąsiadów. Babka nie wywiązywała się należycie z roli opiekunki i Grant miał praktycznie wolną rękę. Był dość przebiegły, żeby nie dać się złapać, więc jego nazwisko nie trafiło do akt

policyjnych. W roczniku liceum – którego kopię znajdą panowie w teczce – nie odnotowano uczestnictwa w zajęciach pozalekcyjnych ani nagród. Skończył szkołę ze średnią oceną B, co dla niego było fraszką, mógł to zrobić z zamkniętymi oczyma. Dostał kilka ocen niezadowolających z zachowania, ale nie był zawieszany ani wyrzucany ze szkoły. Zna pan akta psychopatów, doktorze. Wysoki iloraz inteligencji pomaga im się zakamuflować. Grant Rushton już wtedy wiedział, jak kontrolować swoje impulsy. Nie wiadomo dokładnie, kiedy uległ im po raz pierwszy, ale gdy miał osiemnaście lat, zaginęła czternastoletnia dziewczynka z sąsiedztwa. Jej zwłoki znaleziono dwa miesiące później w lasku na przedmieściu. Były w stanie rozkładu, dlatego nie udało się ustalić dokładnego czasu zgonu. Autopsja wykazała ślady ran na głowie i szyi, a także eksploracji pochwy. Jednak dziewczynka nie została zgwałcona. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, policja nie wymieniła z nazwiska żadnego podejrzanego.

– Czy przesłuchano Rushtona? – spytał Milo.

– Nie. Po znalezieniu ciała dziewczynki – nazywała się Jennifer Chapelle – Rushton skończył szkołę i wstąpił do marynarki. Podstawowe przeszkolenie odbył w Oceanside w Kalifornii. Zaledwie po dwóch miesiącach został zwolniony ze służby z wyróżnieniem. Archiwa wojskowe okazały się tu wyjątkowo nieprecyzyjne. Dowiedziałem się tylko, że oddał się bez przepustki i wyrzucili go.

– To się nazywa z honorami? – spytałem.

– W dobrowolnej służbie wojskowej czasami tak. Kiedy Rushton był zakwaterowany w Oceanside, kilometr od bazy znaleziono pocięte ciało prostytutki, nazwiskiem Kristen Strunk. Ta sprawa też nie została wyjaśniona.

– Powtórzę się – powiedział Milo – ale czy Rushtona uważano za podejrzanego?

Fusco potrząsnął głową.

– Słuchajcie dalej. Po zwolnieniu z wojska Grant Rushton zginął w wypadku z udziałem jednego samochodu na słynnej Trasie 66 w Nevadzie. Wóz spalony, trup też..

– Tak samo jak jego rodzice – zauważyłem. Smutne oczy Fusco pojaśniały.

– Co pan sugeruje? Zamianę ciał?

– Nie przeprowadzono dokładnej autopsji zwłok. Były spieczone jak skwarek. Dopiero po wielu latach, kiedy porównywałem odciski palców Rushtona z okresu służby w marynarce z odciskami Michaela Burke'a, wpadłem na to, że podrzucił do samochodu czyjeś ciało. Było już za późno, żeby sprawdzić, kto naprawdę spłonął. Właścicielem wozu był pewien księgowy z Tucson, który jechał z żoną do Las Vegas. W samochodzie nastąpiło zwarcie instalacji, kiedy oni siedzieli w barze i jedli hamburgery.

– Ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł spłonąć w tym wozie? – spytał Milo.

Fusco potrząsnął głową i zerknął przez ramię.

– Na półtora roku Rushton zniknął. Pewnie jeździł z miasta do miasta pod fałszywymi

nazwiskami. Następny ślad pobytu znalazłem w Denver. Uczył się tam w klasie o profilu biologicznym w szkole Rocky Mountain, podając się za Mitchella Lee Sartina. Odciski palców świadczą o tym, że Sartin i Rushton to jedna i ta sama osoba. Starał się o pracę ochroniarza, więc zdjęli mu odciski. Ukradł tożsamość dziecku pochowanemu dwadzieścia dwa lata wcześniej w Boulder; prawdziwy Mitchell zmarł nagle, kiedy miał trzy miesiące.

– A firma ochroniarska nie miała powodów, żeby porównywać odciski z odciskami marynarza Rushtona – wtrącił Milo.

– Żadnych. Od dawna wiadomo, że oni zatrudniają nawet schizofreników. Porównali je z odciskami z archiwum miejscowej policji, gdzie ich rzecz jasna nie było. Sartin dostał pracę, zaczął patrolować nocą magazyn firmy farmaceutycznej. W dzień chodził do szkoły. Wytrzymał jeden semestr, zresztą z doskonałym wynikiem. Studiował biologię, zaliczył też kurs rysunku ludzkiej postaci.

– Rysunek – powiedziałem. – Czy to miał pan na myśli, mówiąc, że Rushton był uzdolniony? Fusco pokiwał głową.

– Kilku kolegów ze szkoły pamięta, że lubił rysować w czasie lekcji, i robił to świetnie. Rysował obsceniczne karykatury nauczycieli i innych poważnych osób. Nie udzielał się jednak w szkolnej gazetce, praca w zespole go nie interesowała.

Agent pociągnął łyk coli.

– W tym czasie, gdy Sartin uczył się w szkole medycznej Rocky Mountain, zaginęły dwie studentki. Jedną znaleziono w górach, martwą, zgwałconą i okaleczoną. Do dzisiaj nie wiadomo, co się stało z drugą. Właśnie wtedy Grant Rushton alias Mitchell Sartin wzbudził zainteresowanie organów ścigania. Znalazł się wśród kilkunastu osób przesłuchiwanym przez policję w Denver, ponieważ w przeddzień zniknięcia jednej z dziewcząt widziano, jak rozmawiał z nią w szkolnej kawiarence. Ale było to tylko rutynowe przesłuchanie, bez żadnych konsekwencji. Sartin nie zapisał się na następny rok, wyjechał z miasta i zniknął.

– Zrobił to wszystko w ciągu dwóch lat po ukończeniu liceum? – spytałem. – Miał tylko dwadzieścia lat.

– Zgadza się – potwierdził Fusco. – Był ostrożnym młodzieńcem. Niewiele wiadomo o tym, co robił przez następnych kilka lat. Wiem, że wrócił do Syracuse, żeby odwiedzić babkę, ale nie potrafisz tego udowodnić. Nikt go tam nie widział.

– Coś się stało babuni – domyślił się Milo.

Fusco zagryzł wargi i przesunął dłonią po siwej czuprynie.

– Pewnego zimowego wieczoru babcia wjechała na drzewo i przeleciała przez przednią szybę. Miała odrobinę za dużo alkoholu we krwi, a na przednim siedzeniu wozu leżała pusta butelka. Kiedy znaleziono ciało, było zamrożone na kość. Można uznać, że był to wypadek

spowodowany jazdą pod wpływem alkoholu, ale babcia lubiła popijać w domu i nigdy nie wychodziła wieczorem. Poza tym rzadko jeździła samochodem. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego wyjechała w mroźną zamięć i znalazła się na jakichś wertepach ponad dwadzieścia kilometrów od domu. Nikt też nie zadał sobie pytania, w jaki sposób, po tak silnym uderzeniu, butelka mogła zostać na siedzeniu. Irma Huie nie zostawiła majątku: mieszkała w wynajętym domu, nie miała konta w banku. Policja nie znalazła w jej mieszkaniu pieniędzy, nawet centa w słoiku. Co zresztą jest dziwne, bo utrzymywała się z renty po mężu, a poza tym dostawała emeryturę z ubezpieczenia społecznego. Właściciel domu twierdził, że trzymała w mieszkaniu dużo gotówki, widział zwitki banknotów związanych gumką. Rok później Mitchell Sartin jako Michael Ferris Burke pojawił się na uniwersytecie w Nowym Jorku i zapisał na drugi rok medycyny. Przedstawił kopię świadectwa ukończenia pierwszego roku – sfałszowaną, jak się później okazało – na uniwersytecie stanowym Michigan ze średnią trzy i osiem dziesiątych. Władze uczelni nie zakwestionowały dokumentu. Burke twierdził, że ma dwadzieścia sześć lat – taki wiek wynikał z metryki, tym razem wypisanej na dziecko zmarłe w stanie Connecticut. W rzeczywistości miał dwadzieścia dwa lata.

Kupił sobie parę lat za pieniądze babci – zauważyłem. – Ale nie próbował starać się o rentę i pieniądze z państwowego ubezpieczenia.

– To przezorny młodzieniec – odparł Fusco. – Właśnie dlatego są w jego życiu okresy, o których nic nie wiem, a wiele z tego, co panom powiem, trzeba uznać za domysły. Czy jednak zauważył pan w mojej relacji coś, co nie pasowałoby do reszty z punktu widzenia psychologii, doktorze?

– Proszę mówić dalej – odparłem.

– Cofnijmy się nieco w czasie. W ciągu roku, który upłynął między śmiercią Irmy Huie w Syracuse i zapisaniem się Michaela Burke'a na uczelnię w Nowym Jorku, zdarzyło się kilka przestępstw, podobnych do zbrodni popełnionej na studentce w Denver. Cztery miesiące po wyjeździe Sartin z Kolorado, w Ann Arbor w stanie Michigan zaatakowane zostały trzy studentki. Wszystkie trzy biegały po ścieżkach w obrębie uniwersyteckiego kampusu. Dwie zostały napadnięte z tyłu przez mężczyznę w masce narciarskiej, przewrócone, ogłuszone uderzeniami w twarz, zgwałcone i pocięte ostrym nożem, prawdopodobnie skalpelem chirurgicznym. Obie uszły z życiem dzięki temu, że napastnik umknął, wystraszony przez innych amatorów joggingu. Trzecia dziewczyna miała mniej szczęścia. Została zaatakowana trzy miesiące później, kiedy panika wywołana dwoma pierwszymi napaściami nieco opadła. Jej ciało znaleziono koło zbiornika wody, okropnie okaleczone.

– W jaki sposób? – spytałem.

– Rozległe cięcia na brzuchu i miednicy. Nadgarstki i kostki miała przywiązane do drzewa mocnym sznurem konopnym. Obcięte piersi, skóra zerwana z wewnętrznej części ud – typowy

przykład chirurgii sadystyczno-seksualnej. Krwiaki podwardówkowe od ran głowy, które być może doprowadziły do śmierci, ale ślady krwi tętniczej na drzewie świadczą o tym, że dziewczyna żyła jeszcze, kiedy morderca ją kroił. Jako oficjalną przyczynę śmierci przyjęto wykrwawienie się ofiary z rany na szyi. W pobliżu znaleziono skrawki niebieskiego papieru, które detektywi z Ann Arbor dopasowali do jednorazowych fartuchów chirurgicznych, używanych wówczas w centrum medycznym uniwersytetu Michigan. Liczne przesłuchania studentów i pracowników kliniki do niczego nie doprowadziły. Ofiary napadów, które przeżyły, umiały podać tylko ogólnikowy rysopis sprawcy: mężczyzna rasy białej, średniego wzrostu, bardzo silny. Nic nie mówił, nie pokazał twarzy, lecz jedna z dziewcząt zauważyła białą skórę między rękawem i rękawiczką. Przestępca zaciskał rękę na ustach ofiary, uderzał od tyłu w głowę, rzucał na ziemię i bił w twarz. Zadawał trzy silne ciosy jeden po drugim.

Fusco trzykrotnie uderzył pięścią we wnętrze otwartej dłoni. Rozległy się trzy głuche dźwięki. Kobieta siorbiąca zupę nie odwróciła się.

– Jedna z ofiar określiła jego postępowanie jako „zaplanowane”. Nazywała się Shelly Spreen. Miałem okazję rozmawiać z nią cztery lata temu, czternaście lat po napadzie. Mężatka, dwoje dzieci, mąż kocha ją do szaleństwa. Operacja plastyczna przywróciła jej urodę, choć widziałem jej zdjęcia sprzed napadu i wiem, że nie do końca. Dzielna dziewczyna, jako jedna z niewielu zgodziła się ze mną spotkać. Chciałbym, żeby rozmowa ze mną o tym wydarzeniu chociaż trochę jej pomogła.

– Zaplanowane – powtórzyłem.

– Właśnie tak ją bił: w milczeniu, mechanicznie, metodycznie. Shelly nie czuła, że robił to ze złości. Miała wrażenie, że przez cały czas się kontroluje. „Jak ktoś, kto wykonuje swoją pracę”, powiedziała. Policja z Ann Arbor niczego nie zaniedbała, ale nie wpadła na żaden trop. Ja byłem w tej luksusowej sytuacji, że mogłem wszystko ocenić z perspektywy czasu. Skupiłem się więc na młodych mężczyznach przed trzydziestką, ochroniarzach i pracowników uczelni, którzy wyjechali z miasta wkrótce potem, a następnie zniknęli z pola widzenia. Jedyńm, który spełniał te warunki, okazał się Huey Grant Mitchell. Pracował na oddziale kardiologicznym kliniki uniwersytetu Michigan.

– Grant Huie Rushton plus Mitchell Sartin równa się Huey Grant Mitchell. Gra słów – powiedziałem.

– Tak, doktorze. On uwielbia zabawę. Tożsamość Mitchella została starannie spreparowana. Referencje z pracy, które przedstawił – ze szpitala w Phoenix – okazały się fałszywe, a numer ubezpieczenia wpisany w podaniu o pracę zupełnie nowy. Za pokój wynajmowany w Ann Arbor płacił gotówką, nie zostawił więc żadnych śladów wypłat z karty kredytowej, żadnych dokumentów poza świadectwem pracy: był świetnym salowym. Mam wrażenie, że przejście od tożsamości skradzionej jednemu zmarłemu dziecku do nowej jest znakiem przemiany

psychologicznej. Rushton nabrał pewności siebie.

Fusco odsunął szklanekę z colą i niedojedzoną kanapkę.

– Coś jeszcze wskazuje na zmianę. Zapragnął nowej zabawy. W czasie, gdy pracował na oddziale kardiologicznym, kilku pacjentów zmarło nagle w niewyjaśnionych okolicznościach. Sześciu chorych, których stan nie był beznadziejny. Mogli umrzeć, ale mogli też wyzdrowieć. Nikt niczego nie podejrzewał – i nie podejrzewa do dziś. Dowiedziałem się o nich podczas mojego śledztwa.

– Facet rozpruwa nożem dziewczyny i wykańcza pacjentów w ciężkim stanie? – spytał Milo.

– Co za wszechstronny drań.

Z twarzy Fusco znikła łagodność.

– Nie macie pojęcia, jaki wszechstronny.

– Prawie dwadzieścia lat znaczonych ciemnymi sprawkami i nic się nie wydało? Prowadzi pan jedno z tych tajnych śledztw FBI czy może pisze książkę?

Szczęki Fusco zacisnęły się, ale po chwili agent się uśmiechnął.

– Śledztwo jest tajne, bo nie mam czego ujawniać. Nadal poruszam się w próżni. Ale pracuję nad nim dopiero od trzech lat.

– Wspomniał pan o dwóch seriach zabójstw. A gdzie ta druga?

– Tu, w waszym wspaniałym stanie. Miesiąc po wyjeździe Huey Mitchella z Ann Arbor na szlaku turystycznym w odstępie dwóch tygodni zginęły dwie dziewczyny. Obie zostały przywiązane do drzew i pocięte niemal w identyczny sposób, co ofiary w Kolorado i Michigan. Pięć tygodni po znalezieniu zwłok drugiej z nich z miasta wyjechał salowy nazwiskiem Hank Spreen.

– Spreen – powtórzyłem. – Shelly Spreen. Przybrał nazwisko ofiary?

Fusco uśmiechnął się złośliwie.

– Ironia to jego znak firmowy. I znów uszło mu na sucho. Hank Spreen pracował w prywatnej klinice w Bakersfield; specjalizował się w kosmetyce, usuwaniu cyst i tym podobnych sprawach. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy stan trzech pacjentek po operacji nagle się pogorszył. Wszystkie zmarły w nocy. Oficjalna przyczyna zgonu to atak serca w wyniku idiopatycznych reakcji na znieczulenie. To się zdarza, ale nie kolejno trzy razy w ciągu pół roku. Klinikę zamknięto ze względu na wzburzenie opinii publicznej, ale Hank Spreen zdążył już zniknąć. Latem na Uniwersytecie Nowojorskim pojawił się Michael Burke.

– Długa lista ofiar jak na dwudziestodwulatka – zauważyłem.

– W dodatku dość bystrego, żeby skończyć szkołę pielęgniarstwa i medyczną. Zarabiał jako asystent laboratoryjny profesora biologii; praca polegała na myciu probówek w nocy, ale Burke nie potrzebował pieniędzy, mieszkał w akademiku. Na świadectwie miał średnią trzy osiemdziesiąt pięć, i o ile wiem, rzeczywiście na nią zasłużył. Latem pracował jako salowy

w trzech szpitalach państwowych: New York Medical, Middle State General i Long Island General. Złożył podanie do dziesięciu akademii medycznych, został przyjęty do dziesięciu i wybrał Uniwersytet Stanu Waszyngton w Seattle.

– Czy podczas jego pobytu w szkole medycznej zginęły jakieś studentki? – spytał Milo.

Fusco oblizał wargi.

– Nie, nie natrafiłem na akta ofiar, które pasowałyby do Rushtona. Ale zaginionych dziewcząt nigdy nie brakuje. W skali całego kraju wielu ciał nigdy nie odnaleziono. Sądzę, że Rushton nadal zabijał, ale nauczył się lepiej zacierać ślady.

– Uważa pan, że psychopata zmienia swój profil?

– Nie profil – odparł Fusco – ale sposób wyrazu, tak to nazwijmy. Daje upust swoim krwawym instynktom, lecz umie być ostrożny, absolutnie ostrożny. Pomyślcie, jakiego samozaparcia wymagało zdobycie kwalifikacji lekarza. A to nie wszystko. W okresie pobytu w Nowym Jorku Rushton przerzucił się z morderstw i gwałtów, takich jak w Michigan i Bakersfield, na uwalnianie pacjentów szpitali od cierpienia. Wiem, że oba rodzaje przestępstw bardzo się różnią, ale łączy je wspólny element: żądza władzy. Odgrywanie roli Boga. Kiedy Rushton poznał sposób działania szpitali, mógł przestawić się na makabryczne zabawy bez najmniejszego trudu.

– W jaki sposób miałby zabić tych wszystkich pacjentów? – spytał Milo z powątpiewaniem.

– Jest wiele metod, które praktycznie uniemożliwiają wykrycie morderstwa. Ściśnięcie nosa, uduszenie, zaciśnięcie rurek kroplówki, wstrzyknięcie sukcynolocholiny, insuliny, potasu.

– Czy w tych trzech szpitalach, gdzie Burke pracował latem, doszło do jakichś niewyjaśnionych zgonów?

– Nowy Jork to najgorsze miejsce, jeśli chodzi o zdobywanie informacji. Rozbudowane instytucje, mnóstwo przepisów. Powiedzmy, że dowiedziałem się o kilkunastu budzących wątpliwości przypadkach śmierci na oddziałach, gdzie pracował Burke. Dokładnie trzynastu.

– Wszystko jest tu opisane? – spytał Milo, wskazując teczkę.

Fusco potrząsnął głową.

– Ograniczyłem się do faktów, przypuszczenia pominąłem. Znajdziecie tam panowie raporty policyjne, autopsje i tym podobne.

– To znaczy, że niektóre z pańskich informacji zostały zdobyte bezprawnie i nie będzie ich można wykorzystać w sądzie.

Agent milczał.

– To świadczy o dużym zaangażowaniu – zauważył Milo. – Kowbojskie metody to nie jest to, do czego przyzwyczaiłem się, współpracując z FBI.

Fusco wyszczerzył końskie zęby.

– Cieszę się, że mogę naruszyć pański stereotyp, detektywie.

– Tego nie powiedziałem.

Agent pochylił się.

– Nie mogę sprawić, żeby odrzucił pan wrogość i podejrzliwość, ale jaki sens ma powtarzanie starej zabawy w policjanta maltretowanego przez duże złe FBI? Czy często się zdarza, żeby ktoś proponował panu takie informacje?

– Nie. A jeśli wydaje się, że coś jest za dobre, aby było prawdziwe, to przeważnie tak jest.

– Dobrze, jeśli nie chce pan tych akt, proszę je oddać. I powodzenia w tropieniu mordercy Mate'a. Który, nawiasem mówiąc, rozpoczął swoje tournée śmierci w tym samym czasie, gdy Michael Burke alias Grant Rushton na serio zajął się medycyną. Wydaje mi się, że Burke zwrócił uwagę na Mate'a. Wyczyny Mate'a i zła sława, która zaczęła go otaczać, musiała odegrać dużą rolę w ewolucji Michaela Burke'a jako zbrodniarza. Choć, rzecz jasna, Michael zaczął mordować pacjentów wcześniej. Głównym celem Michaela było zabijanie ludzi. Czy pańskim zdaniem można powiedzieć to samo o doktorze Mate? – Fusco zwrócił się do mnie.

Mówił o Burke'u po imieniu. Nienawistna bliskość zrodzona podczas daremnego śledztwa.

– Uważa pan Mate'a za seryjnego mordercę? – spytał Milo. Fusco spojrzał nań uprzejmie, bez wyrazu.

– A pan nie?

– Niektórzy twierdzą, że był aniołem miłosierdzia.

– Jestem pewien, że Burke mógłby tak zmanipulować niektórymi ludźmi, że zaczęliby to samo mówić o nim. Ale wszyscy dobrze wiemy, o co mu naprawdę chodziło. Mate rozkoszował się władzą nad życiem i śmiercią. Burke tak samo. Znacie panowie dowcipy o lekarzach udających Boga. Ci dwaj wcieliili je w życie.

Milo wytarł krawędź stołu, jakby usuwał odciski palców.

– A więc Mate zainspirował Burke'a, który przeniósł się do akademii medycznej w Seattle. Facet ma upodobanie do podróży.

– O, tak – potwierdził Fusco. – To zabawne, ale dopóki nie przeprowadził się do Seattle, gdzie kupił używaną furgonetkę marki Volkswagen, nigdy oficjalnie nie posiadał samochodu. Jak powiedziałem, zachowuje się jak retrowirus; ciągle ewoluuje, trudno go wytropić.

– Kto zginął w Seattle?

– Uniwersytet Stanu Waszyngton nie dzieli się chętnie informacjami. Oficjalnie na żadnym z oddziałów nie odnotowano podejrzanych zgonów pacjentów. Ale czy ktoś dałby za to głowę? Z całą pewnością nie brak tam seryjnych zabójstw.

– Więc Burke znowu przerzucił się na mordowanie dziewcząt? Chce pan powiedzieć, że to on jest zabójcą z Green River?

Fusco uśmiechnął się.

– Żadne morderstwo z Green River nie pasuje do wcześniejszych zabójstw Rushtona, ale



wiem o co najmniej czterech, które wymagałyby dokładniejszego zbadania. Zwłoki dziewcząt przywiązane do drzew, pocięte; wszystkie znaleziono w podmiejskich okolicach, w obrębie stu pięćdziesięciu kilometrów od Seattle. Żadna sprawa nie została wyjaśniona.

– W ciągu dnia Burke zaciska rurki kroplówek, w wolnym czasie morduje dziewczyny i jednocześnie studiuje medycynę.

– Bundy mordował, studiując na wydziale prawa. Burke jest o wiele sprytniejszy, ale jak większość psychopatów ma tendencję do braku samodyscypliny. Omal nie kosztowało go to dyplomu lekarza. Musiał przez całe lato poprawiać stopnie z biologii i zajęć klinicznych, skończył szkołę jako jeden z najslabszych. Ale skończył i dostał się na praktykę w klinice dla weteranów wojskowych w Bellingham. Tam też nie zdołałem dobrać się do archiwum, ale nie dziwiłbym się, gdyby duża liczba emerytowanych wojskowych odeszła z tego świata podczas dyżuru Burke'a. Michael zrobił tam specjalizację z medycyny urazowej, dostał dobrze płatną pracę w Unitas, wrócił do Nowego Jorku i kupił drugi samochód.

– Nie pozbył się furgonetki? – spytałem.

– Bynajmniej.

– Jaki samochód kupił? – spytał Milo. Wiedziałem, że ma na myśli bmw.

– Trzyletnią toyotę lexus – odparł Fusco. – Wydaje mi się, że pogotowie to najlepsza praca dla samotnika o zwichniętej psychice: dużo krwi i bólu, trzeba szybko podejmować decyzje, od których może zależeć czyjeś życie lub śmierć, ciąć i zszywać, godziny pracy są ruchome, pracuje się dwadzieścia cztery godziny, a potem jest parę dni wolnego. I co równie ważne, nie trzeba następnie prowadzić pacjentów, nie nawiązuje się trwałych kontaktów z kolegami i personelem. Burke mógł się tam przyczaić na długie lata, ale ponieważ jest psychopata, więc ma skłonność do popełniania głupstw. I w końcu je popełnił.

Milo uśmiechnął się. Piętnaście lat żył z lekarzem pogotowia. Słyszałem nieraz, jak Rick chwalił sobie wolność, która wynika z braku długotrwałych związków.

– Otruł szefa. W artykule napisano, że został zawieszony za błędy w sztuce lekarskiej. Co to znaczy?

– Nie zjawiał się w pracy, kiedy powinien tam być. Poza tym słabo sobie radził w kontaktach z pacjentami. Jego szef – doktor Rabinowitz – twierdził, że czasami szło mu świetnie, był czarujący, wyrozumiały, zostawał po godzinach z dziećmi. Ale zdarzało się, że tracił cierpliwość, posądzał chorych o histerię albo udawanie, zachowywał się bardzo nieprzyjemnie. Próbował nawet wyrzucić kilku pacjentów z oddziału intensywnej terapii, mówiąc, że zajmują łóżka, na których powinni leżeć ludzie naprawdę chorzy. I zdarzało się to coraz częściej. Burke regularnie otrzymywał ostrzeżenia, ale zapierał się, że to wszystko nieprawda.

– Tracił cierpliwość – powiedział Milo, spoglądając na mnie.

– Może nie wytrzymał rosnącego napięcia. – Praca była trudna, a on miał słabe

kwalifikacje. Nadzorowali go ludzie mądrzejsi od niego. To rodziło presję, musiało być trudne do zniesienia. Czy Burke kiedykolwiek był w otwartym związku z kobietą?

– Nie na dłuższą metę, a jest przystojnym mężczyzną. – Fusco spuścił wzrok. Jego dłonie zacisnęły się w pięści. – To kolejna cecha jego metody, z późniejszego okresu, o ile mi wiadomo. Nawiązał kontakt z jedną ze swoich pacjentek w Seattle, była cheerliderką, chorą na raka kości. Burke pracował wtedy jako internista, zaczął się z nią spotykać.

– Zdawało mi się, że nie mógł pan dotrzeć do archiwów szpitala – zauważył Milo.

– Nie mogłem, ale udało mi się porozmawiać z pielęgniarkami, które pamiętały Michaela. Nie działa się nic szczególnego, po prostu spędzał z nią za dużo czasu. Ale ona umarła. Po kilku tygodniach znaleziono zwłoki pierwszej z czterech ofiar pociętych ostrym narzędziem. Rok później, w Rochester, Burke zbliżył się do kolejnej chorej kobiety, rozwódki po pięćdziesiątce, byłej królowej piękności, chorej na raka mózgu. Przywieziono ją na oddział intensywnej terapii, Burke przeprowadził reanimację, odwiedzał ją w ciągu czterech miesięcy, które spędziła w szpitalu, a potem, kiedy została wypisana, chodził do niej do domu. Był przy jej śmierci, sam stwierdził zgon.

– Na co zmarła? – spytał Milo.

– Na niewydolność układu oddechowego. To się zgadzało z kierunkiem rozwoju choroby.

– Czy natrafiono następnie na ofiary w tej okolicy?

– Nie w samym Rochester, ale podczas dwóch lat pracy Burke'a w szpitalu Unitas w promieniu trzystu pięćdziesięciu kilometrów zaginęło pięć dziewcząt. Trzy zniknęły po śmierci tej kobiety. Zgadza się z opinią doktora Delaware'a, że ta praca musiała się dla niego wiązać z dużym napięciem.

– Trzysta pięćdziesiąt kilometrów – powiedział Milo.

– Jak wspominałem, Burke miał wszystko, co potrzebne do podróżowania. I dużo czasu dla siebie. W Rochester mieszkał w wynajętym domu na przedmieściach. Sąsiedzi twierdzili, że trzymał się z dala od ludzi, czasem znikał na parę dni. Zabierał ze sobą narty lub sprzęt turystyczny; zarówno furgonetka, jak i lexus miały bagażniki na dachach. A Burke utrzymuje dobrą kondycję fizyczną, lubi przebywać na świeżym powietrzu.

– Powiedział pan, że zaginęło pięć dziewcząt. Ciało nie znaleziono?

– Jak dotąd nie. Poruczniku, przecież pan wie, że trzysta pięćdziesiąt kilometrów to żadna odległość, jeśli się ma przyzwoity wóz. Burke dbał o swoje samochody, zawsze lśniły czystością. Tak samo dom. Facet zachowuje się nienagannie. Mieszkanie pachniało środkami czystości, łóżko było zawsze starannie pościelone.

– Jak to się stało, że wpadł przy próbie otrucia Rabinowitza?

– Poszlaki były przeciwko niemu. Burke coraz gorzej radził sobie w pracy, więc Rabinowitz w końcu go zawiesił. Powiedział, że posłał mu wtedy takie spojrzenie, od którego ciarki

przechodzą po plecach. Tydzień później Rabinowitz zachorował; okazało się, że jest to zatrucie cyjankiem. Burke był ostatnią osobą widzianą w pobliżu filiżanki Rabinowitza – nie licząc sekretarki, a ona przeszła test na wykrywaczu kłamstw. Kiedy policjanci chcieli poddać badaniu Burke'a, już go nie było. W szafce znaleziono później igły i pustą ampułkę po penicylinie ze śladami cyjanku. Na szczęście Rabinowitz wypił tylko łyk kawy, a i tak musiał być hospitalizowany przez miesiąc.

– Burke zostawił ślady cyjanku w swoim schowku?

– Nie, w szafce innego lekarza, z którym wcześniej się posprzeczał. Na szczęście facet miał alibi. Leżał w domu chory na gripę żołądkową, nie wychodził, wielu świadków mogło to potwierdzić. Powstało podejrzenie, że i on został otruty, ale okazało się, że to jednak tylko grypa.

– A zatem jedyną poszlaką, wskazującą na winę Burke'a, jest jego zniknięcie.

– Z punktu widzenia policji w Rochester, tak. Ale ja mam coś więcej – powiedział Fusco, wskazując teczkę. – I mam Rogera Sharveneau, dyplomowanego technika respiracyjnego. Policja z Buffalo nie zweryfikowała jego zeznań dotyczących Burke'a, a Sharveneau pracował w Unitas przez trzy miesiące, w tym samym czasie co Burke. Wystarczyło, że wspomniał o tym, i tydzień później już nie żył.

– Dlaczego policja w Buffalo nie poszła tropem Burke'a? – spytał Milo.

– Na swoje usprawiedliwienie mają to, że Sharveneau sprawiał wrażenie nie w pełni poczytalnego, trudno więc było dać wiarę jego zeznaniom. Moim zdaniem, facet miał osobowość na pograniczu choroby psychicznej, a może nawet był chory. Wodził ich za nos przez miesiąc – przyznawał się do winy, odwoływał zeznania, sugerował, że zabił niektórych pacjentów, ale nie wszystkich, zwoływał konferencje prasowe, zmieniał adwokatów, zachowywał się coraz dziwniej. W areszcie rozpoczął głodówkę, przestał się odzywać, nie chciał nawet rozmawiać z psychiatrami wyznaczonymi przez sąd. Zanim opowiedział gliniarzom o Burke'u, mieli go powyżej uszu. Ale wydaje mi się, że znał Michaela Burke'a, i że ten miał na niego jakiś wpływ.

– Dlaczego Burke miałby się narażać, zwierając się komuś takiemu jak Sharveneau? – spytałem.

– Nie twierdzę, że mu się zwierzał czy że wydawał bezpośrednie polecenia. Powiedziałem, że wywierał na niego jakiś wpływ, być może bardzo subtelny – jakaś pozornie nieistotna uwaga, sugestia. Sharveneau miał bardzo niestabilną osobowość, pasywną, wyjątkowo podatną na wpływy zewnętrzne. A Michael Burke pasował do niego jak rękawiczka do ręki: lubił dominować, manipulować, epatować charyzmą. Myślę, że Burke wiedział, jak pociągać za odpowiednie sznurki.

– Dominujący, ze skłonnością do manipulowania, i wszystko uchodzi mu na sucho. Ma wszelkie dane, żeby ubiegać się o wysoki urząd publiczny.

– Lepiej nie oglądać profili psychologicznych ludzi, którzy rządzą tym krajem.

– A więc FBI kontynuuje dzieło Edgara Hoovera?

Fusco uśmiechnął się.

– Założmy, że pański podejrzany jest wcielonym diabłem. Co go łączy z Mate'em?

– Niech mi pan opowie o ranach Mate'a.

– A może pan opowie mi, jak je sobie wyobraża?

Agent przesunął się nieco w lewo i położył rękę na oparciu ławy.

– Zgoda. Podejrzewam, że Mate został częściowo bądź całkowicie ogłuszony, prawdopodobnie silnym ciosem w głowę zadany od tyłu. Albo podduszony sznurem. W prasie przeczytałem, że znaleziono go w furgonetce. Jeśli tak, to Burke odstąpił od swojego zwyczaju przywiązywania ofiary do drzewa. Ale lesisty teren pasuje do jego metod. Porzucił ofiarę w bardziej widocznym miejscu, co potwierdzałoby, że nabrał większej pewności siebie. Mate był postacią publiczną. Podejrzewam, że Burke zwabił go, udając zainteresowanie jego działalnością. Z tego, co wiem na temat doktora, wynika, że najłatwiej było złapać go na lep pochlebstwa.

Fusco zamilkł.

Milo bez słowa położył dłoń na teczce i powoli zaczął odwiązywać sznurek.

– Nie wiem, jak zaaranżował spotkanie, ale wyobrażam sobie, że rozejrzał się wcześniej po okolicy, poobserwował natężenie ruchu w różnych godzinach i w pewnej odległości zostawił samochód, do którego mógł bez trudu dojść pieszo i uciec z miejsca zbrodni. W jego przypadku mogło to być kilka kilometrów. Wóz zostawił prawdopodobnie na wschód od furgonetki, bo stamtąd rozchodziły się liczne trasy, którymi mógł odjechać. Mieszkając w Los Angeles, Burke musiał mieć samochód, więc jestem pewien, że postarał się o zarejestrowanie go pod nowym nazwiskiem. Ale nie potrafię powiedzieć, czy użył własnego wozu, czy skradzionego.

– Podejrzewam, że przeszukał pan już komputerową bazę rejestracji samochodów, wpisując nazwiska Burke, Rushton, Sartin, Spreen i wszelkie ich kombinacje.

– Tak. Ale nic nie znalazłem.

– Miał pan spekulować na temat ran Mate'a.

– Spekulować – powtórzył z uśmiechem Fusco. – Brutalne, ale precyzyjne, zadane skalpelem albo równie ostrym nożem. Nie wykluczam kształtów geometrycznych.

– Co pan ma na myśli? – spytał obojętnie Milo.

– Figury geometryczne wycięte na skórze. Ostatnia ofiara w Ann Arbor miała wycięty w górnej części okolicy łonowej kształt diamentu. Na widok tych ran pomyślałem, że to kolejny makabryczny żart: diamenty to najlepszy przyjaciel dziewczyny. Ale na skórze ofiary we Fresno Burke wyciął koła. Nie umiem powiedzieć, co to ma oznaczać, wiem tylko, że drań lubi się tak bawić.

– We Fresno były dwie ofiary – zauważyłem. – Czy tylko jedna miała geometryczne rany?

Fusco kiwnął głową.

– Może Burke musiał uciekać po zabiciu drugiej.

– Albo może nie oba morderstwa były jego dziełem – powiedział Milo.

– Sami panowie to ocenią po przeczytaniu akt – powiedział agent, wracając do szklanki i kanapki.

– Chce pan coś jeszcze powiedzieć?

– Że pewnie nie znaleźliście wielu dowodów, jeśli w ogóle były. Burke lubi po sobie sprzątać. Zabicie Mate'a uznał za swoje wyjątkowe osiągnięcie, syntezę dwóch poprzednich metod: krwawej roboty nożem i pseudoeutanzji. W gazetach napisali, że Mate został przywiązany do swojej maszyny. To prawda?

– Pseudoeutanzja?

– To nigdy nie jest prawda – warknął Fusco z nagłym przyływem energii. – Całe to gadanie o prawie do śmierci, o wyzwaniu ludzi od cierpienia.

Dopóki nie uda się dostać do mózgu umierającego człowieka i odczytać jego myśli, dopóty to nigdy nie będzie prawda. Uśmiechnął się z przymusem.

– Kiedy dowiedziałem się o obrazie, zrozumiałem, że muszę zagrać z wami w otwarte karty. Burke uwielbia rysować. Jego dom w Rochester był pełen książek o malarstwie i szkiców.

– Jest dobry? – spytałem.

– Lepszy od przeciętnej osoby. Zrobiłem parę zdjęć, wszystkie są w teczce. Ale proszę nie skupiać się na konkretnej cesze jego profilu, lepiej widzieć całość. Sporządziłem setki profili, i zwykle coś mi umykało.

– Zrobił pan w tej sprawie znacznie więcej niż sporządzanie profili psychologicznych Burke'a – zauważyłem.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Fusco, przypatrując mi się.

– Odnoszę wrażenie, że bez reszty zaangażował się w pan w tropienie go.

– Moja obecna praca polega głównie na gruntownym badaniu niewyjaśnionych spraw. Pan pewnie wie, co to znaczy – dodał, zwracając się do Milo.

Milo rozwiązał tasiemkę i otworzył teczkę. W środku były trzy mniejsze czarne skoroszyty, oznaczone rzymskimi cyframi I, II i III. Na pierwszej stronie umieszczono fotokopie pięciu zdjęć twarzy.

W lewym górnym rogu widniało kolorowe zdjęcie szkolne dziesięcioletniego Granta Huie Rushtona w koszulce z krótkimi rękawami. Mały, okrągły nos, krótko obcięte jasne włosy, miła buzia bez uśmiechu. Chłopiec odwrócił się od obiektywu, zacisnąwszy lekko usta. Ta mina mogła oznaczać obojętność, ale oznaczała coś zupełnie innego.

Złość, zimny gniew jakby z domieszką znużenia... Niestabilność emocjonalna? Ukradkowe

spojrzenie kogoś, kto został zraniony. A może to moja nadinterpretacja wywołana opowieścią Fusco?

Następna fotografia przedstawiała Granta Rushtona jako absolwenta liceum. W wieku osiemnastu lat wyglądał na bardziej rozluźnionego. Miły młodzieniec w koszuli, o twarzy wyraźnie szerszej niż na pierwszym zdjęciu, regularnych rysach, odrobinę ściągniętych. Czysta cera prócz paru krost koło nosa. Mocny kwadratowy podbródek, usta zamknięte, lecz kąciaki lekko uniesione. Włosy o kilka odcieni ciemniejsze niż w dzieciństwie, ale nadal jasne, opadały na ramiona gęstymi splotami. Tym razem chłopiec patrzył prosto w obiektyw, pewnie, wręcz zuchwale. Jeśli Fusco się nie mylił, Rushton zdążył już zamordować bezkarnie jedną dziewczynę.

Pod młodzieńczymi zdjęciami widniała brodata twarz Huey Mitchella ze znaczka firmy ochroniarskiej Great Lakes. Broda była gęsta, szeroka. Rudawy brąz gęstej szerokiej brody kontrastował z jasnymi włosami. Broda ta, spływająca od kości policzkowych do pierwszego guzika koszuli sprawiała, że porównania z innymi zdjęciami stawały się bezużyteczne. Włosy Mitchella – jeszcze dłuższe niż u nastoletniego Rushtona – były związane w kucyk spadający na prawe ramię.

Spojrzenie jasnych zwężonych oczu stało się twardsze. Powiedziałbym, że wyrażały antyinteligentką niechęć. Wzrost metr siedemdziesiąt pięć, waga osiemdziesiąt trzy kilogramy, włosy blond, oczy niebieskie.

Dwie najniższe odbitki przedstawiały Michaela Burke'a jako lekarza. Na pierwszej, pochodzącej z prawa jazdy z Nowego Jorku, Burke nadal nosił brodę, ale krótszą, najwyżej dwucentymetrową, która dobrze pasowała do mocnej głowy. Wrażenie to potęgowała fryzura Burke'a: cieniowana brzytwa, usztywniona pod suszarką, kończąca się nad uszami. Tuż po trzydziestce jego twarz zaczynała zdradzać oznaki starzenia: włosy przeredziły się, pojawiły się zmarszczki koło ust, obrzmienie pod oczami. Przyjemne, niczym niewyróżniające się oblicze.

Tym razem podano, że mierzył sto siedemdziesiąt dwa centymetry i ważył siedemdziesiąt sześć kilo.

– Skurczył się o trzy centymetry i stracił siedem kilo? – spytałem.

– Albo okłamał urząd rejestracyjny – odparł Fusco. – Przecież wszyscy tak robią.

– Ludzie zaniżają wagę, ale wzrostu raczej nie.

– Michael nie jest taki jak inni ludzie. Na prawie jazdy znajdzie pan informację, że ma brązowe oczy. W rzeczywistości są zielononiebieskie. Burke kpił sobie z urzędu – albo żeby coś ukryć, albo dla zabawy. Na karcie pracownika szpitala Unitas znów ma niebieskie oczy.

Spojrzałem na ostatnią odbitkę.

Michael F. Burke, lekarz medycyny, oddział terapii pourazowej.

Gładko ogolony. Prostokątne pełniejsze szczęki, włosy rzadsze, ale dłuższe, przylegające do głowy. Widać Burke zaczął się zadowalać zwykłym uczesaniem.

Porównałem ostatnie zdjęcie z odbitką fotografii Granta Rushtona z liceum, szukając podobieństw. Oczy były tego samego kształtu, lecz fałdy skóry wokół nich utrudniały rozpoznanie. Broda Huey Mitchella zaciemniała cały obraz. Czoło Rushtona, ocienione grzywką i odsłonięte czoło Burke'a całkowicie zmieniały wygląd.

Nigdy nie powiedziałbym, że tych pięć twarzy należy do jednego człowieka.

Milo zamknął skoroszyt i schował go do teczki. Fusco oczekiwał chyba jakiegoś odzewu z naszej strony, bo teraz nerwowo obracał szklankę w palcach.

– Coś jeszcze? – spytał Milo.

Agent potrząsnął głową. Owinął zjedzoną do połowy kanapkę w papierową chusteczkę i wsunął do kieszeni marynarki.

– Urzęduje pan w budynku federalnym?

– Oficjalnie – odparł Fusco – ale przeważnie jestem w drodze. Zapisalem tam numer, który automatycznie przełączy telefon na mój pager. Faks działa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Można się ze mną skontaktować o dowolnej porze.

– Dokąd pan podróżuje?

– Tam, gdzie wymaga praca. Jak mówiłem, mam też inne zadania oprócz tropienia Michaela Burke'a, choć przyznaję, że on najbardziej zaprzęta moje myśli. Wieczorem lecę do Seattle, może uda mi się wyciągnąć coś więcej od władz uniwersytetu. Chcę też zbadać dokładniej te niewyjaśnione morderstwa; to delikatna sprawa. W opinii publicznej utrwalił się obraz północno-zachodniego wybrzeża jako światowego centrum seryjnych morderstw, nadal nie ujęto mordercy z Green River, więc tamtejsza policja nie lubi, kiedy jej się przypomina o niezakończonych śledztwach.

– *Bon voyage* – rzucił Milo.

Fusco wyśliznął się zza stołu. Nie miał ze sobą żadnej teczki, a jego marynarka wybrzuszyła się w miejscu, gdzie wetknął kanapkę. Nie był wysoki, najwyżej metr siedemdziesiąt dwa; szeroki tułów kołysał się na krótkich, krzywych nogach. Kiedy poła marynarki odchyliła się, zauważyłem kilka czarnych długopisów w kieszonce koszuli, przypięty do pasa telefon komórkowy i pager. Żadnej widocznej broni. Przesunął dłonią po siwych włosach i utykając na jedną nogę, wyszedł z restauracji. Wyglądał jak stary znużony akwizytor, któremu nie udało się wykonać normy sprzedaży.

Milo i ja zostaliśmy.

Kelnerka pochyliła się troskliwie nad staruszką. Milo zamachał do niej. Podniosła palec.

– Jak zwykle federalni się opychają, a my płacimy rachunki – mruknął Milo.

– Smakowały mu żeberka, ale nie zjadł za dużo. Może ma brzuch pełen czegoś innego.

– Na przykład?

– Frustracji. Trochę się obruszył, kiedy powiedziałem, że poświęcił się całkowicie tropieniu Burke'a. Z drugiej strony, trzeba przyznać, że jest wiele zbieżności.

– Geometria?

– Zabójcą jest człowiek z wykształceniem medycznym i zainteresowaniami artystycznymi, połączenie „eutanzji” i morderstw na tle seksualnym. Poza tym niemal bezbłędnie opisał szczegóły morderstwa Mate'a, łącznie z nagłym atakiem z tyłu i uprzątnięciem sceny zbrodni.

– Mógł się dowiedzieć z policyjnego przecieku.

Podeszła kelnerka.

– Już zapłacone, proszę pana. Ten dżentelmen z siwymi włosami uregulował rachunek.

– Tak, prawdziwy z niego dżentelmen – rzekł Milo, podając jej banknot dziesięciodolarowy.

– O napiwku też pamiętał.

– Drugi nie zaszkodzi.

– Dziękuję – powiedziała kelnerka z promiennym uśmiechem.

– Widzisz, niesprawiedliwie go oceniłeś – zauważyłem, kiedy odeszła.

– To nawyk... No dobrze, część zapłaconego podatku wróciła do mojej kieszeni... Tak, są podobieństwa, ale przecież zawsze są, ilekroć mamy do czynienia z psychopatycznymi mordercami, prawda? Mają po prostu ograniczony repertuar: ogłuszają ofiary, a potem strzelają lub tną nożem. Nie można też powiedzieć, że coś pasuje idealnie, poczynając od rzeczy podstawowych: Mate nie był młodą dziewczyną i nie został przywiązany do drzewa. Fusco może sobie mówić, co chce, niech będzie nawet doktorem psychologii, ale w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do jego intuicji. Dokąd zajdę, jeśli zrobię z Burke'a podejrzanego? Będę ścigał jakieś widmo, którego FBI nie dopadło przez trzy lata? Mam kogoś o wiele bliżej.

Musnął dłonią teczkę.

– Jeśli nie zgodzę się na współpracę, zgłosi to górze, a oni wpakują mnie w jakiś zespół specjalny. Na razie próbuje się ze mną dogadać jak gliniarz z gliniarzem.

Para młodych ludzi ubranych na czarno weszła do restauracji i usiadła w przedniej części lokalu. Byli czymś mocno rozbawieni.

– Wyświadcysz mi przysługę? To nie grozi konfliktem interesów. Przejrzyj to, a jeśli znajdziesz coś treściwego, potraktuję rzecz poważniej... Zainteresowania artystyczne. Burke



rysuje, nie maluje. Przecież wiemy już, kto stworzył tamto arcydzieło... Zrobisz to?

– Jasne.

– Dzięki. A ja zajmę się czymś weselszym. Powłóczę się po brudnych pustostanach w Venice. Dla policjanta to jak dzień na plaży.

Podniósł się.

– Agenci federalni z tytułami doktorów, mordercy po akademii medycznej. A ja jestem skromnym magistrem. Można wpaść w kompleksy.

Dotarłem do domu tuż po trzeciej. Samochodu Robin nie było, poczta leżała nieruszona w skrzynce. Wyjąłem korespondencję, zaparzyłem kawę, zaniósłem teczkę do biura i sprawdziłem pocztę głosową.

Sekretarka Richarda Dossa zawiadamiła, że Eryk przyjdzie na spotkanie pół godziny wcześniej, czyli o wpół do czwartej. Doktor Robert Manitow zbadał chłopca, mogę do niego zadzwonić.

Wybrałem telefon sędzi Manitow. Recepcjonistka sprawiała wrażenie zagonionej, moje nazwisko nic jej nie powiedziało. Przełączyła mnie na oczekiwanie. Na szczęście nie musiałem wysłuchiwać żadnej idiotycznej melodyjki.

Nie znałem Boba i nigdy nie rozmawiałem z nim przez telefon, widziałem go tylko na fotografii rodzinnej w srebrnej oprawce, która stała na rzeźbionej komodzie w gabinecie Judy.

– Doktor Manitow. Kto mówi?

– Doktor Delaware.

– Czym mogę panu służyć? – spytał sucho. Czyżby jego żona nigdy nie wspomniała mu o naszej współpracy?

– Jestem psychologiem...

– Wiem, kim pan jest. Eryk jest w drodze.

– W jakim jest stanie fizycznym?

– W świetnym. To był pański pomysł, żebym go zbadał, tak? – W jego głosie wyczuwałem wyraźny ton oskarżenia.

– Pomyślałem, że warto sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku po tym, co przeszedł.

– A co właściwie przeszedł?

– Stracił matkę, co mogło zostawić trwałe ślady w psychice. Poza tym ojciec Eryka stwierdził, że chłopak zachowywał się dziwnie. Zniknął bez wyjaśnienia, nie chciał z nim rozmawiać...

– Mówi bez problemów, rozmawiał ze mną. Powiedział, że to wszystko to jakaś bzdura, a ja zgodziłem się z nim. Jest studentem, na miłość boską, a studenci wyjeżdżają z domu i popełniają najrozmaitsze szaleństwa... Panu się to nie zdarzało?

– Jego kolega z akademika był zaniepokojony...

– Chłopak uznał, że nie zawsze musi się zachowywać wzorowo. Kto jak kto, ale pan powinien lepiej ocenić wiarygodność źródła informacji, a nie poddawać się hysterii.

– Jakiego źródła?

– Richarda. Wszystko, co robi, to jedno wielkie przedstawienie. Cała rodzina taka jest, nic nie dzieje się zwyczajnie, wszystkiemu towarzyszy wielkie halo.

– Mówi pan, że przesadnie dramatyzują...

– Niech pan przestanie zmieniać moje słowa. Nie siedzę na kozetce w pańskim gabinecie. Tak, dramatyzują. Powinni zainstalować w tej swojej willi scenę.

– Na pewno dobrze pan zna tę rodzinę, ale po tym, co się stało z Joanną...

– To było piekło dla dzieci. Ale prawda jest taka, że ta kobieta była psychicznym wrakiem. Po prostu. Nic jej nie dolegało poza tym, że postanowiła zrezygnować z życia i przejeść się na śmierć. Wbrew rozsądkowi, wbrew wszystkiemu. Właśnie dlatego zadzwoniła do tego szarlatana, żeby dokończył robotę, którą sama zaczęła. Zwykła depresja. Nie jestem psychiatrą, ale taki stan nawet ja umiem zdiagnozować. Radziłem jej, żeby się zwróciła o pomoc do psychiatry, ale odmówiła. Gdyby Richard mnie posłuchał i umieścił ją w jakimś ośrodku, zastosowałoby solidną kurację farmakologiczną i kobieta by żyła, a dzieci nie musiałyby tego wszystkiego znosić.

Manitow nie mówił głośno, ale bezwiednie odsunąłem słuchawkę od ucha.

– Powodzenia z Erykiem. Muszę kończyć.

Jego złość zawisła w powietrzu jak wrześniowy smog.

Wczoraj po rozmowie ze Stacy, postanowiłem nie dzwonić do Judy. Wyczułem, że związki między dwiema rodzinami są głęboko powikłane i znacznie wykraczają poza spotkania przy kawie, grę w tenisa i wspólną zabawę córek. Teraz moja ciekawość nabrała nowego wymiaru.

Eryk i Allison, potem Stacy i Becky...

Becky pobierała korepetycje od Joannę, potem znów opuściła się w nauce, kiedy Joannę nie mogła jej pomagać... Czy złość Boba była reakcją na odrzucenie?

Becky schudła, chodziła na psychoterapię, sama próbowała odgrywać terapeutkę wobec Stacy, potem ich stosunki się ochłodziły.

Eryk rzucił Allison. Kolejny przejaw tego samego zjawiska?

Czyżby Bob Manitow nadal boleśnie odczuwał niepowodzenie sercowe córki? Nie, to musiało być coś więcej. Żona nie reagowała tak nerwowo na problemy Dossów. Skierowała Stacy do mnie, bo ją lubiła... Typowy przypadek męskiej niecierpliwości i kobiecej empatii? A może empatia Boba uleciała, gdy okazało się, że nie umie wyrwać Joannę z tego, co nazwał „zwykłą depresją?”. Czasem lekarze reagują złością na choroby psychosomatyczne... A może ma po prostu zły dzień.

Przypomniałem sobie jeszcze coś: Stacy opowiedziała mi, że Bob z niesmakiem obserwował obejmujących się w basenie Richarda i Joannę.

Pruderyjny mężczyzna dotknięty w swych uczuciach? A może niechęć wobec problemów rodziny Dossów wynikała z jego emocjonalnej pruderii. Często to widywałem u ludzi, którzy uciekali przed własną rozpaczą.

Nie warto o tym myśleć, nie mam się zajmować rodziną Manitowów. Niepotrzebnie pozwoliłem, aby złość Boba wpłynęła na mnie. Ale jego reakcja była tak intensywna, tak nieproporcjonalna do wydarzenia, że trudno było o niej zapomnieć. Czekać na Eryka, ciągle wracałem myślą do Judy.

Chuda jak patyk Judy w gabinecie. Nienaganna siedziba nienagannie wyglądającej sędzi. Opalona, dystyngowana. Ubrana w obcisły kostium marki St. John Rnits, wieszka tokę na wieszaku z orzechowego drewna.

Gabinet jakby nieustannie gotowy do uwiecznienia na zdjęciu: błyszczące meble, świeże kwiaty w kryształowych wazonach, łagodne oświetlenie. Nic, co by przypominało o tym, że za drzwiami odbywają się czasem burzliwe, a czasem nudne posiedzenia Sądu Najwyższego.

Rodzinne fotografie. Dwie smukłe dziewczynki o jasnych włosach podobne do matki. Szczupłe, bardzo szczupłe. W tle ojciec... Czy któreś z nich uśmiechnęło się do obiektywu? Nie pamiętałem, ale byłem pewny, że Bob się nie uśmiechał.

Matka chuda jak patyk i takie same córki, Becky nawet do przesady. Czy pedanteria Judy przejawiała się również w tym, że wymagała od córek, by wyglądały, mówiły i zachowywały się nienagannie? Czy kłopoty Dossów w jakiś sposób splotły się z problemami sąsiadów?

Być może oddawałem się tym spekulacjom, bo były mimo wszystko bardziej znośne niż akta, które przekazał nam Fusco w restauracji. Geometria.

Wreszcie zapaliła się czerwona lampka.

Przy bocznym wejściu stali Richard i Stacy, a między nimi Eryk.

Richard był jak zwykle ubrany w czarną koszulę i spodnie, ze srebrnym telefonem w dłoni. Wyglądał na przemęczonego. Stacy miała rozpuszczone włosy, białą sukienkę bez rękawów i białe pantofle. Skojarzyła mi się z małą dziewczynką w kościele.

Eryk wodził dookoła niechętnym wzrokiem. Z relacji ojca i siostry wyłaniał się obraz kogoś wielkiego. Ale jeśli idzie o wzrost, geny Richarda wzięły górę. Chłopak nie był wyższy od ojca, i o dobre pięć kilo lżejszy. Stał lekko przygarbiony. Miał małe dłonie i małe stopy.

Ogromne czarne oczy, wąski nos i wygięte w łuk delikatne usta. W twarzy okrągłej niż u Stacy miały ten sam chochlikowaty wyraz. Eryk był opalony, czarne włosy miał obcięte tak krótko, że kędziory zmieniły się w puch. Za luźną koszulą wisiała nad poplamionymi bufiastymi spodniami w kolorze khaki. Na mankietach spodni, tuż nad sportowymi butami, zakrzepły grudki błota. Na brodzie i policzkach czernił się rzadki zarost.

Patrzył wszędzie, tylko nie na mnie, przyciskając dłonie do ud. Delikatne ręce z brudnymi

paznokciami, jakby grzebał nimi w ziemi. Ojciec nie doprowadził go do porządku. A może próbował, ale Eryk się sprzeciwił.

– Eryk? Jestem doktor Delaware – powiedziałem, wyciągając rękę. Nie zareagował. Trzymał głowę spuszczoną, bez przerwy zginając i prostując palce oparte o uda.

Przystojny chłopak. Niektóre dziewczyny czują pociąg do takich zamyślonych, wrażliwych chłopców.

Złapał moją rękę w chwili, kiedy zacząłem ją cofać. Jego dłoń była chłodna, wilgotna. Zerknął z grymasem na ojca, jakby spodziewał się bólu.

– Richardzie, może pan tu zaczekać ze Stacy albo pospacerować po ogrodzie. Wróćcie mniej więcej za godzinę.

– Nie chce pan rozmawiać ze mną?

– Później.

Usta Richarda ściągnęły się, jakby miał wygłosić jakąś cierpką uwagę, ale nic nie powiedział.

– Pojedziemy do Westwood na kawę albo coś innego, Stacy? Zdążymy wrócić za godzinę. Co ty na to?

– Dobrze, tato.

Poszukałem wzrokiem oczu Stacy. Kiwnęła lekko głową na znak, że nie ma nic przeciwko temu, że bym porozmawiał z bratem. Pożegnałem oboje skinieniem głowy i zamknąłem drzwi.

– Chodź tędy.

Eryk wszedł za mną do gabinetu i stanął na środku.

– Rozgość się – powiedziałem. – Na ile to możliwe. Usiadł powoli na najbliższym fotelu.

– Rozumiem, że nie miałeś ochoty tu przyjeżdżać, więc...

– Chcę tego – odparł. Z gardła cherubina wydobył się głos dorosłego mężczyzny, baryton Richarda, w jego przypadku jeszcze bardziej niepasujący do postaci. – Zasłużyłem sobie na to. Jestem kompletnie popieprzony. – Dotknął palcem guzika koszuli. – To absurdalne, prawda? Sposób, w jaki to wyraziłem. Używamy słowa „pieprzyć” w sensie pejoratywnym. To prawdopodobnie najpiękniejsza rzecz na świecie, a my ją tak traktujemy. – Gorzki uśmieszek. – Cofnijmy taśmę. Nastąpiły zakłócenia w moim funkcjonowaniu. Teraz pan powinien zapytać, jakiego rodzaju.

– Co jakiego rodzaju?

– Czy nie na tym polega pańska praca, żeby się dowiedzieć?

– To prawda.

– Fajna ta praca – stwierdził, rozglądając się po gabinecie. – Nie potrzeba sprzętu, tylko pańska psyche i psyche pacjenta, które spotykają się w wielkim bąblu pustki, z nadzieją na porozumienie. Jak pan widzi, jestem już po wprowadzeniu do psychologii.

– Podobało ci się?

– Miła odmiana wobec zimnego, okrutnego świata podaży i popytu. Ale jedna rzecz mnie zaniepokoiła. Wy, psychologowie, kładziecie tak ogromny nacisk na poprawne funkcjonowanie, a nie zwracacie uwagi na poczucie winy i ekspiację.

– Chcesz powiedzieć, że psychologia nie powinna unikać wartościowania?

– Psychologia jest niekompletna. Poczucie winy to cnota, być może najważniejsza. Proszę pomyśleć: co innego motywuje nas, dwunogie istoty, do zachowania ograniczeń? Co innego powstrzymuje społeczeństwo przed pogrążeniem się we wszechogarniającym, entropicznym gnoju?

Eryk założył nogę na nogę, jego ramiona się rozluźniły. Używanie poważnych słów pozwoliło mu się zrelaksować. Wyobraziłem sobie jego pierwsze ostrożne wypowiedzi na uczelni, odbierane ze zdziwieniem, później z podziwem. Coraz większe osiągnięcia, spełnianie pokładanych w nim nadziei.

– Poczucie winy jako cnota – powiedziałem.

– Bo czy istnieje jakaś inna? Co sprawia, że jesteśmy cywilizowani? Zakładając, że jesteśmy, choć można się o to spierać.

– Są różne stopnie ucywilizowania.

Uśmiechnął się.

– Pan pewnie wierzy w altruizm dla samego altruizmu. Dobre uczynki spełniane dla własnej satysfakcji. A ja myślę, że życie to ucieczka: ludzie robią różne rzeczy, aby uniknąć kary.

– Mówisz z własnego doświadczenia?

Eryk oparł się na fotelu.

– No, no. Czy to pytanie nie jest zbyt nakierowujące, wzięwszy pod uwagę fakt, że siedzę tu dopiero od pięciu minut i niezupełnie z własnej woli?

Milczałem.

– Jeśli będzie pan zbyt natarczywy, potraktuję pana tak samo jak ojca, kiedy przypadkiem wkroczył do mojej świątyni dumania.

– To znaczy jak?

– Bezwzględny chłód, wy nazywacie to świadomą ucieczką w milczenie.

– Dobrze chociaż, że jest to ucieczka świadoma.

– Co pan ma na myśli?

– To, że się kontrolujesz.

– Czyżby? Czy istnieje w ogóle coś takiego jak wola?

– Jeśli nie ma woli, to skąd bierze się poczucie winy?

Na sekundę zmarszczył brwi, ale zaraz zamaskował zmieszanie uśmiechem.

– Filozof – zauważył, obracając guzik w palcach. – Pewnie z Ivy League. Spójrzmy na

dypłomy... Przepraszam. To zwykła uczelnia?

– Uniwersytet Środkowego Zachodu.

– Wieś, krowy, a mimo to ma pan zacięcie filozoficzne. To przypomina trochę sytuację z *Kolacji z Andre*.

– Czy to twój ulubiony film? – spytałem.

– Podobał mi się, chociaż przegadany. Bardziej mi odpowiada *Zabójcza broń*.

– Naprawdę?

– Ten urok prostoty.

– Przeciwnieństwo życia, które jest skomplikowane.

Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Zerknął jeszcze raz na dypłomy, a potem spuścił wzrok. Mniej więcej przez minutę siedzieliśmy w milczeniu. Potem podniósł głowę.

– Chce mnie pan przeczekać? Technika numer trzydzieści sześć B?

– To twój czas – odparłem.

– Pańska praca wymaga cierpliwości. W tym jestem kiepski. Podobno słabo znoszę głupców.

– Kto to powiedział?

– Wszyscy. Ojciec. W jego ustach to komplement. Jest ze mnie dumny i obnosi się z tym, ostentacyjnie wspierając mnie we wszystkim. Oto przykład konstruktywnej roli poczucia winy.

– Z jakiego powodu twój ojciec ma poczucie winy?

– Z powodu utraty kontroli. Musi sam wychowywać dzieci, a wszyscy troje wiemy, że wolałby latać po kraju i kupować posiadłości.

– To nie była jego decyzja.

– No cóż. – Kąciki ust Eryka uniosły się. – Tata nie zawsze postępuje racjonalnie. Ale czy jest ktoś, o kim można to powiedzieć? Żeby zrozumieć źródła jego poczucia winy, musiałby pan wiedzieć o nim coś więcej, prawda?

– Może dowiem się od ciebie.

– Ojciec jest jednym z tych ludzi, którzy stworzyli samych siebie. Sama śmietanka imigracji. Ojciec Grek, matka Sycylijka. Mieli sklep spożywczy w Bayonne w stanie New Jersey, nie czuje pan zapachu oliwek, który się nad nim unosi? W tym świecie rodzina to mama, tata, dzieci, winogrona, puszczenie bąków po obiedzie, cały typowy śródziemnomorski *entourage*. Ale biedny papcio został bez mamuski, bo nie udało mu się ocalić żony.

– Czy to było w jego mocy?

Twarz Eryka poczerwieniała, dłonie zacisnęły się w pięści.

– A skąd ja mam to wiedzieć, do kurwy nędzy? Po co zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi? Właściwie czemu w ogóle miałbym odpowiadać na pańskie pytania?

Zerknął na drzwi, jakby zastanawiając się nad ucieczką.

– Ale po co? – mruknął po krótkim namyśle.

– To pytanie cię zaniepokoiło – zauważyłem. – Czy ktoś już ci je zadał?

– Nie, i dlaczego miałbym się, kurwa, kimś przejmować? Dlaczego miałbym się, kurwa, przejmować pieprzoną przeszłością? Właśnie to, co się dzieje teraz, jest... Nieważne, nie ma o czym mówić. Niech pan nie triumfuje tylko dlatego, że na pierwszym spotkaniu poniosły mnie emocje. Gdyby mnie pan znał, wiedziałby pan, że to nic wielkiego. Jestem samymi emocjami. Myślę coś, mówię, coś jest w mózgu, a potem wydostaje się przez usta. Mogę się otworzyć przed pierwszym lepszym pieprzonym nieznajomym, jeśli taki mam nastrój, więc to nie jest sukces.

Wyrzucił z siebie jeszcze parę przekleństw.

– Pozwoliłem się tacie wpakować w to tylko dlatego, że... Cisza.

– Dlaczego?

– Trafił na moją słabą chwilę. Była pełnia księżyca, a ja czułem się podle w środku. Ale to się nie powtórzy, może mi pan wierzyć. Po pierwsze, jeszcze dziś wieczorem wracam do Pało Alto. Po drugie, znajdę sobie nowego sąsiada, który mnie nie sypnie, kiedy trochę sobie pofolguję. To wszystko bzdura, rozumie pan? Ja to wiem, doktor Maniow to wie, i pan to powinien wiedzieć, skoro zdobył pan te papiery na ścianie.

– Wiele hałasu o nic.

– Na pewno nie *Sen nocy letniej*. W moim życiu nie ma nic z komedii, *dottore*, jestem biednym dzieckiem tragedii. Moja matka skończyła w straszny sposób, mam prawo zachowywać się okropnie, prawda? Jej śmierć mnie do tego uprawnia. – Złożył dłonie jak do modlitwy. – Dzięki, mamusiu, za to cudowne prawo.

Zsunął się z fotela tak, że prawie leżał. Nagle uśmiechnął się.

– No dobra, może pogadamy o czymś weselszym. Na przykład o Dodgersach?

– Wracasz dzisiaj do Stanford, więc pewnie nigdy więcej cię nie zobaczę. To, co powiem, być może cię rozzłości, ale wysłuchaj mnie. Znajdź sobie tam kogoś, z kim będziesz mógł pogadać. Nie mówię, że źle funkcjonujesz, ale doświadczyłeś okropnych rzeczy i...

– I masz narąbane we łbie – wtrącił nieprzyjemnie spokojnym tonem. – Jak pan może ocenić, czego doświadczyłem?

– To nie ocena, to empatia. Byłem od ciebie tylko trochę starszy, kiedy zmarł mój ojciec. On też ściągnął na siebie śmierć. Kiedy zmarła mama, tę stratę odczułem głębiej, bo nikogo oprócz niej nie miałem i nasza więź była silniejsza. Osamotnienie to szczególnie stan. Śmierć ojca ogromnie nadszarpięła moje poczucie bezpieczeństwa. Okazało się, że ktoś tak ważny może ci nagle zostać odebrany, po prostu. Bezsilność. W takiej chwili człowiek zaczyna inaczej patrzeć na świat. Myślę, że warto o tym porozmawiać z kimś, kto naprawdę zechce słuchać.

Czarne oczy Eryka były utkwione we mnie. Żył na szyi pulsowała. Uśmiechnął się.

– Niezła gadka. Jak to się nazywa? Konstruktywne odsłonięcie się? Technika numer

pięćdziesiąt pięć C?

– Wystarczy – odparłem, wzruszając ramionami.

– Przepraszam – powiedział szybko Eryk. – Miły z pana gość. Sęk w tym, że ja nie jestem miły, więc po co marnować czas.

– Zdaje się, że dużo w to zainwestowałeś.

– W co?

– W odgrywanie zdziwaczałego, gburowatego geniusza. Podejrzewam, że w pewnym momencie nauczyłeś się utożsamiać inteligencję z opryskliwością wobec innych. Ale ja znam naprawdę złych ludzi i ty nie kwalifikujesz się do tego klubu.

Twarz Eryka zalała się purpurą.

– Przecież przeprosiłem. Nie musi pan obracać pieprzonego noża w ranie.

– Nie ma powodu do przeprosin. Chodzi o ciebie, nie o mnie. Miałeś rację, to było konstruktywne odsłonięcie się. Zdecydowałem się to zrobić w nadziei, że skłoni cię to do szukania pomocy.

Odwrócił głowę.

– To wszystko bzdura. Gdyby tata nie okazał się pieprzoną starą babą i nie stchórzył, nie doszłoby do tego wszystkiego.

– Zapomnijmy o filozofii. Zapomnijmy o psychologii głębi. Twoją rzeczywistością jest to, czego doświadczasz. Większość osób w twoim wieku nie musi przechodzić tego, co ty zniósłeś. Większość nie zaprzęta sobie głowy poczuciem winy i ekspiacją.

Ramiona Eryka zadrżały, jakbym nim potrząsnął.

– Mówiłem abstrakcyjnie. Czysto abstrakcyjnie.

– Doprawdy?

Miałem wrażenie, że za chwilę wyskoczy z fotela jak z procy. Ale opadł z powrotem i roześmiał się.

– A więc zna pan wielu złych facetów, tak?

– Więcej, niż bym chciał.

– Zabójców?

– Między innymi.

– Seryjnych zabójców?

– Takich też. Znowu śmiech.

– I sądzi pan, że ja się nie kwalifikuję?

– Powiedzmy, że stwierdzam to na podstawie obserwacji. Ale masz rację: naprawdę cię nie znam. Zgaduję, że poczucie winy nie jest dla ciebie jedynie abstrakcją. Twój ojciec i twoja siostra opowiadali mi, że podczas choroby matki spędzałeś z nią dużo czasu. Zrezygnowałeś z całego semestru...



– I teraz muszę za to pokutować? Wysłuchiwać tego pieprzenia?

– Przebywanie tutaj nie jest karą.

– Jest, jeśli dzieje się wbrew mojej woli.

– Czy twój ojciec naprawdę mógłby cię do tego zmusić? – spytałem. Eryk milczał.

– To twój wybór, twoja wola. A ponieważ nie będzie więcej spotkań, najlepsze, co mogę zrobić, to udzielić ci porad, które będziesz mógł wykorzystać.

– A moja rada jest taka, żeby pan nie tracił czasu. Nie powinienem tu być, nie powinienem zakłócać terapii Stacy.

– Stacy nie ma nic przeciwko temu...

– Tak mówi. Zawsze wybiera drogę najmniejszego oporu, uważa, że wszystko jest w porządku... Ale niech mi pan wierzy, wścieknę się, to tylko kwestia czasu. W gruncie rzeczy mnie nie cierpi. Jestem cieniem w jej życiu, najlepsze, co ją spotkało, to mój wyjazd na studia. Powinna unikać Stanford jak ognia, ale tata ją naciska, więc pewnie jak zwykle ulegnie... I przyjedzie tam, będzie się za mną włóczyć i znowu mnie znienawidzi.

– Zachowuje się inaczej, kiedy jesteście z dala od siebie?

– Rozłąka zbliża ludzi.

– Czasem prowadzi do powstania pustki w sercu.

– To głęboka myśl. Tyle pieprzonych głębokich myśli z samego rana.

– Ty naprawdę uważasz, że Stacy cię nienawidzi.

– Wiem, że tak jest. Nie mogę nic na to poradzić. Urodziłem się pierwszy, więc musi pogodzić się z tym, że jest numerem dwa.

– A ty musisz godzić się z tym, że jesteś numerem jeden.

– Brzemie pierwszeństwa. – Eryk podciągnął rękaw koszuli. – O rany, zostawiłem zegarek w akademiku... Mam nadzieję, że nikt go nie gwizdnął. Naprawdę muszę wracać, zająć się swoimi sprawami. Ile czasu nam zostało?

Rozejrzał się jeszcze raz po gabinecie, spostrzegł regał z grammi planszowymi.

– Zagrajmy w Cukierkowy Łąd. Zobaczymy, kto pierwszy dostanie się na szczyt tej wielkiej słodkiej góry.

– Nie ma niczego złego w słodkim życiu.

Eryk popatrzył na mnie z otwartymi ustami. Nie zauważyłem łez w jego oczach, ale musiały tam być, bo wytarł je pospiesznie.

– Każde pańskie słowo ma drugie dno, za każdym razem musi pan udowodnić swoją pieprzoną rację. Dzięki zapieprzone spostrzeżenia, doktorku.

Rozległ się dzwonek. Osiem minut przed czasem. Czyżby Richard się pospieszył?

Podniosłem słuchawkę domofonu.

– To ja – odezwał się Richard. – Przepraszam, że przerywam, ale mam pewien kłopot.

Wyszedłem razem z Erykiem. Richard stał na ganku ze Stacy w towarzystwie dwóch wysokich mężczyzn. Detektywi Korn i Demetri.

- Ci džentelmeni chcą, żebym udał się z nimi na policję.
- Witam, doktorze. Ładna chata.
- Zna ich pan? – spytał Richard.
- Co się dzieje? – zwróciłem się do policjantów.
- Jak powiedział pan Doss, jego obecność na komendzie jest konieczna.
- W jakim celu?
- Przesłuchania.
- W związku z czym? Demetri zrobił krok do przodu.

– To nie pańska sprawa, doktorze. Pozwoliliśmy panu Dossowi przyjechać, bo są tu jego dzieci, jedno z nich nieletnie. Chłopak ma dwadzieścia lat, prawda? Więc może odwieźć siostrę do domu samochodem pana Dossa.

Zbliżyli się do Richarda, który wyglądał na przestraszonego.

- Tato? – powiedziała Stacy. Jej oczy były szeroko otwarte.

Richard nic nie odpowiedział. I nie zapytał, o co chodzi. Czyżby wolał, żeby dzieci nie słyszały odpowiedzi?

- Jedzie pan z nami – oznajmił Demetri.

- Najpierw zadzwonię do adwokata.

– Nie jest pan aresztowany, panie Doss – powiedział Korn. – Może pan zadzwonić z komendy.

- Dzwonię do niego – oświadczył Richard, podnosząc srebrny telefon.

Korn i Demetri spojrzeli na siebie.

– Świetnie. Proszę mu powiedzieć, że możecie się spotkać na komendzie, ale pan pojedzie z nami.

- Co jest, kurwa – zaklął Eryk, ruszając w stronę detektywów.

- Cofnij się, synu – powiedział Demetri.

- Nie jestem twoim pieprzonym synem.

Demetri sięgnął pod marynarkę i położył dłoń na pistolecie. Stacy westchnęła, oczy Eryka rozszerzyły się.

Przytrzymałem go za rękaw. Trząśł się.

Richard stuknął palcem w klawiaturę komórki. Eryk stanął obok Stacy i otoczył ją ramieniem. Dziewczyna objęła brata. Jej usta drżały. Wargi chłopaka były nieruchome, ale żyła na szyi pulsowała. Oboje wpatrywali się w ojca z telefonem przy uchu.

Richard niecierpliwie tupął nogą. W jego oczach nie było już strachu. Spokój w obliczu

niebezpieczeństwa? A może spodziewał się tego?

– Sandra? Mówi Richard Doss. Połącz mnie z Maksem... Co to znaczy? Kiedy?... Słuchaj, muszę z nim pomówić, to bardzo ważne... Mam pewien problem... Nie, coś innego... Nie mogę teraz o tym mówić. Znajdź go w Aspen. Będę na komendzie policji West Los Angeles w towarzystwie dwóch detektywów... Jak się nazywacie?

– Korn.

– Demetri.

Richard powtórzył.

– Skontaktuj się z nim, Sandra. Jeśli sam nie może przylecieć, niech poda nazwisko kogoś, kto może mi pomóc. Mam komórkę przy sobie. Liczę na ciebie. Cześć.

Wyłączył telefon.

– W drogę – zarządził Demetri.

– Demetri. To greckie nazwisko? – spytał Richard.

– Nie, amerykańskie – odparł bez namysłu zapytany. – Litewskie. Ale to było dawno.

Jedziemy, proszę pana.

Nikt nie umie powiedzieć „proszę pana” w sposób bardziej obraźliwy od policjanta.

Stacy rozplakała się. Eryk przytulił ją mocniej.

– Nic mi nie będzie. Trzymajcie się. Zobaczymy się na kolacji, obiecuję.

– Tato – powiedziała Stacy.

– Wszystko będzie dobrze.

– Proszę – ponaglił Korn, biorąc Richarda pod ramię.

– Zaczekajcie – powiedziałem. – Zadzwoń do Milo.

Uśmiechnęli się jak na komendę. Czekali, aż to powiem.

Demetri stanął za Richardem, Korn nie zwolnił uścisku. Doss wyglądał między nimi jak dziecko.

– Milo wie – oznajmił z triumfem Demetri.

Wielka biała dłoń zawisała kilka centymetrów od mojej twarzy jak chmura. – Nic nie mów – nakazał Milo cichym, ledwie słyszalnym głosem. Była siedemnasta dwadzieścia trzy. Milo zszedł właśnie do holu komendy na parterze.

Miałem ochotę odtrącić rękę, ale zaczekałem, aż sam ją zniży. Był bez marynarki, w ciasno zawiązanym krawacie – tak ciasno, że poczerwieniał mu kark i twarz. Zastanawiałem się, jaki Milo ma powód, żeby się złościć.

Siedziałem tu od ponad godziny, przez większość czasu sam. Cywilny, nazbyt gadatliwy recepcjonista nazwiskiem Dwight Moore dyżurował za biurkiem. Kiedy podszedłem do niego, popatrzył na mnie ze znużeniem, jakbym był akwizytorem. Poprosiłem, żeby zadzwonił do Milo; zabrało mu to dużo czasu.

Przez następne sześćdziesiąt trzy minuty ćwiczyłem wszelkie znane mi metody redukcji złości. Krzesło rozgrzewało się od ciepłoty ciała, a Moore odbierał telefony i przesuwał papiery. Po dwudziestu minutach podszedłem do biurka.

– Może lepiej, jeśli pójdzie pan do domu? Skoro porucznik pana zna, ma pański numer telefonu.

– Nie, zaczekam – odparłem, zaciskając pięści pod kontuarem.

– Jak pan sobie życzy.

Moore wstał, przyniósł duży kubek kawy i zaczął zajadać kanapkę. Siedział tyłem do mnie, jadł małymi kęsami, często wycierając podbródek. Minuty płynęły. Przeszło kilku policjantów w mundurach; niektórzy witali się z Moore'em, ale bez entuzjazmu. Pomyślałem o Stacy i Eryku, którzy musieli patrzeć, jak kwiat detektywów policji Los Angeles zabiera ich ojca.

Kwadrans po piątej weszło dwoje starszych ludzi w zielonych pulowerach; spytali Moore'a, czy da się coś zrobić w sprawie zgubionego psa. Moore popatrzył na nich sceptycznie i podał numer pogotowia zoologicznego. Kiedy kobieta zadała następne pytanie, powiedział:

– Ja nie jestem z pogotowia zoologicznego.

– Za to jest pan kutasem.

– Herb – powiedziała kobieta, delikatnie kierując męża ku wyjściu.

– A później się dziwią, że nikt ich nie lubi – zauważył mężczyzna, gdy wychodzili.

Siedemnasta dwadzieścia. Eryka i Stacy nigdzie nie było widać. Jeśli tu dotarli, wpuszczono ich na górę, ale Moore nie chciał tego potwierdzić.

Jechałem za czarnym bmw Richarda, prowadzonym ostro przez jego syna. Trudno było go zgubić z oczu: wóz wyglądał jak czarne ostrze, które tnęło brudne powietrze. Zastanawiałem się, czy właśnie ten samochód widział Paul Ulrich na Mulholland. Richard, Eryk...

Chłopak jechał za szybko, niepotrzebnie ryzykując. Na skrzyżowaniu Sepulveda i Wilshire

przeskoczył na czerwonym świetle, o mało nie zderzył się z ciężarówką jakiegoś ogrodnika, zjechał na środek i odjechał przy wtórze klaksonów. Dzieliły mnie od niego dwa samochody, zatrzymałem się na światłach, zgubiłem go z oczu. Później, gdy dojeżdżałem do komendy, nie widziałem już czarnego bmw. Tym razem nie mogłem zaparkować na policyjnym parkingu. Długo krążyłem, zanim udało mi się znaleźć miejsce dwie przecznice dalej. Całą odległość pokonałem biegiem. Wpadłem do budynku zadyszany.

Widziałem strach w oczach Stacy, gdy Korn i Demetri wsadzali jej ojca na tylne siedzenie ciemnobrązowego wozu na cywilnych numerach. Łzy na policzkach. „Tato”, szepnęła bezgłośnie, kiedy Korn zatrzasnął drzwi. Eryk pociągnął siostrę do bmw, otworzył drzwi i prawie wepchnął ją do środka. Rzucił mi wściekłe spojrzenie, obiegnął maskę, wsiadł i zapalił silnik, który zawył natychmiast na wysokich obrotach. Samochód ruszył z piskiem opon.

– Gdzie oni są? – spytałem.

Milo skrzywił się, słysząc ton mojego głosu.

– Porozmawiajmy na górze, Alex. Moore podniósł głowę.

– Poruczniku, ten dżentelmen czekał na pana.

Detektyw burknął coś pod nosem i ruszył ku schodom. Szybko wspięliśmy się na drugie piętro, lecz Milo nie wprowadził mnie do pokoju, tylko oparł się o drzwi.

– Posłuchaj. To nie była moja decyzja...

– To nie ty wysłałeś tych dwóch...

– Polecenie zatrzymania Dossa przyszło ze śródmieścia. Polecenie, nie prośba. Faceci ze śródmiejskiej komendy twierdzą, że próbowali się ze mną skontaktować. Byłem w Venice, a oni zamiast próbować dalej, wydali rozkaz Kornowi.

– Demetri powiedział, że wiesz.

– Demetri to palant.

Żyła na szyi pulsowała pod kołnierzykiem. Stałem o trzy stopnie niżej, a potężny korpus Milo unosił się nade mną, kipiąc złością. Efekt był pewnie niezamierzony, ale wyraźny. W rozgrzanym powietrzu na klatce mieszały się zapachy metalu i potu, jak w szkole.

– Czy ja bym coś takiego zrobił? To był rozkaz. Ale nie u ciebie w domu, więc daj mi spokój. Mam dużo spraw na głowie.

– W porządku – odparłem bez przekonania. – Tylko wyjaśnij mi coś. Widziałem twarze tych dzieciaków. Skąd ten pośpiech? Co takiego zrobił Richard?

– W tej chwili nie powinien się przejmować dziećmi. Facet ma poważne kłopoty, Alex.

– Z powodu Mate’a? – spytałem.

– Tak.

– Co się zmieniło w ciągu dwóch godzin?

– Mamy dowody obciążające.

– Jakie dowody?

Milo wsunął palec pod kołnierzyk koszuli.

– Jeśli puścisz parę z ust, pozbawisz mnie głowy.

– Boże broń. Bez głowy nie mógłbyś jeść. Co macie? Usiadł na najwyższym stopniu.

– Pewnego przyjemniaczka nazwiskiem Quentin Goad; siedzi w areszcie i czeka na proces o rabunek z użyciem broni.

Milo wyłowił z kieszeni zdjęcie identyfikacyjne, przedstawiające rosnącego faceta z ogoloną głową i czarną kozią bródką.

– Wygląda jak szatan z nadwagą – powiedziałem.

– Kiedy Quentin nie odsiaduje kolejnego wyroku, pracuje na budowach przy robotach dekarских i montażu zbrojenia. Często bywał zatrudniony u pana Dossa, który najwyraźniej ma skłonność do takich typków, płaci im na czarno, żeby uniknąć podatków. To też świadczy o jego charakterze. Goad twierdzi, że dwa miesiące temu, kiedy pracował przy budowie dachu centrum handlowego w San Bernardino, które Doss kupił tanio i zaczął odnawiać, szef podszedł do niego i zaproponował pięć tysięcy dolarów za zabicie Mate'a. Kazał mu to zrobić dziwacznie i zostawić dużo krwi, żeby wyglądało na robotę seryjnego mordercy. Dał Goadowi tysiąc z góry i obiecał wypłacić pozostałe cztery po wykonaniu zadania. Goad mówi, że wziął pieniądze, ale ani przez chwilę nie zamierzał się wywiązać, pomyślał, że to świetny sposób, żeby naciągnąć Dossa na pięć kawałków. I tak miał zamiar wynieść się do Nevady, bo w Kalifornii czekały go dwa procesy i czuł się niepewnie.

– Nie mów, że przed przeprowadzką wydał przyjęcie pożegnalne.

– W barze szybkiej obsługi w San Fernando, miesiąc temu, wieczorem, tuż przed zamknięciem. Pan Goad wystąpił z pistoletem kalibru dwadzieścia dwa i papierową torbą w rękę z łupem w wysokości osmiuset dolarów. Barman leżał już twarzą do podłogi, gdy nagle nie wiadomo skąd zjawiła się ochrona. Goad dostał postrzał w nogę, pocisk przeszedł przez mięsień. Spędził dwa tygodnie w więziennym szpitalu, otrzymał darmową pomoc lekarską, a potem przenieśli go do Twin Towers. Broń podczas napadu nie była nawet załadowana.

– Więc teraz czekają go trzy procesy i próbuje się wykpić, sprzedając Richarda. Twierdzi, że Richard wręczył mu pieniądze, i nawet się nie zdziwił, że Goad przez dwa miesiące nie wykonał zadania. Znam trochę Richarda i wiem, że cierpliwość nie należy do jego cnót.

– Ale Richard go ponaglał. Po trzech tygodniach zażądał raportu o postępach w wykonaniu zadania. Goad powiedział, że musi opracować dokładny plan, obserwuje Mate'a, czeka na dobrą okazję.

– A obserwował?

– Mówi, że nie. Twierdzi, że cały czas nabijał Richarda w butelkę.

– Daj spokój, Milo. Ten facet to kłamca i...

– Zwykła szumowina. Gdyby chodziło tylko o Goad, twój kumpel mógłby spokojnie patrzeć w przyszłość. Niestety, świadkowie widzieli Dossa z Goadem w jednej z knajp, gdzie facet często przesiadywał. Ten bar należy do byłego kryminalisty z San Fernando, o jedną przecnicę od lokalu, który Goad próbował obrabować, co świadczy o jego bystrości. Ale Doss też nie błysnął inteligencją. Trzech klientów i barman widzieli ich w trakcie poufnej rozmowy. Zapamiętali Dossa ze względu na ubranie, czarne eleganckie ciuchy, które nie pasowały do otoczenia. Kelnerka widziała, jak podaje Goadowi kopertę. Grubą, wypchaną. A dziewczyna nie ma powodu, żeby kłamać.

– Ale nie dostrzegła pieniędzy przechodzących z ręki do ręki.

– Więc podsuwał mu ciasteczka w kopercie?

– Goad twierdzi, że Richard wręczył mu gotówkę na oczach wszystkich?

– Ten bar to melina, Alex. Może Doss myślał, że nikt na nich nie patrzy. Albo że nie będzie miał z tego powodu kłopotów. O ile wiem, nie pierwszy raz Doss zapłacił typkowi spod ciemnej gwiazdy za wykonanie brudnej roboty. Udało nam się odzyskać część tych pieniędzy. Doss zapłacił Goadowi tysiąc w banknotach studolarowych, Goad wydał osiemset, ale dwieście zostało. Właśnie pobraliśmy odciski palców Dossa, niedługo będą wyniki porównania. Chcesz się o nie założyć?

– Tępy drań taki jak Goad oszczędzałby gotówkę?

– Mówi, że to miała być forsa na przetrwanie, dopóki nie obrobi tego baru szybkiej obsługi. Jakie może być inne wytłumaczenie? Wszyscy w barze kłamią? Zorganizowali spisek, żeby zrobić biednego Richarda? Daj spokój, z takimi przestępstwami stykam się na co dzień: byle jakie, przewidywalne, durne. Może Doss jest pierwszorzędnym biznesmenem, ale nie był w swoim żywiole i skopał sprawę. Wpisałem go na listę obok Haiseldena i Donny'ego. Teraz awansował na pierwsze miejsce.

– Czy Richard podał Goadowi powód, dla którego chce zabić Mate'a?

– Powiedział, że Mate zamordował jego żonę. Że nie była naprawdę chora i że Mate jako lekarz powinien to wiedzieć i próbować odwieść ją od samobójstwa. Tłumaczył, że Goad wyświadczy społeczeństwu przysługę, jeśli zlikwiduje tego faceta. Jakby Goad mogło to obchodzić. Ten twój Richard uważa się za oblatanego w sprawach półświatka, ale takie postępowanie świadczy o tym, że bardzo się myli. Zaplątał się... To było naprawdę głupie z jego strony, Alex.

– Nawet jeśli znajdziecie odciski palców Richarda na tych banknotach, czego to będzie dowodzić? – spytałem. – Goad pracował u Richarda, a przed chwilą sam powiedziałeś, że Richard płaci robotnikom na lewo.

Milo spojrzął na mnie wymownie.

– Jesteś jego adwokatem czy co? Moim zdaniem, lepiej byś zrobił, poświęcając czas tym dzieciakom, zamiast wynajdować wymówki dla tatusia. Przykro mi, że tak wyszło, ale jako prowadzący śledztwo cieszę się jak cholera, że mam nareszcie prawdziwy trop.

Ale wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Skoro mowa o uczuciach, gdzie są te dzieciaki? – spytałem.

– Umieściłem je w sali dla rodzin ofiar – odparł, wskazując zagiętym palcem drzwi. – Poprosiłem miłą, wrażliwą funkcjonariuszkę, żeby dotrzymała im towarzystwa.

– Jak się czują?

– Nie wiem. Przez cały czas gadałem przez telefon z moimi rzekomymi przełożonymi i próbowałem porozumieć się z tatuśkiem, który zamknął buzię i czeka na przybycie adwokata. Nie mogę ci obiecać, że nie trzeba będzie przesłuchać każdego z nich osobno. Ale na razie po prostu tam siedzą. Chcesz się z nimi zobaczyć?

– Jeśli zechcą. Pojawienie się tych dwóch palantów nie zwiększyło mojej wiarygodności.

– Naprawdę mi przykro. Adwokat Goada zadzwonił prosto na komendę główną z propozycją współpracy i któryś z panów oficerów doznał potężnej erekcji. Spróbuj na chwilę zapomnieć o dzieciach Dossa i oceń obiektywnie to, co się dzieje: ważne śledztwo w sprawie morderstwa zmierza donikąd. Nagle pojawia się wiarygodne zeznanie o kimś, kto miał zarówno środki, jak i motyw. W najgorszym razie oskarżymy Dossa o zawiązanie spisku w celu dokonania morderstwa, co wystarcza, żeby go aresztować, a my tymczasem zajmiemy się szukaniem prawdziwego sprawcy.

– Skąd Korn i Demetri dowiedzieli się, gdzie szukać Richarda?

– Zaskoczyli jego sekretarkę – wyjaśnił Milo, wsysając policzek – i zauważyli twoje nazwisko w terminarzu.

– Pięknie.

– Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że to nie jest przyjemna robota.

– Kiedy przyjdzie adwokat Richarda?

– Wkrótce. To prawniczy rekin, który wyspecjalizował się w zbieraniu śmietanki. Poradzi Dossowi, żeby milczał, a my spróbujemy go przyskrzynić pod zarzutem zorganizowania spisku. Tak czy siak, papierkowa robota zajmie trochę czasu, więc z góry załóż, że facet posiedzi tu co najmniej do jutra.

Milo wstał i rozprostował ramiona.

– Zesztywniałem od tego siedzenia.

– Biedactwo.

– Mam cię jeszcze raz przeprosić? Dobrze. *Mea culpa, mea culpa.*

– A co z teczką od Fusco? Co z obrazem? Czy Doss ma z tym coś wspólnego?



– Kto może stwierdzić na pewno, że obraz ma coś wspólnego z morderstwem? Ale o niczym nie zapomniałem. Tylko odłożyłem to na później. Jeśli chcesz przeczytać te cholerne akta, przeczytaj je. Jeśli nie, to trudno.

Popchnął drzwi i wyszedł na korytarz.

Sala dla rodzin ofiar znajdowała się nieco dalej. Przed drzwiami stała młoda, jasnowłosa kobieta w jasnoniebieskim kostiumie.

– Detektyw Marchesi, doktor Delaware – przedstawił nas sobie Milo.

– Cześć. Zaproponowałam im colę, ale odmówili – powiedziała policjantka.

– Jak się czują?

– Trudno powiedzieć, cały czas stoję za drzwiami. Nalegali – właściwie ten chłopak nalegał – żeby ich zostawić. On wygląda na szefa.

– Dzięki, Sheila – powiedział Milo. – Zrób sobie przerwę.

– Jasne. Będę przy swoim biurku, gdybyś mnie potrzebował. Poszła do pokoju detektywów.

– Są twoi – rzucił Milo.

Sala niewiele się różniła od celi przesłuchań, pewnie kiedyś nią była. Małe pomieszczenie pozbawione okien, o błyszczących ścianach koloru musztardy.

Stały tam trzy krzesła obite bawełnianą tkaniną w kwiatowe wzory; dobrze, że nie metalowe, takie jak w celi przesłuchań. Zamiast metalowego stołu ustawiono drewnianą ławę przypominającą stół ogrodowy na krótkich nogach. Na blacie leżały czasopisma: „People”, „Ladies’ Home Journal”, „Modern Computer”.

Eryk i Stacy siedzieli na krzesłach.

Stacy patrzyła na mnie.

– Wynocha – powiedział Eryk.

– Eryk... – zaczęła Stacy.

– Niech się stąd wynosi, nie kłóć się, Stacy. On w tym wszystkim bierze udział, nie możemy mu ufać.

– Eryk, rozumiem, dlaczego tak myślisz...

– Nie wciskaj kitu! Ten gliniarz to twój kumpel, wystawiłeś ojca, skurwielu!

– Daj mi szansę...

– Gówno ci dam! – krzyknął, wypychając mnie za drzwi. Stacy krzyknęła. Policzki chłopca pociemniały od nabiegłej krwi; patrzył na mnie dzikim wzrokiem, wymachiwał rękami i wiedziałem, że może mnie uderzyć. Wycofałem się, gotów bronić się tak, by nie wyrządzić mu krzywdy. Stacy ciągle krzyczała wysokim piskliwym głosem pełnym przerażenia. Kiedy stanąłem za drzwiami, Eryk zatrzymał się i podniósł pięść. W kącikach ust zebrała się spieniona ślina.

– Wynoś się z naszego życia! Sami o siebie zadamy!

Spoglądając ponad jego ramieniem, widziałem zgiętą w pół Stacy, która ukryła twarz w dłoniach.

– Przegrałeś i jesteś zwolniony, pieprzony palancie.

Jechałem do domu, zaciskając dłonie na kierownicy. Serce waliło mi w piersi.

Trzeba zapomnieć o dzieciach, nie są już moją sprawą. Muszę skupić się na faktach.

Milo miał rację, fakty do siebie pasują. Instykt wskazywał na Richarda. I prawdę rzekłszy, mój też. Gdy usłyszałem o śmierci Mate'a, zaraz pojawiła się myśl o Richardzie. Uciekałem od prawdy, chowałem się za meandrami konfliktu etycznego, ale teraz rzeczywistość plunęła mi w twarz.

Przypomniałem sobie podniecenie Richarda, kiedy dowiedział się o śmierci Mate'a, co za radość. Bydlak dostał wreszcie to, na co zasłużył.

Wreszcie. Czy to znaczy, że kiedy Goad zawiódł, Richard zwrócił się do kogoś innego?

Środki i motyw. Znalazł wykonawcę, zapewnił sobie alibi. Milo go wyczuł. Tacy jak Richard nie brudzą sobie rąk mokrą robotą.

A moje teorie współpracy i zamięłowania do ironii? Czy morderstwo w furgonetce miało się okazać tylko głupią krwawą zemstą?

Ale dlaczego? Co pchnęło kogoś tak błyskotliwego jak Richard do położenia na szalę wszystkiego i to z powodu człowieka, który był przecież tylko wykonawcą ostatniego życzenia jego żony? Czyżby i on był jednym z tych zręcznych przebiegłych psychopatów, którzy ujście dla swoich instyktów znajdowali w świecie wielkiej finansjery?

Zaniedbane nieruchomości. Czerpanie korzyści z przegranej innych. Czy Richard uciekał przed swoją prawdą? Czy zrobił to dlatego, że Joannę zamknęła się przed nim i wybrała śmierć w tanim moteliku, a odrzuciła życie z nim w luksusowej willi z basenem?

Umarła w towarzystwie innego mężczyzny... Intymność śmierci. Dziennikarka „S(Hero)” zastanawiała się, dlaczego większość „podróżnych” Mate'a stanowiły kobiety, spekulowała na temat seksualnych podtekstów samobójstw dokonywanych w asyście Anioła Śmierci. Czy Richard uważał ostatnią noc w życiu Joannę jako najgorszy rodzaj zdrady? To możliwe, choć jednak takie... naciągane.

Czy Richard mógł podrzucić książkę-skrytkę i złamany stetoskop?

Zostałeś wyeliminowany z interesu, doktorze?

Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. „Szczęśliwej Podróży, Ty Chory Draniu...”. Po co Richard skontaktował się ze mną w tydzień po morderstwie? Czy chodziło o Stacy i jej przyszłość, jak twierdził, czy może wiedząc, że Quentin Goad został aresztowany, przygotowywał się na to, co miało się zdarzyć?

Doprowadził do tego, że spotkałem się również z Erykiem.

Zajmij się dziećmi, kiedy mnie nie będzie... Widzisz, co się stało.

Przyszła mi do głowy jeszcze gorsza myśl. Eryk, jego uwagi na temat poczucia winy

i ekspiacji.

Dziecko, które wie do czego dąży, uzdolniony pierworodny syn, który zrezygnował z semestru nauki, żeby zaopiekować się matką i na pozór pogodził się z tym, co się stało... Nagle ucieka z akademika, spędza noc pod gołym niebem... Opętany poczuciem winy, bo miał powody?

Uwikłany. Czy jego ojciec był na tyle szalony, na tyle okrutny, żeby go w to wpłatać?

Wcześniej zastanawiałem się, czy Eryk zamordował Mate'a. Teraz, gdy zobaczyłem jego gniew z bliska, te spekulacje nabrały innego charakteru.

Umowa z Goadem nie wypaliła, więc postanowił załatwić wszystko w rodzinie.

Ojciec w San Francisco, syn przez kilka dni przebywa w Los Angeles, ma kluczyki do samochodu.

Chciałem wierzyć, że inteligencja Richarda – jeśli już nic innego – powstrzymała go od popełnienia strasznego czynu, ale skoro zaryzykował los całej rodziny, przekazując w barze pieniądze, czy można ufać jego zdolności osądu?

W tej rodzinie była jakaś rysa, która miała związek ze śmiercią Joannę. Bob Manitow utrzymywał, że jej stopniowa degrengolada wynikała z depresji, i może miał rację. Ale nawet jeśli tak było, takie załamanie nie objawia się z dnia na dzień. Co doprowadziło kobietę z dwoma doktoratami do powolnego samozniszczenia?

Coś, co trwało od dawna... Może Richard miał powody, aby doznawać poczucia winy? Może chciał zrzucić winę na Mate'a?

Zabić posłańca.

Niech będzie dużo krwi.

Ojciec i syn. I córka.

Stacy samotna na plaży, Eryk siedzący samotnie pod drzewem. Każde osobno. Rozdzieleni... Czy śmierć Mate'a boleśnie o czymś przypominała? Znowu zacząłem snuć domysły. To jakaś obsesja.

Kiedy miałem dziewięć lat, naszła mnie nagle chorobliwa potrzeba naklejania etykietek na wszystkie szuflady i układania w równy szereg butów w szafce. Nie mogłem usnąć, zanim nie naciągnąłem kołdry na głowę w określony sposób. A może próbowałem tylko odciąć się od krzyków ojca.

Zjechałem w Sunset, ciągle pogrążony w myślach. Znalazłem się w pobliżu swojej ulicy tak nagle, że omal jej nie minąłem. Skręciłem w ostatniej chwili, wspiąłem się na wzgórze, przejechałem między słupkami i zaparkowałem przed moim małym kawałkiem amerykańskiego snu.

Dom, kochany dom. Dom Richarda rozpada się cegła po cegle.

Robin siedziała w saloniku. Ani śladu Spike'a.

– Jest w ogrodzie. Załatwia różne ważne sprawy.

– Jak biznesmen.

Roześmiała się, pocałowała mnie i przyjrzała mi się uważnie. Potem zauważyła teczkę.

– Też masz chyba coś do zrobienia.

– Rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

– Chodzi o Mate'a? W wiadomościach podali, że ktoś został aresztowany. Opowiedziałem jej o odwiedzinach Korna i Demetriego.

– Byli tutaj? O Boże.

– Zadzwonili i zabrali go na oczach dzieci.

– To straszne. Jaki Milo mógł zrobić coś takiego?

– To nie była jego decyzja. Przełożeni wydali rozkaz, pomijając go.

– To okropne. Wyobrażam sobie, co przeżyłeś.

– Dzieci przeżyły to znacznie mocniej.

– Biedactwa... Czy ich ojciec byłby zdolny do czegoś takiego? Przepraszam, nadal są twoimi pacjentami, nie powinnam pytać.

– Nie jestem pewien, czy jeszcze nimi są. Nie potrafię też odpowiedzieć na twoje pytanie.

Ale odpowiedziałem i to bardzo jednoznacznie. Oczywiście, że jest do tego zdolny.

– Kochanie? – powiedziała, kładąc mi dłoń na karku. Stała na palcach, przyciskając nos do mojego nosa. Dotarło do mnie, że milczę od dłuższego czasu, jakbym zapomniał o całym świecie. Teczka zaciążyła mi; uniosłem ją.

Robin objęła mnie w pasie i weszliśmy do kuchni, gdzie naląła nam mrożonej herbaty. Usiadłem przy stole i usunąłem teczkę Fusco z mojego pola widzenia. Walczyłem z chęcią rzucenia się w historię kruczaty agenta FBI. Pragnąłem uwierzyć w wyniki śledztwa Fusco, dokonać jakiegoś przełomowego odkrycia, które uratuje Richarda i uczyni ze mnie bohatera w oczach Stacy. I Eryka.

Zamiast tego usiadłem, wziąłem pilota i włączyłem telewizyjne wiadomości. W rogu ekranu widniał czerwony znaczek w kształcie sztandaru z napisem NAJNOWSZA WIADOMOŚĆ! Zadowolony reporter ścisnął w dłoni mikrofon.

... W morderstwie Eldona Mate'a. Ze źródeł policyjnych wiemy, że przesłuchiwanym mężczyzną jest Richard Theodore Doss, czterdziestosekstoletni bogaty biznesmen z Pacific Palisades, mąż Joannę Doss, której doktor Mate pomógł popełnić samobójstwo prawie rok temu. Doniesienia o zabójstwie na zlecenie jak na razie nie zostały potwierdzone. Parę minut temu na komendę West Los Angeles dotarł adwokat Dossa. Będziemy państwa informować o rozwoju wydarzeń w śledztwie. Dla programu Wiadomości z Miejsca Zbrodni mówił Brian Frobush.

W tle wznosił się gmach, z którego niedawno wróciłem. Ekipa musiała się zjawić tuż po moim wyjeździe.

Zgasiłem telewizor. Robin usiadła obok mnie.

Stuknęliśmy się szklankami.

– Zdrowie – powiedziałem.

Wytrzymałem jeszcze dziesięć minut, a potem przeprosiłem Robin, zabrałem teczkę i wyszedłem.

Rany.

Pęknięcia. Prawdziwe, dotykalne.

Było już dobrze po północy. Robin spała od godziny. Wiedziałem, że nie usłyszała, kiedy wyszedłem z łóżka i wróciłem do gabinetu.

Zacząłem czytać akta wcześniej, po obejrzeniu wiadomości, lecz Robin przekonała mnie, żebyśmy się razem wykąпали i poszli na długi spacer. Kolacja we włoskiej restauracji w Santa Monica, gra w scrabble po powrocie, szklaneczka ginu, potem wspólne rozwiązywanie krzyżówki w łóżku.

– Jak normalni ludzie – zauważyłem, kiedy powiedziała, że chce jej się spać.

– Genialne spostrzeżenie.

– Kocham cię. Widzisz, powiedziałem to, mimo że nic nie było.

– To coś nowego.

– Jak to?

– Powiedziałeś to przedtem. Jak miło – szepnęła, przysuwając się do mnie.

Zarzuciłem szlafrok i prześlizgnąłem się przez ciemny korytarz jak włamywacz.

W gabinecie zapaliłem lampę z zielonym abażurem; na ścianie powstał niewyraźny cień.

W całym domu było zimno. W niektórych miejscach ze starego przetartego szlafroka wycierały gołe nitki. Nie założyłem skarpet. Chłód uchwycił przyczółek na podeszwach i stamtąd zaczął się wznosić aż do ud. Wytłumaczyłem sobie, że to całkowicie adekwatne do zadania, które wykonuję, przysunąłem teczkę bliżej i rozwiązałem pasek szlafroka.

W swoim studium Granta Rushtona alias Michaela Burke'a Fusco nie pominął żadnego szczegółu.

Wszystko zostało opisane schludnie, ze śródtytułami, w punktach. Obiektywna precyzja raportów z sekcji, wymiary, wielkości.

Strona po stronie opisów scen zbrodni – streszczenia spisane ręką Fusco, a także niektóre oryginalne raporty policyjne. Proza agenta różniła się wyraźnie od typowego stylu policyjnego,

ale do Szekspira było mu daleko. Wydawało mi się, że lubi drastyczne szczegóły, a może był to tylko efekt zmęczenia i dokuczliwego chłodu.

Wytrzymałem, wzbudziłem w sobie stan podwyższonej świadomości i wchłaniałem stronę po stronie drobnego druku i fotografii zrobionych polaroidem. Zdjęcia z autopsji, odrażające, straszne odcienie rozkładającego się ludzkiego ciała, sponiewieranego, wyeksploatowanego jak lasy deszczowe. Otwarte czaszki, zdarta skóra twarzy – wszystko w imię prawdy. Mało formatowe obrazki rozciętego mięsa, kwitnących orchidei rozerwanych naczyń krwionośnych, rzek hemoglobiny.

Martwe twarze. Spojrzenia. Ekstrakcja duszy.

Niepokojąca myśl: Mate'owi by się to spodobało.

Czy wiedział, czemu jest poddawany?

Znów popatrzyłem na zdjęcia. Kobiety – a raczej to, co z nich zostało – oparte o drzewo. Cała strona zbliżeń brzucha, ziejących ran na skórze, którą zamieniono w tło dla wzorów koloru śliwki. Dokładnie wycięte rany. Geometryczne.

Chłód dotarł do serca. Oddychając powoli, oglądałem uważnie zdjęcia i próbowałem sobie przypomnieć pośmiertne fotografie Mate'a, które Milo pokazał mi na Mulholland.

Chciałem znaleźć znak równości między tym, co widzę, i prostokątami wyciętymi na zwiotczałym bladym brzuchu Mate'a.

Zdawało mi się, że widzę pewne podobieństwa, ale jak zauważył Milo, wielu morderców lubi ciąć swoje ofiary.

Malowanie na skórze...

Gdzie podziewa się Donny Salcido Mate, domorośły Rembrandt tatuażu? *Lekcja anatomii*. Tnijmy i uczmy się.

Potem pomyślałem o Guillermie Mate, stojącej przy garderobie nędznego hoteliku; zamarała, kiedy spytałem ją o jedynaka. Może wiara jest nagrodą samą w sobie, ale jej życie musiało być samotne: porzucona przez męża, sama wychowała dziecko, które później sprawiło jej zawód.

Modliła się regularnie, dziękowała.

Czy wznosiła oczy ku wspaniałemu światu, który nadejdzie po śmierci, czy rzeczywiście znalazła spokój? Podróż autobusem do Los Angeles świadczyła o tym, że go nie znalazła.

Richard i jego dzieci, Guillerma ze swoim synem.

Samotni, wszyscy są samotni.

Upłynęły trzy godziny czwartku. O trzeciej dwadzieścia dwa przeczytałem już dzieło Fusco od deski do deski. Nie znalazłem niczego, co by mną wstrząsnęło. Potem przejrzałem zdjęcia ponownie i wtedy to zauważyłem.

Fotografia miejsca zbrodni w Waszyngtonie, nierozwiązana zagadka śmierci jednej z czterech ofiar Michaela Burke'a z czasów, gdy studiował medycynę. Fusco dostrzegł zbieżność z metodami Burke'a, bo wszystkie ofiary były oparte o drzewa lub znaleziono je w pobliżu drzew.

Ofiarą była dwudziestoletnia kelnerka, Marissa Bonpaine. Kiedy ostatni raz widziano ją żywą, sprzedawała koktajl z krewetek w budce na rynku Pike Place w Seattle. Tydzień później leżała rozplątana pod świerkiem w odległym zakątku Olympic National Forest. W pobliżu miejsca zbrodni nie udało się znaleźć odcisków butów; warstwa igieł i gnijących liści to potencjalnie bogate źródło śladów, lecz żadnych nie odkryto. Wziąwszy pod uwagę jedenastodniowe opady deszczu można zrozumieć, dlaczego miejsce zbrodni było czyste jak sala operacyjna. Zgodnie z intencją mordercy.

Marissa Bonpaine została zmasakrowana w sposób, który dobrze już znałem: przecięte gardło, okaleczenia okolicy łonowej, pozycja seksualna. Pojedynczą ranę w kształcie trapezu można było uznać za geometryczną, choć miała nierówne krawędzie. Zgon z powodu szoku i upływu krwi.

Na głowie nie znaleziono śladów uderzenia. Fusco pewnie przypisał to rosnącej pewności siebie mordercy i temu, że miejsce było odludne. Zabójca chciał, żeby ofiara pozostała przytomna, żeby widziała, co się dzieje, żeby cierpiała. Nie spieszył się.

Spojrzałem na dane fizyczne dziewczyny: sto czterdzieści dziewięć centymetrów wzrostu, czterdzieści pięć kilogramów wagi. Drobnitka, łatwo było ją skrupować bez ogłuszania.

Widok ciała nie przykuł mojej uwagi – po trzech godzinach oglądania krwi i przejawów sadyzmu, przyzwyczałem się.

Lśniący przedmiot leżał na tle brązowego kobierca lasu, niecałe dwa metry od maleńkiej lewej dłoni Marissy Bonpaine. Obiekt ostro odbijał skąpe światło przedzierające się przez gęste korony drzew. Kilka stron dalej odszukałem policyjny raport.

Ciało znalazł pieszy turysta. Strażnicy leśni i funkcjonariusze policji z trzech jednostek przeczesał kwadrat lasu o boku dwustu metrów, a to, co znaleźli, umieścili na liście nazwanej: „Przedmioty zebrane na miejscu zbrodni”. Sto osiemdziesiąt trzy obiekty, w większości śmieci: puste puszki i butelki, połamane okulary, otwieracz do konserw, zgniły papier, niedopałki papierosów – z tytoniem i marihuaną, szkielety zwierzęce, ołowiany śrut, dwa pociski w miedzianych płaszczach, poddane analizie balistycznej i uznane za nieważne, jako że ciało



Marissy Bonpaine nie nosiło śladów postrzału. Trzy pary butów turystycznych, pełnych wszelkiego rodzaju owadów oraz porzucone fragmenty ubrań zostały zbadane w laboratorium. Ustalono, że znalazły się tam znacznie wcześniej, niż nastąpiła śmierć ofiary.

W połowie listy widniał opis:

Pozycja numer 76: Zabawkowa strzykawka, wykonana przez firmę Tommi-Toy, Tajwan, pierwotnie część zestawu „I ty możesz zostać lekarzem”, importowanego w latach 1989-95. Miejsce: grunt, 1,4 m od lewej dłoni ofiary, brak odcisków palców i osadów organicznych.

Zupełny brak osadów mógł oznaczać, że przedmiot został tam umieszczony niedawno, ale mógł też znaczyć, że deszcz zmył z niego wszelkie ślady.

Przeczytałem resztę dokumentów dotyczących Marissy Bonpaine. Nikt nie zwrócił uwagi na zabawkę. W miejscach, gdzie zginęły pozostałe ofiary w stanie Waszyngton, nie znaleziono żadnych zabawek.

Marissa Bonpaine była ostatnią ofiarą w tamtej okolicy. Ciało znaleziono drugiego lipca, lecz policja przypuszczała, że dziewczynę uprowadzono około siedemnastego czerwca. Przerzuciłem kilka dalszych kartek raportu. Michael Burke odebrał dyplom lekarza dwunastego czerwca.

Uczczenie dyplomu?

Jestem lekarzem, oto moja strzykawka!

To właśnie ja jestem lekarzem!

Stetoskop, strzykawka. Jedno połamane, drugie nietknięte. Wiedziałem, co powiedziałyby Milo. Świetnie, ale co z tego?

Może miał rację – jak dotąd miał jej aż za dużo – a strzykawkę rzuciło jakieś dziecko spacerujące po lesie z rodzicami.

Ale to dziwne.

Sygnał... sygnały dla różnych ofiar.

Dla Marissy: Jestem lekarzem.

Dla Mate'a: Ja jestem lekarzem, a ty nie.

Przeczytałem ponownie notatki Fusco. Ani słowa o zabawce.

Może powiem o tym Milo. Jeśli uda nam się porozmawiać.

Wróciłem do pierwszej części akt, do rozmaitych wcieleń Michaela Burke'a. Przyjrzałem się uważnie zdjęciom. Przypomniały mi się słowa piosenki: *Chcę cię poznać, chcę cię poznać dobrze*. Mimo to Burke pozostawał nieznajomym.

Psychopata z wysokim ilorazem inteligencji, sprawca morderstw na tle seksualnym, mistrz eutanazji. Ten, który pocieszał śmiertelnie chore kobiety i zadawał cierpienie zdrowym. Podział na segmenty. To pomaga zarówno w dokonywaniu morderstw, jak i w polityce.

Może też w obrocie nieruchomości. Świat zaniedbanych posiadłości.

Milo miał swojego świadka, a ja dwie zabawki. Ale rany wykazywały podobieństwa, a Milo

poprosił mnie o przeanalizowanie teczek.

Zostałeś wyeliminowany z interesu, ja zająłem twoje miejsce.

Alice Zoghbie niemal przyznała, że Mate miał pomagierów, ale nie powiedziała tego wprost i wykpiła przypuszczenie, że mógł go zamordować ktoś z najbliższego otoczenia.

Eldon był wybitnie inteligentny. Nie darzył zaufaniem byle kogo.

Ale na pewno lubiłby mieć pomocnika. Roztaczanie nadzoru nad adeptem eutanazji wbiłoby go w jeszcze większą dumę.

Więc chyba warto spotkać się z Alice Zoghbie. Uwielbiała Mate'a, chciałyby ukarać mordercę. Teraz mogłem jej podać nazwisko i rysopis, zobaczymy jak zareaguje. Czy coś ryzykuje? Zadzwoń do niej trochę później. W najgorszym razie pośle mnie do diabła.

A w najlepszym dowiem się czegoś, może odkryję nowego podejrzanego.

Innego niż Richard. Każdy, tylko nie Richard.

Położyłem się na starej skórzanej sofie i przykryłem wełnianym pledem. Gapiłem się w sufit, wiedząc, że i tak nie zasnę.

Kiedy się przebudziłem, było parę minut po siódmej. Robin stała nade mną.

– Jaki facet śpi na kanapie w salonie, chociaż nie był niegrzeczny – powiedziała, siadając na skraju poduszki i wygładzając mi włosy.

– Dzień dobry. Zerknęła na teczkę.

– Wkuwałeś przed ważnym testem?

– Zawsze byłem kujonem.

– I patrz, do czego cię to doprowadziło.

– Do czego?

– Do sławy i fortuny. Czas wstawać, słoneczko. Doprowadź się do porządku, to będę się mogła tobą zająć. Ostatnio często to robię, prawda?

Po wzięciu prysznicu i ogoleniu poczułem się odrobinę lepiej, ale mój żołądek nie chciał nawet słyszeć o śniadaniu, dlatego siedziałem i patrzyłem, jak Robin zjada tosta z jajkiem i grejpfruta. Przyjemnie spędziliśmy te pół godziny, chyba nie najgorzej mi wyszło udawanie porannej wesołości. Potem włączyłem telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Prezenter przypominał fakty dotyczące Dossa, lecz nie podał żadnych nowych okoliczności.

O ósmej dwadzieścia zadzwoniłem do Alice Zoghbie i usłyszałem jej głos nagrany na automatyczną sekretarkę. Gdy odłożyłem słuchawkę, zgłosił się serwis telefoniczny.

– Dzień dobry, doktorze Delaware. Dzwoni do pana Joseph Safer. Adwokat Richarda.

– Proszę go połączyć.

– Doktorze, tu Joe Safer. Jestem adwokatem reprezentującym pańskiego pacjenta, Richarda Dossa.

Przyjemny baryton. Głos starszego mężczyzny – rozważny, krzepiący jak głos dziadunia, powolny, ale równy.

– Jak się miewa Richard? – spytałem.

– Cóż – zaczął Safer – jest nadal w areszcie, więc chyba nie najlepiej. Ale to powinno się zmienić po południu.

– Papierkowa robota?

– Nie chcę uchodzić za paranoika, doktorze, ale zastanawiam się, czy chłopcy w niebieskich mundurkach nie zwolnili przypadkiem tempa.

– Broń Boże.

– Jest pan religijny, doktorze?

– Chyba wszyscy wyznają Boga w trudnych chwilach, prawda?

Safer roześmiał się chrapliwie.

– Prawda, prawda. Dzwonię dlatego, że po zwolnieniu Richard chciałby z panem porozmawiać o swoich dzieciach. O tym, jak im pomóc przez to przejść.

– Oczywiście.

– Doskonale. Będziemy w kontakcie – rzekł pogodnym głosem, jakby chodziło o zaplanowanie pikniku.

– Co go może spotkać, panie Safer?

– Proszę mi mówić po imieniu... Cóż, trudno powiedzieć... Obaj jesteśmy związani zasadą poufności, więc będę mówił wprost. Wydaje mi się, że policja nie ma nic, co można uznać za poważny dowód winy. O ile coś nie wyjdzie w toku śledztwa, a nie sądzę, żeby tak się stało... W pańskim przypadku, doktorze, zasada poufności daje większe pole manewru.

– Co pan przez to rozumie?

– O ile pacjent nie stwarza poważnego ryzyka, nie jest pan zobligowany do ujawniania czegokolwiek. Ja natomiast... Są pytania, których nie zadaję.

Dał mi w ten sposób do zrozumienia, że nie chce wiedzieć, czy jego klient jest winny, i że jeśli wiem, mam trzymać buzię na kłódkę.

– Rozumiem.

– Znakomicie... Porozmawiajmy wobec tego o Stacy i Eryku. To miłe dzieci. Inteligentne, wyjątkowo inteligentne, o czym świadczy ich zachowanie w tych okolicznościach. Ale też bardzo niespokojne, co nie powinno nikogo dziwić. Cieszę się, że zajmie się pan ewentualną terapią.

– Może być z tym pewien kłopot. Eryk jest na mnie wściekły, uważa, że jestem po stronie policji. Rozumiem to, bo przyjaźnię się z...

– Z Milo Sturgisem – dokończył Safer. – Skuteczny detektyw. Wiem, że jest pan jego przyjacielem. I bardzo to pochwalam.

– Co?

– Przyjaźń heteroseksualisty z homoseksualistą. Jeden z moich synów był gejem. Nauczył mnie, że trzeba mieć otwartą głowę. Wolno się uczyłem.

Użył czasu przeszłego. Jego głos przycichł.

– Młodzieńcza porywczność. Mówię o Eryku. Mam pięcioro dzieci i trzynaścioro wnucząt. A właściwie czworo. Daniel zmarł w zeszłym roku. Diagnoza jego choroby przyspieszyła mój proces uczenia się.

– Bardzo mi przykro.

– To było straszne, doktorze, życie już nie jest takie samo... Ale dość o tym. Jeśli chodzi o stosunek Eryka do pana, będę musiał porozmawiać z chłopcem. Richard zresztą też. A Stacy? Mniej o niej wiem. Milczy, a Erykowi usta się nie zamykają. Przypomina mi Daniela. Był pierworodny, zawsze w trudnych chwilach był pośrednikiem między resztą rodzeństwa a żoną i mną.

Usłyszałem, jak wzdycha.

– Stacy to dobra dziewczyna. Jest moją główną pacjentką w tej rodzinie. Z Erykiem odbyłem tylko jedno spotkanie, i to niedokończone. Policjanci zjawili się, zanim skończyliśmy i zabrali Richarda.

– Tak, to okropne. Dzikie obyczaje... Dziękuję za rozmowę, doktorze. Proszę na siebie uważać, jest nam pan potrzebny.

Czwartek, godzina ósma czterdzieści pięć. Zadzwoiłem do Alice Zoghbie i po raz drugi wysłuchałem tego samego nagrania. Kwadrans później włączyłem wiadomości. Inna reporterka, ale ten sam uśmiech zapowiadający, że usłyszymy jakąś sensację. I ta sceneria była mi znana.

... Pani Amber Breckenham twierdzi, że mecenas Haiselden używał przemocy zarówno wobec niej, jak i jej córki. Znajdujemy się przed domem Haiseldena, gdzie zdaniem sąsiadów nie pojawił się od ponad tygodnia. Na razie jest to sprawa cywilna, i jak dotąd policja nie ogłosiła, czy zostanie wszczęte śledztwo. To nowy, zaskakujący zwrot w sprawie śmierci doktora Eldona Mate'a. Z Westwood dla programu Wiadomości z Miejsca Zbrodni mówiła Dana Almodovar.

Prognoza pogody. Niebo zamglone, temperatura od osiemnastu do dwudziestu dwóch stopni. Od czterdziestu dni to samo. Przeskoczyłem kilka kanałów i w końcu znalazłem program specjalizujący się w sensacjach.

Amber Breckenham, lat trzydzieści cztery, kierowniczką jednej z automatycznych pralni Haiseldena w Baldwin Park, skierowała do sądu sprawę przeciwko byłemu szefowi. W krótkiej migawce pojawiła się wysoka, mocno zbudowana tleniona blondynka wkraczająca do budynku z adwokatem. Trzymała za rękę ciemnowłosą dziewczynkę w wieku jedenastu lub dwunastu lat. Córka pani Breckenham opuściła głowę nisko, ale ktoś zawołał „Laurette!” i dziewczynka podniosła wzrok. Kamera zdążyła uchwycić ładne murzyńskie rysy i prostowane włosy, zaczesane do tyłu nad wysokim, gładkim czołem.

Z zeznań Amber Breckenham wynikało, że przez siedem lat pozostawała w związku z Haiseldenem. Jej szef i kochanek twierdził, że inwestuje pieniądze pani Breckenham, ale okazało się, że je sprzeniewierzył. Ponadto bił ją i zastraszał psychicznie Laurette. Kobieta domagała się odszkodowania w wysokości pięciu milionów dolarów.

Czyżby dlatego Haiselden zniknął? Więc można go wykreślić z listy podejrzanych o morderstwo?

Lecz jeśli oskarżenia Amber Breckenham są prawdziwe, świadczy to, że Mate nie umiał właściwie ocenić współpracownika. Czyżby ta pomyłka doprowadziła go do śmierci?

A może jego największym błędem była pomoc w popełnieniu samobójstwa Joannę Doss?

Jaki błąd popełniła Joannę? Jaki grzech skłonił ją do zmienienia się w istotę ze zdjęcia Eryka?

Drugi raz w ciągu dwóch dni pojechałem szukać materiałów w bibliotece uniwersyteckiej.

Była tylko jedna wzmianka o śmierci Joannę, artykuł na dwudziestej stronie „Timesa”.

ZWŁOKI ZNALEZIONE W MOTELU NA PUSTYNI POLICJA PODEJRZEWA

## WYKORZYSTANIE MACHINY ŚMIERCI DOKTORA MATE'A LANCASTER.

Wczoraj wczesnym rankiem sprzątaczką hotelową, która weszła do pokoju w motelu w Happy Trails na obrzeżach tej pustynnej osady, znalazła całkowicie ubrane ciało mieszkanki Pacific Palisades. Wprawdzie nikt nie widział w pobliżu furgonetki „Doktora Śmierci”, lecz analiza toksykologiczna krwi czterdziestotrzyletniej Joannę Doss wykazała obecność dwóch specyfików często stosowanych przez samozwańczego specjalistę od eutanazji, a także ślad nakłucia wskazujący na wykonanie zastrzyku dożylnego. Brak jakichkolwiek śladów walki bądź włamania do pokoju, zdaniem detektywów, świadczy o tym, że było to samobójstwo popełnione z czyjąś pomocą.

Prowadzący śledztwo David Graham stwierdził: „Pani Doss wyglądała na spokojną. Przez radio płynęła muzyka klasyczna, kobieta niedawno zjadła ostatni posiłek. O ile wiem, to doktor Mate zachęca pacjentów do słuchania muzyki”.

Pani Doss, żona biznesmena, matka dwojga dzieci, od dłuższego czasu uskarżająca się na zdrowie, byłaby czterdziestą ósmą osobą, której doktor Mate ułatwił popełnienie samobójstwa. Mate skutecznie unika odpowiedzialności karnej, a nawet postawienia w stan oskarżenia, dlatego policja uważa, że raczej nie należy się spodziewać wysunięcia przeciw niemu zarzutów.

Na tym artykuł się kończył, nie było nawet nekrologu Joannę.

Mate nie przypisywał sobie śmierci Joannę. Może coś przeoczyłem. Następne pół godziny spędziłem na poszukiwaniu dalszych informacji. O ostatniej nocy życia Joannę Doss nie znalazłem słowa. Czy przy czterdziestej ósmej ofierze Mate ze swoim humanitronem przestał budzić zainteresowanie mediów?

Wykorzystał maszynę jeszcze dwukrotnie, zanim sam nie skończył, przytroczony do niej w furgonetce.

Furgonetka. Kiedy Mate przestał dokonywać eutanazji w motelach?

Wpisałem nazwisko Mate'a i ograniczyłem poszukiwanie do trzech miesięcy przed i po śmierci Joannę. Ukazały się trzy hasła.

Podróżna numer czterdzieści siedem, zmarła siedem tygodni przed Joannę. Sześćdziesięcioletnia Maria Quillen była śmiertelnie chora na raka jajników. Jej ciało znaleziono przed wejściem do kostnicy miejskiej owinięte w postrzępioną różową kołdrę, w której fałdach tkwiła wizytówka Mate'a. Wynajęta furgonetka zawiozła ją do miejsca, gdzie Mate pomógł jej umrzeć.

Doktor opisał prasie szczegóły eutanazji.

Ofiara numer czterdzieści dziewięć, zmarła miesiąc po Joannę. Alberta Jo Johnson, chora na dystrofię mięśni. Gazety podały, że była Murzynką. Pierwsza Afroamerykanka na liście ofiar Mate'a. Jej śmierć miała być chyba nowym przejawem równouprawnienia. Zwłoki znaleziono

przed centrum medycznym imienia Charlesa Drew w południowej części Los Angeles, również owinięte w kołdrę.

Mate skorzystał z furgonetki, a potem złożył oświadczenie dla prasy.

Serce zabiło mi szybciej. Pięćdziesiąty podróżny, mężczyzna nazwiskiem Brenton Spear. Choroba Lou Gehriga, Mate wykorzystuje furgonetkę, potem zwołuje konferencję prasową.

Trzy osoby, trzy niebudzące wątpliwości diagnozy, furgonetka, konferencje prasowe. Miałem rację: Mate uwielbiał być w centrum uwagi.

O Joannę nie powiedział ani słowa, w pobliżu miejsca jej zgonu nie widziano furgonetki.

Śmierć Joannę nie pasowała do tej układanki.

Szukając dalej, dowiedziałem się, kiedy po raz ostatni Mate dokonał eutanazji w motelu.

Uśmiercił tam swoją trzydziestą dziewiątą ofiarę, dwa lata przed Joannę. Był to niejaki Reynolds Dobson z syndromem Lou Gehriga. Jego zwłoki znaleziono w motelu Cowboy Inn koło Fresno.

Przeczytałem ponownie wzmiankę o śmierci Joannę. Nikt nie widział w okolicy furgonetki Mate'a. Ofiarę przypisano Mate'owi, ponieważ na to wskazywały poszlaki.

To był tani motel i Mate musiałby się liczyć z tym, że w każdej chwili może go zaskoczyć sprzątaczką. Od roku z powodzeniem wykorzystywał furgonetkę, powrót do starych praktyk nie miał sensu.

Mate nie chwalił się śmiercią Joannę, ponieważ nie on był jej sprawcą.

Ale dlaczego nie ogłosił tego publicznie?

Bo zrobiłby z siebie głupca, przyznałby, że ktoś zajął jego miejsce.

Ktoś, kto przy wtórze fanfar ogłaszał, że wraca na scenę jako nowy Doktor Śmierć. Moje przypuszczenia były więc słuszne.

Złamany stetoskop. Ktoś – czyżby Michael Burke? – uczył to kąpielą we krwi poprzednika. Nie omieszkał przy tym pozbawić Mate'a męskości. Nawet ktoś, kto całkowicie odrzuca teorie Freuda, zrozumiałby ten akt.

Jak Joannę skontaktowała się z osobą, która odwiozła ją do motelu w Happy Trails?

Może się pomyliłem, może Mate wiedział o wszystkim i zezwolił swojemu czeladnikowi samodzielnie przeprowadzić eutanazję.

Wyobraziłem sobie taką sytuację. Joannę, zdecydowana umrzeć, dzwoni do Mate'a. Zamiast niego słuchawkę odbiera jego pomocnik, na przykład Burke. Mate nadzoruje zabieg, ocenia, czy Burke jest już gotów. Nie wie, że Burke od dawna zna wymyślną sztukę pozbawiania życia.

Przypomniałem sobie o zażyłości Burke'a ze starszymi ciężko chorymi kobietami i wtedy ukazał mi się zupełnie inny scenariusz.

Joannę błakająca się od lekarza do lekarza, przechodząca dziesiątki kolejnych badań. Prześwietlenia, tomografie komputerowe, rezonans magnetyczny, punkcje – wszystkie

wykonywane w szpitalach.

Wyobraziłem sobie otyłą chorą kobietę, czekającą bez słowa w cichej, sterylnej poczekalni na kolejny szereg upokarzających zabiegów. Lekarze w kitlach przesuwają się obok, nikt nie zwraca na nią uwagi.

Nagle zjawia się czarujący wyrozumiały cierpliwy człowiek. Lekarz, ale chętnie z nią porozmawia. Nareszcie!

A może Burke sam przeprowadził jakieś badania, występując w roli technika laboratoryjnego, bo jeszcze nie zdążył sfalszować nowego dyplomu lekarza, a miał wystarczające kwalifikacje, by pracować w laboratorium.

Tak czy inaczej, musiałem się dowiedzieć, gdzie Joannę chodziła na badania. Richard mógłby mi to powiedzieć, ale akurat on był nieosiągalny. Bob Maniłow też pewnie wiedział, ale on pewnie nawet nie odebrałby telefonu ode mnie. Nie znałem źródła tej antypatii, przecież z żoną Boba rozumiałem się świetnie.

Zadzwonię do Judy, znajdę jakiś pretekst, żeby spytać o leczenie Joannę. Powiem, że chcę wiedzieć jak najwięcej, gdyż dzięki temu łatwiej mi będzie pomóc dzieciom. Zwłaszcza teraz jest to potrzebne, gdy Richard siedzi w areszcie. Spróbuję się też dowiedzieć czegoś o konfliktach, które podzieliły rodzinę Dossów, a może również rodzinę Judy. Wybadam, dlaczego jej mąż był na mnie taki wściekły.

Lepsze byłoby osobiste spotkanie, mógłbym wtedy odczytać pozawerbalne sygnały. Czy uda mi się wyciągnąć Judy z jej gabinetu? Zawsze łączyły nas serdeczne stosunki, współpracowałem z nią przy wielu trudnych sprawach. Teraz uwikłała mnie w najtrudniejszą z nich, i to właśnie chciałem jej powiedzieć.

Zadzwonię do sądu, spodziewając się, że pani sędzia właśnie jest na rozprawie. Zdziwiłem się, kiedy usłyszałem głos Judy.

– Dzwonie w sprawie Richarda.

– Policja zabrała go z mojego domu, w obecności Eryka i Stacy.

– Żartujesz. Dlaczego to zrobili?

– Rozkazy z góry – odparłem. – Uważają Richarda za głównego podejrzanego w sprawie morderstwa Mate'a. Czy w sądzie krążą już jakieś pogłoski?

– Nie, wiem tylko to, co podano w wiadomościach. Wieczorem byliśmy z Bobem w Newport, nie oglądaliśmy telewizji. Dopiero w nocy zauważyliśmy policyjne samochody przed domem Richarda. Nie mogę w to uwierzyć, Alex. To nie ma sensu.

– Richard mordercą. Chwila ciszy.

– Uważają że Richard mógł zrobić coś tak głupiego?

– Z drugiej strony – zauważyłem. – Richard naprawdę nienawidził Mate'a. I wcale się z tym nie krył.



– Uważasz, że jest winny?

– Nie, tylko bawię się w adwokata diabła.

– W moim sądzie to niedozwolone... Mówiąc poważnie, jeśli Richard rzeczywiście żywił jakieś zbrodnicze zamiary, po co miałby o tym trąbić na wszystkie strony? Takie mocne słowa to po prostu jego styl. Wyrzeka, obwinia ludzi. Zawsze wszystkich obwiniał.

– Kogoś jeszcze oprócz Mate'a?

– Nikogo, miałam na myśli jego sposób bycia. Lubi dominować. Prawdę mówiąc, Richard był zawsze trudny i trochę mściwy. Powinieneś usłyszeć, jak opowiada o konkurentach w interesach. Ale mordować kogoś? Nie, to nonsens. Za dużo ma do stracenia... Poczekaj. – Kilkanaście sekund ciszy. – Alex, muszę kończyć, wzywają mnie.

– Czy moglibyśmy jeszcze porozmawiać, Judy?

– O czym?

– O Eryku i Stacy. W tej sytuacji muszę wiedzieć o nich jak najwięcej. Byłbym wdzięczny, gdybyś mogła mi poświęcić godzinę.

– Nie wiem, czy mogłabym ci powiedzieć o czymś, co jeszcze nie zostało powiedziane... – Roześmiała się cicho. – Ale cię wpakowałam, co? Założę się, że teraz nie będziesz tak skwapliwie odpowiadał na moje telefony.

– Zawsze chętnie przyjmę każdego pacjenta, którego do mnie skierujesz, Judy.

– Dlaczego?

– Bo nie jesteś obojętna.

– Daj spokój z komplementami. Odwałam tylko swoją sędziowską robotę.

– Nie zgadzam się.

– To miło. Godzina ci wystarczy? – spytała trochę smutnym głosem.

– Możesz wykorzystać ten kuchenny czasomierz, na który zerkasz, kiedy obrońcy za długo przemawiają.

– Słyszałeś o tym – roześmiała się.

– Widziałem. W czasie sprawy Jenkinsów.

– Tak, nasi dobrzy znajomi, pan i pani Jenkins. Wtedy naprawdę potrzebny był czasomierz. Żałowałam, że nie ma alarmu dźwiękowego... Dobrze, muszę zerknąć w kalendarz... Tak tu nabazgrane, że ledwie mogę odczytać.

– Im wcześniej się spotkamy, tym lepiej, Judy.

Poczekaj... Usłyszałem w tle alt jej sekretarki, Doris. Judy odpowiedziała charakterystycznym sopranem. – Adwokat męża próbuje jakichś sztuczek, trzeba go przywołać do porządku... No dobrze, może zjemy dzisiaj razem kolację? Mam tonę sprawozdań do napisania, i tak będę musiała pracować do późna. Bob zabiera Becky do Cliffside, więc znajdę chwilę czasu. Gdzieś po drodze do mojego domu... Na przykład w restauracji Grun,

w Westwood. Ty też nie będziesz miał daleko. O wpół do dziewiątej.

– Do zobaczenia. Dzięki, Judy. Jestem ci naprawdę wdzięczny.

– Tak, już widzę aureolę nad swoją głową.

Westwood Village było kiedyś miłą okolicą, jak twierdzą ci, którzy tam mieszkają.

Ekskluzywne niegdyś centrum handlowe w eleganckiej dzielnicy mieszkalnej, z przyjemnymi krzywiznami ulic i parterowymi budynkami z cegły zamieniło się w chaos neonów i chromowych tafli ścian, w weekendy tętniący hałasem, z barami szybkiej obsługi rozsiewającymi woń tłuszczu i cukru.

Niektóre z tych zmian były nieuniknione. Nad północnym krańcem Westwood Village dominuje uniwersytet, który rozsiadł się niczym wygłodzony niedźwiedź. Strefa ta wykracza poza granice kampusu, ponieważ uczelnia zagarnia coraz to nowe puste biura i buduje wokół nich parkingi. Obecność studentów przyciąga inwestorów, którzy budują multipleksy, sklepy z drukowanymi koszulkami, džinsami i przecenionymi płytami. Studenckie budżety sprzyjają hamburgerom, a nie kawiorowi. Kiedy niedźwiedź grizzly kręci się koło strumienia pełnego pstrągów, kto zostanie pożarty?

Żerują tam też inne drapieżniki. Przedsiębiorcy budowlani starają się wycisnąć z gruntu tyle dolarów, ile się da. I budują, budują, budują. Za pomocą fundowanych lunchów, alkoholu i łapówek omijają ograniczenia budowlane. To inwestorzy tacy jak Richard.

Aby wkraść się w łaski nowych sąsiadów, niektórzy z nich wykupują udziały w drogich restauracjach. Jedną z nich jest właśnie Grun, lokal na najwyższym piętrze czarnego bezdusznego budynku w kształcie rombu na północnym krańcu Glendon. Najnowsze dzieło słynnego niemieckiego kucharza, specjalizującego się w daniach z mrożonek własnego pomysłu.

Poszedłem tam kiedyś zaproszony przez pewnego nadgorliwego adwokata, który bronił klienta w sprawie o odszkodowanie za okaleczenie ciała. W menu królowały rzekomo zdrowe dania w dziwny sposób łączące przepisy różnych kuchni narodowych. Ceny były takie, że klasa średnia powinna trzymać się z dala od tego miejsca. Kelnerzy w różowych koszulkach i spodniach khaki, niczym roboty recytujący specjalności dnia jakby brali udział w zdjęciach próbnych. Co się dzieje z tymi wszystkimi dzieciakami, które nie dostaną się do filmu?

Wybrałem drogę przez Hilgard, między żeńskimi akademikami i ogrodem botanicznym, i po dziesięciu minutach dotarłem do restauracji. Mieszkam blisko Village, ale rzadko zapuszczam się w te strony.

Na parkingu stał chłopak w czerwonej marynarce. Wcisnąłem samochód między dwa kabriolety marki Porsche; parkingowy popatrzył na mój wóz jak na eksponat muzealny.

Wszedłem do lokalu tuż przed ósmą trzydzieści. Między stolikami przechadzała się czarnowłosa hostessa, która chyba postawiła sobie za punkt honoru, żeby wyglądać jak Morticia z rodziny Addamsów. Judy Manitow jeszcze nie było. Nie od razu udało mi się zwrócić na siebie uwagę Morticii; domyśliłem się, że inicjały SJ w karcie rezerwacji oznaczają sędzię Judy.

Hostessa skierowała mnie do baru. Zerknąłem nad jej ramieniem na prawie pustą salę jadalną i uśmiechnąłem się przymilnie. Dziewczyna westchnęła, zatrzepotała rękami i łaskawie poprowadziła mnie do stolika w rogu.

Sala była prawie pusta, ale głośna. Dźwięki odbijały się od pobielonych ścian, efektownie spatynowanych desek podłogowych i belek pod sufitem, które miały wyglądać na stare i zniszczone. W miejscach, gdzie zastosowano tynk, drewno miało różowawy kolor niezdrowej opalenizny. Metalowe stoliki przykryte były lnianymi obrusami z wyhaftowanymi różami, a krzesła wyściełane ciemnozielonym pluszem.

Morticia zatrzymała się nagle w pół drogi i odwróciła z westchnieniem. Przekręciła szyję, jakby rozgrzewając się przed gimnastyką.

- Uwielbiam to miejsce. Światło tak wspianiale je eksponuje.
- Fantastyczne. Kamera, akcja. Cięcie.

Przy stoliku ledwie mieściła się jedna osoba. W pobliżu kręciło się kilku kelnerów, ale żaden nie kwapił się, żeby podejść. Wreszcie jakiś chłopak o latynoskiej urodzie spytał, czy chcę coś do picia. Powiedziałem, że zaczekam. Podziękował i przyniósł wodę.

Dziesięć minut później do środka wpadła zdyszana Judy. Miała na sobie obcisły kostium w kolorze śliwkowym, którego spódniczka kończyła się pięć centymetrów nad kolanami, i odpowiednio dobrane buty na niewygodnych obcasach. Klamerka kremowej torebki świeciła jak reflektor. Judy zbliżając się szybkim krokiem przywiodła mi na myśl podrasowany samochód.

Wyglądała na jeszcze szczuplejszą niż ją zapamiętałem; kości policzkowe rysowały się wyraziście pod popielato-blond grzywką, w sam raz do gry w tenisa. Na jej szyi i rękach błyszcząca biżuteria. Zauważyła mnie, poruszyła dwoma palcami i przyspieszyła kroku. Wyglądała jak tancerka, kołysząc biodrami. Kelnerzy wymienili pełne podziwu spojrzenia. Ciekawe, czy zdawało im się, że rozgryźli Judy.

Przystojna bogata kobieta wyszła się zabawić wieczorem. Mało komu przyszłoby do głowy, że ma przed sobą sędzię Stanowego Sądu Najwyższego.

Wstałem. Judy cmoknęła mnie na powitanie w policzek. Kiedy podsunąłem jej krzesło, zachowała się, jakby była do tego przyzwyczajona.

– Miło cię znów widzieć, Alex. Chociaż pewnie oboje wolelibyśmy się spotkać w innych okolicznościach.

Jeden z kelnerów zbliżył się, uśmiechnął do Judy i otworzył usta.

– Gin z tonikiem – powiedziała Judy, zanim zdążył się odezwać. – Gin sapphire. To wszystko.

Kelner wydał wargi i spojrzał na mnie.

– A dla pana?

– Mrożona herbata.

– Świetnie.

– Cieszę się, że dziecku się spodobało – rzuciła Judy, kiedy kelner odszedł. Zaśmiała się nieco za głośno i za ostro. – Sama nie wiem, dlaczego zaproponowałam ten lokal. Bob i ja od dawna tu nie przychodzimy... Przepraszam, Alex, czuję się podle, potrzebuję czasu, żeby ochłonąć i zacząć zachowywać się znów po ludzku. To zaleta długich dojazdów do pracy. Jeśli umiesz się oprzeć złości w korkach, masz mnóstwo czasu, żeby wypuścić z siebie powietrze.

– Ciężki dzień w sądzie? – spytałem.

– Czy kiedykolwiek jest inaczej? Nie, nic szczególnego, normalna parada ludzi z nierozwiązywalnymi problemami. Jeśli moje własne sprawy układają się dobrze, nie sprawia mi to kłopotu. Ale dzisiaj... – Dotknęła pierścionka na palcu lewej ręki. Duży, okrągły brylant w platynowej oprawie. Na prawej dłoni miała drugi, z żółtymi diamentami i szafirami ułożonymi w kwiat. – Nadal nie mogę uwierzyć w to zamieszanie z Richardem. Miałeś okazję porozmawiać z Erykiem i Stacy?

– Widziałem ich przez chwilę na komendzie, ale nie mogłem rozmawiać. Adwokat Richarda, Joseph Safer, zadzwonił do mnie rano i powiedział, że wyciągnie go jeszcze dzisiaj, a wtedy Richard umówi się na spotkanie. Teraz mogę tylko czekać.

To był dla mnie dzień czekania. I zgadywania. Jeśli w głowie powstaje jakaś hipoteza... Po powrocie z biblioteki przejrzałem ponownie teczkę Fusco, ale niczego nowego nie odkryłem. Nikt nie dzwonił. Nie biegałem od kilku dni, więc zmusiłem się do tego; spędziłem parę godzin w górach, potem wróciłem, zrobiłem kilkadziesiąt pompek, wziąłem prysznic, napiłem się wody.

O osiemnastej, mimo że byłem umówiony z Judy na kolację, przyrządziłem dwa steki, które zjedliśmy z Robin. Postanowiłem, że z Judy zjem jakąś sałatkę.

Kelner przyniósł drinki. Judy podniosła szklankę, zerknęła na zawartość i spróbowała.

– Joe Safer to prawdziwy książę, mówię poważnie. Adwokat doskonały: grzeczny, ułożony, skupiony na swojej robocie jak psychopata. Gdybym wpadła w tarapaty, jemu powierzyłabym swoje sprawy. – Niebieskie oczy Judy zamglily się na moment. Wypiła jeszcze jeden łyk ginu i znów wyglądały normalnie.

– To jest to – westchnęła. – Chyba nie wlewam w siebie dość trucizny.

– Wstrzemięźliwość?

– Uważam na kalorie.

– Ty?

– Kiedy miałam szesnaście lat, ważyłam osiemdziesiąt kilo – odparła z uśmiechem. – W liceum wyglądałam jak gruszka. Prawdę powiedziawszy, obrzydliwie. Byłam wyczerpana po przejściu dwóch kroków. Chyba właśnie dlatego umiałam współczuć Joannę... Do pewnego

stopnia.

– To znaczy?

– Tylko do pewnego stopnia – powtórzyła ze złym spojrzeniem. – Joannę skończyła na obcej planecie. – Wypiła kolejny łyk i oblizała wargi.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś doprowadził się jedzeniem do stanu otępienia.

– Och, Joannę była zdolna do wielu niespodzianek.

– Na przykład?

– Po prostu – odparła, zerkając na mnie spod oka. – I w przeciwieństwie do mnie, kiedyś była szczupła.

Słyszac gniw w głosie Judy, postanowiłem zmienić temat. Kiedy nie wiesz, w którą stronę skierować rozmowę, najlepiej okazać zainteresowanie rozmówcy.

– Jak pozbyłaś się nadwagi? – spytałem.

– W bardzo staromodny sposób: odmawiając sobie różnych rzeczy. Ignorowanie potrzeb stało się dla mnie stylem życia – oznajmiła, przesuując palcem wzdłuż brzegu szklanki. – Chyba nie ma innej drogi, prawda?

– Poza ignorowaniem potrzeb?

– Poza walką. Większość ludzi nie ma dość silnej woli. Właśnie dlatego wydajemy miliardy na tak zwaną walkę z narkotykami, prawimy kazania o szkodliwości palenia i jedzenia tłuszczu, i wszystko na próżno. Ludzie nigdy nie zaczną odmawiać sobie podniet. – Roześmiała się. – Dobrze mówię, prawda? W każdym razie, ja dbam o siebie. Dla zdrowia, nie dla powierzchowności. Staram się, żeby moja rodzina była zdrowa.

– Twoje córki są wysportowane?

– Dlaczego tak uważasz?

– Chyba widziałem w twoim gabinecie ich zdjęcie.

– Co za pamięć. Tak, Ali i Becky żeglują, jeżdżą na nartach i wyglądają dobrze, ale obie mają skłonność do tycia. To wina genów: Bob i ja byliśmy w dzieciństwie tłuściochami. Pilnuję ich. Teraz mam ułatwione zadanie, bo obie odkryły chłopców. – Judy oparła się na krzesło. – I obie ich mają, dzięki Bogu. Czy to nie brzmi okropnie? Matka-perfekcjonistka?

– Jestem pewien, że bardzo ci na nich zależy.

– Wyraziłeś się absolutnie nie po sędziowsku, Alex. Jesteśmy kompletnymi przeciwieństwami, prawda? Płacą mi dokładnie za to, czego ty się wystrzegasz.

Kelner spytał Judy, czy napełnić szklankę.

– Jeszcze nie. Pan doktor pewnie będzie chciał zerknąć do karty, ale ja wiem, co chcę zamówić. Proszę drobno siekaną sałatkę z warzyw, bez brzoskwiń i orzechów, sos osobno.

– Dla mnie to samo, ale z orzechami.

Kelner spojrział na swoją listę specjalności i odszedł niezadowolony.

– Z orzechami... Zabawne – powiedziała Judy. – Więc nie wiesz, jak sobie radzą Eryk i Stacy?

– To dla nich na pewno trudne chwile. Co myślisz o Richardzie?

– Uważasz, że jest zdolny do morderstwa? Oboje wiemy dobrze, że nikt nie potrafi odgadnąć, co się dzieje w głowie drugiego człowieka. Moim zdaniem, przynajmniej teoretycznie jest możliwe, że Richard kazał zabić Mate'a. Ale sposób, w jaki rzekomo to zrobił, jest tak głupi, że całkowicie nie pasuje do Richarda.

– Joannę też była inteligentna.

Twarz Judy stężała. Na jej skórze pojawiły się maleńkie zmarszczki wygładzone makijażem i słabym oświetleniem. Pierwsza zapowiedź schyłku kobiecej urody.

– Tak, to prawda. Nie potrafię odgadnąć, dlaczego zrobiła to, co zrobiła.

Drobne linie nie zniknęły. Judy spoglądała w szklanę ginu, mieszając go słomką.

– Wydaje mi się, że nigdy nie umiemy się zrozumieć?

– Załóżmy, że Richard opłacił Quentina Goadę. Dlaczego tak bardzo nienawidził Mate'a?

Judy przyłożyła palec do górnej wargi i spojrzała na sufit.

– Może uważał, że Mate pozbawił go jego własności. Richard lubił to, co do niego należy.

– Czy był szczególnie zaborczy w stosunku do Joannę?

– Bardziej niż inni o władczej osobowości? On jest w średnim wieku, Alex. Należy do pewnej generacji.

– Więc postrzegał Joannę jako swoją własność.

– Bob tak samo postrzega mnie. Pytasz, czy Richard był chorobliwie zazdrosny? Nie zaobserwowałam objawów tego.

– A Joannę wykluczyła go z podejmowania najważniejszej decyzji w swym życiu.

Judy wytarła usta chusteczką.

– To znaczy?

– To znaczy, że bardzo mało wiem o tym, co się działo w tej rodzinie.

– Ja też – powiedziała cicho. – Ja też. – Szmer restauracji niemal zagłuszył jej głos.

Uświadomiłam sobie, że odczytuję słowa z ruchu warg Judy.

– Poznałaś rodziców Richarda? – spytałam.

– Nie. Nigdy nie przyjechali do Richarda, a on o nich nie opowiadał. Czemu pytasz?

– Każdy fakt może się przydać. Eryk powiedział mi, że jego ojciec jest Greko-Sycylijszym.

– Chyba tak, Joannę wspominała o tym albo któreś z rodzeństwa. Ale Richard nie robił nic, co by nawiązywało do jego pochodzenia. Nie widziałam nigdy u nich winogron ani podobnych rzeczy.

Miałem wrażenie, że rozmowa o rodzinie Dossów zmęczyła Judy.

– Musieli być trudnym wyzwaniem jako przyjaciele i sąsiedzi – zauważyłem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała ostrym tonem, jakby napominała niesforemego adwokata.

– Należą do takich ludzi, którym ciągle się coś przytrafia. Kiedy spytałem Boba o chorobę Joannę, wyraźnie zdenerwował się tym, co się z nią stało...

– Tak? – spytała Judy bez zainteresowania. Rozejrzała się. Przy kilku stolikach zasiedli nowi klienci. – To normalne. Bob szczeni się tym, że myśli analitycznie. Uważa, że należy najpierw rozpoznać problem, a potem go usunąć.

– A z Joanną to się nie udało.

– No właśnie. – Judy spuściła wzrok i zamieszała słomką w drinku. Linie na skórze pogłębiły się.

Zerknęła na stół po prawej stronie, przy którym usiadły dwie rozbawione pary. Zawołała kelnera i zamówiła jeszcze jeden gin.

– Zgadzasz się? – spytałem.

– Z czym?

– Że wszystko wynikało z psychiki?

– Nie jestem lekarką, Alex. Nie zgłębiłam motywów postępowania Joannę – odparła, ponownie zerkając na szczęśliwych ludzi przy sąsiednim stole.

– Eryk i Stacy...

– Eryk i Stacy poradzą sobie i będą żyć dalej, prawda? Właśnie dlatego przysłałam Stacy do ciebie.

Kelner przyniósł drinka. Rozmowa zeszła na to, co dzieje się w sądzie. Judy opowiadała o polityce władz miasta, żaliła się, że prokuratura nie potrafi wyegzekwować pieniędzy na utrzymanie jakiegoś dziecka. Wykorzystałem okazję, żeby nawiązać do tego, co mnie interesowało.

– Mate'a też nie umieli postawić przed sądem.

Judy skinęła głową, nie odrywając wzroku od szklanki.

– Nie jestem pewien, czy Mate był z tego powodu zadowolony – powiedziałem. – Trochę mniej czasu ekranowego.

– Tak, lubił paradować przed kamerą.

– Ciekawe, że Mate nigdy się nie chwalił tym, że pomógł w samobójstwie Joannę. Nawet nie próbował. To jedyny taki przypadek, który znam.

Judy powoli odstawiła szklankę.

– Szperałeś w gazetach?

– Policja przyjęła założenie, że to była robota Mate'a, ale dowodów nie znaleźli.

– Powiedziałabym, że to trafne założenie, Alex. Ciało Joannę było nafaszerowane środkami



używanymi przez Mate'a.

Kelner podał duże talerze z sałatką wyglądającą jak posiekana trawa; u mnie leżało oprócz tego jeszcze kilka orzeszków. Czułem jeszcze w brzuchu stek i nic nie pobudzało mojego apetytu. Zamieszałem widelcem liście. Judy spróbowała nadziać na widelec czerwonego ziemniaka, który się wysliznął. Jej twarz pociemniała z gniewu. Rozmowa o Dossach musiała być dla niej udręką.

Zdołała nabić na widelec listek sałaty.

– Nawet jeśli Richard okazał się na tyle głupi, żeby zapłacić temu menelowi, facet się wycofał. Mam nadzieję, że nie spróbował z kimś innym. Popytałam trochę znajomych po naszej rozmowie. Na razie policja obraca się w sferze przypuszczeń. Słyszałeś coś innego?

– Nie.

– To namiętność, Alex. Ona popycha ludzi do różnych szaleństw.

– Richard czuł namiętność do Joannę?

– Tak mi się wydaje – odparła Judy. Zerknęła na roleksa.

– Chyba mój czas się kończy.

– Przykro mi – powiedziała z uśmiechem. – Jestem bardzo zmęczona i nie mam apetytu.

Chcesz jeszcze o coś spytać?

– Chciałbym dowiedzieć się więcej o Eryku.

– Już ci powiedziałam. Geniusz, perfekcjonista, osobowość dominująca.

– Stacy mówiła, że spotykał się z Allison.

– Tak, rok temu – potwierdziła Judy po kilku sekundach. – Ali uważała, że jest trochę trudny... Że ma nieco zbyt intensywną osobowość jak na jej gust. Zerwała z nim.

Stacy powiedziała, że to Eryk zerwał kontakty. Opera mydlana w stylu nastolatków. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Sposobem mówienia bardzo przypomina Richarda – powiedziałem.

– To drugi ojciec. Mała bomba atomowa z nogami.

– A Stacy?

– To ty jesteś jej terapeutą. Co o niej sądzisz?

– Czy między nią i Joannę był jakiś dystans?

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo to Eryk towarzyszył matce w jej ostatnich dniach. Judy odsunęła talerz.

– Alex, wydaje mi się, że masz niewłaściwe wyobrażenie o nas i o Dossach. Byliśmy przyjaciółmi, sąsiadami, jadaliśmy wspólnie obiady w Cliffsides. Ale oni na ogół zachowywali swoje problemy dla siebie, a my żyliśmy własnym życiem. Richard powiedział Bobowi, że Stacy zaczęła dryfować bez celu. Rzadko ją widuję, ale sprawiała wrażenie przygnębionej, więc posłałam ją do ciebie. To wszystko. Nie mogę więcej przyjąć na swoje barki. Przykro mi, że nie

mogłam ci pomóc, ale to wszystko, co wiem.

Wstała i pomaszzerowała do kelnera rozmawiającego z kolegą, poczekała kilka sekund, a potem powiedziała coś, co sprawiło, że drgnął jak ukąszony. Kelner odszedł, a Judy wróciła i na stojąco dokończyła drinka.

– Bezczelny smarkacz. Czekam, żeby mu powiedzieć, że chcemy zapłacić rachunek, a on opowiada o swoim ostatnim przesłuchaniu.

Kelner podbiegł do stolika, spoglądając w drugą stronę, rzucił rachunek i uciekł. Judy chciała wziąć rachunek, ale ją uprzedziłem.

– Co to ma znaczyć? – spytała. – Chcesz przekupić sędziego?

– Podziękować za czas, który mi poświęciłaś – odparłem.

– To wszystko, co mogłam ci dać. Czas. Ogień, ale nie światło.

Lexus Judy stał koło krawężnika; patrzyłem, jak odjeżdża. Czekając na swój samochód, próbowałem ułożyć w głowie to, co stało się w ciągu tej pół godziny.

Przyjechała do restauracji spięta – bardziej niż kiedykolwiek – a każde z moich pytań zdawało się potrącać struny jej psychiki. Zanim wyszła, ostrzegła, żebym jej więcej nie nagabywał. Otworzyłem więc jakąś ranę, ale nie wiedziałem, jaką.

Nie było cienia szansy, żeby spytać o kurację Joannę.

Widziałem w sądzie, jak Judy radzi sobie z najtrudniejszymi przypadkami bez mrugnięcia okiem, więc to musiało być coś osobistego... Jediną rzeczą, jaką powiedziała mi o sobie, była otyłość.

Wyglądałam obrzydliwie... Ale nie dostrzegłem związku z Dossami.

Nie mogę przyjąć więcej na swoje barki.

Dossowie stanowili obciążenie, tak samo jak jej mąż? A Bob wyraził otwarcie gniew, ponieważ należy do pewnego pokolenia?

Czyżby chodziło o jakiś bliski związek, który źle się skończył? Bob zazdrosny o Richarda i Joannę obejmujących się w basenie – czy wszystko sprowadza się do jeszcze jednego przypadku zamiany partnerów, jakich wiele wśród podmiejskich małżeństw?

Czy to spowodowało upadek Joannę? Czy zrobiła coś, czego Richard nie mógł jej wybaczyć?

Wina i ekspiacja. Czyżby Eryk się dowiedział?

Eryk i Allison zrywają ze sobą, Becky poddała się psychoterapii, zaburzenia w odżywianiu, słabe stopnie, Joannę przestaje udzielać korepetycji, Stacy traci cel z pola widzenia, Eryk opuszcza zajęcia. Bob jest wściekły, Judy roztrzęsiona... Joannę nie żyje.

Gdybym chciał, mógłbym to przedstawić jako psychopatologiczny galimatias.

Ale nawet jeśli tak jest, jaki to wszystko ma związek ze zwłokami Mate'a w furgonetce, z geometrycznymi ranami na skórze?

Dlaczego Mate nie chciał się zabić z Joanną?

Mój wóz zahamował z piskiem opon; parkingowy otworzył drzwi z wyrazem twarzy mówiącym, że na to nie zasługuję. Odjeżdżając, rozważyłem wszystko jeszcze raz i uznałem, że straciłem czas, a przy okazji popsulem sobie stosunki z przewodniczącą sądu rodzinnego.

Nowy dzień, nowe zwycięstwo. Zatankowałem paliwo na stacji w Wilshire, a później z telefonu koło toalety zadzwoniłem na swój serwis telefoniczny. Pięć minut temu Joseph Safer telefonował do mnie z domowego numeru Dossów.

Słuchawkę podniósł Richard; mówił ciszej niż zwykle, chropawym głosem.

– Chwileczkę, doktorze. Po chwili ze słuchawki popłynął melodyjny głos Safera.

– Dziękuję, że pan tak szybko oddzwonił.

– Co się stało?

– Richard jest już w domu z dziećmi. Wrócił cztery godziny temu, ale poczekałem z telefonem do pana, aż trochę się uspokoi.

– Dziennikarze?

– Dziennikarze, policja, sam pan wie. Wszyscy odjechali oprócz nieoznakowanego wozu, który stoi zaparkowany nieco dalej. Siedzą w nim dwaj faceci, którzy aresztowali Richarda w pańskim domu.

Korn i Demetri pracują na odciski na tyłkach. A więc Milo przynajmniej częściowo odzyskał kontrolę nad sytuacją.

– Niezbyt to subtelne – zauważyłem.

– No cóż – roześmiał się Safer – dzikusy na ogół nie słyną z subtelności.

– Czy policja przeszukała dom?

– Odgrazali się, że to zrobią – odparł Safer. – Zakwestionowaliśmy podstawy i zwróciliśmy się do sędziego, żeby nie wydawał zgody. Wiem, że jest późno, ale czy znalazłby pan chwilę czasu, żeby przyjechać tu i porozmawiać z Richardem i dziećmi?

– W domu?

– Mógłbym zawieźć ich do pańskiego biura, ale po tym wszystkim, co przeszli...

– Nie, nie trzeba. Zaraz tam będę.

Safer powiedział mi, jak dojechać do domu Dossów: z Sunset trzeba odbić na zachód, minąć centrum handlowe w Pacific Palisades, półtora kilometra za posiadłością starego Willa Rogersa skręcić na północ.

Dwadzieścia minut jazdy z Village, tak samo jak do mojego domu. Spędziłem dużo czasu z Dossami, lecz nigdy nie widziałem ich w naturalnym otoczeniu. Praktykując w szpitalu Western, znajdowałem czas, aby odwiedzać pacjentów w domach, w szkole. Po zrobieniu specjalizacji rzadko opuszczałem wygodny gabinet. Czyżbym był jak badacz małp naczelnych, przeświadczony, że rozumie szympansy, bo wiedział, jak drapia się i kołyszą na gałęziach za kratkami w zoo?

Wizyty domowe są takie niepraktyczne.

Praktyczność może się stać ograniczeniem. Teraz miałem okazję rozprostować kości.

Znalazłem zjazd bez trudu. Jechałem ciemną uliczką wspinającą się w górę dzielnicy Palisades. Brak chodników, trawniki przed domami wielkości małych parków, mury, bramy i domofony, krzewy i piętrzące się kaskadami korony starych drzew.

Ocean był tak blisko, że czuło się w powietrzu słony powiew. Czy brzydkie październikowe poranki są tu ładniejsze? Między bryłami domów dostrzegłem blask księżyca odbijającego się w tafli wody. Posiadłości stawały się coraz większe, coraz częściej widać było ocean. Tutaj nic już nie zasłaniało nisko wiszącego, pełnego księżyca. Niebo wyglądało jak wielki koc barwy indygo.

Na ulicy stało niewiele samochodów, więc nieoznakowany wóz rzucał się w oczy jak karaluch na patelni. Przejechałem obok, nie zaprzatając sobie głowy, czy Korn i Demetri mnie poznali. Zakładałem, że tak. Stałem się teraz kolejnym zapisem w ich notatniku.

Rozglądałem się za podanym przez Safera adresem, ciekaw, która z sąsiadujących willi mieści w sobie marzenia i koszmary państwa Manitowów.

Pomnik sukcesu Richarda okazał się piętrowym pałacykiem w stylu kolonialnym, wznoszącym się białą bryłą nad trawiastym pagórkiem dość rozległym, aby mogło się na nim zmieścić kilka kęp drzew. Palmy kokosowe, sosny z Wysp Kanaryjskich, eukaliptusy – wszystkie efektownie oświetlone białym światłem podkreślającym ich naturalną urodę. Przed domem rozpościerały się starannie utrzymane klomby. Światło padające na zasłony od wewnątrz nadawało im bursztynowy odcień. Brak parkanu i bramy sugerował otwartość domu. Nie zawsze można polegać na wrażeniach architektonicznych.

Na podjeździe stał mustang Stacy, przed wielkim srebrnym cadillakiem fleetwood, już nie produkowanym. Nigdzie nie było widać bmw Richarda. Może policja dostała pozwolenie na

przeszukanie auta, które jest teraz oglądane centymetr po centymetrze w jakimś garażu-laboratorium.

Zaparkowałem za cadillakiem.

Kamienna ścieżka wiała się do ciężkich drzwi z ręcznymi okuciami. Zanim do nich doszedłem, otworzyły się i wyjrzał z nich rabin. Wysoki, chudy, w czarnym garniturze i jarmułce, z szarą brodą po sześćdziesiątce. Broda obcięta w kwadrat zasłaniała węzeł srebrnoszarego krawata. Dwurzędowy garnitur był szyty na miarę. Rabin stał z rękami złożonymi na plecach i kołysał się. Jego obecność zbiła mnie z tropu. Dossowie byli Greko-Sycylijczykami, nie Żydami.

– Panie doktorze? Jestem Joe Safer – powiedział rabin.

Podaliśmy sobie ręce i mężczyzna wprowadził mnie do oświetlonego kandelabrami holu, którego niczym halabardnicy strzegły dwie błękitno-białe wazy, sięgające mi do ramion. Schody z ozdobną metalową poręczą prowadziły na piętro. Przeszliśmy pod nimi i znaleźliśmy się w drugim holu, jasno oświetlonym. Na podłodze ścielił się karmazynowy perski chodnik. Z lewej strony znajdowała się jadalnia ze ścianami wyłożonymi niebieską tapetą palisandrowe meble w śliwkowym kolorze wyglądały na stare. Po przeciwnej stronie był salon z wysokim sufitem barwy kości słoniowej. Na podłodze z drewna wiśniowego stały kremowe kanapy. Jeśli neutralna tonacja miała podkreślać to, co znajdowało się na ścianach, zamysł się powiódł.

Ściany pokryte były wykończonymi profilowanym mosiądzem szklanymi gablotami i półkami, tak przezroczystymi, że wydawały się prawie niewidoczne. To, co na nich stało, sprawiało wrażenie zawieszzonego w powietrzu, dokładnie tak, jak mówił Milo.

Setki mis, półmisek, pater, dzbanów, słoików i innych naczyń, których nie umiałem zidentyfikować, lśniły w punktowym oświetleniu. Na jednej ścianie przeważały niebieskie i białe egzemplarze, a na drugiej – prostsze w kształcie, szarozielone; najwięcej miejsca zajmowała porcelanowa menażeria: konie, wielbłądy, psy, fantastyczne stwory o uszach nietoperzy, przypominające krzyżówki smoków i małp, wszystkie malowniczo ociekające pstrą mieszaniną

błękitu, zieleni i seledynu. Niektórych koni posiadały figurki ludzkie. Na długim stoliku do kawy stała miniaturowa świątynia pokryta tą samą mieszaniną kolorów.

– Niezłe, co? – powiedział Safer. – Richard mówił mi, że wszystkie figurki zwierząt pochodzą z czasów dynastii Tang. Mają ponad tysiąc lat. Wykopuje się je z grobów w Chinach, pięknie zachowane. Niezwykłe, prawda?

– Kolekcjonowanie porcelany na aktywnym sejsmicznie terenie to duże ryzyko.

Safer pogładził się po brodzie i przesunął jarmułkę na tył głowy. Miał stalowoszare włosy z rudymi pasemkami. Ciągle nie mogłem się uwolnić od skojarzenia z rabinem. Przypomniałem sobie, jak mówił o śmierci syna. Diagnoza jego choroby przyspieszyła mój proces uczenia się. Adwokat miał ciepłe szarozielone oczy. Jak wielu wysokich ludzi, garbił się nieco.

– Richard to odważny mężczyzna – powiedział. – Jego dzieci też takie są. Chodźmy do nich.

Ruszyliśmy dalej. Czarny dywan tłumił odgłos kroków, gdy mijaliśmy kolejne rzędy mosiężnych gablot. Monochromatyczne czary w różnych kolorach i chińskie inskrypcje na białych podstawach odbijały się w lustrzanych tylnych ściankach, dalej maleńkie figurynki w ziemistym kolorze, długie półki zastawione dziełami garncarzy – białymi, kremowymi, szarymi i bladozielonymi, które spodobały mi się najbardziej. Szereg zamkniętych drzwi; Safer wskazał te, które były otwarte.

Pod sklepieniem jak w katedrze stały czarne skórzane sofy i fotele oraz czarny fortepian w kącie. Za przeszkloną ścianą widać było basen i podświetlone zielone listowie, a dalej postrzępione korony palm i refleksy światła na powierzchni oceanu. Kanapy stały naprzeciwko palisandrowych regałów z tomami w twardej oprawie, sprzętem stereo marki Bang & Olufsen, siedemdziesięciocalowym telewizorem, laserowym magnetowidem i innymi urządzeniami. Na górnej półce znalazło się miejsce dla czterech fotografii rodzinnych. Były tam trzy zdjęcia Richarda i dzieci, a także portret młodej uśmiechniętej Joannę.

Richard siedział wyprostowany na największej kanapie, nieogolony, z podwiniętymi rękawami; kędzierzawe włosy były zmierzwiłone, jakby ptaki próbowały uwić sobie w nich gniazdo. Czarne ubranie tak dokładnie wtopiło się w obicie sofy, że trudno było dostrzec kontury jego sylwetki. Wydawał się bardzo mały, jak pęd, który wyrósł z ciemnej tapicerki.

– Jest pan – powiedział nieco sennym głosem. – Dzięki.

Usiadłem na fotelu; Richard podniósł wzrok na Joe Safera.

– Zobaczą, jak się mają dzieciaki – oznajmił adwokat i wyszedł. Richard usunął coś z kącika ust. Na linii włosów zebrały się kropelki potu.

Kroki Safera ucichły całkowicie.

– Mówią, że jest najlepszy – powiedział, spoglądając przed siebie. – To nasz pokój rodzinny.

– Piękny dom.

– Tak wszyscy mówią.

– Co się stało? – spytałem. Chciałem, żeby to on prowadził tę rozmowę.

Richard nie odpowiedział; patrzył na ciemny ekran telewizora, jakby czekał, aż odbiornik sam się włączy i pokaże coś, co rozświetli mu głowę.

– A więc spotkaliśmy się – powiedział w końcu.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Safer mówi, że wszystko, co panu powiem, jest poufne, o ile nie uzna pan, że stanowią bezpośrednie zagrożenie dla kogoś.

– To prawda.

– Nie jestem dla nikogo zagrożeniem.

– To dobrze.

Richard mocno przeczesał włosy palcami.

– Ale pomówmy hipotetycznie. Dla dobra wszystkich zainteresowanych.

– O czym mamy mówić hipotetycznie? – spytałem.

– O sytuacji. Powiedzmy, że jakaś osoba – mężczyzna, niegłupi, ale daleki od nieomyślności – pada ofiarą impulsu i robi coś głupiego.

– Jakiego impulsu?

– Gwałtownej chęci zakończenia czegoś definitywnie. Niezbyt mądre posunięcie, prawdę mówiąc, najgłupsze, jakie mu się kiedykolwiek zdarzyło, ale on nie myśli trzeźwo, bo wydarzenia... zmieniły go. Niegdyś jego życie było pełne wielkich oczekiwań. Co nie znaczy, że jest niepoprawnym optymistą. Kto jak kto, ale on wie, że nie wszystko wychodzi zgodnie z planem. Nauczył się tego aż nazbyt dobrze. Mimo to, po tylu latach budowania, powiodło mu się i dał się wessać w pułapkę coraz większych oczekiwań. Czuje, że może sobie pozwolić na pewną dozę komfortu. I nagle dostaje nauczkę. – Richard wzruszył ramionami. – Co się stało, to się stało.

– Zrobił to pod wpływem impulsu? Westchnął i uśmiechnął się dziwnie.

– Nie był w pełni świadomy, powiedzmy.

Oparł się, krzyżując nogi, jakby dawał mi czas na przemyślenie tego, co usłyszałem. Domyślałem się, do czego zmierza. Linia obrony oparta na założeniu ograniczonej świadomości. Ciekawe, czy to pomysł Richarda, czy Safera.

– Przejściowy obłąd – powiedziałem.

– Może i tak. Sęk w tym, że ze względu na swój stan wpędził swoje dzieci w nerwicę. Poradzi sobie z własnymi wybrykami, ale jeśli chodzi o dzieci, potrzebuje pomocy.

Wynajęcie płatnego mordercy to wybryk.

– Czy dzieci wiedzą, co ten mężczyzna zrobił?

– Jeszcze im nie powiedział, ale to bystre dzieciaki, mogły się domyślić.

– Mogły.

Richard skinął głową.

– Czy zamierza im o tym powiedzieć?

– Nie widzi potrzeby.

– Woli, żeby zrobił to kto inny.

– Nie – zaprzeczył, nagle podnosząc głos. Skóra spąsowiała jak róża pod kołnierzykiem koszuli; ciemna plama rozszerzyła się jak czerwone wino rozlane na dywanie i sięgnęła do uszu.

– Na pewno tego nie chce, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, żeby je przez to wszystko jakoś przeprowadzić. Ja... On potrzebuje kogoś, kto im pomoże, dopóki sytuacja szybko się nie wyjaśni.

– A on liczy, że się wyjaśni.

Richard uśmiechnął się.

– Okoliczności napawają optymizmem. Czy można powiedzieć, że wiemy, jaki cel chcemy osiągnąć?

– Dzieci mają pozostać w nieświadomości, trzeba je prowadzić za rękę, dopóki ojciec nie wybrnie z kłopotów. To brzmi jak propozycja pracy dla niańki, z wysokim honorarium.

Ciemny rumieniec oblał całą twarz, pierś uniosła się ciężko, oczy omal nie wyszły z orbit. Cofnąłem się odruchowo. Tak reagują ludzie, którzy nie radzą sobie ze swoim gniewem. Przypomniał mi się wybuch Eryka na komendzie policji.

Nowe oblicze Richarda. Dotąd był skory do sprzeczki, łatwo wpadał w irytację, ale zawsze umiał się opanować.

Teraz też próbował to zrobić; umieścił jedną dłoń na boku sofy, a drugą na kolanie. Stukał wskazującym palcem, jakby odliczając sekundy.

– Dobrze – rzekł, policzywszy do dziesięciu, tonem, jakim nauczyciel przemawia do mało pojętnego ucznia. – Nazwijmy to niańczeniem. Tak jest, to zadanie dla dobrze opłacanej, wysoko wykwalifikowanej niańki. Najważniejsze, żeby dzieci dostały to, czego potrzebują.

– Dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

– Wyjaśni się, nie ma obawy. Bo wprawdzie ten człowiek popełnił błąd, ale w gruncie rzeczy nic nie zrobił.

– Namawianie do morderstwa to nie jest nic... Cały czas mówimy hipotetycznie.

Powieki Richarda opadły. Wstał i podszedł do mojego fotela. Wyczułem miętę w jego oddechu, wodę kolońską, skwaśniały pot.

– Nic się nie stało – oznajmił.

– W porządku.

– Nic. Ten człowiek wyciągnął wnioski ze swojego błędu.

– I nie powtórzył go.

– Bingo – powiedział, celując we mnie palcem jak z pistoletu. Richard mówił spokojnym tonem, ale krew nie odpłynęła jeszcze z jego twarzy. Po chwili usiadł z powrotem. – A więc doszliśmy do porozumienia.

– Richardzie, co mam powiedzieć pańskim dzieciom?

– Że wszystko dobrze się skończy. – Już nie upierał się, żeby mówić w trzeciej osobie. – Że przez pewien czas mogę być... Nie w pełni dysponowany. Ale tylko chwilowo. Powinni to wiedzieć, poza mną nie mają nikogo. Potrzebują mnie, a ja potrzebuję pańskiej pomocy.

– Zgoda – powiedziałem – ale powinniśmy też rozejrzeć się za innymi osobami, które mogłyby udzielić dzieciom wsparcia. Czy ktoś z rodziny...

– Nie, nikt. Moja matka nie żyje, a ojciec ma dziewięćdziesiąt dwa lata i mieszka w domu opieki w New Jersey.



– A ze strony Joannę...

– Nikt. Oboje rodzice nie żyją a ona była jedynaczką. Poza tym, nie potrzebuję laików, wolę profesjonalistów. To będzie dla pana korzystny układ. Zacznę panu płacić tak jak Saferowi: za przejazdy, myślenie, za każdą sekundę pracy.

Milczałem.

– Dlaczego za każdym razem dochodzi między nami do przepychanki? – spytał wreszcie.

Na to pytanie było wiele odpowiedzi, ale żadna dobra.

– Richardzie, porozumieliśmy się co do jednego: moją rolą jest pomagać Stacy i Erykowi. I muszę być z panem szczerzy: nie dysponuję magiczną mocą. Moją bronią są informacje. A muszę być dobrze wyekwipowany.

– Na miłość boską – powiedział. – Czego pan ode mnie chce? Wyznania grzechów, ekspiacji?

– Ekspiacja – powtórzyłem. – Eryk też użył tego słowa. Otworzył usta, po chwili je zamknął. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Eryk ma bogate słownictwo.

– Czy rozmawialiście o tym?

– Dlaczego, do cholery, mielibyśmy to robić?

– Zastanawiałem się, czy Eryk ma powody, by czuć się winnym? Czułem się bardziej jak adwokat przesłuchujący świadka drugiej strony niż jak terapeuta, który ma nieść ulgę w bólu. Richard miał rację: nasze rozmowy układały się wedle powtarzalnego schematu, a ja miałem w tym taki sam udział, jak on.

– Nie. Eryk to wspaniały chłopak. – Richard zapadł się w miękkiej kanapie i potarł oczy; zrobiło mi się go żal. Nagle wyobraziłem sobie, jak wręcza gotówkę Quentinowi Goadowi. Żeby zakończył sprawę.

– Więc Eryk nie miał na myśli niczego konkretnego.

– Jego matka zniszczyła samą siebie, ojciec wpadł w łapy gestapo. Co mógł mieć na myśli?

Znów skierował wzrok na ekran.

– O co chodzi? Czuje pan do nas niechęć, bo się nam powiodło? Wychowywał się pan w biedzie? Nie lubi pan bogatych dzieci? Denerwuje pana codzienne obcowanie z nimi, bo to oni płacą rachunki? Dlatego nie chce nam pan pomóc?

Westchnąłem mimo woli.

– Przepraszam, niepotrzebnie tak powiedziałem, wszyscy przeżywamy trudne chwile... Proszę tylko o pomoc dla Eryka i Stacy. Gdybym nie był tak uwikłany, sam bym sobie z tym poradził. Przynajmniej rozumiem swoje ograniczenia, prawda? Ilu rodziców może tak o sobie powiedzieć?

Z góry dobiegły odgłosy kroków. Ktoś chodził, zatrzymywał się. Dzieci na piętrze...

– Niczego nie odmawiam. Przyszedłem tu, żeby pomóc Erykowi i Stacy. Czy jest pan w stanie odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących Joannę?

– Jakich?

– Podstawowych. W którym szpitalu przechodziła badania?

– W St. Michael's. Dlaczego pan pyta?

– Być może będę chciał zerknąć w jej kartę.

– Powtarzam pytanie.

– Nadal próbuję zrozumieć, co jej było.

– Jej karta nic panu nie powie. Przecież właśnie o to chodzi, że lekarze nic nie wiedzieli. I co choroba Joannę ma wspólnego z obecną sytuacją?

– Może mieć coś wspólnego z Erykiem i Stacy – odparłem. – Jak powiedziałem, mogę pracować tylko dzięki informacjom. Czy pozwoli mi pan zajrzeć do karty żony?

– No oczywiście, Safer to panu załatwi, przekazałem mu wszelkie pełnomocnictwa, kiedy trzymali mnie w areszcie. Czy możemy wreszcie porozmawiać z dziećmi?

– Proszę wytrzymać ze mną jeszcze przez chwilę. Po śmierci Joannę zatelefonował pan do Mate'a, ale on nie oddzwonił...

– Czy ja to panu powiedziałem?

– Nie, Judy, kiedy skierowała do mnie pańską córkę.

– Judy – mruknął, ocierając czoło wierzchem dłoni. – To prawda. Próbowałem, nie raz, tylko kilka razy. Ten drań nigdy mnie nie zaszczycił telefonem.

– Nie zwołał też konferencji prasowej po śmierci Joannę.

– I co z tego? – spytał Richard, mrużąc oczy.

– Dążenie do rozgłosu było jednym z głównym motywów jego działania...

– Wiem, węszył za popularnością jak ogar za zającem. Ale proszę nie kazać mi tłumaczyć, co robił i czego nie robił. Dla mnie był tylko nazwiskiem w gazecie.

Nazwiskiem, które można łatwo wymazać?

– Jeszcze jedna niejasność: kiedy Joannę skontaktowała się z nim, Mate wykonywał już swoje zabiegi w furgonetce, nie w motelach. A Joannę zmarła w motelu. Czy miała jakiś powód, żeby się tego domagać? Czy miała powód, żeby jechać do Lancaster...

– Nigdy tam nie była – wtrącił Richard.

– W motelu?

– W Lancaster. – Roześmiał się gorzko, dziwacznie. – Aż do tego wieczoru. To była kość niezgody między nami. Ja spędzałem tam mnóstwo czasu, prowadziłem kilka przedsięwzięć, budowałem centra handlowe, zamieniałem gnój w złoto. Latałem helikopterem z budynku banku do Palmdale, a stamtąd samochodem. Spędzałem tam tyle czasu, że czułem, jakbym sam był zrobiony z piachu. Joannę nigdy tego wszystkiego nie zobaczyła. Prosiłem ją, błagałem, żeby

przyjechała, choćby raz na jakiś czas, zjadła ze mną lunch, zobaczyła, co osiągnęliśmy. Tłumaczyłem, że pustynia może być piękna, jeśli umie się na nią patrzeć, że są tam dobre, tanie restauracje, możemy się poczuć swobodnie, pójść do Pizza Hut czy czegoś podobnego, jak wtedy, gdy byliśmy bez grosza. Bez skutku. Nie słuchała próśb, mówiła, że to za daleko. Za duży ruch, za sucho, za gorąco, zawsze znalazł się jakiś powód.

Znowu się roześmiał.

– I właśnie tam skończyła. – Po raz pierwszy w jego wzroku nie było zaczepności. Patrzył smutno, żałośnie, jakby szukał odpowiedzi.

– O Jezu – jęknął. Zakrztusił się, dławiąc łkanie. Podskoczył na kanapie, jakby ból uniósł go, a przeznaczenie przygniotło z powrotem.

– Niech ją diabli wezmą – wyszeptał. I nagle z jego oczu popłynęły łzy. Zadał cios w powietrze, uderzył się w kolana, pierś, ramię, wreszcie ukrył przede mną twarz w zaciśniętych dłoniach.

– Pieprzone Lancaster! Po to mogła tam pojechać! Jezu Chryste!

Opuścił głowę między kolana, jakby chciał zwymiotować. Ta pozycja nie przyniosła mu ulgi, więc zerwał się i podbiegł do przeszklonej ściany; stanął do mnie tyłem i płakał cicho, twarzą do basenu i oceanu, który krył się w mroku.

– Ona naprawdę musiała mnie nienawidzić – powiedział.

– Dlaczego miałyby pana nienawidzić?

– Za to, że jej nie przebaczyłem.

– A co takiego zrobiła?

– Nie, dość tego. Niech mnie pan nie obdziera ze skóry, niech mi pan pozwoli przejść przez to wszystko ze skórą na grzbiecie. Nie będą pana uczył, jak wykonywać swoją robotę, to wszystko. Niech pan pomoże moim dzieciom, proszę.

– Ależ tak, oczywiście.

Z góry znowu dobiegł odgłos kroków. Po chwili Joe Safer zastukał w futrynę. Richard, stojący nadal przy szklanej ścianie, odwrócił się.

– Wszystko w porządku? – spytał adwokat.

– Jestem naprawdę wykończony, Joe. Chyba się położę – odparł Richard. Ociężałym krokiem podszedł do kanapy, zdjął buty, położył je z boku i wyciągnął się.

– Może pójdziesz na górę? – zaproponował Safer.

– Nie, poleżę tutaj. To moje miejsce relaksu. – Richard wziął pilota i włączył ogromny telewizor na kanał Dom i Ogród. Mężczyzna we flanelowej koszuli i w szerokim pasie z narzędziami budował platformę z drewna sekwoi. Ci ludzie potrafią to przedstawić tak, że najtrudniejsza rzecz wydaje się łatwa jak zaklejenie koperty.

Richard patrzył jak zahipnotyzowany.

– Jest pan gotów na spotkanie z dziećmi? – spytał Safer.

– Tak – odparłem.

Ruszyłem za nim schodami, porządkując w głowie spostrzeżenia.

Poczucie winy, ekspiacja. Nie wybaczyłem jej.

Joannę przewiniła – prawdopodobnie wdała się w jakiś romans, tak jak myślałem.

Eryk, bliski ojcu, był jego sprzymierzeńcem. Czy zdrada Joannę sprawiła, że syn zaczął nią pogardzać? Asystował matce przy pogrążaniu się w chorobie, kochając ją, a zarazem nienawidząc? Czy to tłumaczy, dlaczego zrobił te zdjęcia? Udokumentował jej powolny marsz ku upadkowi – jej pokutę – a potem oddał zdjęcia Richardowi...

Trudno sobie wyobrazić aż tak wielką pogardę syna do matki, ale Eryk był porywczy, impulsywny; odziedziczył te cechy po ojcu. Czy teraz, wiele miesięcy po śmierci Joannę, zmagał się z tym, co wtedy zrobił? Czyżby sam potrzebował ekspiacji?

Richard przyznał się, że zapłacił Quentinowi Goadowi, żeby zabił Mate'a.

Niech będzie dużo krwi... Tego faceta nie wolno oszukiwać. Richard ma potrzebę kontrolowania wszystkiego, więc Joannę nie mogła się spodziewać niczego poza gniewem i odrzuceniem.

Morderstwo jako zakończenie sprawy... Ale jeśli to nie Mate pomógł Joannę umrzeć, równocześnie wielka pomyłka.

Skoro nie on to zrobił, to kto?!

Sama się zabiła? Jako mikrobiolog miała dostęp do śmiertelnie niebezpiecznych chemikaliów i umiała je wstrzykiwać. Ale w takim stanie fizycznym nie mogła sama pojechać do Lancaster...

Nienawidziła mnie. Teraz wiedziałem, dlaczego zmarła w motelu w Happy Trails.

Więc może jednak Mate tam był, zgodził się na powrót do wykonywania zabiegów w wynajętych pokojach, żeby spełnić życzenie Joannę. Może też stąd brak konferencji prasowej: Joannę poprosiła, aby zatrzymał wszystko w tajemnicy. Dla dobra dzieci? Nie, to nonsens. Jeśli chciała oszczędzić Eryka, czemu wybrała taki spektakularny sposób samobójstwa?

Po co w ogóle się zabiła?

Jedno wydawało się jasne: małżeństwo Dossów było targane konfliktami. Pani zgrzeszyła, a pan nie chciał jej wybaczyć.

Joannę zaraziła się gniewem Richarda, znenawidziła się tak bardzo, że postanowiła zakończyć życie samobójstwem.

Ale odeszła, wypuszczając partyjską strzałę.

Sama zdecydowała o tym, jaki będzie ostatni dzień jej życia. Potajemnie skontaktowała się z Mate'em – lub kimś innym – i umarła na własnych warunkach.

W Lancaster. Ostatni policzek dla Richarda.

Znała dobrze męża, wiedziała, że jego gniew będzie ślepy, a trup w tanim motelu to coś, przed czym nie da się uciec.

Na to liczyła. Ale jeśli chciała skłonić Richarda do introspekcji, fatalnie się pomyliła. Jak zauważyła Judy, Richard lubił obwiniać innych.

I uwielbiał miażdżyć swoich przeciwników.

Przed kilkoma minutami, snując hipotetyczne dywagacje, zakwalifikował układ z Quentinem Goadem jako głupstwo i zaprzeczył, jakoby podjął drugą próbę.

A mimo to przygotował sobie alibi, mówił o obniżonej świadomości. Miło by to wyśmiał. Każdy by to wyśmiał. Bo Richard był bezwzględnym, egoistycznym macho, który uznał się za skrzywdzonego. I, jak się właśnie przekonałem, miał niesłychanie porywczy charakter.

A ja znajdowałem się w jego domu, na jego warunkach.

Safer dotarł do szczytu schodów i zatrzymał się przed drzwiami.

– Oboje są w pokoju Eryka – powiedział. – Woli pan spotkać się z nimi razem, czy z każdym osobno?

– Zobaczymy, jak się ułoży.

– Ale mogą być razem?

– Dlaczego?

Adwokat zmarszczył brwi.

– Szczerze mówiąc, doktorze, żadne z nich nie chce zostać z panem sam na sam.

– Nadal uważają, że ich zdradziłem?

Safer poprawił jarmużkę.

– Przykro mi. Richard z nimi rozmawiał i ja też, ale zna pan nastolatków. Mam nadzieję, że

to wszystko nie okaże się dla pana całkowitą stratą czasu.

Albo czymś jeszcze gorszym. Dotknął klamki, ale jej nie przekreślił.

– Jak poszło z Richardem?

– On widzi przed sobą przyszłość usłaną różami – odparłem.

Róże. Ledwie to pomyślałem, uświadomiłem sobie, że to samo skojarzenie nasunęło mi się na widok czerwonej z wściekłości twarzy Richarda. Biedny stary doktor Freud zasługuje na większy szacunek w epoce prozaku.

– No cóż – powiedział Safer – pozytywne myślenie to dobra rzecz, nieprawdaż?

– Ale czy usprawiedliwione w przypadku Richarda?

Wielka, żylasta dłoń wygładziła brodę.

– Ujmijmy to w ten sposób, doktorze. Nie mogę obiecać, że wszystko załatwię natychmiast, ale ja też oceniam sytuację optymistycznie. Bo, patrząc trzeźwo, czym dysponuje policja? Spóźnione oskarżenia notorycznego przestępcy, który stanął wobec wyroku potrójnego dożywocia? Obciążające Richarda zeznanie świadka, który w słabo oświetlonym barze widział, jak jeden mężczyzna przekazuje drugiemu kopertę, nie wiadomo w jakim celu?

– Chce pan powiedzieć, że Richard znalazł się tam przez przypadek? – spytałem z uśmiechem.

Safer wzruszył ramionami.

– Richard nie pamięta tego spotkania, ale mówi, że jeśli rzeczywiście miało miejsce, to chodziło o zapłacenie panu Goadowi. Zwykle płaci robotnikom gotówką, kiedy zabraknie im pieniędzy...

– Altruizm czy najlepszy sposób postępowania z recydywistami?

Adwokat uśmiechnął się.

– Richard zatrudnia ludzi, których nikt inny nie chce, czasem pomaga im w biedzie. Mam długą listę, pracowników, którzy zaświadczą o jego dobrej woli.

– Więc naoczni świadkowie to nieistotny drobiazg.

– Naoczni świadkowie – powtórzył Safer, jakby stawiając diagnozę. – Na pewno są panu znane wyniki badań psychologicznych świadczących o nierzetelności zeznań naocznych świadków. Nie zdziwiłbym się, gdyby po dokładniejszym zbadaniu życiorysów tych świadków okazało się, że mieli problemy z alkoholem, narkotykami i wymiarem sprawiedliwości.

– Do tego słabe oświetlenie.

– No właśnie.

– Mówi pan, jakby sprawa była już wygrana – zauważyłem.

– Nadmierna pewność siebie może być niebezpieczna, lecz jeśli nie spotka nas jakaś niespodzianka... – Safer zmrużył oczy. – Czy jest coś, czego powinienem się obawiać?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Teraz ja zajmę się swoją pracą, a pan swoją.

Drzwi otwały się na długi korytarz równoległy do holu na dole. Beżowe ściany, wyjście na frontowe schody na końcu, garderoby i wnęki po lewej, sypialnie po prawej, lekka woń rzeczy do prania w powietrzu. Safer poprowadził mnie obok podwójnych drzwi, za którymi znajdowało się duże pomieszczenie z białym dywanem. Krzesła ze złotą tapicerką, tapeta z drzewnymi wzorami, którą widziałem na zdjęciach Joannę zrobionych przez Eryka... Zerknąłem do środka na łóżko z baldachimem i srebrną narzutą. Bez trudu wyobraziłem sobie opuchniętą twarz i chorobliwie otyłe ciało...

Drzwi do pozostałych pokoi były zamknięte. Safer minął pierwsze i zapukał do drugich; nikt się nie odezwał. Uchylił lekko drzwi, a potem otworzył. Woń brudnych ubrań przybrała na sile.

Wyblakła niebieska tapeta z maleńkimi postaciami w bojowych pozach. Na przeciwległej ścianie wisiał plakat z napisem WITAJ W OBJĘCIACH KOJĄCEGO CHAOSU. Dwie pozostałe ściany również zaklejono plakatami upamiętniającymi koncerty: Pearl Jam, Third Eye Blind, Everclear, Barenaked Ladies. Karykatura przedstawiająca zdeorientowanego Alberta Einsteina z opuszczonymi majtkami i zwisającymi genitaliami. Podpis głosił: KTO, KURWA, POWIEDZIAŁ, ŻE JESTEŚ TAKI MĄDRY?

Powieszono krzywo świadectwa i wyróżnienia akademickie. Narodowe Stypendium za wybitne osiągnięcia w nauce, nagroda Banku Ameryki, nagroda naukowa, nagroda za osiągnięcia w dziedzinie nauk ścisłych, dyplom upamiętniający wygłoszenie mowy pożegnalnej w liceum. Dwa okna z zasłonkami, drzwi do łazienki i garderoby, szafka ze szkła i metalu zapchana książkami, notesami, skoroszytami, papierem; zmieścił się tam jeszcze gipsowy byk. Szereg figurek mężczyzn z poślaczanego plastiku, stojących na wierzchu, świadczył o osiągnięciach sportowych lokatora.

Podwójne łóżko do połowy przykryte pomiętym prześcieradłem, spod którego wycierał materac. Dalej przy ścianie sprzęt stereo, komputery, drukarki. Podłoga zasłana pozwijaną bielizną, koszulkami, dżinsami, skarpetkami i brudnymi tenisówkami. Pusta niebieska torba z nylonu, papierki po hamburgerach, plastikowe butelki i zgniecione puszki po napojach.

Eryk siedział przy wezglowiu, Stacy usadowiła się w nogach łóżka. Byli zwrócenii do siebie tyłem. Ona miała na sobie żółtą koszulkę i białe legginsy, a on czarne dżinsy i koszulkę. Jak ojciec...

Oboje byli boso i oboje mieli zaczerwienione oczy.

Eryk pstryknął coś palcami.

– Zaczyna się – mruknął.

– Synku – odezwał się Safer.

– Tak, tatusiu? – odpowiedział pytaniem Eryk, wywijając górną wargę. Stacy zadrżała

i objęła się ramionami. Skórki koło paznokci miała obgryzione, włosy rozpuszczone i potargane jak ojciec.

– Doktor Delaware był taki miły i zgodził się przyjechać o tak późnej godzinie. Wasz ojciec chciałby, żebyście z nim porozmawiali.

– Rozmawiać, rozmawiać – rzucił Eryk. – Weszło porozmawiać. Stacy znów zadrżała. Zmusiła się, żeby na mnie spojrzeć, lecz zaraz odwróciła wzrok przerażona.

– Eryk – powiedział Safer – twój ojciec i ja prosimy cię, żebyś zachowywał się kulturalnie.

– Jak się czuje tata? – spytała Stacy. – Gdzie jest? Co robi?

– Odpoczywa na dole, kochanie.

– Może chciałby coś zjeść?

– Nie, niczego mu nie trzeba. Zrobiłem mu wcześniej kanapkę.

– Koszerną? – spytał Eryk.

Cisza zawisła w powietrzu.

Safer pogładził się po brodzie i uśmiechnął smutno.

– Smaczny koszerny ogórek – mówił Eryk – ze smacznym kawałkiem wołowinki...

– Przestań – przerwała mu Stacy.

– ... I kawałeczkiem macy...

– Zamknij się!

– Co mam przestać? Co ja takiego, kurwa, robię?

– Dobrze wiesz, co robisz. Jesteś wstrętny!

Zmierzyli się wzrokiem; Stacy pierwsza odwróciła oczy. Machnęła wściekle ręką i pokazała Erykowi plecy. Wstała.

– Dość tego, wychodzę... Przepraszam, panie doktorze, ale w tej chwili nie mogę rozmawiać, ani z panem, ani z nikim innym. Jeśli będę pana potrzebować, zadzwonię. Naprawdę, panie Safer...

– Safer – mruknął Eryk. – Tata wypisuje mu horrendalne czeki, ale czy któreś z nas jest bezpieczniejsze?

– Jesteś taki... – krzyknęła Stacy.

– No jaki?

Machnęła ponownie ręką i ruszyła ku drzwiom.

– No, jaki jestem, mądralo? – spytał Eryk.

Stacy się nie zatrzymała.

– Idź, ale nie myśl, że od tego uciekniesz – zawołał za nią Eryk. – Nie będziemy wolni od cierpienia, dopóki sami się z niego nie wyzwolimy.

Stała. Kolejny dreszcz wstrząsnął jej ciałem. W kącikach ust pojawiły się bąbelki piany. Odwróciła się z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Przez chwilę myślałem, że rzuci się na brata. Na



jej twarzy dostrzegłem rumieniec, charakterystyczny dla wszystkich członków tej rodziny.

– Ty jesteś... zły! – zawołała.

Wybiegła, a ja za nią. Dogoniłem ją przy drzwiach ostatniego pokoju.

– Nie, proszę! Wiem, że chce mi pan pomóc, ale...

– Stacy...

Wbiegła do pokoju, lecz zostawiła otwarte drzwi. Wszedłem do środka.

Pokój był mniejszy od pokoju Eryka. Różowo-błękitna tapeta ze wstążkami, liśćmi i kwiatami. Białe metalowe łóżko z mosiężnymi wykończeniami, różowa narzuta, stos pluszowych zwierząt na miękkim bujanym fotelu. Ubrania i książki leżały porozrzucane, ale bałagan nie dorównywał chaosowi w królestwie Eryka.

Stacy podeszła do okna i dotknęła żaluzji.

– To poniżające, że musi pan na nas patrzeć w takiej sytuacji.

– Przechodziecie trudne chwile. – Wizyty domowe. Czego nigdy nie dowiedziałem się o innych pacjentach?

– To nie jest żadna wymówka. Jesteśmy po prostu...

Zamilkła w pół słowa. Zgarbiła się jak staruszka i skubnęła palcami skrawek obgryzionej skórki koło paznokcia.

– Jestem tu po to, żeby wam pomóc.

– To tajemnica, tak? – spytała po chwili milczenia. – Wszystko, o czym mówimy? Nic się nie zmieniło?

– Nic. Chyba że zamierzasz kogoś zabić. Czekałem, aż się odezwie. Na próżno.

– O czym myślisz, Stacy?

– O nim.

– O Eryku?

Kiwnęła głową.

– On mnie przeraża. To co mówi... I jak mówi... Nie, niech pan zapomni o tym, co powiedziałam. Wszystko jest w porządku.

Wsunęła palec między paski żaluzji i wyjrzała w ciemność.

– Co takiego powiedział Eryk, że się przeraziłaś?

– Nic! – zawołała, odwracając się. – Niech pan o tym zapomni! Milczałem.

– O co chodzi?

– Jeśli się boisz, pozwól mi sobie pomóc.

– Nie może pan... Nic pan nie może zrobić... Chodzi o Helen... Kiedy wróciliśmy z policji, zaczął opowiadać o Helen. Pamięta pan, co mówiłam o Helen...

– Była chora, Eryk zabrał ją w góry i nigdy więcej jej nie zobaczyłaś. A co teraz powiedział Eryk?

– Że tak trzeba było zrobić, że ona była tylko chorym psem, na miłość boską, ludzie to robią, to humanitarne...

– Uwolnił ją od cierpienia. I powiedział ci, że to zrobił?

– Tak, dopiero teraz. To znaczy, ja wiedziałam, ale on nigdy nie wspomniał o tym ani słowem. A dzisiaj, kiedy tata i pan Safer byli na dole, nagle zaczął opowiadać. Śmiał się.

Usiadła na krawędzi fotela, przygniatając pluszowe zwierzaki. Sięgnęła za siebie i wzięła do ręki małego postrzępionego słonika.

– Śmiał się, opowiadając o Helen – powiedziałem – i mówił o uwalnianiu ludzi od cierpienia.

– Niech pan o tym zapomni – powtórzyła słabym głosem, ale bez przekonania.

– Martwisz się, że skoro Eryk zrobił to Helen, mógł tak również postąpić wobec człowieka. Może miał coś wspólnego ze śmiercią matki.

– Nie! – krzyknęła. – Tak! Prawie mi to powiedział! Nie wprost, ale ciągle to sugerował. Mówił o oczach Helen, że była spokojna, że nie cierpiała. Popatrzyła na niego, polizała go po twarzy, a on uderzył ją w głowę kamieniem. Jeden raz. Wystarczyło. A później ją pochował... Był odważny, prawda? Ja nie umiałabym tego zrobić, a ona była bardzo chora.

Zakołysała się na fotelu, przyciskając słonika do piersi.

– A potem uśmiechnął się jakoś strasznie. Powiedział, że czasem trzeba wziąć sprawy we własne ręce, bo nikt nie wie, co jest dobre, a co złe, jeśli nie jest na twoim miejscu. Że być może w ogóle nie ma dobra ani zła, tylko zasady, które ludzie wybierają, bo boją się podejmować decyzje. Powiedział, że to była najszlachetniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił.

Przycisnęła mocniej słonia, którego maleńki pyszczyk odkształcił się groteskowo.

– Boję się. Może Helen nie była jedyna?

– Nie ma powodu, żeby tak myśleć – skłamałem. Teraz wiedziałem, dlaczego Mate nie przypisał sobie śmierci Joannę. Starłem się nadać głosowi uspokajający ton. – On jest roztrzęsiony tak samo jak ty. Wszystko się wyjaśni, Eryk się uspokoi.

Pocieszałem Stacy, ale moje myśli i głos płynęły osobnymi torami. Myślałem: matka i syn, poczucie winy, ekspiacja. Wspólny plan Joannę i Eryka... Eryk robi zdjęcia, bo wie, że matka wkrótce odejdzie i nie będzie okazji, żeby ją upamiętnić.

To była zbyt odrażająca myśl, żeby ją roztrząsać, ale nie mogłem przestać. Miałem tylko nadzieję, że odraza nie wkradła się do mojego głosu. Chyba dobrze udawałem, bo Stacy przestała płakać.

– Wszystko będzie dobrze? – spytała głosem małej dziewczynki.

– Poczekaj, to zobaczysz.

Uśmiechnęła się, ale po chwili uśmiech zamienił się w przerażający grymas.

– Nie będzie dobrze. Już nigdy.

– Wiem, że teraz tak się wydaje...

– Tak, Eryk miał rację. Wszystko jest proste. Rodzisz się, życie jest parszywe, a potem umierasz. – Oderwała kawałek skórki koło paznokcia, zlizwała krew, oderwała następny.

– Stacy...

– Słowa tak ładnie brzmią.

– Te słowa są prawdziwe, Stacy.

– Chciałabym... Kiedyś będzie lepiej? – spytała niepewnie.

– Tak. – Boże, miej mnie w swojej opiece.

Stacy uśmiechnęła się, ale inaczej.

– Na pewno nie pójdę do Stanford. Muszę znaleźć własne miejsce... Dziękuję, panie doktorze, to było...

Hałas dochodzący z dołu zagłuszył jej słowa.

Skądś z przodu domu dochodził łoskot tak głośny, że przedostał się klatką schodową aż tu, do wnętrza pokoju. Krzyki, pospieszne kroki, wrzask. I osobliwa muzyka pękającego szkła.

Wybiegłem i ruszyłem po schodach w dół, w stronę, z której dobiegał hałas.

Salon, dwie postacie w czarnych ubraniach. Dwie postacie, pochylone jak do walki.

– Coś ty, kurwa, zrobił? – zawył Richard, zbliżając się do syna.

Eryk zamachnął się kijem baseballowym.

Za jego plecami widać było to, co zostało ze szklanych gablot. Pogięty mosiądz, odłamki szkła na dywanie, pył błyszczący jak opiłki diamentu. Popękane naczynia w gablotach i na podłodze, konie, wielbłądy i maleńkie ludzkie figurki zamieniły się w gruz.

Richard szedł z otwartymi ustami. Charczał.

Eryk też oddychał ciężko. W dłoniach ścisnął kij.

– Nie podchodź do mnie.

– Połóż to! – rozkazał Richard. Eryk ani drgnął.

– Połóż to, kurwa!

Chłopiec roześmiał się i znów zamachnął na porcelanę. Richard chwycił kij. Eryk stękając, próbował go wyrwać.

Obaj upadli na podłogę, do czarnych ubrań przylgnęły odłamki szkła i pył. Rzuciłem się prosto na kij. Poczulem śliski od potu uchwyt, szkło zazgrzytało mi pod kolanami. Udało mi się pociągnąć kij, ale tylko odrobinę. Czyjaś pięść spadła na moją szczękę, lecz mimo to nie zwolniłem chwytu.

Eryk i Richard charczeli i pluli, okładali pięściami na oślep siebie i mnie.

W kłębowisku pojawiła się jeszcze jedna para rąk.

– Dość tego!

Wyrwałem się. Joe Safer stał z rękami na policzkach i płonącymi oczyma. Eryk i Richard dalej bili się o kij.

– Przestańcie, idioci, albo odejdę stąd na zawsze i zostawię was z waszym nieszczęściem!

Richard znieruchomiał pierwszy. Eryk nadal stękał, ale jego ręce rozluźniły się. Obaj z Saferem wykorzystaliśmy to, żeby wyrwać kij.

Richard usiadł na podłodze i zaczął brać w ręce szczątki kolekcji. Wyglądał, jakby podano mu środki znieczulające. Na twarzy i dłoniach czerwieniały drobne nacięcia, jedno oko było opuchnięte. Nieopodal na podłodze klęczał Eryk i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Poza pękniętą wargą nie doznał żadnych obrażeń. Dotknąłem swojej szczęki, w której pulsował ból. Zaczynała puchnąć, ale mogłem nią poruszać. Kość nie pękła.

– Na miłość boską – powiedział Safer. – Spójrzcie, co zrobiliście doktorowi. Co się z wami dzieje! Oszaleliście?

Eryk uśmiechnął się.

– Jesteśmy elitą. Żałosne, co?

Safer skierował ku niemu wyprostowany palec.

– Bądź cicho, przyjacielu. Trzymaj usta na kłódkę i nie waż mi się przerywać...

– A to dlaczego...

– Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę, młody człowieku. Jeszcze jedno słowo i dzwonię na policję. Zamkną cię, a ja mogę załatwić, żebyś tam został, wierz mi.

– Kogo to ob...

– Ciebie to będzie obchodzić. W ciągu godziny zgwałcą cię albo jeszcze gorzej. A teraz ani słowa!

Ręce Eryka zaczęły się trząść. Spojrzał na swoje dzieło, uśmiechnął się, a potem rozplakał.

Milczeliśmy. Safer objął wzrokiem ruiny i potrząsnął głową.

– Przykro mi – powiedział, zwracając się do mnie. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie będzie.

– Eryk, dlaczego? – spytał błagalnie Richard. – Co ci zrobiłem? Chłopak spojrzał na Safera, jakby pytając, czy może mówić.

– No właśnie, dlaczego? – powtórzył adwokat.

Eryk odwrócił się do Richarda i wymamrotał coś pod nosem.

– Co?

– Przepraszam.

– Przepraszam – powtórzył jak echo Richard. – I to wszystko? Eryk znowu coś mruknął, tym razem nieco głośniejsze.

– Mów normalnie, na miłość boską – powiedział Richard. – Co cię napadło, że... – Spuścił głowę.

– Przepraszam, tato. Przepraszam.

– Eryk, dlaczego?

Chłopiec zaczął łkać. Richard chciał go pocieszać, ale zrezygnował i opadł znów w to samo miejsce.

– Dlaczego, synu?

– Umiejętność przebaczenia – odparł Eryk. – To jest najważniejsze.

Richard pobladł. Była to nieprzyjemna bladość. Podniósł zielono-błękitno-seledynowy odłamek porcelany. Kawałek końskiego pyska.

– O mój Boże – odezwał się ktoś z tyłu.

W drzwiach salonu stała Stacy z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Wydawało się, że jej oczy lada chwila wyskoczą z orbit.

Parę minut temu, słysząc jak mówi o znalezieniu własnej drogi, miałem ochotę sobie pogratulować. Teraz myśl o zwycięstwie została zdruzgotana jak tysiącletnia porcelana wydobyta

z grobów.

– Nie – powiedziała Stacy.

– Kochanie? – odezwał się Safer.

Stacy milczała.

– Co nie? – spytał adwokat.

Wydawało się, że nie słyszy. Odwróciła się do mnie.

– Nie – powtórzyła. – Nie chcę więcej na to patrzeć.

– I nie musisz, kochanie – powiedział Safer. – Jest pan pewien, że ze szczęką wszystko w porządku?

– Przeżyję.

– Czy pokojówka jest w domu?

– Nie, ma wolne.

– Stacy, przynieś panu doktorowi trochę lodu.

– Oczywiście – powiedziała dziewczyna i wyszła.

Safer zwrócił się do Richarda i Eryka.

– Więc wy dwaj posprzątajcie ten bałagan, a ja pomyślę, czy zasługujesz na to, żebym dalej prowadził twoje sprawy.

– Proszę – szepnął Richard.

– Posprzątajcie to – rozkazał Safer. – Zróbcie coś pożytecznego, zróbcie coś wspólnie.

Wyprowadził mnie przez jadalnię do kuchni. Była olbrzymia, cała w bieli i czarnym granicie. Handlarze nieruchomościami nazywają takie kuchnie gościnnymi. Jeszcze jeden przejaw gry pozorów, charakterystyczny dla Los Angeles: wyizolowani ludzie z wyższych sfer udający gościnność.

Stacy owijała bryłki lodu w ściereczkę.

– Jeszcze chwila.

– Dziękuję, kochanie – powiedział Safer, kiedy podała mu zimne zawiniątko.

Przyłożyłem ściereczkę do twarzy.

– Przepraszam – powiedziała. – Tak mi przykro.

– Naprawdę nic się nie stało.

Staliśmy w trójkę, nasłuchując. Z salonu nie dobiegał żaden odgłos.

– Idź do swojego pokoju, Stacy. Muszę coś omówić z doktorem. Wyszła.

– Przynajmniej ona wydaje się normalna.

Przesunął do tyłu jarmułkę, zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła i usiadł przy stole.

– Co się tam stało? – spytał.

– Nawet nie śmiem zgadywać.

– Oczywiście, nie wpłynie to na moją strategię postępowania z Richardem. Uchronię go przed bezpośrednim zagrożeniem... Ale ten chłopak. On jest nieobliczalny, prawda?

– Jest w nim mnóstwo gniewu – odparłem. W tobie też by był, gdybyś pomógł matce umrzeć i nie mógł o tym nikomu powiedzieć.

– Czy uważa pan, że jest niebezpieczny dla siebie i innych? Jeśli tak, mogę zastosować siedemdziesięciodwugodzinny areszt.

– Możliwe, ale niech mi pan nie każe iść z tym na policję. Kto inny musiałby to zrobić.

– Rozumiem, konflikt lojalności – powiedział Safer.

Nie jedyny.

– A propos detektywa Sturgisa. Proszę się nie obrażać, ale wierzę w zapobiegliwość. Niech pan nie opowiada o tym, co dzisiaj widział.

– Oczywiście.

– No więc to mamy załatwione. Jeszcze raz proszę mi wybaczyć. Jeśli chodzi o Stacy, zgodzi się pan ze mną, że nie powinna tu zostać. Przynajmniej dzisiaj w nocy.

– Zna pan jakieś miejsce, gdzie można ją umieścić?

– Mój dom. Mieszkam w Hancock Park, jest tam mnóstwo miejsca, a moja żona nie będzie się sprzeciwiać. Jest przyzwyczajona do przyjmowania gości.

– Klientów?

– Gości, klientów, wszystkich. To bardzo towarzyska osoba. Jutro jest szabas, Stacy pozna nasze obyczaje. Czy mam zadzwonić do pani Safer?

– Jeśli namówi pan Stacy.

– Chyba nie będzie z tym kłopotu. Stacy sprawia wrażenie bardzo zrównoważonej młodej kobiety. Możliwe, że to jedyna zdrowa na umyśle osoba w tym... muzeum psychopatologii.

Safer poszedł na górę, a ja siedziałem z obolałą szczęką. Gładziłem się po niej, myśląc o wściekłości Eryka.

Najważniejsza jest umiejętność przebaczenia.

Richard nie przebaczył i teraz musiał za to zapłacić.

On i Eryk byli jak dwie beczki dynamitu... Ale to nie moja sprawa. Chyba że zagrażali Stacy. Musiałem się skupić na niej.

Safer miał rację, należało ją trzymać z dala od tego domu. Noc albo dwie spędzi u niego, ale później...

Po chwili adwokat wrócił.

– Przekonałem ją, pakuje się. Pójdę powiedzieć Richardowi.

Ruszyłem za nim do salonu. Bałagan został częściowo posprzątanym, szkło i pył zamiecione

w kupki, szczotki stały oparte o strzaskane gabloty.

Richard i Eryk siedzieli na podłodze, oparci plecami o kanapę. Richard otoczył Eryka ramieniem, chłopiec oparł głowę na piersi ojca. Z jego zamkniętych oczu płynęły łzy.

Pieta w Pacific Palisades.

Richard wyglądał inaczej. Nie był ani zaczerwieniony, ani blady. Jego twarz była wyprana z wszelkiego wyrazu. Jakby ktoś zawlókł go na krawędź przepaści i zrzucił.

Wydawało się, że nas nie zauważył, ale kiedy podeszliśmy bliżej, odwrócił powoli głowę i mocniej przycisnął Eryka. Głowa chłopca opadła w dół, oczy pozostały zamknięte.

– Jest zmęczony – powiedział Richard. – Położę go do łóżka. Tak robiłem, kiedy był mały. Opowiadałem mu bajki i kładłem spać.

Safer drgnął. Czyżby przypomniał sobie swojego syna?

– Zajmij się nim – powiedział. – Zabieram Stacy do siebie. Richard uniósł brwi.

– Do ciebie? Dlaczego?

– Bo tak będzie lepiej. Obiecuję dobrze się nią zająć. Jutro rano odwiozę ją do szkoły, a weekend spędzi z nami. Albo ze swoimi znajomymi, jeśli będzie wolała.

Byle nie z państwem Manitow, pomyślałem.

– Chce tam jechać? – spytał Richard.

– To był mój pomysł – odparł Safer – ale zgodziła się. Richard oblizał wargi i spojrzał na mnie. Skinąłem głową.

– Dobrze. Niech tu zajrzy przed wyjściem. Chcę ją ucałować.



Wspiałem się po schodach, obmacując szczękę. Stacy siedziała na łóżku.

– Jestem zmęczona. Niech mi pan nie każe nic mówić – poprosiła słabym głosem.

Zostałem z nią chwilę. Wróciwszy do kuchni, zastałem Joe Safera rozmawiającego przez telefon, z łokciem opartym na blacie koło srebrzystego niemieckiego ekspresu do kawy. W jednej z lodówek znalazłem słoik kawy i nasypałem tyle, by wystarczyło na sześć filiżanek; usiadłem, słuchając kapiących kropli i zastanawiając się, co naprawdę oznaczały dla Eryka poczucie winy i ekspiacja. Safer wyszedł, nie przestając mówić do słuchawki. Piłem kawę sam. Po chwili zadzwonił dzwonek do drzwi i adwokat wrócił w towarzystwie wysokiego krzepkiego młodzieńca o jasnych włosach, z neseserem w dłoni.

– To jest Byron. Zostanie tu na noc.

Byron mrugnął okiem i zlustrował sprzęty. Miał na sobie niebieską bluzę, spodnie khaki i mokasyny; jego oczy przypominały szparki, a mięśnie twarzy sprawiały wrażenie sparaliżowanych. Gdy podał mi rękę, zdawało mi się, że ściskam dłoń posągu. Safer poszedł na górę. Byron i ja siedzieliśmy w milczeniu.

Z salonu nie dochodził żaden dźwięk. W całym domu panowała nieznośna cisza. Nagle usłyszałem kroki na schodach i po chwili weszła Stacy, a za nią prawnik z niewielką walizką w kwiaty. Stacy jakby się skurczyła i postarzała.

Wyszedłem z nimi i patrzyłem, jak Safer otwiera przed dziewczyną drzwi cadillaca. Byron stał w drzwiach z dłońmi opartymi na biodrach.

– Kto to jest?– spytałem.

– Mój pomocnik. Richard i Eryk zachowują się spokojnie, ale ostrożność nigdy nie zaszkodzi.

– Był pan najstarszy z rodzeństwa, Joe?

– Z siedmiorga. Dlaczego pan pyta?

– Lubi pan o wszystko zadbać.

– Niech pan nie liczy na to, że zapłacę za tę analizę – powiedział ze znużonym uśmiechem.

Odprowadziłem wzrokiem światła cadillaca. Nieoznakowany wóz policyjny nadal tkwił w tym samym miejscu. Nocne powietrze było gęste od woni fermentujących morskich alg. Bolała mnie szczeka, a ubranie przesiąkło potem. Powlokłem się do samochodu. Nie zawróciłem jednak, żeby pojechać od razu na południe, lecz ruszyłem przed siebie. Nie musiałem długo szukać.

Sześć numerów dalej, przed dworkiem w stylu Tudorów za obrośniętym winoroślą murem z cegły i żelazną bramą stał lexus Judy. Jeszcze jeden przybytek próżności. Tabliczka na murze głosiła: Sędzia Sądu Najwyższego.

A więc tu mieszka. Pierwszy raz zobaczyłem ten znak, kiedy odprowadzałem ją z sądu na

parking. Wiele razy pracowaliśmy razem.

Przysłała mi tylu pacjentów. Ale więcej ich nie będzie.

Zatrzymałem się przed domem, szukając czegoś. Ale czego?

Przez firanki i zasłony przedzierało się żółtawe światło. W środkowym oknie na piętrze poruszył się cień. Jakaś sylwetka przesunęła się, znieruchomiła, a potem znowu poruszyła. Ludzka, ale to wszystko, co mogłem rozpoznać.

Wykonując skręt na trzy razy, skierowałem reflektory na bramę domu, licząc po trosze, że ktoś to zobaczy i wyjdzie. Nikt jednak na nic nie zwrócił uwagi. Jadąc w kierunku Sunset, minąłem po drodze nieoznakowany wóz. Coś poruszyło się w środku, lecz samochód nie odjechał.

Skierowałem się na wschód, starając się o niczym nie myśleć. Po drodze zatrzymałem się w nocnej aptece i kupiłem najsilniejszy środek przeciwbólowy, jaki był.

W piątek rano obudziłem się wcześniej, ledwie słońce rozjaśniło zasłony. Szczeka trochę bolała, ale nie spuchła. Zaciągnąłem kołdrę na twarz, udałem, że śpię i poczekałem, aż Robin wstanie, weźmie prysznic i wyjdzie. Nie chciało mi się teraz wszystkiego tłumaczyć. Wiedziałem, że i tak muszę to zrobić, ale wolałem później.

Zadzwoiłem do biura Safera z telefonu w sypialni.

– Dzień dobry, doktorze. Jak tam rana bitewna?

– Goi się. A co u Stacy?

– Spała dobrze – odparł adwokat. – Musiałem ją obudzić, żeby zdążyła do szkoły. Uroczą dziewczyną. Chciała nawet przygotować śniadanie dla mnie i dla żony. Mam nadzieję, że przeżyje rodzinę. W sensie psychologicznym.

Przypomniałem sobie wczorajszą deklarację Stacy; ciekawe, czy wytrwa w swoim postanowieniu.

– Ona musi oddzielić się od rodziny – powiedziałem. – Musi znaleźć własną tożsamość. Richard chce, żeby poszła do Stanford, bo on i Joannę tam się uczyli. Stacy powinna pójść gdziekolwiek, byle nie tam.

– Eryk też jest w Stanford – zauważył Safer.

– No właśnie.

– Chłopak nie umiał oderwać się od rodziny?

– Nie wiem. Za mało go znam. – I nie chciałem wiedzieć, czy usiadł na łóżku koło matki w tanim motelu i wbił jej igłę w żyłę. – Jeśli ma pan wpływ na Richarda, proszę go nakłonić, żeby dał Stacy możliwość wyboru.

– To brzmi dość rozsądnie – przyznał adwokat nieco roztargnionym głosem. – Rozumiem, że chłopak nie jest pana głównym pacjentem, ale mnie nadal niepokoi. Tyle złości. Przyszło panu

może do głowy, skąd wziął się ten wczorajszy wybuch?

– Nie mam pojęcia. Jak się zachowywał w nocy?

– Byron twierdzi, że Richard i Eryk posprząтали, a potem poszli spać. Eryk nadal leży w łóżku.

– A Richard?

– Wstał. On ma zawsze dużo pomysłów.

– Nie wątpię. Joe, muszę zajrzeć do karty zdrowia Joannę Doss.

– Po co?

– Próbuję zrozumieć jej śmierć. Jeśli mam pomóc Stacy, muszę mieć jak najwięcej informacji. Badania przeprowadzano w szpitalu St. Michael's.

Richard powiedział, że ma pan wszelkie pełnomocnictwa, więc byłbym wdzięczny, gdyby podpisał pan zgodę i przesłał faksem do biura szpitala.

– Załatwione. Liczę, że zawiadomi mnie pan, jeśli dowie się pan czegoś, o czym powinienem wiedzieć.

– Na przykład?

– O wszystkim, co powinienem wiedzieć – powtórzył nieco twardszym tonem. – Zgoda?

Tylu rzeczy mu nie powiedziałem. I vice versa.

– Jasne, Joe. Nie ma sprawy.

Połknąłem parę tabletek przeciwbólowych, przyłożyłem lód do szczęki, trochę pobiegałem i umyłem się. W studiu Robin usłyszałem hałas. Moja ukochana stała w kitlu i goglach za plastikową ścianą z pistoletem na farbę. Wiedziałem, że nie wolno jej przeszkadzać, zamachałem więc tylko ręką i ruszyłem do szpitala St. Michael's.

Z Sunset zjechałem w Barrington, z Barrington na Wilshire. Pędziłem z nadmierną szybkością do Santa Monica, chociaż nie musiałem się spieszyć. Chciałem sprawdzić, czy w szpitalu pracuje Michael Ferris Burke, pod swoim albo jakimś innym nazwiskiem. Jednak podejrzenia wobec Eryka, których nabrałem wczoraj, oddaliły nieco perspektywę znalezienia związku Michaela Burke'a z ostatnią podróżą Joannę.

To ktoś z najbliższej rodziny, a nie złowrogi nieznajomy.

Ale co mogłem zrobić?

Może jednak coś znajdę.

Roześmiałem się głośno. Psychiatra zaprzeczający sam sobie. Za nic w świecie nie chciałem, żeby to Eryk był w tym motelu. Każdy, tylko nie on.

Z goryczą przypomniałem sobie wybuch wściekłości chłopca. Fakty boleśnie kłuły w oczy.

Helen. Poczucie winy i ekspiacja.

Tyle gniewu.

Najszlachetniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Śmierć Mate'a obudziła w Eryku poczucie winy. Próba zemsty, podjęta przez Richarda, roznieciła je jeszcze mocniej.

Eryk wiedział, że ojciec zawziął się na niewinnego człowieka, bo to nie Mate pomógł Joannę popełnić samobójstwo.

I zastanawiał się, co ojciec zrobiłby jemu, gdyby się dowiedział. Odwrócił więc gniew i skierował go przeciwko Richardowi. Bo to właśnie on doprowadził do nieszczęścia, nie umiając przebaczyć Joannie.

Łatwość obwiniania, jak u ojca...

Wyobraziłem sobie, jak Eryk i Joannę planowali tę śmierć. Tygodniami, może miesiącami. Byli zgodni, a może próbował odwieść matkę od tego zamiaru, lecz w końcu poddał się i postanowił zachować ją na zdjęciach?

Jak go przekonała? Czy powiedziała, że to szlachetne?

A może nie musiała przekonywać Eryka, bo na nią też był zły. Czy należał do tych strasznych dzieci, w których mózgu brak maleńkiego kawałka tkanki, zapobiegającego złu?

Plan, a potem noc spełnienia... Matka i syn wykradają się z domu pod jedną z licznych nieobecności Richarda. Eryk siedzi za kierownicą, Joannę obok, na przednim siedzeniu.

Długa nocna jazda na skraj pustyni. Do Lancaster, bo Joannę upierała się przy tej miejscowości.

Odrażające. Jak matka mogła to zrobić synowi? Czy jej zdrada była taka straszna, że usprawiedliwiała taką karę?

Nie łudziłem się, że w karcie choroby znajdę odpowiedź na to pytanie. Ale musiałem coś robić.

Robimy to, co uważamy za słuszne. Z nadzieją, że nadejdzie kiedyś dzień osądu.

Wieczność.

Oczyszczenie.

Szpital St. Michael's mieścił się w Santa Monica, w kilku budynkach z piaskowca i szkła, kilometr na wschód od plaży. Wykładałem tam kilka lat temu; prowadziłem kurs poświęcony rozwodom, przemocy wobec dzieci i moczeniu się, ale nie miałem pojęcia, jak znaleźć archiwum i biuro personalne.

Droge wskazał mi jakiś młodzieniaszek z rzadką jasną brodą i znaczkiem świadczącym o tym, że mam do czynienia z lekarzem. Miałem się udać do północnej części kompleksu.

Najpierw trafiłem do biura personalnego, nazywanego obecnie przez większość firm Biurem Zasobów Ludzkich. Nowy, dumnie brzmiący nowotwór leksykalny. Czy poprawia samopoczucie

zwalnianym pracownikom?

Małe sterylne biuro zajmowała władcza czarnoskóra kobieta w pomarańczowym kostiumie, zajęta wprowadzaniem danych do komputera. Na wszelki wypadek przypiąłem sobie znaczek ze szpitala Western Pediatrics i przygotowałem dokument z akademii medycznej. Kobieta uśmiechnęła się, kiedy powiedziałem, że zajmuję się przygotowaniem przyjęcia naszego rocznika i w związku z tym szukam adresów, a potem podała mi tom wielkości książki telefonicznej z napisem *Spis personelu*. W otwartości tej nieznanym była jakaś przyjemna świeżość, która trochę mnie zdziwiła. Za długo obracam się wśród policjantów, prawników, psychopatów i innych skrytych jednostek.

Wróciła do swojego biurka, a ja zacząłem kartkować książkę. Lista personelu z wyższym wykształceniem została umieszczona na pierwszych stronach. Lekarze. Nazwiska, adresy gabinetów, zdjęcia, żadnych danych osobistych. Żaden nie przypominał mężczyzny, który zdaniem Leimerta Fusco był prawdziwym Doktorem Śmierć. Nie znalazłem go też wśród personelu niższego szczebla, czyli pracowników opieki społecznej, fizjoterapeutów, terapeutów zajęciowych i oddechowych.

– Mam nadzieję, że przyjęcie się uda – powiedziała, gdy oddawałem księgę.

W archiwum było nieco trudniej. Recepcjonistka z zaciśniętymi ustami była jedną z tych, które wyssały sceptycyzm z mlekiem matki, a poza tym nie dotarło jeszcze do niej zezwolenie wydane przez Safera. Wreszcie dokument się zmaterializował i dostałem do ręki grubą na dwa centymetry teczkę Joannę Doss.

– Musi pan przeczytać to tutaj. Zezwolenie nie uprawnia do robienia kopii.

– Dobrze.

– Oni wszyscy tak mówią.

– Kto?

– Lekarze pracujący dla adwokatów.

Wziąłem teczkę i usiadłem. Kolorowe karty opisów laboratoryjnych, liczby w rubryczkach. Najrozmaitsze charaktery pisma. Nazwisko Boba Manito w pojawiło się tylko na formularzu skierowania. Piętnastu innych lekarzy podjęło trud ustalenia źródła cierpień Joannę.

Analizy krwi, moczu, prześwietlenia, ultrasonografia, tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny i punkcje – wszystkie możliwe badania, o których opowiadał mi Richard. Więcej już nie wymyślono.

Najczęściej powtarzające się słowa: wynik negatywny.

Płyn rdzeniowy czysty. Skład krwi w normie, kreatynina, wapno, fosfor, żelazo, T-proteina, albumina, globulina...

Chorobliwie otyła kobieta rasy białej...

Skarży się na ból stawów, letarg, przemęczenie...

Objawy zaczęły się dwadzieścia trzy miesiące temu, wzrost wagi o prawie pięćdziesiąt kilogramów...

Funkcje tarczycy w normie...

Wszystkie układy wydzielania wewnętrznego w normie, z wyjątkiem glukozy 123. Tolerancja na glukozę na granicy, możliwy stan przedcukrzycowy, prawdopodobnie w następstwie otyłości.

Ciśnienie: 149/96. Na granicy nadciśnienia, prawdopodobnie w następstwie otyłości.

Powtórne badanie krwi, moczu, prześwietlenia, ultrasonografie...

Żadne z nazwisk lekarzy nie pasowało do poprzednich wcieleń Granta Rushtona.

Ostatni wpis: Pacjentka odrzuciła propozycję konsultacji psychiatrycznej...

Oczywiście.

Było już za późno na wyznania.

W drodze do wyjścia zatrzymałem się przy automacie telefonicznym i sprawdziłem zawartość mojej poczty głosowej.

Byłem chyba ostatnim mieszkańcem Los Angeles bez telefonu komórkowego. Całe lata trwało, zanim kupiłem wideo, jeszcze dłużej zwlekałem z nabyciem komputera. Wahałem się nawet po tym, jak biblioteki uniwersyteckie skasowały konwencjonalne katalogi. W końcu zepsuła mi się elektryczna maszyna do pisania i nie mogłem znaleźć części zamiennych.

Mój ojciec był specjalistą od maszyn, ja trzymałem się od nich z dala. Żyłem z kobietą, która je uwielbiała. Nie ma sensu się w to zagłębiać.

– Tylko jedna wiadomość, przyjeta parę minut temu. Detektyw Connor. Zwykle nie dzwoni do pana, prawda?

– Nie. O co jej chodziło?

– Nie zostawiła wiadomości, prosiła o kontakt.

Petra zostawiła swój numer służbowy. Odebrał inny policjant.

– Wysła, chcesz numer jej komórki?

Dodzwoniłem się.

– Milo chciał ci przekazać, że znaleźliśmy Dona Salcido – powiedziała. – Może będziesz chciał zobaczyć tego chłopaka.

Nie zadzwonił, tylko przekazał wiadomość przez Petrę. Jakby wiedział, że w sprawie Dossów jesteśmy po przeciwnych stronach barykady.

Czy to Safer go ostrzegł, czy może sam postanowił zachować dyskrecję? Tak czy inaczej, poczułem się dziwnie.

– Czy powiedział, dlaczego mam się spotkać z Salcido?

– Nie. Myślałam, że będziesz wiedział. To była krótka rozmowa. Milo był strasznie

zabiegany, starał się o zezwolenie na rewizję u tej grubej ryby.

– Gdzie się znalazł Salcido?

– Na ulicy. Dosłownie. Pobity, sponiewierany. Wygląda na to, że wpadł w niewłaściwe towarzystwo. Zauważył go jakiś facet, który wyszedł rano po gazetę. Salcido leżał w rowie. Miał puste kieszenie, ale to nie znaczy, że został okradziony, po prostu mógł nie nosić portfela. Jeden z naszych patroli przyjął zgłoszenie. Rozpoznali chłopaka ze zdjęcia, które powiesiłam w sali operacyjnej. Jest w szpitalu Hollywood Mercy.

– Przytomny?

– Tak, ale niechętny do współpracy. Zostawiłam twoje nazwisko pielęgniarce. – Podała mi numer sali.

– Dzięki.

– Jeśli wynikną jakieś problemy, zadzwoń. Jak się dowiesz czegoś ciekawego od Salcido, też zadzwoń.

– Miło jest zajęty.

– Na to wygląda. Chyba jak wszyscy, prawda?

– Lepiej, niż gdyby nie mieli co robić – odparłam.

– Zgadza się. A przy okazji, jutro będę się widziała z Bilym. Idziemy do nowego centrum nauki w Exposition Park. Chcesz mu coś przekazać?

– Najlepsze życzenia, i niech robi to, co robi. Ale chyba nie muszę go do tego zachęcać.

– Tak, jest niesamowity – roześmiała się Petra.

Dotarcie do nędznej części dzielnicy East Hollywood, gdzie Beverly krzyżuje się z Tempie, zajęło mi czterdzieści minut jazdy tunelem 10 East i ulicami na powierzchni.

Drugi szpital tego dnia.

Pięciokondygnacyjny budynek Hollywood Mercy, wykończony kamieniem, o wzmocnionej konstrukcji na wypadek trzęsienia ziemi, stał na wzgórzu, z którego widać było centrum miasta. Dachówki popękały, a ozdobne stiuki – wspomnienie z czasów, gdy siła robocza była tania – odpadały po kawałku. Obok znajdował się za mały parking. Przed wjazdem stał wianuszek karetek. Główny hol wypełniali smutno wyglądający ludzie czekający na wydanie jakichś papierów przez pracowników w szklanych klatkach. Ultrasonografia, tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny – te same nazwy ultranowoczesnych badań, które widziałem w szpitalu St. Michael's, tylko że tutaj wszystko wyglądało jak w czarno-białym filmie i załatywało sypialnię starca.

Sypialnię Mate'a.

Jego syn leżał na czwartym piętrze, w oddziale specjalnej opieki. Przy wahadłowych drzwiach stał nieuzbrojony strażnik; machnął przyzwalająco ręką na widok mojej karty identyfikacyjnej. Po przeciwnej stronie znajdował się szeroki krótki korytarz z pięciorgiem drzwi i pokojem pielęgniarek na końcu. Murzyn z ogoloną głową siedział koło stosu kart, pisząc coś, a sześćdziesięcioletnia kobieta z ogromną szczęką i włosami jak słoma wybijała palcem rytm muzyki reggae dobiegającej z niewidzialnego radia. Przedstawiłem się.

– Tam – powiedziała pielęgniarka.

– Jak się czuje?

– Przeżyje – odparła, wyciągając kartę. Znacznie cieńszą niż historia choroby Joannę Doss. Do wewnętrznej strony okładki przyczepiony był raport policyjny komendy Hollywood.

Dona Salcido znaleziono pobitego i półprzytomnego o godzinie szóstej dwanaście w rowie w dzielnicy mieszkalnej Poinsettia Place na północ od Sunset.

Trzy przecznice od mieszkania jego ojca przy Vista.

Sanitariusze przywieźli go do szpitala, gdzie został skierowany na obserwację i zabiegi. Odbicia, otarcia; wstrząśnienie mózgu zostało wykluczone. Nie miał złamanych kości. Stwierdzono pobudzenie i dezorientację, prawdopodobnie związane z alkoholizmem, używaniem narkotyków, chorobą psychiczną lub kombinacją tych czynników. Pacjent odmówił podania nazwiska, lecz policja ustaliła jego tożsamość. Poinformowali, że Salcido był wcześniej karany.

Pacjent zaatakował pielęgniarkę, w związku z czym został skrępowany.

– Na kogo się rzucił? – spytałem.

– Na koleżankę z poprzedniej zmiany – odparł mężczyzna. – Proponowała mu sok



pomarańczowy. Wytrącił jej szklanę z ręki i próbował zadać cios. Zdażyła zamknąć drzwi i wezwać ochronę.

– Jeszcze jeden dzień w rajku – powiedziała kobieta. – Facet nadaje się na oddział odtruwania, zamknięty miesiąc temu. Ma pan ocenić, czy trzeba go przenieść?

– Chcę go tylko zobaczyć. To wstępna konsultacja.

– Ale zrobi pan to za darmo. Nie możemy znaleźć jego karty ubezpieczeniowej, a on nie chce mówić.

– W porządku.

– Jeśli panu to nie przeszkadza, to proszę. Sala czterysta pięć.

Wyszła zza kontuaru i otworzyła drzwi. Zielony pokój był wielkości celi więziennej; nad okratowanym oknem biegł przewód wentylacyjny; pośrodku stało łóżko z niepodłączoną kroplówką. Monitor nad wezgłowiem łóżka był wyłączony, podobnie jak małe telewizor przytwierdzony do przeciwległej ściany. Przez okno syczały się cicho odgłosy miasta.

Donny Salcido Mate leżał na plecach z odsłoniętą piersią przytroczony do łóżka skórzanymi kajdankami i gapił się w sufit. Od pasa w dół zakrywało go ciasno białe prześcieradło z plamami potu. Tułów miał nieowłosiony, wątlwy od niedożywienia, blade w miejscach, które nie były niebiesko-czarne.

Na całym ciele kłębiły się granatowe pierścienie tatuaży. Białe pasy bandaży odcinały się od nich wyraźnie. Spod opatrunków wyzierała skrzepła krew. Na czole miał opaskę z gazy, drugą mniejszą pod brodą. Oczy otaczały purpurowe sińce, a dolna warga wyglądała jak kawał przeciętego czerwonego mięsa. Z wnętrza pierścieni wyglądały rysunki: szyderczo uśmiechnięty pysk kobry z zębami jak z koszmarnego snu, wiotka naga kobieta o smutnej twarzy, z której oka wypływała łza. Napis wykonany gotyckimi literami głosił: Donny, Mamacita, Duży Chłopiec.

Tatuaże były dobre technicznie, ale tworzyły chaos, na widok którego miało się ochotę uporządkować skórę tego chłopaka.

– Chodzący blejtram – orzekła pielęgniarka z włosami jak słoma. – Jak w książce tego faceta, co napisał *Kroniki marsjańskie*. Ma pan gościa, panie Salcido. Cieszy się pan, co?

Wyszła i zamknęła drzwi. Donny Salcido nawet nie drgnął. Długie strąkowate włosy miały ciemnobrązową barwę zużytego oleju silnikowego. Twarz otaczała zaniedbana broda, nieco ciemniejsza od włosów.

Nie dopatrzyłem się żadnego podobieństwa do więziennego zdjęcia. Przywiodło mi to na myśl brodę, którą Michael Burke zapuścił, przybierając tożsamość Huey Mitchella w Ann Arbor. Zarost Donny'ego przypominał zarost Mitchella, ale rysy twarzy były inne, w oczach nie widziałem ani śladu zimnej, nieruchomej pustki. Były szklisobrązowe, jakby rozgorączkowane. To przerażona ofiara, na pewno nie myśliwy.

Podszedłem do łóżka. Donny Salcido jęknął i odwrócił głowę. Wzdłuż tętnicy szyjnej pięło

się wytatuowane pnącze, które znikalo w brodzie jak winorośl. Na wąsach zebrał się żółtawy osad. Donny miał popękane wargi, a nos musiał być złamany więcej niż raz, ale dawniej. Kość między oczami była zapadnięta, jakby wycięta tępym ostrzem. W miejscach, gdzie dezynfekowano skórę, zostały pomarańczowe plamy; ten, kto go mył, nie zdołał usunąć fetoru ulicy.

– Panie Salcido, jestem doktor Delaware. Zamknął oczy.

– Jak się pan czuje?

– Wypuście mnie stąd – powiedział wyraźnie. Zapatrzyłem się w rysunki na skórze. Subtelne cieniowanie, poprawna kompozycja. Otrząsnąłem się i spróbowałem znaleźć podobieństwo do ojca. Nie rzucało się w oczy. Tatuaze wchodziły na siebie. Wspólne dzieło talentu i chaosu.

Mój wzrok przyciągnęły drobne wzgórki w zagłębieniu łokcia. Ślady nakłuć igłą.

– Niech pan to zdejmie – powiedział i otworzył oczy.

– Pielęgniarki trochę się zaniepokoiły, kiedy zaatakował pan jedną z nich.

– Nic się nie stało.

– Nie próbował jej pan uderzyć? Potrząsnął głową.

– To jej wina. Chciała siłą wlać mi sok do gardła. Nie do przetyku, tylko do krtani, rozumie pan? Prosto do części nosowej gardła... Wie pan, co się wtedy dzieje?

– Człowiek się dławi.

– Dochodzi do zassania płynu do płuc. Nawet jeśli się nie udusisz, w płucach tworzy się zbiornik płynu, wylęgarnia bakterii. Chciała mnie utopić, a w najlepszym razie zainfekować. – Przesunął szarym językiem po wargach. Przełknął powietrze.

– Chce się panu pić? – spytałem.

– Duszę się. Zdejmij to ze mnie.

– Skąd masz te obrażenia?

– Może pan mi powie.

– Skąd mam wiedzieć?

– To pan jesteś lekarzem.

– Policja twierdzi, że ktoś cię pobił.

– Niejeden, było ich więcej. Napadli mnie.

– Przy Poinsettia?

– Nie, w San Francisco. Przyszedłem stamtąd pieszo, bo marzyłem, żeby leczono mnie w tym cudownym przybytku – powiedział, odwracając głowę w moją stronę. – Wypuście mnie stąd albo dajcie tegretol. Jak nie dostanę tegretolu, może być ciekawie.

– Cierpisz na padaczkę?

– Nie, frajerze. Dysfunkcja kognitywna, zaburzenia świadomości, niekontrolowane wybuchy

emocjonalne. Wpadam w okropnie zły nastrój, wszystko mi się pieprzy, nie wiadomo, co zrobić.

– Poderwał nadgarstki. Skórzane paski naprężyły się.

– Kto ci przepisał tegretol?

– Ja sam. Mam u siebie zapas, ale wy, niby-uzdrowiacze, nie pozwalacie mi wrócić i wziąć sobie trochę.

– Gdzie mieszkasz?

– Ja wiem, a wy musicie się dowiedzieć.

– Jakie dawki przyjmujesz?

– To zależy – odparł, szczerząc zęby. Miał opuchnięte, zaczerwienione dziąsła, przegniłe i poczerniałe u nasady zębów. – Trzysta miligramów w dobry dzień, a jak się czuję źle, to więcej. Uważaj, bo właśnie mnie nachodzi. Już czuję pierwsze symptomy: wszystko mi się rozmywa, zaczyna się kręcić, tłoki pompują, serce skacze. Niedługo mnie pokręci, kto wie, może się wyrwę z tych kajdan i pożrę cię... Gdzie twój kitel, co z ciebie za lekarz?

– Jestem psychologiem.

– Do dupy. Zawołaj kogoś, kto może mi wypisać receptę. Albo mnie wypuść. Jestem ofiarą, jak się to wyda, wszyscy będziecie ładnie wyglądać. Oczywiście, jeśli ktoś o tym napisze. Ale nie, oni też do tego należą.

– Do czego?

– Do wielkiego spisku, który ma na celu obnażenie mojego mózgu. – Uśmiechnął się. – Nie, gadam głupoty. Nie jestem paranoikiem. Mam tylko zaburzenia nastroju.

– Kto pana napadł?

– Meksykanie, bandziory, śmieci. Nielegalni obcy, wyrzutki społeczeństwa.

– Co zabrali?

– Wszystko, co miałem w kieszeniach. – Potrząsnął głową. – Jesteś do niczego, kończę wywiad.

– Miałeś przy sobie broń? – spytałem. Zaczął nucić pod nosem.

– Poinsettia to tylko trzy przecznice od mieszkania twojego ojca. Nucenie przybrało na sile, oddech przyspieszył, powieki zadrgały.

– Zamierzałeś odwiedzić mieszkanie ojca? Poprzednim razem gospodyni ci przeszkodziła. Ile razy dostałeś się do środka?

Donny raptownie zwrócił głowę w moją stronę.

– Odgryzę ci nos. Oko za oko, zemsta za tamtego psychologa, Lectera. Nie, on był psychiatrą. Świetny film. Jak go obejrzałem, przez kilka tygodni żarłem z apetytem fasolkę.

– Czy zabiłeś ojca? – spytałem.

– Jasne. Nos też mu odgryzłem. Z fasolką i z jakimś winem... może to było chablis? Załatw mi tegretol.

- Zobaczę, co się da zrobić.
- Nie kręć, chłoptasiu z dyplomem.
- Postaram się.
- Akurat.

Wyszedłem z sali. W karcie odszukałem nazwisko lekarki, która dokonała ostatniego wpisu: Greenbaum. Pracowała właściwie od kilku miesięcy. Oddzwoniła, powiedziała, że będzie w Hollywood dopiero jutro. Wyjaśniłem, dlaczego odwiedziłem Donny'ego Salcido i spytałem o lekarstwo.

– On twierdzi, że to dla utrzymania „wewnętrznej równowagi”. Słyszałam tę śpiewkę. Muszę się skonsultować z lekarką prowadzącą.

– Sam bierze lekarstwo przeciwko niebezpiecznym wybuchom złego nastroju. Jeśli zażywa tegretol, to musiał już brać lit i neuroleptyki. Może w więzieniu.

– Tak, ale nie mogłam od niego wydobyć żadnej historii choroby. Nie mam nic przeciwko tegretolowi, chociaż wywołuje skutki uboczne. Muszę zrobić badanie krwi.

– Rozmawiała z nim pani?

– Nie chciał nic mówić.

– Teraz jest bardziej wymowny. Jest dość inteligentny, wie, kiedy zbliża się atak. Stara się kontrolować.

– Co pan proponuje?

– Wydaje mi się, że przynajmniej pod tym względem facet wie, co dla niego dobre.

– Widział pan jego skórę? – spytała.

– Trudno jej nie zauważyć.

– Nieźle poharatana jak na kogoś, kto wie, co dla niego dobre.

– To prawda, ale...

– Rozumiem – oznajmiła. – Policja przysłała pana, więc chce go pan doprowadzić do porządku i wyciągnąć z niego jak najwięcej.

– To tylko część prawdy. Druga część jest taka, że próbował rzucić się na pielęgniarkę, a jeśli jakieś lekarstwo na niego działa, powinno się wziąć je pod uwagę. Nie chcę pani dyktować, jak ma pani wykonywać swoją pracę...

– Właśnie pan to robi – roześmiała się. – Ale właściwie czemu nie? Wszyscy to robią. No dobrze, lepiej żeby facet nie szalał, bo mogliby mnie wezwać na przykład o trzeciej w nocy. Spróbuję się porozumieć z lekarką prowadzącą. Jeśli ona się zgodzi, przepiszę mu lekarstwo.

Mówi, że bierze trzysta miligramów dziennie.

– Tak mówi? Szaleńcy rządzą tym szpitalem?

– A w Waszyngtonie jest inaczej? Roześmiała się głośno.

– Czego chce od niego policja?

– Informacji.

– Na jaki temat?

– Zabójstwa.

– Ach tak, świetnie. Morderca. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

– Salcido nie jest podejrzanym – sprostowałem. – Możliwe, że będzie świadkiem.

– Świadkiem? Co z niego może być za świadek?

– Trudno powiedzieć. Na razie próbuję nawiązać z nim kontakt. Rozmawiamy o jego rodzinie.

– O rodzinie? Dobra, starsoświecka psychoanaliza, o jakiej czyta się w książkach?

Wróciłem do sali Donny'ego. Głowę miał zwróconą w stronę drzwi. Czekał.

– Niczego nie mogę obiecać – oznajmiłem – ale lekarka dzwoni do zwierzchniczki.

– Kiedy dostanę tegretol?

– Jeśli tamta się zgodzi, niedługo.

– To wieczność. Co za bajzel.

– Bardzo proszę, panie Salcido.

Wciągnął wargi. Brakowało mu połowy zębów. Te, które zostały, były popękane i przebarwione.

Przysunąłem krzesło do łóżka i usiadłem.

– Po co pan się wybierał do domu ojca?

– On nigdy mnie nie odwiedził, dlaczego ja miałbym składać mu wizytę?

– Ale był pan tam.

– Wiem, frajerze! To retoryczne pytanie, w stylu Cycerona. Rozważam swoje motywy z perspektywy czasu. Czy to nie jest dobrze? Oznaka postępu, nie? – Splunął, i musiałem się odsunąć, żeby mnie nie trafił.

– Nie wiem, dlaczego robię, to co robię – ciągnął. – Gdybym wiedział, czy znalazłbym się tutaj?

Milczałem.

– Mam nadzieję, że tobie też się to kiedyś przytrafi. Takie poczucie niemocy, słabości. Myślisz, że moja skóra jest dziwna? A co w niej dziwnego? Wszyscy psychiatrzy, z którymi gadałem, twierdzili, że skóra jest nieważna, że trzeba patrzeć w głąb, pod powierzchnię.

– Z iloma psychiatrami pan rozmawiał?

– Ze zbyt wieloma. Dupki jak ty. – Zamknął oczy. – Gadające gęby w klaustrofobicznych celach, takich jak ta... Zajrzeć pod skórę, do środka. Facet, ja lubię tę skórę. Skóra to wszystko, dzięki niej się nie rozlatujesz.

Otworzył oczy.

– Zdejmij to ze mnie, pozwól mi dotknąć mojej skóry. Kiedy nie mogę jej dotykać, czuję się,

jakby mnie nie było.

– Dojdziemy do tego, Donny.

Jęknął, przewracając oczami. Odwrócił się.

– Sam pan wykonał te wszystkie tatuaże?

– Idiota. Jak miałbym sobie zrobić plecy?

– A reszta?

– A jak myślisz?

– Myślę, że tak. To dobra robota. Ma pan talent. Widziałem jeszcze jedno pańskie dzieło.

Cisza.

– *Lekcja anatomii*. I inne arcydzieła. Zero Tollrance.

Głowa drgnęła. Czekałem, aż się odezwie.

Milczał.

– Chyba wiem, dlaczego wybrał pan ten pseudonim, Donny. Ma pan zero tolerancji dla głupoty. Nie cierpi pan durniów. – Jak ojciec...

Wyszeptał coś.

– Słucham?

– Cierpliwość... nie jest cnotą.

– Dlaczego, Donny?

– Czekasz, i nic się nie dzieje. Czekasz dłużej, dusisz się. Gnijesz, czas umiera.

– To ludzie umierają, czas płynie dalej.

– Nic nie łapiesz – powiedział nieco głośniejszym głosem. – Że ludzie umierają, to nieważne... pokarm dla robaków. Czas umiera, wszystko zastyga.

– Co się dzieje z czasem, kiedy pan maluje? Między wąsami i brodą pojawił się nikły uśmiech.

– Wieczność.

– A kiedy pan nie maluje?

– Spóźniam się.

– Na co?

– Z reakcjami, istnieniem... Tracę wycucie czasu. Mam chory mózg, może układ limbiczny, może płaty przedczołowe, skroniowe albo wzgórze wzrokowe. Nic nie porusza się we właściwym tempie.

– Ma pan miejsce, gdzie może pan malować? Popatrz na mnie.

– Pieprz się. Wyciągnij mnie stąd.

– Chciał pan ofiarować swoją sztukę ojcu, ale on jej nie przyjął. Kiedy zginął, chciał pan dać ją światu. Żeby pokazać, co pan potrafi.

Wciągnął wargi i przygryzł zębami.

– Zabiłeś go, Donny?

Pochyliłem się. Byłem tak blisko, że mógł odgryźć mi nos. Nie zrobił tego. Leżał nieruchomo, patrząc w sufit.

– Zabiłeś go? – powtórzyłem.

– Nie – odparł w końcu. – Spóźniłem się. Jak zwykle.

Potem zamilkł na dobre. Po dziesięciu minutach weszła pielęgniarka z włosami jak słoma. Wniosła metalową tacę, na której stał plastikowy kubek z wodą i dwie pigułki, jedna różowa podłużna, a druga biała okrągła.

– Śniadanie do łóżka – oznajmiła. – Dwustugramowe danie główne i stugramowy deser.

Donny dyszał ciężko. Zapomniał o krępujących go paskach, próbował usiąść. Szarpnął się i opadł; jego oddech przyspieszył jeszcze bardziej.

– Bez wody – wycharczał. – Nie chcę się udławić.

Pielęgniarka spojrzała na mnie, marszcząc brwi, jakby to była moja wina.

– Według zyczenia, senior Salcido. Ale jeśli pan nie połknie na sucho, nie pójde do lekarki po zgodę na zastrzyk.

– Na sucho jest dobrze, bezpiecznie. Wręczyła mi tacę.

– Proszę mu podać. Ja nie chcę stracić palców.

Donny patrzył, jak podnoszę pigułkę i zbliżam do jego twarzy. Otworzył usta. Nie miał siekaczy i większości pozostałych zębów. Owionął mnie nieświeży oddech. Wpuściłem różową pigułkę. Złapał ją na szary język, przesunął do tyłu i połknął.

– Niebo w gębie – mruknął.

Podąłem białą tabletkę. Uśmiechnął się i beknął. Pielęgniarka odebrała mi tacę z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Usiadłem.

– Możesz sobie iść – powiedział Donny. – Znudziłeś mnie.

Spytałem go, czy zdołał wejść do mieszkania ojca, co sądzi o jego bibliotece, czy czytał *Beowulfa*. Tytuł książki nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

Zareagował żywiej, kiedy wspomniałem o matce.

– Jak się miewa?

– Martwi się o pana.

– Pierdol się.

Zapytałem o sklepy ze śmiesznymi rzeczami, książki-pudełka, złamany stetoskop.

– O czym ty głądzisz, do kurwy nędzy?

– Nie wie pan?

– Za cholerę. Ale gadaj zdrów, ja odpływam. Już mi dobrze. Zamknął oczy, zwinął się w pozycji embrionalnej, na ile pozwalały skórzane kajdanki, i usnął.

Nie udawał, jego pierś unosiła się i opadała powoli, lekko. Zasnął spokojnie snem sprawiedliwego.

Opuszczając szpital, próbowałem go jakoś zaszufładkować. Napastliwy, z głębokimi zaburzeniami, ale bystry i skłonny do manipulacji.

A przy tym bojowy i uparty. Eldon Mate wprawdzie odrzucił syna bezpardonowo, lecz genów nie można oszukać.

Zero Tollrance. Zamienił się w chodzące płótno, włączył od jednego pustostanu do drugiego, oszukiwał ból narkotykami, lekarstwami, gniewem i sztuką.

Bez ustanku malował portret swojego ojca.

Ofiarował mu to, co miał najlepszego, i nieodmiennie spotykał się z odrzuceniem.

Miał dobry motyw. I z pewnością o tym myślał.

Zaprzeczył, podobnie jak Richard. Błyskotliwe, krwawe morderstwo, którym nikt nie chce się pochwalić.

Mimo wszystko wierzyłem mu. Spustoszenie w jego mózgu było prawdziwe. Tegretol to silny środek, ostatnie lekarstwo, stosowane w zaburzeniach nastroju, kiedy lit nie pomaga. Nie daje przyjemności, więc nie uzależnia. Jeśli Donny tak bardzo się go domagał, musiał naprawdę cierpieć.

Na obrazie przedstawił sekcję zwłok ojca, ale prawdziwe morderstwo wymaga kalkulacji i brutalności, której nie posiadał. Spróbowałem wyobrazić go sobie planującego wydarzenia przy MulhoUand. Obserwacja, nawiązanie kontaktu, wysłanie szyderczego listu, ukrycie stetoskopu w pudełku. A później drobiazgowe sprzątnięcie, tak by nie pozostawić ani jednej cząstki DNA.

Ten facet został brutalnie pobity i rzucony do rowu; uciekł, słysząc krzyk starej kobiety, właścicielki domu, w którym mieszkał jego ojciec.

Wzmianka o książce i stetoskopie nie wywołała u niego żadnej reakcji. Niezręczna próba wejścia do mieszkania ojca w biały dzień, na oczach pani Krohnfeld, dobitnie świadczyła, że brak mu wyrachowania. Całe życie tego człowieka było nieustannym pasmem porażek. Wątpię, czy zdołał dostać się za próg mieszkania Eldona Mate'a.

Nie, tę zabawkę musiał podłożyć ktoś nieporównanie bardziej przebiegły niż Donny Salcido Mate. Ktoś o osobowości, której charakterystykę sformułowałem na samym początku, a Fusco potwierdził moje przypuszczenia.

Inteligencja i gniew. Zewnętrzne pozory zrównowazenia i niekontrolowany gniew.

Ktoś taki jak Richard.

I jego syn. Przypomniałem sobie, jak chłopak potłukł w proch porcelanowe figurki wartości setek tysięcy dolarów.

Nie mogłem przestać myśleć o Eryku.



Przygnębiony, ruszyłem na zachód ulicą Beverly i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób Eryk mógł zwabić Mate'a na Mulholland. Chciał z nim porozmawiać o matce? O tym, co jej zrobił? Albo co zrobił dla niej. Powiedział Mate'owi, że to on go zainspirował. Odwołanie się do próżności Anioła Śmierci mogło poskutkować.

Ale jeśli to Eryk był z matką w motelu, po co miałby zabijać Mate'a? Żeby się zabezpieczyć? Nie, to bez sensu. Więc może jednak Mate brał w tym udział.

A Eryk, wiedząc o nienawiści ojca do doktora, a może nawet o układzie z Quentinem Goadem, sam postanowił działać.

Krwawa orgia, żeby zadowolić starego.

Szczęśliwej Podróży, Ty Chory Draniu. To zdanie brzmiało, jakby napisał je nastolatek. Mogłem je sobie wyobrazić w ustach Eryka.

Ale jeśli Eryk zamordował Mate'a, dlaczego teraz wyżywa się na ojcu? Czyżby wreszcie dotarło do niego, co zrobił? Czy zwrócił swój gniew przeciwko Richardowi, naśladując postępowanie ojca, tak skorego do obwiniania innych?

Ojciec i syn szepieni na podłodze jak dwaj zapaśnicy. Okładają się zaciekle, by po chwili się obejmować. Dwuznaczność. Wątpliwa zgoda.

Lecz jeśli moje podejrzenia są uzasadnione, chłopak jest nieobliczalny i niebezpieczny. Joe Safer to wyczuł, zasięgnął mojej opinii. Odpowiedziałem zdawkowo, argumentując, że muszę skupić się na Stacy, chciałem też uniknąć dodatkowych komplikacji. Teraz muszę rozważyć, czy obecność Eryka w domu stanowi zagrożenie dla Stacy. I dla Richarda.

Zadzwonię do Safera, gdy tylko dotrę do domu. Nie powiem mu o swoich podejrzeniach, zwrócę uwagę na wybuchy Eryka, obciążenie stresem, potrzebę zachowania ostrożności.

Popołudniowy tłok na drodze dawał się we znaki kierowcom – samochody przyspieszały raptownie i hamowały, zewsząd słychać było ostre słowa. Utknąłem w korku, nie zwracając na to uwagi. Myślałem o prawdziwym gniewie, o Eryku na Mulholland. Ślad po uderzeniu tępym narzędziem na głowie Mate'a. Taki jak po ciosie kijem baseballowym.

Możliwe, że chłopak zwabił Mate'a prostym kłamstwem: podał się za śmiertelnie chorego człowieka marzącego o łagodnym ukąszeniu humanitronu.

Młody podróżny płci męskiej. Mate'owi, który dość już miał napaści ze strony feministek, zarzucających mu szowinizm, spodobałaby się taka propozycja.

Spotkanie, morderstwo, a kilka tygodni później Eryk zakrada się do mieszkania Mate'a i podrzuca stetoskop.

Zostałeś wyeliminowany z interesu, doktorku.

Wysoka inteligencja i wściekłe napady gniewu. Ten chłopak ma pod dostatkiem jednego i drugiego.

Znikanie z domu w środku nocy nie było dla niego pierwszą, robił to od lat.

Helen, jego pies...

Warto zerknąć na wykaz jego telefonów i rejestr wypłat z karty kredytowej. Czy zamówił bilet na lot z Paño Alto do Los Angeles w dniu śmierci Mate'a? Czy przyleciał jeszcze raz, żeby włamać się do jego mieszkania?

Rzykowałby tylko po to, aby rzucić wyzwanie duchowi Mate'a?

A może chciał upokorzyć policję? Może mordując Mate'a, odkrył w sobie upodobanie do rozlewu krwi?

Krew i przyjemność, nierozłącznie ze sobą związane. Tak było w przypadku Michaela Burke'a. Zawsze tak się zaczyna.

To ktoś młody i bystry, a zarazem potwornie skrzywiony. Zgroza.

Chciałem podzielić się tymi myślami z Milo. Intrygujące, powiedziała by na pewno, ale to tylko teoria.

I pozostanie teorią, bo nie mogłem – nie chciałem – drążyć sprawy dalej.

Ktoś zatrąbił, ktoś zahamował z piskiem opon. Ktoś inny rzucił przekleństwo. Powietrze za szybą, ciężkie i zawiesiste jak mleko, wydawało się trujące. Siedziałem w stalowym pudle, jeden wśród tysięcy, udając, że jadę.

Godzina szesnasta. Zjadłem kanapki z wołowiną, wypłem piwo z lodówki, przeczytałem kartkę od Robin przypiętą do pudełka sałatki z kapusty. Poszła ze Spikiem do studia A&M, gdzie odbywała się sesja nagraniowa grupy utworzonej przez pewną basistkę. Spike uwielbiał rhythm-and-bluesa.

Studio znajduje się przy La Brea, niedaleko Sunset. Przejeżdżałem zaledwie kilka przecznic od tego miejsca. Statki mijające się w mroku...

Na stole w jadalni piętrzyła się poczta. Rachunki i ulotki od hochsztaplerów obiecujących nieśmiertelność. Zadzwoiłem do Safera, ale okazało się, że jest w sądzie. Nieosiągalny. Wybrałem numer Dossów.

Słuchawkę podniósł Richard.

– A więc dostał pan paczkę.

– Jaką paczkę?

– Nieważne... Co mogę dla pana zrobić?

– Dzwonię, żeby spytać, czy wszystko w porządku.

– Stacy czuje się dobrze. Poszła do szkoły. Spędzi weekend poza domem. Tak będzie lepiej – dodał ciszej.

– A Eryk?

– Jest w drodze powrotnej do Stanford. Zamówiłem mu bilet na samolot z lotniska Van Nuys.

– Myśli pan, że jest już gotów?

– Czemu nie?

– Wczoraj wieczorem...

– Wczorajszy wieczór to wypadek przy pracy, doktorze. Po tym, co przeżył, powinien wybuchnąć dawno temu. Prawdę mówiąc, cieszę się, że tak się w końcu stało. To tylko porcelana, a ja jestem ubezpieczony. Powiemy, że to był wypadek, że śruby w gablotach puściły.

– Czy Eryk poszuka czyjejs pomocy w Stanford?

– Rozmawialiśmy o tym – odparł Richard. – Zastanowi się.

– Powinien go pan skłonić...

– Doktorze, naprawdę doceniam wszystko, co pan dla nas zrobił, ale Eryk... nie czuje się pewnie w pańskiej obecności. To nie pańska wina, każdy reaguje inaczej, ma pan świetny kontakt ze Stacy, ale z Erykiem nie. Pewnie tak jest lepiej, można uniknąć rywalizacji między rodzeństwem. Proponuję, żeby skoncentrował się pan na Stacy, ja zajmę się Erykiem.

– On potrzebuje pomocy.

– Przyjąłem do wiadomości pańską opinię.

– A pan? Jak pan się czuje?

– Jestem sam. Chyba powinienem do tego przywyknąć.

– Czy mogę panu pomóc?

– Nie, dam sobie radę... Pański kumpel porucznik bardzo się stara. Nie ustaje w wysiłkach, żeby przetrząsnąć centymetr po centymetrze mój dom. Poluje na Safera, chce z nim przeprowadzić „wywiad”. To taki eufemizm. Ale nie szkodzi, każdy musi wykonywać swoją robotę. Safer mówi, że niedługo wyciągnie mnie z tego bagna. Muszę kończyć, doktorze, ktoś dzwoni na drugiej linii. Jeśli Stacy będzie pana potrzebować, skontaktuję się.

– Nie chce się umówić na spotkanie?

– Zapytam ją. Do widzenia.

Znalazłem „paczkę” w stosie korespondencji. Koperta doręczona przez kuriera, adres zwrotny firmy Richarda. W środku, zawinięty w papier firmowy, znajdował się czek na piętnaście tysięcy dolarów wypisany na rachunek firmy i kartka z wydrukowaną wiadomością:

Pan D. dziękuje za czas, który pan poświęcił jego rodzinie. Ma nadzieję, że czek okaże się wystarczający.

Terri, księgowa. Będę w kontakcie.

Wątpliwe. To moja odprawa, nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Nie mogłem rozmawiać z Milo, więc zadzwoniłem do Petry, żeby podzielić się wrażeniami ze spotkania z Donnym Salcido Mate'em. Odebrała telefon przy swoim biurku, była grzeczna jak zwykle, ale odniosłem wrażenie, że nie ma czasu. Spytałem, czy mam zadzwonić później.

– Ależ nie, za kilka minut muszę jechać na posterunek w Hollywood i napisać wstępny raport z nowego śledztwa. Chłopak poznaje dziewczynę, idzie z nią do łóżka, zabija, a potem próbuje zabić siebie. Leży podłączony do kroplówki, niektórzy niczego nie umieją zrobić porządnie. Co nowego?

Streściłem moją rozmowę z Donnym.

– Czy facet jest niebezpieczny? – spytała Petra.

– Jeśli nie zażyje lekarstw, tak. Nie mogę zareczyć, że nie zabił ojca, ale nie stawiałbym na to.

Wyjaśniłem, dlaczego tak uważam.

– Tak, to rozsądne. Przekażę wiadomość Milo, zobaczę, co powie... Słuchaj, wiem, że męczę cię z powodu Billy'ego, ale opieka nad dziećmi to nie moja działka, jestem najmłodsza z rodzeństwa. Chciałam jutro podrzucić mu jakieś książki. Co byś zaproponował?

– Billy zawsze lubił historię.

– Dałam mu już całą masę książek historycznych. Przyszło mi na myśl, że dla odmiany mógłby poczytać beletrystykę, na przykład coś z klasyki. *Nędznicy*, *Hrabia Monte Christo*, jak myślisz?

– To dobre książki.

– Cieszę się, bo nie byłam pewna. Obawiałam się tematyki: porzucenie, ubóstwo. Nie sądzisz, że te sprawy będą mu się źle kojarzyć?

– Na pewno mu to nie zaszkodzi. Takie książki przemówią do jego poczucia moralności.

– A on ma takie poczucie, prawda? Chociaż nie wiem, skąd.

– Gdybyś wiedziała, mogłabyś sprzedawać tę wiedzę.

– I zająć się czymś innym, niż teraz.

– Na przykład czym?

– Niczym – roześmiała się. – Lubię swoją robotę.

W sobotę rano obudziłem się z przekonaniem, że to Eryk jest mordercą. Nie opuściło mnie ono nawet podczas śniadania, które zjedliśmy z Robin koło sadzawki. Potem rozejrzałem się i zauważyłem, jaki piękny jest świat. Zastanowiłem się, czy nie puszczam zbyt wzdychając wyobraźni, bo nie potrafię dostrzec tego, co wspaniałe. W końcu nic nie świadczyło o tym, że chłopak – lub jego matka – kontaktowali się z Mate'em.

Notatki Mate'a mogłyby rzucić światło na tę sprawę, a byłem pewien, że takowe istnieją ponieważ doktor uważał swoją działalność za ważną z historycznego punktu widzenia, i pewnie chciał, żeby każdy jej szczegół został przekazany potomności.

Milo twierdził, że są w posiadaniu Haiseldena, i pewnie miał rację. Teraz, kiedy podejrzenie padło na Richarda, a motywy zniknięcia adwokata stały się jasne, Milo nie będzie go poszukiwał.

Jak dotąd nie wniesiono przeciwko niemu oskarżenia, lecz konsekwencją oskarżenia o znęcanie się było to, że inni policjanci będą go szukać i może któryś z nich dostanie zezwolenie na rewizję. Pozew cywilny wpłynął jednak w Baldwin Park, a ta dzielnica podlega jurysdykcji szeryfa. Jediną znaną mi osobą z otoczenia szeryfa był Ron Banks, detektyw ze śródmiejskiego wydziału zabójstw, chłopak Petry Connor. Tylko raz się z nim spotkałem, co nie uprawniało mnie do tego, żeby prosić go o przysługę.

Pozmywaliśmy naczynia i poszliśmy z Robin na zakupy do sklepu spożywczego, a później pospacerowaliśmy z psem po wzgórzach. Robin położyła się, a ja włączyłem komputer, żeby poszperać trochę w Internecie. Nie było nic nowego na temat Mate'a oprócz elektronicznych plotek w kawiarence zwolenników prawa do śmierci, gdzie ludzie ci realizowali swoje konstytucyjne prawo do paranoi.

Czy ponosi mnie wyobraźnia, zastanawiał się ktoś o pseudonimie Whiteknight, kiedy wydaje mi się, że po śmierci doktora Mate'a ktoś próbuje uciszyć ludzi rzucających wyzwania

Wiadomym Siłom?

O nie, odpowiedziała Funnigirl. Słyszałam, że policja z różnych miast łączy siły i tworzy specjalne oddziały do zwalczania eutanazji. Plan zakłada zabijanie ludzi tak, żeby wyglądało to na robotę zwolenników prawa do śmierci. Można się domyślać, skąd przyszedł rozkaz.

Każdy może mieć pomysł na scenariusz thrillera. Wyłączyłem się.

Zapiski Mate'a... Czyżby nadszedł czas na złożenie drugiej wizyty uroczej Alice Zoghbie? Moim zdaniem to nie Haiselden miał dziennik doktora, ale leżał on spokojnie w małym waniliowym domku w Glenmont.

Alice Zoghbie nie miała powodu, żeby zacząć mówić.

Chyba że wskazałbym różnice między samobójstwem Joannę i śmiercią innych podróżnych Mate'a. Mógłbym powiedzieć Alice Zoghbie, że Mate nie miał nic wspólnego ze śmiercią Joannę, że Richard zabił jej idola za nic, uczynił z niego kozła ofiarnego, jak twierdziła.

Wiadomość o zatrzymaniu Richarda mogła ją poruszyć. Możliwe, że zaczęła się zastanawiać nad ujawnieniem swojej wiedzy. Jeśli tak, mogłem przechylić szalę, obrócić jej żal na moją korzyść.

Zakrawało to na manipulację, ale miałem do czynienia z kimś, kto uważał, że chorych i niepełnosprawnych należy zachęcać do odebrania sobie życia.

W najgorszym razie trzaśnie mi drzwiami przed nosem. Nic nie miałem do stracenia, bo w tej chwili byłem w gruncie rzeczy bezużyteczny.

Do Glendale dotarłem w ciągu trzydziestu pięciu minut. W porannym świetle domek Alice Zoghbie sprawiał wrażenie jeszcze ładniejszego; kwiaty na grządkach wyglądały jak malowane kredką, miedziany kurek drżał od wietrzyku, którego nawet nie czułem. Na kamiennym podjeździe tak jak za pierwszym razem stało białe audi. Na przedniej szybie zebrała się warstewka kurzu.

Ulica była nieco bardziej ruchliwa niż podczas mojej pierwszej wizyty. Jakiś starszy mężczyzna zamiatał ganek, dwoje młodych ludzi, kobieta i mężczyzna, wyjeżdżało samochodem z garażu.

Zastukałem w drzwi kołatką w kształcie głowy kozła. Cisza. Uderzyłem ponownie, mocniej, ale i tym razem nikt nie odpowiedział.

Minąłem samochód na podjeździe i podeszedłem do drewnianej bramy. Słysząc było brzęczenie pszczoł, latały motyle. Zawołałem głośno, ale nikt się nie odezwał. Do ściany budynku przylegały kwiaty, w kuchni paliło się światło.

Brama była tylko przymknięta. Pchnąłem ją i ruszyłem kamienną ścieżką, ocienioną artretycznymi konarami starego sykomora o korze znaczonej bliznami. Do drzwi kuchni prowadziła niewielka pochyła rampa. Zerknąłem do środka przez cztery warstwy szkła. Światła

zapalone, lecz w środku nie było nikogo. Naczynia w zlewozmywaku, na blacie karton mleka i połówka pomarańczy. Owoc był lekko poczerniały. Zapukałem. Cisza. Zszedłem po rampie i ruszyłem wzdłuż ścian domu, zerkając przez okna, nasłuchując. Tylko brzęczenie pszczoł.

Niewielkie podwórko było pięknie zaaranżowane. Żywopłot z włoskich cyprysów z dwóch stron zasłaniał widok na podwórka sąsiadów, środkową część stanowił wysoki drewniany parkan. Wiktoriańskie meble ogrodowe, klomby kwiatów, które kwitną nawet w cieniu. Nad ciemnym podwórkiem rozpościerała się korona drugiego sykomora, jeszcze większego niż ten rosnący od frontu, do którego grubych konarów przywiązano pleciony hamak.

Pień gruby jak dwoje ludzi.

Dwoje ludzi opartych o niego.

Brzęczenie stało się głośniejsze. To nie pszczoły, lecz rój much.

Oba ciała przywiązano do drzewa grubym sznurem na wysokości klatki piersiowej i pasa. Na powrozie widać było bordowe, brązowe i czarne plamy.

Między palce rąk i nóg trupów zapuszczały się już owady. Kobieta osunęła się na lewy bok. Miała na sobie niebieską domową sukienkę w kwiatowe wzory, z elastyczną opaską na szyję, dzięki której morderca mógł ściągnąć sukienkę w dół bez rozrywania. To, co zostało z jej piersi, było odsłonięte. Uniesiona nad biodra sukienka odsłaniała podniesione, rozłożone kolana. Z rozległych ran na uda i trawę spłynęła czerwono-czarna posoka. W miejscach, gdzie nie osiadła krew, mięso miało zielonkawy odcień.

Na brzuchu widać było wycięte trzy trójkąty. Głowa opadła na klatkę piersiową, więc nie widziałem twarzy. Koło szczęki dostrzegłem czarny naszyjnik. Gęste białe włosy, błyszczące w miejscach niezastłoniętych przez muchy, świadczyły, że są to zwłoki Alice Zoghbie.

Zielone szorty, zdjęte z mężczyzny, złożono koło jego lewej nogi, niebieską koszulkę podwinęto tak, by odsłonić sutki. Był to rosły ciężki mężczyzna o zwiotczałych mięśniach. Pamiętałem z telewizji sztywną rudawą perukę.

Na brzuchu Roya Haiseldena też widniały trójkąty, zniekształcone przez wypukłość ciała. Głowa zwisała na prawe ramię, jakby nachylał się do Alice Zoghbie, żeby usłyszeć jej szept.

Z twarzy zostało niewiele. Obcięte genitalia, skurczone i pomarszczone, leżały w trawie obok jego nóg. Muchy uwijały się tam ze szczególną ochotą.

Palce lewej dłoni Haiseldena splotły się z palcami Alice Zoghbie.

Dwoje ludzi trzymających się za ręce.

Oblał mnie lodowaty pot; wstrzymałem oddech, ale w głowie kłębiły się setki myśli. Przeniosłem wzrok o kilka metrów w lewo. Stał tam pleciony koszyk piknikowy i oparta o niego wysoka zielona butelka z szyjką w srebrnej folii. Szampan. Na wierzchu koszyka widać było dwa maleńkie słoiki ze złotymi wieczkami.

Stałem za daleko, by odczytać nalepki, a wiedziałem, że nie wolno mi się zbliżyć, bo

mógłbym zatrzeć ślady.

Czerwony słoik i czarny słoik. Czyżby kawior?

Szampan i kawior, piknik wyższych sfer. Bose stopy i domowa sukienka Alice Zoghbie świadczyły o tym, że żadne z nich nigdzie się nie wybierało.

Upozowani jak do zdjęcia.

Ironia.

Duża, metalicznie błyszcząca mucha usiadła na lewej piersi Alice Zoghbie, poruszyła się, zatrzymała, a potem wzniosła się i poleciała w moim kierunku.

Wyszedłem przez bramę. Zostawiłem odciski palców na klamce i wiedziałem, że niedługo ktoś będzie chciał ze mną porozmawiać. Nie zamknąwszy bramy, minąłem audi i ruszyłem do samochodu.

Staruszka nie było już na ganku; pewnie wszedł do domu. Na ulicy panował bezruch. Pięknie utrzymane trawniki, po których uganiały się wróble. Kiedy pojawią się sępy?

Odetchnąłem dopiero za kierownicą.

Byłem ostatnim człowiekiem w Los Angeles, który nie miał cholernej komórki.

Dojechałem do stacji benzynowej przy Verdugo Road zlany potem. Zaparkowałem koło automatu telefonicznego, zebrałem się w sobie i wysiadłem. Ludzie tankowali paliwo, a ja starałem się, żeby wyglądać inaczej niż się czuję.

Podwójnego morderstwa dokonano na terenie podlegającym komendzie Glendale. A niech tam, pomyślałem, wybierając numer Milo.



Kiedy może wrócić? – Chyba pojechał do śródmieścia odwalić jakąś papierkową robotę – odparła jakaś kobieta, której nie znałem. – Mogę pana połączyć z detektywem Kornem. Pracuje z porucznikiem Sturgisem. Poproszę o pańskie nazwisko.

– Nie, dziękuję.

– Jest pan pewien?

Miała przyjemny głos, więc podałem jej szczegóły mojego makabrycznego znaleziska i odłożyłem słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Wracałem do domu z nadzieją, że nie zastanę tam nikogo, że będę miał czas odetchnąć i uporządkować swoje myśli.

Nadal trząsałem się z odrazy i pociłem obficie. Obraz trupów nie dawał mi spokoju.

Byliśmy u Alice Zoghbie razem z Milo zaledwie pięć dni temu.

Skóra jeszcze nie zaczęła się rozkładać, nie było larw, mięso miało zielonkawy odcień... Nie byłem biegłym patologiem, ale widziałem dość trupów, aby ocenić, że od morderstwa upłynęły najwyżej dwa dni. Będzie to można ustalić na podstawie wykazu rozmów telefonicznych i poczty.

Stali oparci o pień drzewa, ze splecionymi dłońmi, na pikniku.

Zabił ich ktoś dość przebiegły, by poradzić sobie z roslym mężczyzną, jakim był Haiselden i Alice Zoghbie, która wspinała się w Himalajach.

To musiał być ktoś, kogo znali. Wspólnik.

Poczucie odrazy nie ustąpiło, lecz dołączyła do niego dziwna, jakby młodzieńcza radość.

Ani Eryk, ani Richard. Nie mieli motywu, a miejsce ich pobytu w ciągu dwóch albo nawet trzech dni było dobrze znane. To samo dotyczyło Donny'ego Salcido.

Stali oparci o drzewo, mieli geometryczne nacięcia. To znaki firmowe Michaela Burke'a. Czas ponownie zajrzeć do wielkiej czarnej księgi Leimerta Fusco.

I zadzwonić do niego. Ale Milo miał prawo wiedzieć pierwszy.

Pędziłem z nadmierną prędkością trasą numer sto trzydzieści cztery, ciągle licząc, że zastanę pusty dom i myśląc o Haiseldenie, który ukrywając się przed procesem cywilnym, wpakował się w coś znacznie gorszego.

Pewnie był u Alice przez cały czas... Przypomniałem sobie telefon, który odebrała podczas naszej wizyty. Później zrobiła wszystko, żeby się nas pozbyć. Jej wspólnik chciał się pewnie dowiedzieć się, czy droga wolna.

Byli we dwoje w domu Alice. I ktoś, kogo znali, szanowali i komu ufali. Młody, inteligentny lekarz, pomocnik Mate'a.

Policjanci z Glendale na pewno wyruszyli już na miejsce zbrodni. Zdejmą moje odciski z bramy i za kilka dni skojarzą je z odciskami w archiwum w izbie lekarskiej w Sacramento.

Trzeba szybko zawiadomić Milo.

Jeśli nie uda mi się z nim skontaktować, czy powinienem pójść prosto do Fusco? Agent uprzedzał, że leci do Seattle. Chciał się przyjrzeć niewyjaśnionym morderstwom na tamtym terenie... Czy miał na myśli coś konkretnego?

Ostatnią ofiarą w Seattle była Marissa Bonpaine. W ściółce znaleziono plastikową strzykawkę, która została skatalogowana i zapomniana.

To nie mógł być przypadek.

Fusco zostawił mi numery swojego pagera i telefonu kontaktowego, ale oba były w aktach Burke'a.

Nacisnąłem pedał gazu; wskazówka prędkościomierza pokazała sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Otworzyłem frontowe drzwi. Moje modlitwy zostały wysłuchane: samochodu Robin nie było. Popędziłem do gabinetu z poczuciem winy, że tak się cieszę.

Wybrałem numer Milo, znowu bezskutecznie, i pomyślałem, że im prędzej to zrobię, tym lepiej. Zadzwoiłem na pager Fusco, potem na numer kontaktowy, który mi podał. Nie odezwał się. Można pomyśleć, że jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi. Zadzwoiłem po raz kolejny do Milo, wybrałem numer biura FBI w Westwood i spytałem o agenta specjalnego Fusco. Operatorka kazała mi zaczekać, a potem połączyła z jakąś kobietą o gardłowym głosie piosenkarki z nocnego klubu, która zapytała o moje nazwisko i numer telefonu.

– Czy mam mu przekazać, o co chodzi?

– On będzie wiedział.

– Nie ma go w biurze. Przekażę wiadomość.

Wyjąłem czarną teczkę i otworzyłem; trupy oparte o drzewa, geometryczne rany – podobieństwa wydawały się oczywiste.

Wszystkie moje hipotezy na temat rozpadu rodziny Dossów, dziwnego zachowania Judy Manitow i jej męża okazały się nietrafione – mieliśmy do czynienia z jeszcze jednym psychopata. Przekartkowałem raporty policyjne, znalazłem część poświęconą morderstwom w Seattle i Marissie Bonpaine. Czytałem właśnie informacje zapisane drobnym drukiem, kiedy usłyszałem dzwonek.

Zostawiłem teczkę otwartą na biurku i poszedłem do frontowych drzwi. Przez judasza zobaczyłem kobietę i mężczyznę; oboje byli biali, nieco po trzydziestce, i mieli twarze pozbawione wyrazu.

Najwyraźniej byli partnerami. Misjonarze? Przydałoby mi się trochę wiary, ale nie byłem

w nastroju do kazań.

– Tak? – powiedziałem przez drzwi.

Odpowiedziała kobieta.

– Doktor Delaware? Jesteśmy z FBI. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Chropawy głos piosenkarki z nocnego klubu.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, w wizjerze ukazała się odznaka. Otworzyłem drzwi.

Kobieta uśmiechała się, ale jakby z bólem. Nadal trzymała w dłoni odznakę.

– Agentka specjalna Mary Donovan, a to agent specjalny Mark Bratz. Czy możemy wejść?

Mary Donovan miała około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, krótkie, jasnobrązowe włosy i wyrazistą szczękę; mocną sylwetkę z wydatnym biustem opinał grafitowo-czarny kostium. Rumiana cera, aura pewności siebie. Mark Bratz był o pół głowy wyższy, miał ciemne, już przeredzone włosy, senne oczy i okrągłą twarz dziecka, które łatwo zranić. Cera wyglądała na podrażnioną, koło ucha miał przyklejony niewielki plaster. Był ubrany w granatowy garnitur, białą koszulę i szaroniebieski krawat.

Cofnąłem się, robiąc im przejście. Stanęli oboje w holu, rozglądając się. Zaprosiłem ich do środka.

– Dziękujemy, że zechciał nam pan poświęcić swój czas – powiedziała Mary Donovan z uśmiechem, siadając w najwygodniejszym fotelu. Dużą czarną torbę z tkaniny położyła na podłodze.

Bratz czekał, aż usiądę, a potem zajął miejsce naprzeciwko koleżanki, tak że znalazłem się między nimi. Starłem się zachowywać swobodnie. Pamiętałem o otwartej teczce na biurku, próbowałem zapomnieć o tym, co widziałem w Glendale.

– Ładny dom – zauważył Bratz. – Taki jasny.

– Dziękuję. Czy mogę spytać, czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Świetnie – odezwała się Mary Donovan. – Może sam pan zgadnie?

– Pewnie chodzi o agenta Fusco.

– O pana Fusco.

– Nie pracuje w FBI?

– Już nie – odparł Bratz wysokim, niepewnym głosem chłopca zapraszającego dziewczynę na randkę. – Pan Fusco odszedł z FBI jakiś czas temu, a właściwie został o to poproszony.

– Ze względu na sprawy osobiste – dodała agentka. Wyjęła z torebki notatnik i dyktafon i położyła na stoliku do kawy. – Czy nie ma pan nic przeciw temu, żebym nagrywała?

– Co chce pani nagrywać?

– Pańskie spostrzeżenia na temat pana Fusco.

– Powiedzieli państwo, że został usunięty ze względu na sprawy osobiste. Czy chodzi o sprawy kryminalne? Jest niebezpieczny?

Mary Donovan zerknęła na partnera.

– Czy mogę nagrywać?

– Może tak, jeśli się dowiem, o co chodzi.

Agentka stuknęła paznokciami w dyktafon. Miała zaskakująco długie paznokcie. Jej szminka była subtelna w przeciwieństwie do wyrazu twarzy. Nie przepadała za cywilami, którzy nie chcieli stanąć w szeregu.

– To leży w pańskim interesie...

– Muszę wiedzieć. Czy Fusco jest podejrzany o popełnienie jakichś przestępstw? – spytałem, mając na myśli wielokrotne morderstwo.

– W tej chwili staramy się go po prostu znaleźć. Chcemy mu pomóc – odparła agentka Donovan, dotykając palcem przycisku z napisem Nagrywanie.

Potrząsnąłem głową.

– Możemy pana przesłuchać u nas, jeśli będzie trzeba.

– To zajęłoby dużo czasu i wymagało papierkowej roboty, a coś mi mówi, że w tej sprawie liczy się czas – odparłem. – Ale jeśli powiedzą mi państwo, o co chodzi, chętnie zgodzę się współpracować i może wszyscy będziemy mogli cieszyć się weekendem.

Mary Donovan zerknęła na partnera. Nie zauważyłem, żeby wymienili jakiś sygnał, ale gdy się odwróciła, jej wyraz twarzy złagodniał.

– Powiem panu nawet więcej, niż to konieczne. Leimert Fusco był wybitnym pracownikiem FBI. Pewnie słyszał pan o Zespole Nauk Behawioralnych w Quantico? Pan Fusco należał do założycieli tego wydziału. Właściwie powinnam o nim mówić doktor Fusco. Ma dyplom doktora psychologii, tak jak pan.

– Powiedział mi o tym. Dlaczego poproszono go o odejście z FBI? Bratz oparł się o blat stołu i włączył dyktafon.

– Gdzie go pan spotkał?

– Przepraszam, ale to mi przeszkadza – powiedziałem. Było mi przykro z innego powodu. Parę minut temu zdawało mi się, że Michael Burke jest prawdziwym Doktorem Śmierć. Jeśli Fusco kłamał, scenariusz można było wrzucić do kosza.

– O co chodzi? – spytała agentka.

– O to, że mnie nagrywacie, a ja nie wyrobiłem sobie jeszcze zdania. Spotkałem się z Fusco, rozmawiałem z nim. Chcę wiedzieć, z kim miałem do czynienia.

Agenci ponownie wymienili spojrzenia. Mary Donovan uśmiechnęła się i założyła nogę na nogę. Miała nogi krótkie, ale kształtne. Łydki biegaczki. Bratz zerknął na nie, jakby jeszcze nie zdążył się napatrzeć. Ciekawe, od jak dawna ze sobą pracują.

– Zgoda – powiedziała, nagle rozpromieniona. Potrząsnęła włosami i przełożyła nogi, przysuwając się do mnie. Jakbym widział seminarium dla agentek FBI. Dążyć do nawiązania

dobrego kontaktu z przesłuchiwanym wszelkimi dozwolonymi środkami. – Ale najpierw proszę powiedzieć, jak pan go poznał. Fusco skontaktował się z detektywem Sturgisem i poprosił o spotkanie z panem w celu omówienia sprawy morderstwa – najprawdopodobniej doktora Mate'a – ponieważ jest pan konsultantem psychologicznym w tym śledztwie. Oświadczył, że wie, kto jest mordercą. – Uśmiech. – Jak mi idzie?

– Bardzo dobrze – odparłem.

– Michael Burke – powiedział Bratz. – Chciał, żeby pan uwierzył w istnienie Michaela Burke'a.

– Czy Burke to wymysł?

– Powiedzmy, że doktor Fusco ma obsesję – odparł Bratz, wzruszając ramionami.

– Na punkcie Burke'a.

– Można tak powiedzieć – potwierdziła agentka.

– Czy to znaczy, że Fusco wymyślił Burke'a?

Mary Donovan zerknęła na dyktafon i wyłączyła go.

– Opowiem panu wszystko, ale musi pan to zachować w tajemnicy. Doktor Fusco dał się poznać jako świetny agent. Przez kilka lat sprawował funkcję dyrektora wydziału nauk behawioralnych w naszym biurze na Manhattanie. Pięć lat temu jego żona zmarła na raka piersi i Fusco został sam z córką, czternastoletnią Victorią. Śmierć pani Fusco stała się dla jej męża tym cięższym doświadczeniem, że Victoria również miała raka, tyle że kości. Stwierdzono to kilkanaście lat wcześniej, gdy była jeszcze niemowlęciem. Przeszła kurację w Sloan-Kettering, zdawało się, że skuteczną. Jakiś czas po śmierci żony Fusco poprosił o przeniesienie, stwierdził, że chce wychowywać Victorię w spokojniejszym otoczeniu. Znalezione mu posadę w naszym biurze w Buffalo; kupił dom koło jeziora Erie.

– Nie chodziło mu o awans – zauważyłem. – Myślał o córce.

Mary Donovan skinęła głową.

– Przez kilka lat wszystko było dobrze, a potem, w wieku szesnastu lat dziewczynka znów zachorowała. Na białaczkę. Prawdopodobnie spowodowaną dawką promieniowania, którą otrzymała podczas leczenia raka kości.

– Wtórny rak – powiedziałem. Rzadko się zdarza, ale jednak. Widziałem takie przypadki w szpitalu Western Pediatrics.

– Tak jest. Agent Fusco zaczął przywozić córkę do Nowego Jorku do Sloan-Kettering. Objawy ustąpiły, potem znowu wróciły, lekarze zastosowali chemioterapię, znów nastąpiła poprawa, a później osłabienie, podano jej jakieś eksperymentalne leki, ale osłabienie się pogłębiło. Agent Fusco postanowił kontynuować leczenie bliżej, wybrał szpital w Buffalo. Chodziło o wzmocnienie odporności na tyle, by dziewczynka wytrzymała przeszczep szpiku kostnego w nowojorskim szpitalu. Jej stan poprawił się na jakiś czas, ale dostała zapalenia płuc,

ponieważ chemioterapia osłabiła system immunologiczny. Zatrzymano ją w szpitalu, gdzie niestety zmarła.

– Lekarze spodziewali się tego?

– O ile wiemy, nie było to dla nich zaskoczeniem, ale też nie musiało się tak skończyć.

– Jedna z tych sytuacji, w których szanse układają się pięćdziesiąt na pięćdziesiąt – dodał Bratz.

– Szpital w Buffalo. Czy opiekował się nią technik respiracyjny nazwiskiem Roger Sharveneau? – spytałem.

Mary Donovan zmarszczyła brwi i spojrzała na partnera, który potrząsnął głową, ale odrzekł:

– Możliwe.

– Możliwe?

– Roger Sharveneau miał dyżur podczas ostatniej hospitalizacji Victorii. Nie udało się ustalić, czy rzeczywiście się nią zajmował.

– Brak danych w archiwum? – spytałem.

– Co to za różnica? – spytał Bratz.

– Czy Michael Burke również tam pracował? Bratz zmrużył oczy.

– Żadne zapisy nie świadczą o tym, że Burke opiekował się Victorią – powiedziała Mary Donovan.

– Ale tam był, zatrudniony pewnie na pół etatu w pogotowiu – powiedziałem.

Milczeli.

– Kiedy Fusco nabrał przekonania, że któryś z tych dwóch, Burke albo Sharveneau, zamordował jego córkę?

– Parę miesięcy później, po tym, jak Sharveneau zaczął mówić. Fusco twierdził, że go rozpoznał, że widział go w pokoju Victorii w czasie, gdy nie miał żadnego powodu, aby tam być. Próbował przesłuchać Sharveneau w areszcie, ale nie otrzymał pozwolenia od policji w Buffalo, ponieważ FBI nie brało udziału w śledztwie, a w przypadku Fusco była to wyłącznie sprawa osobista. Źle to przyjął. Po zwolnieniu Sharveneau nie dał za wygraną naprzykrzał się jego adwokatowi. Stawał się coraz bardziej... wybuchowy. Nie zrezygnował ze śledztwa nawet po samobójstwie Sharveneau.

– Czy Fusco był podejrzany o spowodowanie śmierci Sharveneau? – spytałem.

Znów się zawahali.

– Nie, nigdy. Sharveneau ukrywał się i nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że Fusco go odnalazł. Wyniki pracy agenta Fusco znacznie się pogorszyły, więc wysłano go z powrotem do Quantico. Miał uczyć tworzenia profili psychologicznych na kursie dla początkujących. Chodziło o to, żeby się uspokoił. Wydawało się, że metoda jest skuteczna. Fusco sprawiał wrażenie spokojniejszego, bardziej zrównoważonego. Ale okazało się, że to tylko

wybieg. Większość energii poświęcał na poszukiwanie Burke'a, wchodzenie do różnych baz danych bez zezwolenia. Wezwano go na spotkanie z przełożonymi w Nowym Jorku, podczas którego dowiedział się, że odchodzi na rentę z powodu niezdolności do wykonywania pracy.

– Emocjonalnej niezdolności – dodał Bratz.

– Uważacie państwo, że ma poważne zaburzenia psychiczne? Że stracił kontakt z rzeczywistością?

Bratz odetchnął głęboko. Widać było, że czuje się nieswojo.

– Poznał go pan, doktorze – odezwała się Mary Donovan. – Jakie jest pańskie zdanie?

– Odniosłem wrażenie, że jest skupiony na tym, co robi, i że myśli sprawnie.

– Otóż to, doktorze. Jest za bardzo skupiony. Zdążył już popełnić sporo przestępstw.

– Poważnych?

– Przeważnie kradzieży.

– Czego?

– Danych policyjnych z wielu miejsc. I nadal podaje się za agenta. Gdyby to się wydało... Doktorze, FBI rozumie nieszczęście, jakie go spotkało. Szanujemy go... Za to kim był. Nikt nie chce, żeby skończył w więzieniu.

– Czy myli się co do Burke'a? – spytałem.

– Tu nie chodzi o Burke'a – powiedział Bratz.

– Dlaczego?

– Nam nie chodzi o Burke'a – sprostowała Mary Donovan. – Prowadzimy wewnętrzne śledztwo, nie zajmujemy się zewnętrznymi sprawami kryminalnymi. Sprawę agenta Fusco zaliczono do wewnętrznych.

– Czy ktoś z FBI prowadzi śledztwo w sprawie Michaela Burke'a?

– Nie mamy dostępu do takich informacji. Nasz cel jest prosty: mamy aresztować Leimerta Fusco dla jego własnego dobra.

– Co się z nim stanie, kiedy go znajdziecie?

– Zajmiemy się nim.

– Trafi do więzienia?

Mary Donovan zmarszczyła czoło.

– Zaopiekujemy się nim. Będziemy go traktować humanitarnie. Proszę zapomnieć o filmach, które pan widział. Doktor Fusco jest teraz prywatną osobą i cieszy się takimi samymi prawami, jak wszyscy. Pozostanie pod opieką tak długo, aż uznamy, że jest w pełni władz umysłowych... To dla jego dobra, doktorze. Nikt nie chce, żeby człowiek jego formatu i o takim doświadczeniu trafił do więzienia.

– Szukaliśmy go od pewnego czasu i wreszcie zdołaliśmy ustalić, że jest w Los Angeles. Umie zacierać ślady, kupił sobie komórkę na inne nazwisko, ale ustaliliśmy numer, który

doprowadził nas do mieszkania w Culver City. Zanim tam dotarliśmy, już go nie było. Spakował rzeczy i znikł. Pan zadzwonił akurat wtedy, kiedy byliśmy w tutejszej siedzibie FBI.

– Mieli państwo szczęście.

– Gdzie on jest, doktorze?

– Nie wiem.

Bratz zacisnął dłonie.

– Dlaczego próbował się pan z nim skontaktować?

– Żeby porozmawiać o Michaelu Burke'u. Pewnie państwo wiedzą, że jestem konsultantem psychologicznym policji. Poproszono mnie, żebym współpracował z Fusco. To wszystko.

– Niech pan da spokój, doktorze. Nie chce pan chyba znaleźć się w trudnej sytuacji. Wkrótce skontaktujemy się z porucznikiem Sturgisem i dowiemy się prawdy.

– Bardzo proszę.

Bratz przysunął się bliżej; poczułem zapach miętowej wody kolońskiej. Wysunął szczękę. Jego twarz straciła bezbronny wyraz.

– Czemu tak pana obchodzi Burke? Podejrzany w sprawie morderstwa doktora Mate'a został ujęty.

– Chcę doprowadzić sprawę rzetelnie do końca.

– Rzetelnie – powtórzył Bratz. – Tak jak Fusco.

– Niektórzy uważają, że ma pan obsesję – powiedziała agentka Donovan.

Uśmiechnąłem się. Niedługo policja znajdzie moje odciski palców na bramie domu Alice Zoghbie.

– Można pomyśleć, że przeglądali państwo moją teczkę.

– My też potrafimy być rzetelni.

– Świat byłby lepszy, gdyby wszyscy tak postępowali – odrzekłem. – Pociągi chodziłyby punktualnie.

Bratz potarł zaczerwienioną skórę na szczęce i zerknął na dyktafon. Nie nagrało się nic ważnego.

– Myślisz, że to jakiś żart, przyjacielu? Że siedzimy tu dla przyjemności, żeby pieprzyć o głupotach?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Wątpię, czy sprawia to wam większą przyjemność niż mnie, ale fakty są takie, jakie są. Spytaście, czy wiem, gdzie jest Fusco, i odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Powiedział, że wyjeżdża z miasta i zostawił mi numer telefonu komórkowego. Dzwoniłem, nie odebrał, więc zatelefonowałem do siedziby administracji federalnej. Nie podpowiedział mi tego, więc jest oczywiste, że nie spiskujemy ze sobą.

– Jaki numer panu podał?



– Proszę poczekać, zaraz go znajdę.

– Czekamy z niecierpliwością – powiedział Bratz, ledwie otwierając usta.

Wszedłem do gabinetu, schowałem czarną teczkę do szuflady, przepisałem numer i wróciłem. Bratz stał, przyglądając się grafikom na ścianie. Mary Donovan siedziała ze ściśniętymi kolanami. Podałem jej kartkę.

– To ten sam, który mamy – powiedziała do partnera.

– Jedziemy – rzucił Bratz.

– Nawet gdyby Fusco zostawił mi szczegółowy plan swoich podróży, dlaczego miałbym uwierzyć wam, a nie w to, co mi powiedział?

– Twierdzi pan, że Fusco opowiedział panu o Burke’u, a potem zniknął.

– Opowiedział Sturgisowi i mnie. Spotkaliśmy się w trójkę, jak sam pan wcześniej zauważył.

– Gdzie?

– W restauracji Mort Deli. Sturgis nie kupił hipotezy Burke’a, zrzucił sprawę na mnie. Jak powiedzieliście, ma podejrzanego.

– A pan co sądzi?

– O czym?

– O Burke’u.

– Potrzebuję więcej danych. Właśnie dlatego próbowałem nawiązać kontakt z Fusco. Gdybym wiedział, że to takie skomplikowane...

– Żeby było jasne: jeśli Fusco dalej będzie improwizował, sytuacja może się naprawdę skomplikować.

– Jasne – powiedziałem. – Zbuntowany agent, biegły psycholog, schodzi na złą drogę. Musielibyście się gęsto tłumaczyć przed opinią publiczną.

– Czy jest coś złego w tym, że próbujemy chronić integralność FBI po to, aby mogło wykonywać swoje obowiązki?

– Ależ skąd. Nie ma nic złego w integralności.

– Słusznie, doktorze – powiedziała Mary Donovan. – Niech pan zadba o swoją.

Patrzyłem, jak odjeżdżają granatowym wozem typu sedan.

Zarzucili Fusco, że ma obsesję, lecz nie podważyli zasadności śledztwa, które prowadzi. Żandarmeria. To nie ich problem.

Co oznacza, że ktoś inny w FBI szuka Michaela Burke’a. Albo nikt.

Kiedy zostanie ujawnione morderstwo Alice Zoghbie i Haiseldena, Fusco zacznie węszyć ze zdwojoną energią. Spróbuje się skontaktować z Milo, pewnie przyleci do Los Angeles. I wtedy jego dawni koledzy wsadzą go do aresztu. Dla jego dobra.

Tragiczne życie, ale nie miałem czasu roztkliwiać się nad nim. Wróciłem do gabinetu i zadzwoniłem jeszcze raz do Milo. Odważyłem się zadzwonić na komendę, przygotowany na to,

że zmienię głos, jeśli odbierze ta sama dyżurna.

Ale tym razem słuchawkę podniósł jakiś facet o znudzonym głosie i połączył mnie z wydziałem rabunków i zabójstw.

Poznałem Dela Hardy'ego. Dawno temu Milo pracował z tym detektywem-weteranem. Del był Murzynem, co nie miało znaczenia, ale za drugim razem ożenił się z gorliwą baptystką, która zaprotestowała przeciwko jego współpracy z Milo. Del w przyszłym roku odchodził na emeryturę i planował, że przeniesie się na Florydę.

– Pracujesz w sobotę, Del?

– Byle nie w niedzielę, doktorku. Jak tam gra na gitarze?

– Trochę ją zaniedbałem. Widziałeś ostatnio naszego dryblasa?

– Godzinę temu. Powiedział, że jedzie do domu sędziego MacIntyre'a po jakiś nakaz. To w Pasadenie, mogę ci dać numer, jeśli to ważne. Ale sędzia MacIntyre wścieka się, kiedy ktoś zakłóca mu weekend, więc może spróbuj zadzwonić na komórkę Milo.

– Już dzwoniłem. Nie odebrał.

– Może wyłączył, żeby nie wkurzać sędziego.

– Ostry gość?

– MacIntyre? Tak, ale zawsze trzyma się prawa. Jeśli uważa, że masz rację, daje ci wolną rękę.

– O co chodzi? – spytała jakaś kobieta lodowatym głosem.

– Jestem konsultantem policyjnym w sprawie o morderstwo. Muszę się skontaktować z detektywem Sturgisem, to bardzo ważne. Czy on tam jest?

– Chwileczkę.

Wróciła po czterech minutach.

– Porucznik właśnie wychodzi. Powiedział, że sam do pana zadzwoni.

Milo odezwał się po kwadransie.

– Co jest takie ważne, Alex? Skąd wytrzasnąłeś numer sędziego? O mało wszystkiego nie popsułeś. Właśnie załatwiałem papier na Dossa. I załatwiłem.

– Przykro mi, ale traciłeś czas. – Opowiedziałem mu o tym, co zastałem na podwórku domu Alice Zoghbie i moich odciskach na bramie. Potem zrelacjonowałem rozmowę z operatorką.

– To jakiś żart?

– Ha ha ha. Zapadła dłuższa cisza.

– Po co tam poszedłeś? – spytał Milo.

– Z nudów, a może żeby się pochwalić sukcesami w śledztwie, co za różnica? Tak czy siak, sytuacja całkowicie się zmieniła.

– Gdzie jesteś?

– W domu. Właśnie odprawiłem dwoje gości. – Zacząłem opowiadać o wizycie dwojga agentów.

– Poczekaj – przerwał mi – jadę do ciebie. Albo nie, lepiej spotkajmy się gdzie indziej, bo mogą cię obserwować. Wjechałem na trasę sto dziesięć, więc może gdzieś w centrum... Pico-Robertson, parking za sklepem Millera, w południowo-wschodnim rogu. Jeśli się spóźnię, kup sobie jakieś džinsy.

I rozglądaj się, czy federalni przyczepili ci ogon. Wątpię, czy używają dwóch wozów, więc jeśli będziesz uważał, zobaczysz ich. Widziałeś, jakim samochodem przyjechali?

– Niebieskim sedanem.

– Jeśli będą cię śledzić, to z odległości trzech, czterech długości samochodu. Kiedy ich zauważysz, wracaj do domu i czekaj.

– Wysokiej klasy intryga.

– Niskiej klasy. Deptanie po palcach wielkiemu bratu. Czy zauważyłeś ślady rozkładu ciał tych dwojga?

– Zielony odcień mięsa, mnóstwo much, żadnych larw.

– Najwyżej dzień albo dwa... I mówisz, że byli ustawieni w tej samej pozycji, co ofiary opisane w teczce Fusco?

– W identycznej. I mieli geometryczne nacięcia na ciele.

– O rany – jęknął Milo. – Każdy dzień przynosi niespodzianki.

Napisałem kartkę do Robin i wsiadłem do wozu. Jechałem wolniej niż zwykle, rozglądając się za niebieskim sedanem. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś mnie śledził. Dotarłem do sklepu Millera przed Milo, zaparkowałem tak, jak kazał, wysiadłem i oparłem się o drzwi. Nadal nie widziałem żadnego podejrzanego wozu. Parking był do połowy zapełniony. Klienci wlewali się i wylewali ze sklepu strumieniami, w pobliskim kiosku interes też szedł znakomicie, ulicą Robertsona śmigwały samochody. Czekałem, myśląc o ciałach rozkładających się pod sykomorem.

Milo zjawił się po dziesięciu minutach, zaskakująco dobrze ubrany, w szarym garniturze, białej koszuli i bordowym krawacie. Strój na wyprawę do sędziego po zezwolenie na rewizję.

Dał ręką znak, żebym wsiadł do jego wozu i zapalił okurek zgaszonego wcześniej cygara.

Rozejrzał się po parkingu, wziął w rękę telefon komórkowy i zerknął na sklep z džinsami.

– Muszę sobie kupić jakieś luźniejsze łachy... Dzwonili z Glendale, mówią, że anonimowa osoba zawiadomiła o znalezieniu ciał. Jak się czujesz w tej roli?

– Fantastycznie. Ale nie pozostanę anonimowy zbyt długo. Zostawiłem odciski na bramie.

– Tak, można skakać z radości. Czekam na telefon od tamtejszych detektywów. Szakale z prasy też się dowiedziały, szybko skojarzą Zoghbie i Haiseldena z morderstwem Mate'a i znów trafimy na pierwsze strony.

– Właśnie o tym marzy Burke – powiedziałem – ale może miał inny motyw, żeby ich zabić: odebrać im notatki, które go obciążały. Możliwe, że planował to od pewnego czasu, lecz aresztowanie Richarda pchnęło go do szybszego działania. On nie lubi, kiedy ktoś inny zbiera laury za jego robotę. Chce być w centrum uwagi, tak jak Mate, chce pokazać światu, że jest nowym Doktorem Śmierć.

Milo obrócił w zębach drewniany ustnik cygara i wydmuchał gryzący dym.

– Bierzesz za dobrą monetę wszystko, co powiedział Fusco, mimo że wprowadził nas w błąd co do swojej osoby?

– Kiedy pojedziesz do domu Alice Zoghbie?

– Niebawem.

– Więc przekonasz się na własne oczy. Wszystko się zgadza. Donovan i Bratz nie kwestionowali wyników śledztwa Fusco, martwili się tylko tym, że może zrobić coś, co postawi FBI w kłopotliwej sytuacji. Fusco jest przekonany, że Sharveneau sam albo przy współudziale Burke'a zabił jego córkę. Osobiste motywacje czasem przeszkadzają w śledztwie, ale czasami dopingują do działania.

Milo zaciągnął się, przytrzymał dym w płucach i wypuścił kółko w stronę przedniej szyby.

– Więc niepotrzebnie zdzierałem zelówki na Dossa... Ale dowiedziałem się, że jego sprawy finansowe są wyjątkowo niejasne. Może prześlę papiery do wydziału przestępstw gospodarczych. Znow odwrócił się do mnie.

– Dobrze wiesz, że Doss próbował nakłonić Goada do zabicia Mate'a. Ten facet nie jest świętoszkiem. To, że Goad nie wypełnił umowy, nie zwalnia Dossa od zarzutów.

– Wiem. Ale byłem w Glendale i widziałem to, co widziałem.

– No dobrze... Ten Burke, czy jak on się teraz nazywa... Mówisz, że chce być na świeczniku. Ale nie może się przecież ujawnić tak jak Mate, więc co to oznacza? Kolejne ofiary przywiązane do drzew? – Roześmiał się szyderczo, ze złością. – Świetny trop. Wystarczy obejrzyć pnie wszystkich drzew w kraju. Co ja mam z tym zrobić?

– Można przejrzeć jeszcze raz teczkę Fusco – odparłem.

– Już ją przeglądałeś. No dobrze, przyznaję, że Burke to wcielenie zła. Ale gdzie go szukać?

– Przeczytam te akta jeszcze raz. Nigdy nie wiesz...

– Masz rację, nigdy nie wiem. Przeżyłem pół życia w niewiedzy, która nie zapewniła mi szczęścia... Dobra, zajmijmy się tym, co pilne. Na przykład muszę się postarać, żebyś nie trafił do pierdła po zidentyfikowaniu twoich odcisków palców. Dotykałeś czegoś oprócz bramy?

– Kołatki na frontowych drzwiach. Pukałem też w boczne, ale kostkami.

– Kozi łeb – powiedział Milo. – Na jego widok zadałem sobie pytanie, czy Alice Zoghbie nie zajmuje się przypadkiem czarami. I to gadanie o ofierze Mate'a. A teraz się okazuje, że sama skończyła pod drzewem... Załatwię sprawę z detektywami z Glendale, ale prędzej czy później

i tak będziesz musiał z nimi pogadać. Analiza odcisków potrwa parę dni, tydzień zajmie porównanie ich z odciskami z różnych baz danych, a jeszcze więcej czasu, jeśli materiał z izby lekarskiej nie został przeniesiony na dyski. Tylko że ja mam z tymi ludźmi współpracować, więc powiem im o tobie wcześniej, może jutro. Postaram się ich namówić, żeby przesłuchali cię na przyjaznym terytorium.

– Dzięki.

– I ja dziękuję – powiedział Milo, zaciągając się głęboko. Koniuszek cygara zajarzył się mocniej.

– Za co?

– Za to, że jesteś takim upartym draniem.

– Jakie mamy plany? – spytałem.

– Ty masz uniknąć kłopotów. Ja muszę walczyć ze swoimi zmartwieniami.

– Chcesz teczkę Fusco?

– Później. Mam zezwolenie na rewizję u Dossa. Nie mogę sobie tego odpuścić w śledztwie o usiłowanie zabójstwa. Jeśli bym to zrobił, sędzia MacIntyre umieściłby mnie na swojej czarnej liście. Naślę Korna i Demetrioego na biuro Dossa, każę im przywieźć dokumenty na komendę, a sam pojedę do Glendale. Może Burke czy jak mu tam zostawił jakiś ślad w domu Alice i będzie się czego chwycić. – Zgasił cygaro w popielniczce. – Marne szanse, co?

– Wszystko może się zdarzyć.

– Wszystko może się zdarzyć – powtórzył Milo. – I to właśnie jest najgorsze.

Kiedy dojechałem do domu, Robin zdążyła już wrócić. Zamówiliśmy kolację w chińskiej restauracji. Karmiłem Spike'a kawałkami kaczki po pekińsku jak emeryt, który nie ma innych zmartwień na głowie oprócz podatków i kłopotów z prostatą. Położyłem się spać razem z Robin i zasnąłem bez problemów. O czwartej czterdzieści trzy zbudziłem się ze sztywnym karkiem i bólem głowy. W nocy ochłodziło się, miałem ręce zimne jak steki wyjęte z lodówki. Założyłem sweter, grube skarpetki i pantofle i poczłapałem do gabinetu; wyjąłem teczkę Fusco z szuflady, gdzie ukryłem ją przed agentami FBI.

Zacząłem czytać wszystko od początku, od akt Marissy Bonpaine. Jediną rzeczą godną uwagi była plastikowa strzykawka. Po godzinie zrobiłem się senny. Najrozsądniej byłoby wypełznąć z powrotem do łóżka. Ale ja powlokłem się do kuchni. Spike leżał zwinięty w kłębek na swoim materacu w przylegającej do kuchni pralni; płaski pysk buldoga opierał o paczkę proszku do prania. Ruchy gałek pod powiekami świadczyły o tym, że śpi. Błogi wyraz mordy świadczył o tym, że był to słodki sen, na przykład o pięknej kobiecie, która wozi psa samochodem i podtyka mu pod nos tony smakołyków.

Skierowałem się do spizarki. Na ten znak Spike zawsze się zrywa, siada i czeka na jedzenie.

Ale tym razem otworzył tylko do połowy jedno oko, spojrzął, jak gdyby chciał powiedzieć: „Chyba żartujesz”, i dalej chrapał.

Przeżułem trochę suchych płatków, zaparzyłem duży kubek mocnej kawy rozpuszczalnej i wypilem pół od razu, żeby się rozgrzać. Noc nadała oknom granatowy odcień. Liście drzew majaczyły jak odległa mgła. Zerknąłem na zegarek. Za czterdzieści minut wszędzie słońce. Zaniósłem kubek do gabinetu.

Na koń, panie Don Kiszocie.

Usiadłem za biurkiem i dziesięć minut później wiedziałem. Dziwiłem się tylko, dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej.

Notatka sporządzona przez detektywa z Seattle, który zajmował się morderstwem Marissy Bonpaine. Nazywał się Robert Elias i został wezwany przez strażników leśnych, którzy znaleźli ciało.

Bardzo drobny druk u dołu strony, z odsyłaczem do przypisu.

Łatwo coś takiego przeoczyć, ale to żadna wymówka, Delaware. Teraz zdawało mi się, że litery krzyczą do mnie na cały głos.

Zwłoki odkrył pieszy turysta spacerujący z psem, zanotował Elias. Patrz przypis 45.

Zajrzałem na koniec akt sprawy Marissy Bonpaine, gdzie skrupulatny detektyw Elias zanotował ponad trzysta wydarzeń.

Numer czterdziesty piąty: Turysta: z Michigan, pan Ferris Grant.

Przypis numer czterdzieści sześć zawierał adres i numer telefonu turysty w miejscowości Flint w stanie Michigan.

Numer czterdziesty siódmy: Pies: czarny labrador, suka. Pan F. Grant stwierdził, że: „Ma świetny węch, wydaje jej się, że jest psem do tropienia narkotyków”.

Słyszałem to samo zdanie, słowo w słowo. Paul Ulrich w taki sam sposób scharakteryzował Księżnę, złotego retrievera.

Ferris Grant.

Michael Ferris Burke. Grant Rushton.

Flint w stanie Michigan. Huey Grant Mitchell pracował w Michigan, w Ann Arbor.

Zadzwoiłem na numer, który podał Ferris Grant. Usłyszałem automatyczną sekretarkę Flint Museum of Art.

Elias nie poszedł tym tropem. Czemu miałby to robić? Ferris Grant był przecież tylko uczciwym obywatelem, który pomógł policji w ważnym śledztwie, „odkrywając” ciało.

Tak jak Paul Ulrich, który znalazł ciało Mate’a.

Burke musiał się doskonale bawić. Dyrygował przedstawieniem, zapewniał sobie możliwość przebywania na miejscu zbrodni w całym majestacie prawa. Rozpierała go duma ze swego dzieła, i do tego obserwował bezradnych policjantów.

Żart psychopaty. Gra i jeszcze raz gra. Śmiał się w myślach do rozpuku.

Pieszy turysta z psem.

Paul Ulrich i Tania Stratton.

Przekartkowałem pośpiesznie galerię zdjęć zgromadzoną przez Leimerta Fusco, próbując dopasować któryś z ostatnich portretów Burke'a do twarzy Ulricha. Jednak w żaden sposób nie mogłem jej sobie przypomnieć, pamiętałem tylko sumiaste wąsy.

I o to właśnie chodziło.

Zarost na twarzy wszystko zmienia. Uderzyło mnie to, gdy porównywałem różne zdjęcia Burke'a. Broda, którą zapuścił jako Huey Mitchell, ochroniarz w szpitalu, okazała się równie skuteczna jak maska.

W Michigan posługiwał się jeszcze jednym nazwiskiem. Ferris Grant... Flint Museum. Kolejna aluzja: Jestem malarzem! Wrócił do Michigan – na stare śmieci – bo w głębi duszy psychopaci zawsze trzymają się pewnych zasad, zawsze muszą postępować wedle jakiegoś scenariusza.

Przyjrzałem się zdjęciu Mitchella, martwym oczom, twarzy pozbawionej wyrazu. Obfita broda zamiast maski. Taki zarost pozwalał na zapuszczenie ogromnych wąsów.

Usiłując przywołać w pamięci twarz Ulricha, widziałem tylko te wąsy.

Spróbowałem przypomnieć sobie inne cechy fizyczne.

Średni wzrost, wiek nieco przed czterdziestką. Jedno i drugie idealnie pasowało do Burke'a.

Krótsze i rzadsze włosy niż na zdjęciach, obcięte na jeża. Na każdym kolejnym zdjęciu Burke'a widać było ubytek włosów, więc i to pasowało.

Wąsy... Szersze niż twarz Ulricha. Doskonała maska. Uznałem je za ekstrawagancję niepasującą do jego konserwatywnego ubioru.

Konsultant finansowy, szacowny obywatel... Ulrich powiedział jeszcze coś, na samym początku: „Jak dotąd nasze nazwiska nie pojawiły się w gazetach – powiedział Ulrich. – I tak pozostanie, panie Sturgis, prawda?”

Myślał o rozgłosie, pragnął go.

Milo odparł, że prawdopodobnie uda się im uniknąć zainteresowania mediów, lecz Ulrich dalej o tym mówił, wspomniawszy o piętnastu minutach sławy.

Andy Warhol to powiedział. Wiadomo, co się z nim stało... Poszedł do szpitala na rutynową operację, a wyszedł w worku... Sława to nic dobrego, kochanie. Pomyśl o księżnej Dianie... albo o doktorze Mate.

W ten sposób dał do zrozumienia, że chodzi mu o sławę. Bawił się z Milo, tak samo jak z policjantami z Seattle.

Osiągnął rozgłos bez przyznawania się otwarcie do przestępstwa.

To nie był przypadek, że on i Tania Stratton wybrali się na spacer po Mulholland w tamten

poniedziałek.

Kobieta stwierdziła to wprost: W gruncie rzeczy rzadko tu bywamy. Właściwie tylko w niedzielę. Z niechęcią przyjęła odstępstwo od tego nawyku. Paul ją do tego namówił.

Skarżyła się Milo, że wszystko było pomysłem Paula. Łącznie z decyzją, żeby spotkać się z nim na miejscu zbrodni, a nie w domu. Ulrich twierdził, że Tania potrzebuje jakiegoś rodzaju terapii, ale jego prawdziwy motyw – a właściwie motywy – był inny: trzymać detektywa z dala od domu, a zarazem stworzyć sobie możliwość przeżycia zbrodni jeszcze raz.

Ulrich opowiadał o tym, jak straszna była chwila, gdy zauważył Mate'a, lecz dopiero teraz uświadomiłem sobie, że w jego słowach brakowało emocji.

Co innego Tania Stratton. Ona była naprawdę roztrzęsiona, chciała czym prędzej odejść. Ulrich natomiast sprawiał wrażenie człowieka sympatycznego, chętnego do pomocy, spokojnego. Zbyt spokojnego jak na człowieka, który na własne oczy zobaczył rzeź.

Był wysportowany... Fusco mówił, że Michael Burke jeździł na nartach, chlubił się tym, że lubi świeże powietrze i sport. Ulrich opowiadał o utrzymywaniu kondycji, urodzie krajobrazu.

Po drugiej stronie bramy można się poczuć jak w innym świecie.

O, tak.

W jego świecie.

Sympatyczny gość, ale jego czar przestawał już działać na Tanie Stratton. Czy była zdenerwowana, bo czuła, że coś jest nie tak z jej przyjacielem? A może ich związek utknął w martwym punkcie?

Przypomniałem sobie bladość jej policzków, niepewny chód, rzadkie włosy. I ciemne okulary. Czyżby coś nimi zasłaniała?

Wątpła dziewczyna.

Chora?

Nagle zrozumiałem i serce zabiło mi szybciej: Michael Burke lubił wiązać się z chorymi kobietami i otaczać je opieką.

A potem wyprowadzać z tego świata.

Rozkoszował się zabijaniem na wielu poziomach. Doktor Śmierć, prawdziwy koneser. Tak czy inaczej, świat musi się o tym dowiedzieć. Sława otaczająca Eldona Mate'a – który pozbawił życia pięćdziesiąt osób – musiała uwierać Burke'a jak kamień w bucie. Tyle lat nauki w szkołach medycznych i nadal nie mógł otwarcie przeprowadzać egzekucji jak Mate, musiał udawać jego ucznia.

Założył maskę amatora.

Po sprowadzeniu się do Los Angeles nie zdołał sfalszować dyplomu lekarza, musiał się podawać za konsultanta finansowego.

Przeważnie zajmuję się nieruchomościami. Century City. Ładna, nic niemówiąca nazwa.



Dom w Encino. Zaraz za wzgórzem. Ekskluzywne osiedle, odpowiednie dla godnego szacunku obywatela.

W Los Angeles można żyć z uśmiechów i kodu pocztowego.

Wizytówka, którą Ulrich dał Milo, leżała w szufladzie policji. Zatelefonowałem do informacji i spytałem o numer telefonu kontaktowego pana Ulricha z firmy Century City. Nie zdziwiłem się, kiedy operatorka mi go podała. Ale kiedy zadzwoniłem, usłyszałem nagraną wiadomość z informacją, że numer został odłączony. Nie można się skontaktować ani z Ulrichem, ani z Tanią Stratton.

Tania nie była zdrowa.

Zamierający związek, który za sprawą Ulricha mógł się zakończyć tylko jej śmiercią.

Zerknąłem na zegarek; było parę minut po szóstej. Światło wpadające przez zasłony świadczyło o tym, że weszło słońce. Jeśli Milo spędził noc na miejscu zbrodni w Glendale, pewnie zażywa teraz zasłużonego odpoczynku w domu.

Trudno, niektóre rzeczy nie mogą czekać. Zadzwoniłem. Rick odebrał po pierwszym dzwonku.

– Wczesnie wstałeś, Alex.

– Obudziłem cię?

– Właśnie miałem iść do pracy. Milo już wyszedł.

– Dokąd?

– Nie powiedział. Pewnie do Glendale, na miejsce tego podwójnego morderstwa. Był tam do północy, przyszedł do domu, przespał się cztery godziny, obudził w parszywym nastroju, wykapał bez śpiewu i wybiegł z mokrą głową.

– Uroki życia domowego – zauważyłem.

– Tak. Ja też czuję, że żyję, jak przywiozła nam na pogotowie ofiary karambolu na autostradzie.

– Sturgis – warknął Milo do mikrofonu komórki.

– To ja. Gdzie jesteś?

– Na Mulholland – odparł dziwnym, jakby nieobecny głosem. – Oglądam kurz na drodze i zastanawiam się, czy coś przeoczyłem.

– Synu, pozwól, że rozjaśnię nieco twoje podłe życie. – Opowiedziałem mu o Ulrichu.

Spodziewałem się, że będzie wstrząśnięty, zacznie kłąć, ale on mówił dalej tym samym tonem.

– Zabawne.

– Domyśliłeś się?

– Nie, ale właśnie myślałem o Ulrichu. Ustawiłem samochód na miejscu furgonetki

i przeszedłem się parę kroków w jedną i w drugą stronę. Kiedy weszło słońce, promienie odbiły się od tylnej szyby i nie mogłem nic zobaczyć w środku. Ulrich powiedział, że odkryli zwłoki Mate'a tuż po wschodzie słońca, że on zobaczył je przez tylną szybę. To było tydzień temu, okna furgonetki są wyżej niż w moim wozie, ale nie sądzę, żeby to i zmiana pozycji słońca robiły większej różnicy. Chciałem poczekać i zobaczyć, czy widoczność zmieni się w ciągu kwadransa. Prawdę mówiąc, nie byłoby to nic wielkiego, facet nie wszystko musiał dokładnie zapamiętać. Ale to, co mówisz... Zostawiłem adres drania na komendzie, a trzeba złożyć wizytę jemu i pannie Stratton.

– Panna Stratton może być w niebezpieczeństwie. – Wyjaśniłem mu, dlaczego.

– Chora? Rzeczywiście nie wyglądała na zdrową. Tym bardziej należy ich odwiedzić.

– Jak zamierzasz podejść Ulricha?

– Na razie nie mam podstaw do aresztowania. W tej chwili jedyne, co mogę zrobić, to rozejrzeć się po jego domu pod pretekstem, że chcę spytać, czy czegoś sobie nie przypomniał. Powiem, że utknęliśmy, co? Odegram durnego policjanta, który przychodzi z nadzieją, że ktoś mądry go oświeci.

– Spodoba mu się to. Jeśli ci uwierzy. To cwaniak. Zastanowi się, dlaczego po aresztowaniu Richarda pukasz do jego drzwi w niedzielę rano. Cisza.

– Mogę mu dać do zrozumienia, że pojawiły się jakieś komplikacje, o których nie mogę mówić. Domyśli się, że chodzi o Alice Zoghbie, ale ja tego nie powiem. Pobawimy się w kotka i myszkę, będę mu patrzył na ręce i nogi. Może panna Stratton puści farbę. Może później spróbuję pogadać tylko z nią.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał?

Przez dłuższą chwilę słyszałem tylko trzaski w słuchawce.

– Tak – odparł wreszcie Milo.

Kiedy wszedłem do sypialni, Robin siedziała na łóżku i przecierała oczy.

– Dzień dobry – powiedziałem, całując ją w czoło. Zacząłem się ubierać.

– Która godzina? Kiedy wstałeś?

– Dość wcześnie. Muszę się spotkać z Milo na Mulholland.

– Dowiedzieliście się czegoś?

– Może. Otworzyła szerzej oczy.

– Mamy trop. Nic niebezpiecznego. Trzeba trochę ruszyć mózgiem.

Wyciągnęła rękę. Objąłem ją.

– Uważaj na swój mózg – powiedziała. – Lubię go.

Samochód Milo stał na drodze koło miejsca, gdzie zabito Mate'a; silnik pracował, Milo stukał palcami w kierownicę. Zaparkowałem i przesiadłem się do Milo. Miał na sobie ten sam popielaty garnitur, który tym razem wyglądał, jakby miał dziesięć lat więcej. Ruszyliśmy na wschód, do Glen i skierowaliśmy się do Doliny.

– Skąd masz adres? – spytałem.

– Z rejestru samochodów. Nie było tam bmw Ulricha ani żadnego innego wozu na jego nazwisko, ale Tania Stratton jest właścicielką dwuletniego saturna. Adres przy Milbank w Sherman Oaks, nie w Encino. Dwie przecznice dalej na wschód.

– Po co mówić prawdę, skoro można zełgać?

– Jak on to wszystko zaplanował... Uwielbia takie scenariusze, prawda?

– Od początku do końca. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że jedyne ślady stóp należą do niego i tej dziewczyny? Dokładnie uprzątnął miejsce zbrodni, ale na wszelki wypadek, gdyby coś przeoczył, zapewnił sobie powód do zostawienia swoich śladów.

– Dyrygował orkiestrą przez te wszystkie lata... Pieprzony dyrygent – mruknął Milo, odrywając jedną rękę od kierownicy. – Panie, daj mi szansę, żebym wsadził mu batutę w tyłek... Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, zanim się z nim spotkamy?

– Zachowuj się przyjaźnie, ale z pewnością siebie. Nie przesadzaj ani w jedną, ani w drugą stronę. Kiedy będziesz go słuchał, rozglądaj się. Niech się zastanawia, czy to zwykła ciekawość gliniarza, czy może czegoś szukasz. Zobaczymy, jak na to zareaguje. Zadawaj dużo pytań, ale ogólnikowych. Takie oderwane pytania dobrze ci wychodzą. Odwiedziny bez zapowiedzi to dobry pomysł. Ty będziesz dyktował warunki. Jeśli się zdenerwuje, może coś zrobić pod wpływem impulsu. Na przykład spakować się i wyjechać, jak tylko znikniemy za zakrętem. Albo coś ukryć w schowku. Prawdopodobnie ma coś takiego, nie może pozwolić, żeby Tania zobaczyła jego pamiątki.

– Jesteś pewien, że je zachował?

– Idę o zakład. Możesz szybko załatwić obserwację domu?

– Facet będzie obserwowany. Nawet jeśli sam miałbym siedzieć w samochodzie pod domem... A więc mam być dobrym i złym gliniarzem w jednej osobie, ale subtelnie. Dobrze, będę subtelny, nawet bez alkoholu. A ty w kogo się wcielisz?

– Będę beznamiętnym psychiatrą. Jeśli zostanę sam na sam z Tanią, przyjrzę się jej dokładnie.

– Ją też podejrzewasz?

– Nie, ale ona zaczyna mieć dość Ulricha. Może powie o nim coś ciekawego.

Milo wyszczerzył zęby; uznałem to za uśmiech.

– No dobra, mamy plan. A jak go już zrealizujemy, będę mógł wziąć kij i wsadzić mu w tyłek?

Milo przycisnął gaz do dechy; dojechaliśmy do celu w ciągu kwadransa. Za oknami samochodu migały malownicze widoki doliny i podmiejskie domy na wzgórzach. Skręciliśmy w Ventura; w Dolinie temperatura była o kilka stopni wyższa. Zostawiliśmy za sobą Sepulveda i Encino, jednopiętrowe sklepy w Sherman Oaks ustąpiły miejsca biurowcom i parkingom. O tej porze w niedzielę ruch był minimalny. Autostrada czterysta pięć przecinała kokardę kilkupoziomowego skrzyżowania wzdłuż zachodniej ściany martwego białego gmachu, w którym niegdyś mieściło się centrum handlowe Sherman Oaks Galleria, żalosne w swoim bezużytecznym teraz ogromie. Ktoś miał plany zagospodarowania tej przestrzeni. Zawsze są jakieś plany.

Milo przejechał przecznicę, skręcił w prawo przy Orion i ruszył na zachód ulicą Camarillo równoległą do autostrady. Zbliżaliśmy się do Milbank, cienistej ulicy pozbawionej chodników. Parterowe wille, dobrze utrzymane, ukryte w cieniu nieprzycinanych koron drzew kamforowych. Ze wschodu dobiegał szum autostrady.

Dom Tani Stratton był biały, z niebieskimi wykończeniami, jakby żywcem wzięty z marzeń żołnierza. Wokół rozciągał się dobrze utrzymany trawnik, lecz ogród nie został tak starannie zaprojektowany jak ogrody sąsiadów. Na podjeździe nie zobaczyłem samochodów, leżały na nim jakieś papiery. Zamknięte okiennice, pomalowana na biało krata na frontowych drzwiach, skrzynka na listy na stalowej siatce. Biała żelazna furtka zagradzała wejście na podwórk.

– Ktoś najwyraźniej ceni sobie prywatność – zauważyłem.

Milo zmarszczył brwi. Podeszliśmy do drzwi. Na ścianie koło futryny znajdował się guzik. Milo nacisnął go. Usłyszałem dzwonek w środku. Cisza. Nie odpowiedziało nawet szczekanie psa.

– Może zabrali Księżnę na poranny spacer?

– W niedzielę? – spytał Milo z powątpiewaniem.

– Ulrich jest amatorem spacerów na świeżym powietrzu.

Milo podniósł wieczko skrzynki na listy. W środku leżały cztery koperty i dwie ulotki z restauracji. Zerknął na znaczki.

– Wczorajsze.

Kopnął kratę i zaklął bezgłośnie, wpatrując się w mosiężny skobel zamka.

– Cholera wie, co tam jest. Nie dostanę pozwolenia na rewizję tylko dlatego, że Ulrich znalazł zwłoki Mate'a. Nawet nie wykorzystałem tych zezwoleń, które mam.

– Nie byłeś u Richarda?

Potrząsnął głową.

– Mam przechlapane u MacIntyre’a. Spędziłem całą noc z kolegami z Glendale. Nawiasem mówiąc, nie aresztują cię za naruszenie miejsca zbrodni.

– Nie wiedzieliby, że to miejsce zbrodni, gdybym go nie naruszył.

– Nie wchodźmy w szczegóły – rzucił Milo, naciskając ponownie guzik. Potarł ręką po twarzy, rozluźnił krawat i zerknął na furtkę. – Wsiądźmy do samochodu, może coś wymyślimy. Spróbuję poszukać w bazie danych innych fałszywych nazwisk, którymi posługiwał się Ulrich. Powtórzył numer z odnalezieniem ciała ofiary, wrócił do Michigan, więc może wykonał wypróbowany manewr z tożsamością.

Wprowadził do komputera nazwiska Michael Ferris Burke, Grant Rushton, Huey Spreen, ale nic to nie dało. Siedzieliśmy przez kilka minut, co jakiś czas rzucając jakieś propozycje, gdy nagle po przeciwnej stronie ulicy zaparkował niewielki czerwony samochód.

Za kierownicą nissana sentra siedziała ciemnowłosa kobieta. Zgasiła silnik i zaczęła wysiadać, ale zauważywszy nas, zrezygnowała i pośpiesznie zasunęła szybę w oknie.

Milo błyskawicznie wyskoczył z wozu i podbiegł z uniesioną odznaką. Szyba pozostała zamknięta. Pokazał wizytówkę, widziałem, jak porusza ustami. W końcu szyba poszła w dół. Milo cofnął się, jakby okazując szacunek dla gestu kobiety. Wysiadła z samochodu, popatrzyła na mnie, a potem na Milo, który wsadził ręce do kieszeni i nieco się zgarbił; zawsze tak robi, kiedy chce, żeby rozmówca poczuł się pewniej. Podszedłem do nich.

Trzydziestokilkuletnia nieco za tęga kobieta miała kasztanowe włosy z rudawym odcieniem i podkrążone jasnoniebieskie oczy; pod jednym z nich rozmazał się tusz. Była ubrana w obszerną białą koszulkę, czarne legginsy i czarne buty na płaskich obcasach. Tylne siedzenie samochodu zapełniały próbki materiałów, związane paskami.

– Co się stało? – spytała, zerkając na biały dom.

– Mieszka pani w pobliżu?

– Moja siostra tu mieszka. Po przeciwnej stronie ulicy.

– Panna Stratton?

– Tak – potwierdziła nieco głośniejszym głosem. – O co chodzi?

– Chcielibyśmy zadać pani siostrze i panu Ulrichowi kilka pytań.

– W związku z tym, że znaleźli ciało doktora Mate’a?

– A więc rozmawiała pani o tym z siostrą, pani...

– Lamplear. Kris Lamplear. Oczywiście, że rozmawialiśmy. Coś takiego nie zdarza się co dzień. Nie mówiliśmy o szczegółach, bo Tania była w szoku. Zadzwoiła do mnie, żeby powiedzieć, że go znaleźli... Czy stało się coś złego? Tania i tak bardzo dużo przeszła.

– Co pani ma na myśli? – spytał Milo.

– Półtora roku temu zachorowała. Dlatego przyjechałam. Ona była chora, a ja jestem nadopiekuńcza. Tania tego nie lubi, ale ja nie mogę się powstrzymać. Staram się nie narzucać,

zwykle rozmawiamy tylko dwa, trzy razy w tygodniu. Nie miałam od niej wiadomości przez kilka dni, więc w piątek zadzwoniłam do pracy i usłyszałam, że wzięła wolne. Dałam jej spokój w sobotę, ale dzisiaj...

Zmarszczyła brwi.

– Ma prawo odpocząć, ale powinna mi powiedzieć, dokąd się wybiera.

– Czy zwykle tak robi? – spytałam.

– Szczerze? – uśmiechnęła się niepewnie. – Nie zawsze, ale nie zwracam na to uwagi. Co mogę powiedzieć? Przyjechałam tak wcześnie, bo moje dzieci mają za godzinę mecz małej ligi. Pomyślałam, że sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Panowie chcą z nią tylko porozmawiać?

– Tak, chodzi o kontynuację tamtego śledztwa – odparł Milo, zerkając na próbki materiałów.

– Zajmuje się pani dekoracją wnętrz?

– Sprzedaję tkaniny. Pracuję dla jednego hurtownika ze śródmieścia. – Znowu zerknęła na dom.

– Wygląda na to, że wyjechali wczoraj lub przedwczoraj. Dużo podróżują? – spytał Milo.

– Od czasu do czasu – odparła, unikając jego spojrzenia. – Paul pewnie zabrał ją na jedną z tych niespodziewanych romantycznych wycieczek.

– Jest romantyczny?

– Tak mu się wydaje – powiedziała, przewracając oczami. – Udaje spontanizację. Staje w drzwiach i oznajmia, że jadą na dwa dni do Arrowhead czy Santa Barbara, każe Tani dzwonić do pracy, wziąć wolne z powodu choroby i pakować się. Tania traktuje poważnie swoją pracę, ale przeważnie się zgadza i wyjeżdżają. Paul pracuje na swój rachunek, więc dla niego taka wycieczka to drobiazg. Lubi wycieczki, naturę i jazdę samochodem.

– Lubi naturę – powtórzył Milo.

– To prawdziwy turysta, należy do różnych stowarzyszeń, takich jak Ludzie Drzewa, Klub Sierra; obserwuje ptaki, czyta magazyny samochodowe. To on wpadł wtedy na pomysł, żeby wybrać się na Mulholland tak wcześnie. Ciągłe namawia Tanie, żeby wcześniej wstawała, ćwiczyła i tak dalej. Jakby to mogło pomóc.

– W czym?

– W wyleczeniu. Chodzi o to, żeby objawy nie pojawiły się znowu. Tania miała raka. Choroba Hodgkina. Lekarze powiedzieli, że to uleczalne, że Tania ma duże szanse. Ale kuracja zwała ją z nóg. Naświetlanie chemioterapią. Moja siostra się zmieniła. Czuje się lepiej, wiem, że z tego wyjdzie, ale żal mi jej, jestem starsza, staram się nią opiekować. Trudno, taka już jestem, nic na to nie poradzę. Powinna mi powiedzieć, dokąd jedzie, prawda? Rodzice nie żyją, zostałyśmy tylko we dwie, więc się martwię. Ona wie o tym.

Zacisnęła dłoń na koszulce.

– Wiem, że zachowuję się jak neurotyczka. Wrócę do domu i zastanę od niej wiadomość. Proszę jej nie mówić, że mnie panowie tu spotkali, dobrze? Na pewno podskoczyłby jej puls.

– Jasne – powiedział Milo. – Więc nie ma pani klucza do domu siostry?

– Wiem, że w niektórych rodzinach tak jest. Byłoby miło, prawda? Ale ja nie poprosiłam o to. Na pewno źle by zareagowała.

– Woli być niezależna.

Kobieta kiwnęła głową.

– Gdyby ona poprosiła o klucz do mojego domu, wszystko byłoby w porządku, mimo że jestem mężatką i mam dzieci. Ale ona jest nadwrażliwa. Zawsze taka była, nawet w czasie kuracji. Wszystkim mówiła, że sama sobie poradzi, żeby nie traktować jej jak kaleki.

– Więc Paul jest delikatny – powiedziałem.

– To znaczy?

– Żeby zdobyć przychylność Tani, musiał uszanować jej niezależność.

– Chyba tak. Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego ona jeszcze z nim wytrzymuje. Może dlatego, że był przy niej, kiedy leżała.

– Kiedy była chora?

Pani Lamplear przytaknęła.

– Właśnie tak się poznali. Tania przechodziła chemioterapię w szpitalu, a on tam pracował społecznie. Zaczął spędzać z nią dużo czasu. Nawet ją karmił, kiedy sama nie mogła podnieść łyżki.

Był to akt dobrej woli, ale kobieta mówiła o tym z dezaprobatą.

– Miły człowiek – zauważyłem.

– Tak... Zastanawiałam się, dlaczego to wszystko robi. Prawdę mówiąc, nie wygląda na wolontariusza. Ale to bez znaczenia, Tania sama decyduje o swoim życiu.

– Nie lubi go pani – powiedziałem.

– Jeśli Tania go lubi... Nie, szczerze mówiąc, uważam go za nadętego fagasa. Myślę, że i Tania to wreszcie zauważyła. – Uśmiechnęła się z lekko skrywaną, złośliwą satysfakcją. – Może mi się zdaje, ale już go nie broni tak zaciekle, kiedy mówię, że to nadęty fagas.

Uśmiechnąłem się.

– W którym szpitalu się poznali?

– W Roseda. Moim zdaniem to podrzędny szpitalik, ale właśnie tam ją skierował lekarz. Czemu panowie tak wypytyują o Paula?

– On i pani siostra są ważnymi świadkami – odparł Milo. – W śledztwie w sprawie morderstwa trzeba postępować ze szczególną rzetelnością. Czy Paul nadal tam pracuje jako wolontariusz?

– Nie, jak tylko Tania wyszła do domu i zaczęła się z nim spotykać, on odszedł. To mnie

zaciekawilo.

– Co mianowicie?

– Czy to jego sposób na podrywanie. Ona przechodzi rekonwalescencję i nagle zaczynają się spotykać. A po kilku miesiącach oboje wyprowadzają się ze swoich mieszkań i wynajmują dom.

– Kiedy to było?

– Ponad rok temu. Nie powinnam obgadywać Paula, jeśli Tania go lubi. A on dobrze ją traktuje. Gotuje, sprząta... Nie rzuca rzeczy na podłogę, niesamowicie dba o czystość, ma na tym punkcie kręcka. Tania nigdy nie prowadziła tak uporządkowanego życia. Dbą nawet o czystość Księżnej. Czasem przez pół godziny czesze jej sierść. Księżna go polubiła. Z początku tak nie było, psy mają wycucie. Ale potem zaakceptowała go. Wtedy pomyślałam, że może psy nie są jednak takie mądre. W końcu przecież to właśnie Księżna wpakowała ich w ten bigos... Panowie pewnie o tym wiedzą.

– Co jeszcze Tania opowiedziała pani o znalezieniu doktora Mate'a?

– Niewiele. Jak mówiłam, była wstrząśnięta... Tania w ogóle nie lubi się zwierzać. Ale Paulowi chyba się to spodobało. Jestem pewna, że będzie zachwycony, kiedy panowie zwrócą się do niego z pytaniami.

– Dlaczego? – spytał Milo.

– Uważał, że to... fascynujące, tak powiedział. Wyjaśnił, że ma na myśli poznawanie sposobu działania policji. Przyjechałam od razu, kiedy Tania do mnie zadzwoniła. Chciałam ją wesprzeć. Paul oglądał telewizję, był ciekaw, czy ich pokażą. Na pewno będzie podekscytowany, kiedy znajdzie się znów w centrum uwagi.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Milo. – Gdzie możemy go znaleźć?

– Mogą być wszędzie. Paul oznajmia nagle, że wyjeżdżają, a ona zazwyczaj się zgadza. Paul prowadzi, a ona śpi w samochodzie.

– Zazwyczaj się zgadza? – spytałam.

– Czasami się wymawia. Nie lubi, gdy ma za dużo zaległej pracy. Kiedy Tania staje okoniem, Paul się dąsa i przeważnie zostaje w domu naburmuszony. Czasem jednak wyjeżdża i znika na dzień lub dwa... Nie wiem, gdzie oni są, ale możecie panowie spróbować w Malibu. To jedyne miejsce, gdzie Tania lubi jeździć.

– Gdzie dokładnie w Malibu? – spytał Milo obojętnie.

– Nie na plaży. Mamy – to znaczy Tania i ja – działkę w tamtejszych górach. W zachodnim Malibu, bliżej Agoura, przy granicy okręgu Ventura, na wzgórzach. Dwa czy trzy hektary, nawet nie wiem dokładnie, ile. Rodzice kupili tę ziemię dawno temu, ojciec zamierzał zbudować dom, ale nigdy się do tego nie zabrał. Ja nigdy tam nie jeżdżę, bo nie ma po co: mała nędzna chałupa, bez telefonu, z obskurną ubikacją i malutkim zbiornikiem na wodę. Przewody elektryczne zwykle zerwane, droga zalana. Moje dzieci zanudziłyby się tam na śmierć.



– Ale Tania lubi to miejsce.

– Tania lubi spokój. Pojechała tam, kiedy przechodziła rehabilitację po chemioterapii. Może zresztą zrobiła to, żeby pokazać, jaka jest twarda. Potrafi być uparta. Działka pewnie jest teraz warta sporo pieniędzy, już dawno bym ją sprzedała.

– Jako wielbiciel natury Paul też pewnie lubi działkę?

– Pewnie tak. Tak naprawdę Paul lubi jazdę samochodem dla samej jazdy, jakby paliwo było darmowe, a on miał nieograniczoną ilość czasu.

– Pewnie dlatego, że zajmuje się nieruchomościami i pracuje na własny rachunek.

– Nie wiem, co on właściwie robi w tych nieruchomościach, ale chyba idzie mu dobrze, bo zawsze ma pieniądze. Muszę przyznać, że nie jest skąpy dla Tani. Kupuje jej biżuterię, ciuchy, wszystko. Poza tym gotuje i sprząta, więc o co mi właściwie chodzi?

Milo zapisał, jak dojechać na działkę i obiecał pani Lamplear, że da znać, czy siostra tam jest.

– Świetnie – powiedziała, ale zaraz zmarszczyła brwi. – Tania domyśli się, że tu byłam. Bo tylko ja wiem o naszej działce w Malibu.

– Czy jej koledzy w pracy znają pani numer? – spytał Milo. – Może podała go na wszelki wypadek.

Twarz pani Lamplear rozjaśniła się.

– Rzeczywiście, podała.

– Doskonale. Powiemy, że właśnie w ten sposób do pani dotarliśmy.

– Tania i Paul nie będą mieli żadnych kłopotów, prawda?

– Dlaczego mieliby mieć kłopoty?

– Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że strasznie panom zależy, żeby z nimi porozmawiać.

– No cóż, jak powiedziałem, prowadzimy ważne śledztwo i musimy zrobić wszystko, żeby nie wyjść na głupców.

– Rozumiem – powiedziała kobieta z uśmiechem. – Nikt tego nie lubi.

Milo wjechał z pełną prędkością na autostradę czterysta pięć. Skrzyżowanie z trasą sto jeden było niedaleko, po chwili dołączyliśmy do sznura samochodów płynącego na wschód.

– Malibu – powiedział Milo. – Chyba skądś znamy to miejsce.

– Tak.

Parę lat temu wynajęliśmy z Robin dom na plaży tuż przy granicy okręgu. Skraj kanionu, o którym mówiła Kris Lamplear, był położony osiemset metrów dalej. Chodziłem tamtędy, mijałem kempingi, z rzadka rozrzucone prywatne posiadłości, sąsiadujące z terenami należącymi do państwa. Pamiętam pustkowia, gdzie słyszało się jedynie śpiew ptaków i wycie kojotów, od czasu do czasu przerywane rykiem motoru zbyt szybko pędzącej ciężarówki. Ta cisza kołała umysł, ale czasem zdawało mi się, że jest tam aż za spokojnie.

– „Paul lubi jazdę samochodem” – zacytował Milo. – Pierwsza cecha seryjnych morderców. Fanatycy porządku i lubią jeździć, kanalie. Czemu nie przyszło mi to do głowy? Mógłbym go aresztować od ręki, zaoszczędziłbym miastu pieniędzy za nadgodziny.

– Nie zapominaj o jego hojności – zauważyłem. – Obsypuje swoją dziewczynę klejnotami. Ciekaw jestem, ile z tych błyskotek było już noszone.

Milo westchnął ciężko.

– Trofea... Bóg jeden wie, co trzyma w swojej skarbonce.

Zjechał z autostrady przy Kanan i ruszył na północ wzdłuż plaży. Trasa nadmorska wzdłuż Trancas Canyon była praktycznie pusta. Błękit sennego oceanu w czasie przypływu wydawał się nierealny. Przejechaliśmy granicę okręgu przy Mulholland Highway, tuż koło plaży Leo Carillo Beach, na której garstka poszukiwaczy krążyła między oczkami wodnymi.

Znowu w Mulholland. Koniec szlaku.

Nie da się przejechać Mulholland od końca do końca. Prawie pięćdziesiąt kilometrów asfaltowej drogi otaczającej Los Angeles od East Hollywood do Pacific Palisades w kilku miejscach przecinało pustkowia. Nic, co ważne, nie przychodzi łatwo... Czy Michael Burke alias Paul Ulrich wziął to pod uwagę przy wybieraniu miejsca zbrodni?

Po wjechaniu na półtora kilometra w głąb okręgu Ventura Milo skręcił w prawo, ku niezabudowanym terenom. Nad krawędzią urwiska biegnącego wzdłuż autostrady mignął mi drewniany szczyt domu, który wynajmowaliśmy na prywatnej plaży. Lubiliśmy ten dom. Można stąd było obserwować pelikany i delfiny; nie przeszkadzała nam nawet rdza, codziennie przybywająca. Spędziliśmy tam prawie rok, kiedy nasz dom w Glen był w remoncie. Jak tylko się wyprowadziliśmy, właściciel podarował go swemu synowi, obiecującemu scenarzyście, z nadzieją, że pobudzi siły twórcze potomka. Spotkałem juniora tylko raz; był zalany w trupa. W czołówce żadnego filmu nie widziałem jego nazwiska. Ach, te dzisiejsze dzieci.

Samochód zaczął wspinać się na wzgórze. W milczeniu rozglądaliśmy się za nieoznakowaną drogą prowadzącą do działki. Kris Lampear powiedziała, że jest tam tylko adres na skrzynce pocztowej.

Za pierwszym razem Milo przejechał i musiał zawrócić. Wreszcie znaleźliśmy wjazd, prawie osiem kilometrów od oceanu, daleko od najbliższego sąsiedztwa, na terenach państwowych.

Skrzynka znajdowała się trzy metry od drogi, ukryta w kaskadzie winorośli. Była zardzewiała, na zmurszałym pału, bez wieczka. Większość połączonych cyfr odpadła. Trzy, które pozostały, złuszczyły się i poskręcały w ruloniki.

Nie było listów. W chłodnym, słodkim powietrzu szum pracującego na jałowych obrotach silnika wydawał się ogłuszający. Milo cofnął wóz, zaparkował na drodze i zgasił motor; wróciliśmy do skrzynki. Piaszczysta droga – a właściwie ścieżka – skręcała zygzakowato w lewo i znikwała w zielonej gęstwinie. Nie widzieliśmy nic poza winoroślą, chaszczami i drzewami, mnóstwem drzew.

– Nie ma sensu ogłaszać naszego przybycia – powiedział Milo. – Dalibyśmy mu szansę dyktowania warunków. Spróbujmy znaleźć ten domek i poobserwować go przez jakiś czas.

Zobaczyliśmy go dopiero po przejściu trzystu metrów; szare deski ledwie się odróżniały od gęstej kolumnady sosen, drzew gumowych i sykomorów. Stare, poskręcane sykomory, takie same jak ten, do którego zostali przytroczeni Alice Zoghbie i Roy Haiselden. Czy Ulrich zwrócił na to uwagę?

Pewnie tak. Podobała mu się symetria i schludność. Ironia. Lukier na torcie mordercy.

Może Milo też o tym myślał, ale nic nie mówił. Posuwał się powoli, uparcie, z zaciśniętymi ustami, zerkając to w jedną, to w drugą stronę. Jedną rękę miał luźną, drugą trzymał kilka centymetrów od pistoletu. Było w tym więcej napięcia niż gotowości do walki. Karabin zostawił w samochodzie.

Ścieżka kończyła się owalnym parkingiem, otoczonym dużymi, okrągłymi głazami. Wyglądało to jak niezręczna próba naturalnej dekoracji, dawno temu zmodyfikowana ręką natury. Stały tam dwa wozy: granatowe bmw Ulricha i miedziany saturn panny Stratton.

Ulrich opowiedział nam kiedyś bajeczkę o ciemnym bmw zaparkowanym na Mulholland.

Bmw, podobne do naszego.

A ja dręczyłem się pytaniem, czy to samochód Richarda. Zachodziłem w głowę, czy to Richard, czy może Eryk siedział za kierownicą. A przecież ten wóz istniał tylko w wyobraźni Ulricha.

Dyrygował, jak zwykle.

Domek stał tuż za samochodami, na końcu działki. Podchodziliśmy, kryjąc się za pniami drzew i stając na palcach, żeby lepiej widzieć. Wreszcie zobaczyłem frontowe drzwi. Otwarte,

ale zasłonięte brudną siatką.

To nie był domek, lecz szopa przylepiona do ściany góry, otoczona zaroślami. Dach pokryty papą, której brąz pokrył się zielenią jak bajoro nieruchomej wody, niegdyś biała sklejka miała teraz kolor pomyj. Chata prawie znikła pod nisko wiszącymi konarami – jeden wisiał tuż nad futryną drzwi – jakby pogodziła się z tym, że musi rozpląnąć się w zieleni.

Wyżej, w prześwitach między liśćmi sykomora, rysował się grzbiet góry, zwieńczony czarną grzywą jodeł. Sam środek państwowych terenów, żadnych wścibskich sąsiadów w okolicy.

Byliśmy o piętnaście metrów od domku, gdy Milo zatrzymał się i dał nura w krzaki. Zrobiłem to samo.

Tania Stratton otworzyła siatkowe drzwi, wyszła i zatrasnęła je. Zamknęły się z kłaśnięciem.

Miała na sobie brązową koszulę z długimi rękawami, dżinsy i białe tenisówki; włosy związała czerwoną opaską. Nie nosiła ciemnych okularów, ale stała zbyt daleko, żebyśmy mogli zobaczyć jej oczy.

Przeciągnęła się, ziewnęła, podeszła do swojego samochodu i otworzyła bagażnik.

Drzwi domku otworzyły się jeszcze raz, ukazując opalone, męskie ramię. Ulrich nie pokazał się jednak. Przytrzymał otwarte drzwi, z których wyskoczył piękny złoty retriever i popędził ku Tani.

Księżna. Ma świetny węch, wydaje jej się, że jest psem do tropienia narkotyków.

– No pięknie – szepnęła Milo. – Koniec zabawy w podchody.

Mówił tak cicho, że musiałem czytać z ruchu jego warg. Mimo to suka postawiła uszy i ruszyła w naszą stronę, węsząc tuż przy ziemi. Szła coraz szybciej.

– Księżna! Mam coś dla ciebie! – zawołała Tania. Suka znieruchomiła. Nagle odwróciła się i pobięła do pani.

Tania wyciągnęła z bagażnika jakąś torbę. Otworzyła ją, wyciągnęła coś ze środka i podsunęła Księżnej pod nos.

– Siad.

Pies usiadł posłusznie, nie spuszczać oczu z mlecznej kości.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała Tania, podając Księżnej smakołyk. Potargała ją pieszczotliwie po sierści na karku. Suka czekała, aż pani wpuści ją z powrotem do domku.

– Dobry piesek – mruknął Milo i zerknął na zegarek. – Przyjechali dwoma samochodami. Co o tym myślisz?

– Może Tania chce wyjechać wcześniej. Ze względu na obowiązki zawodowe, zgodnie z tym, co powiedziała jej siostra.

Milo zastanowił się i kiwnął głową.

– A on zostanie i będzie robił swoje. To znaczy zostanie tutaj albo gdzieś pojedzie. Może

trzyma tu zakopane pamiątki. Co oznacza, że nie wolno mi złamać zasad poszukiwania dowodów. Trzeba się skontaktować z szeryfem z Malibu, żeby wszystko było koszernie... Może lepiej się wycofać i poszukać miejsca, z którego widać drogę. Sprawdzimy, czy Tania wyjedzie, a potem popatrzymy na niego... Oczywiście, jeśli Tania nie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Jego sposób postępowania z kobietami jest taki: czeka na nawrót choroby, opiekuje się nimi, a potem kończy dzieło. Ale niewykluczone, że tym razem przyspieszył przebieg wypadków.

– Trucizna?

– Wiedziałyby, jak to zrobić.

– Co proponujesz? Wkraczamy od razu?

– Niech pomyślę.

Ale nie zdążyłem.

Drzwi otwały się i tym razem stanął w nich Paul Ulrich. Opalony, krzepki, w białej koszulce polo, spodniach khaki i brązowych mokasynach, bez skarpet. Muskularne ramiona, zdrowa cera. W rękę trzymał kubek z jakimś napojem.

Napił się, postawił kubek na ziemi i zrobił kilka kroków w naszą stronę.

Mogliśmy przyjrzeć się jego twarzy.

Żywe, błyszczące oczy, różowa skóra za sumiastymi wąsami.

Wyglądały jak olbrzymie, powiewające śmigła; starałem się uchwycić jakąś cechę twarzy, która pasowałaby do zdjęć z teczki Leimerta Fusco, ale całą moją uwagę pochłaniały wąsy.

Zarost może dać taki efekt.

Ulrich podniósł kubek, napiął biceps i popatrzył na niego.

Znów upił łyk i przeciągnął się.

Był wyraźnie zadowolony z siebie. Król poranka.

Z tymi wąsami wyglądał jak policjant z kreskówki. Ale nie było w nim nic zabawnego.

Milo zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu, aż zbiełały mu palce. Palec wskazujący sięgał do spustu. Nagle cofnął rękę, jakby uświadomiwszy sobie, co robi. Otarł ją o marynarkę i przesunął po twarzy. Popatrzył na Ulricha.

A on upadł nagle na ziemię, jakby robiąc unik przed ostrzałem. W błyskawicznym tempie wykonał pięćdziesiąt pompek. Był w doskonałej formie. Zerwawszy się z powrotem na nogi, przeciągnął się bez śladu zmęczenia.

Przesunął dłonią po rzednących włosach, przekręcił kark, rozprostował ramiona, pomasaż szyć. Nawet mordercom czasem sztywnieją mięśnie... Tyle godzin za kółkiem...

Wygladził jeden wąs, sięgnął do tyłu i pomacał się po siedzeniu.

Nawet mordercy zdejmują szorty.

Patrząc na tę banalną czynność, poczułem coś w rodzaju zawodu. Mimo wszystko to

człowiek. Chociaż tacy jak on nie powinni być ludźmi.

Ulrich skończył kawę, zostawił kubek na ziemi; podszedł do wozu i otworzył bagażnik. Zobaczyłem niewielką czarną błyszczącą walizeczkę, w której odbiły się promienie słońca przedzierające się przez korony drzew.

Torba lekarska. Ulrich pogłodził ją z czułością.

– Patrz – szepnąłem.

– Do czego mu to potrzebne akurat teraz? – spytał Milo.

Drzwi domku otwały się ponownie; Tania Stratton wyszła na zewnątrz. Ulrich cofnął się raptownie, chowając teczkę za plecami. Tania zrobiła kilka kroków; patrzyła w górę, na drzewa. Ulrich wrzucił walizkę do bagażnika, zatrzasnął maskę i podszedł do Tani.

Odwróciła się i chciała wejść z powrotem do domku, kiedy Ulrich stanął tuż za nią. Otoczył ją ramieniem w pasie i pocałował w kark.

Kobieta stała sztywno, nie reagując na pieszczotę.

Ulrich nie wypuścił jej, pocałował jeszcze raz. Tania cofnęła się. Pogłodził ją po policzku, ale na jego twarzy, niewidocznej dla niej, nie widać było śladu czułości.

Stała bez ruchu.

Twarde spojrzenie skupionych oczu w lekko poczerwieniałej twarzy.

Tania powiedziała coś, wyrwała się i zniknęła w domku.

Ulrich pogłodził wąsy i splunął na ziemię.

Szybkim krokiem wrócił do samochodu. Teraz twarz była już czerwona. Otworzył bagażnik i wyciągnął walizeczkę.

– Źle – mruknął Milo.

Zbliżył rękę do pistoletu i gotował się do wyjścia zza drzewa. Zdążył zrobić krok, gdy trzasnął wystrzał, głośny i ostry jak pojedyncze kłaśnięcie.

Gdzieś spoza domku, znad niego. Spomiędzy gęstych koron drzew na zboczu.

Milo skoczył w chaszczę. Nie miał do kogo strzelać.

Ulrich nie upadł od razu. Stał. Na klatce piersiowej rozszerzała się czerwona, coraz czerwieńsza plama, jak róża rozkwitająca w przyspieszonym tempie. Rana wylotowa. Strzał oddano z tyłu. Skórzana torba nadal tkwiła w jego dłoni, a wąsy nie pozwalały zobaczyć wyrazu twarzy.

Następne kłaśnięcie, a potem jeszcze jedno; na koszulce Ulricha rozkwitły kolejne dwie róże. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś była biała...

Pistolet tkwił nieruchomo w ręce Milo, jego wzrok przeskakiwał z Ulricha na grzbiet góry.

Jeszcze jedno kłaśnięcie.

Kiedy czwarty strzał zerwał Ulrichowi czubek głowy, czarna walizeczka wypadła mu wreszcie z dłoni.

A on upadł na walizeczkę.

To wszystko trwało nie dłużej niż dziesięć sekund.

Z domku dobiegł głośny krzyk, ale Tania się nie pokazała.

Księżna warczała. Milo mierzył w odległe gęste wąsy drzew.

Upłynęło nieco czasu, zanim przyjechał szeryf z Malibu, a jeszcze dłużej trwało zebranie oddziału, który miał wejść na zboczne góry. Była to niewielka armia nerwowych, umundurowanych facetów, zakładających, że strzelec nadal tam jest, gotowych strzelać do wszystkiego, co się rusza.

Czekając, aż grupa się zbierze, Milo odbył rozmowę z koronerem i obejrzał wszystko dokładnie, starając się jednocześnie, aby szeryf miał wrażenie, że to on tu rządzi. Poprosił mnie o podtrzymanie na duchu Tani Stratton, ale wyszło zupełnie inaczej. Kobieta nie chciała ze mną w ogóle rozmawiać, a jeśli potrzebowała pocieszenia, to zapewniła je sobie, rozmawiając po cichu z siostrą przez komórkę i głaszcząc psa. Obserwowałem ją z pewnej odległości. Zastępcy szeryfa wyrzucili ją z miejsca zbrodni, więc usiadła pod drzewem, trzymając się za kolana i od czasu do czasu masując delikatnie szczękę. Nie widziałem jej oczu, bo założyła ciemne okulary. Jednak pozostała część twarzy wyraźnie zdradzała złość, jak gdyby Tania zastanawiała się, ile błędów w życiu popełniła.

Milo wykorzystał czas oczekiwania na to, aby rozejrzeć się po domku. Nie było tam żadnych trofeów; w ogóle niewiele w nim było. Dokładna rewizja, przeprowadzona parę dni później, też nie przyniosła odkrycia żadnych dowodów, poza lekarską walizeczką. Była to stara, wytarta skórzana torba ze złotymi inicjałami EHM na sprzączce.

Tania Stratton twierdziła, że nigdy jej nie widziała. Uwierzyłem jej. Ulrich pewnie ją ukrywał przed swoją dziewczyną i wyjmował tylko wówczas, gdy chciał jej użyć. Mało brakowałoby Tania została raz na zawsze pozbawiona szansy popełnienia jakichkolwiek błędów.

W torbie znajdowały się skalpele, nożyczki i inne akcesoria, takie jak rurka do kroplówki i sterylne zapakowane igły różnej grubości. Całe rolki gazy. Jednorazowe strzykawki i małe ampułki z etykietami.

Tiopental. Chlorek potasu.

Jeden z detektywów z biura szeryfa zabrał walizeczkę jako dowód, ale nie spytał, co oznaczają inicjały, a Milo nie powiedział mu tego. Kiedy ekipa skończyła pracę, Milo i ja usiedliśmy na tylnym siedzeniu jednego z policyjnych wozów, przysłuchując się nerwowej wymianie zdań dwóch zastępców szeryfa jadących z przodu.

Sposób, w jaki kule przeszły przez ciało Ulricha i wielkość ran wskazywały na to, że pociski leciały ze znaczną prędkością, wystrzelone prawdopodobnie z wojskowej broni z dobrym celownikiem. Przez kogoś, kto wiedział, co chce osiągnąć.

Trudno byłoby zobaczyć strzelca, gdyby postanowił ukryć się wśród drzew.

Wiedziałem, że go tam nie ma. Wykonał swoją robotę i nie miał żadnego powodu, żeby zostać w tej okolicy.



Dotarcie do jodłowego lasu nie było trudne. Droga, która prowadziła wzdłuż działki, wspinała się dalej po stoku przez półtora kilometra, by się w końcu rozwidlić. Prawa nitka schodziła w dół do plaży, lecz do niej nie dochodziła – kończyła się przed rezerwatem leśnym imienia pewnego kalifornijskiego osadnika, dawno nieżyjącego. Tabliczka informowała, że z góry można zobaczyć piękne widoki, lecz nie ma drogi i idzie się na własne ryzyko.

Zastępcy szeryfa z pistoletami w dłoni wysypali się z wozów i zaczęli przeczesywać las. Nie znaleźli śladów strzelca. Jeden z nich, doświadczony piechur, który dwukrotnie pokonał szlak Johna Muira i umiał określać kierunek bez kompasu, z dużym prawdopodobieństwem ustalił położenie miejsca, z którego padł strzał.

Poszliśmy za nim na sam skraj lasu, gdzie jodły były najwyższe i rosły najgęściej, bo korzystały z najlepszego oświetlenia. Rozpościerał się stamtąd dobry widok na brzydki mały domek i okolicę. I na ocean. Policjanci rozprawiali o czymś, a ja przeniosłem wzrok na wielki błękit. Widać było statek na horyzoncie i maleńkie plamki na niebie, prawdopodobnie mewy.

Oczekiwanie tutaj nie było złe. Jak długo czatował strzelec?

Skąd się dowiedział? Czy zauważył to samo, co ja? Miał przecież oryginał akt, których kopię nam dał. Sprawa Marissy Bonpaine.

Powiedział, że leci do Seattle. Kilka godzin temu jeszcze w to wierzyłem, zakładając, że chce na miejscu zbadać szczegóły morderstwa Marissy, zajrzeć do szkoły medycznej, w której uczył się Burke, porównać dane z informacjami na temat śmierci Mate'a. Oba ciała zostały odkryte przez pieszego turystę.

Czy wrócił do Los Angeles, żeby wytropić owego „turystę” i dotarł tu wcześniej niż Milo i ja?

A może od początku kłamał i w ogóle nie ruszył się z Los Angeles. Domyślił się, wiedziony tym samym, co ja: siłą obsesji. A potem obserwował, podchodził, czekał... Był cierpliwy, wytrwał w poszukiwaniach tyle lat, więc kilka następných dni nie miało znaczenia.

Punkt strzelecki w punkcie widokowym.

Czy kiedy jadł kanapkę, pieczołowicie układał karabin na kwadratowej szmatce nasączonej olejem? Pił napój z termosu? Co jakiś czas sprawdzał, czy szkiełko celownika jest czyste?

Był na pikniku. Co za ironia...

Policjanci gadali zawzięcie, utwierdzając się wzajemnie w przekonaniu, że nie muszą dalej szukać, że nikt inny nie zostanie zastrzelony. Odwróciłem się i spojrzałem na domek, otoczony teraz wianuszkami wozów policyjnych, wśród których wyróżniał się samochód koronera. Spróbowałem zobaczyć to miejsce tak, jak widział je Leimert Fusco.

– Tak, to musiało być tutaj, kąt jest idealny – powiedział piechur. – Tu jest płasko, a pod tamtą skałą mógł położyć swój sprzęt. Może zostawił jakieś ślady, ściągajmy techników.

Ale nic nie znaleźli, jak mi później powiedział Milo.

Nie zdziwiłem się. Wiedziałem, że Fusco zaparkował samochód niedaleko od tego miejsca i uciekł bardzo szybko. Pojechał drugą nitką drogi i zniknął wśród wzgórz w płataninie dróg, z których większość prowadziła do niewielkich kanionów, a kilka do Doliny, na autostradę, do tak zwanej cywilizacji.

Wiedział, którądy pojechać, bo też dokładnie planował swoje poczynania.

Najbardziej ryzykowne było zostawienie wozu na skraju drogi. Ale nawet gdyby go ktoś zauważył i z jakiegoś powodu zapisał numery rejestracyjne, Fusco nie musiał się niczego obawiać. Trop doprowadziłyby do firmy wynajmującej samochody i fałszywego nazwiska.

Więc zaparkował go niedaleko.

Na pewno nie przyszedł tu pieszo z wojskowym karabinem i wysokiej klasy celownikiem.

Nie zdołałby tego zrobić, widziałem, jak kuśtykał.

– Łatwy strzał – zauważył jeden z zastępców szeryfa. – Jak do przepiórki. Ciekawe, co ten facet zrobił, że tak kogoś wkurzył.

– Kto powiedział, że w ogóle coś zrobił? – odparł jego kolega. – Teraz nic nie musisz robić, żeby jakiś świr wziął cię na cel.

Milo roześmiał się.

– To był długi dzień, koledzy.

– Jeszcze się nie skończył – odparł doświadczony piechur. – Musimy znaleźć tego frajera.

Milo roześmiał się jeszcze raz.

Listopad to najpiękniejszy miesiąc w Los Angeles. Temperatura jest umiarkowana, powietrze pachnie przyjemnie, jakby na świecie nie było tlenu węgla, światło ma przyjemny odcień pieczonego jabłka. W listopadzie można zapomnieć, że Indianie z plemienia Czumasz nazywali kotlinę Los Angeles Zadymioną Doliną.

Pod koniec listopada pojechałem do Lancaster.

Półtora miesiąca po śmierci Eldona Mate'a. Kilka tygodni po tym, jak Milo skończył katalogować zawartość czterech kartonowych pudeł odnalezionych w schowku w Panorama City, wynajętym przez Paula Ulricha na nazwisko doktora L. Pasteura.

Udało się do niego dotrzeć dzięki kluczowi znalezionemu w sypialni Ulricha. W samym domu nie było nic ciekawego. Tania Stratton wyprowadziła się stąd kilka dni po strzałach w Malibu.

W kartonach panował idealny porządek.

Pierwszy zawierał wycinki z gazet, starannie poukładane w porządku chronologicznym, z doczepionymi karteczkami z nazwiskami ofiar. Szczegóły samobójstwa Rogera Sharveneau zostały dokładnie uzupełnione. Podobnie jak okoliczności śmierci pewnej dziewczyny nazwiskiem Victoria Leigh Fusco.

W drugim kartonie leżały pieczołowicie ułożone części garderoby, głównie damska bielizna, ale było też kilka sukienek, bluzek i krawatów.

W trzecim Milo znalazł ponad sto egzemplarzy biżuterii w plastikowych torebkach, przeważnie bezwartościowych, choć było kilka cennych starych klejnotów. Niektóre przedmioty udało się dopasować do ofiar, inne nie.

Czwarty, największy karton był wyłożony warstwą chłodzącego styropianu. W środku leżały ułożone jedno na drugim paczki owinięte w szary papier używany przez rzeźników, zabezpieczone suchym lodem. Stróż z przechowalni pamiętał, że doktor Pasteur zaglądał raz na tydzień lub dwa. Miły człowiek, z wielkimi wąsami, jakie widuje się w starych niemych filmach. Rozmawiał tylko o przyjemnych sprawach, sporcie, pieszych wycieczkach, polowaniu. Od jego ostatniej wizyty upłynęło trochę czasu i większość lodu się roztopiła. Karton zaczął cuchnąć. Otwarcie pakunków Milo zostawił koronerowi.

W kącie schowka znajdowało się kilka karabinów i pistoletów, sprawnych, doskonale naoliwionych, pudełka z nabojami, a także dwa zestawy narzędzi chirurgicznych: jeden japoński, a drugi amerykański.

Prasa tak opisała wydarzenie:

OFIARA      STRZELANINY      Z UDZIAŁEM      POLICJI      PODEJRZEWANA

## O ZAMORDOWANIE ELDONA MATE'A

Malibu. Od szeryfa oraz źródeł policyjnych w Los Angeles dowiedzieliśmy się, że lekarz zabity w trakcie strzelaniny z udziałem policji to główny podejrzany w śledztwie w sprawie morderstwa „Doktora Śmierć”, Eldona Mate'a.

Czterdziestoletni Paul Nelson Ulrich otrzymał kilka postrzałów w okolicznościach, które nadal są badane. Dowody znalezione na miejscu przestępstwa i w innych miejscach, zwłaszcza narzędzia chirurgiczne, którymi ponoć zamordowano Mate'a, wskazują, że Ulrich działał w pojedynkę.

Organa ścigania nie przedstawiły jak dotąd motywów zabicia człowieka zwanego „Doktor Śmierć”, choć z niektórych źródeł wiadomo, że Ulrich, dyplomowany lekarz ze stanu Nowy Jork, znany tam pod nazwiskiem Michael Ferris Burke, mógł cierpieć na chorobę psychiczną.

W listopadzie uświadomiłem sobie, ile razy się myliłem. Bez wątpienia Rushtona alias Burke'a alias Ulricha rozbawiłyby moje pomyłki, lecz uczenie mnie pokory nie sprawiłoby mu na pewno większej przyjemności.

Zadzwoiłem do Tani Stratton, a nie doczekawszy się odpowiedzi, zatelefonowałem do jej siostry. Kris Lampear była bardziej chętna do rozmowy. Nie rozpoznała mojego głosu. Nic zresztą dziwnego, bo przy pierwszym spotkaniu wymieniliśmy zaledwie kilka słów, uważała mnie wówczas za detektywa.

– Skąd zna pan mój numer, doktorze?

– Pracuję jako konsultant policyjny, próbuję sprawdzić, co się stało z Tanią. Nie oddzwoniła, a pani jest jej najbliższą krewną.

– Tania nie będzie z panem rozmawiać. Ani z panem, ani z nikim innym. Przeraziła się tym wszystkim, co mówią o Paulu.

– Doskonale ją rozumiem.

– To niewiarygodne. Szczerze mówiąc, też jestem przerażona. Nie powiedziałam dzieciom. Znały go... Nigdy nie lubiłam tego faceta, ale nie pomyślałabym, że... Tania chodzi do psychoterapeuty. To kobieta z opieki społecznej, która pomogła jej w zeszłym roku, kiedy Tania chorowała. Najważniejsze, że nie ma objawów choroby nowotworowej. Właśnie była na badaniach.

– Miło mi to słyszeć.

– Ja też się cieszę. Nie chciałabym, żeby znowu doznała stresu... Ale dziękuję. Policja zachowała się naprawdę taktownie. Proszę się nie martwić o Tanie, ona chodzi swoimi drogami, zawsze tak robiła.

W listopadzie miałem dużo pracy, wielu pacjentów, telefon nie przestawał dzwonić. Ledwie znajdowałem podczas lunchu chwilę, żeby zatelefonować.

Na niektóre z moich telefonów nie otrzymałem odpowiedzi. Zostawiłem wiadomości dla Richarda, Stacy, Judy Manitow. Z biura Joe Safera przyszła kartka od jego sekretarki.

*Drogi Panie Doktorze!*

*Pan Safer dziękuje za czas, który Pan mu poświęcił. W sprawach, które obu panów interesują, nie zaszły żadne zmiany. Jeśli zdarzy się coś, o czym pan Safer powinien Pana zawiadomić, z pewnością zadzwoni.*

Wiele myślałem o wycieczce do Lancaster, zrobiłem w myślach listę powodów, dla których nie powinienem tam jechać, a nawet ją spisałem.

Czasem zalecam coś takiego swoim pacjentom, ale w moim przypadku to się nie sprawdza. Przenoszenie myśli na papier sprawia, że jeszcze bardziej się denerwuję, nie potrafię zapomnieć o źródle niepokoju. Może to jakaś anomalia mózgowa, nierównowaga składników chemicznych albo Bóg wie co. A może, jak mawiała moja mama, „upór do dziewiątej potęgi”.

Tak czy inaczej, nie sypiałem dobrze. Rano wstawałem z bólem głowy, denerwowałem się z byle powodu, z trudem zachowywałem się uprzejmie.

Dwudziestego trzeciego listopada skończyłem serię konsultacji sądowych, z których żadna nie miała związku z Judy Manitow. Pozostałe mogły poczekać, więc obudziwszy się pewnego pięknego ranka, wsiadłem w samochód i wyruszyłem na pustynię.

Lancaster leży dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Los Angeles, u zbiegu trzech autostrad: czterysta pięć, pięć i czternaście. Cztery pasy tej ostatniej przechodzą najpierw w trzy, a później w dwa, które biegną przez dolinę Antelope Valley i dalej na pustynię Mojave.

Jazda trwa nieco ponad godzinę, jeśli przestrzega się ograniczenia prędkości; pierwsza część trasy wiedzie wśród gołych wzgórz urozmaiconych tu i ówdzie stacjami benzynowymi, parkingami dla ciężarówek, billboardami i czerwienią dachówek parterowych osiedli mieszkaniowych. Dalej, aż do Palmdale, nie ma już nic oprócz piachu i żwiru.

W Palmdale też są motele, ale dla Joannę Doss nie miało to znaczenia. Ona musiała dotrzeć do Lancaster.

Swoją ostatnią drogę odbyła w nocy, gdy za oknami samochodu panowała czarna jak smoła ciemność.

Nie było na co patrzeć, ale miała dużo czasu na myślenie.

Wyobraziłem ją sobie: otyłą pasażerkę własnego karawanu, prowadzonego prawdopodobnie przez Eryka. Bo nie mogłem się uwolnić od myśli, że to właśnie on siedział za kierownicą.

Jechali.

Patrzyła przez okno, wiedząc, że bezmiar pustki będzie jednym z ostatnich obrazów, jakie widzi.

Czy pozwoliła sobie na wątpliwości? Czy udawała bezmyślną rezolucję?

Czy rozmawiali ze sobą?

Co można powiedzieć matce, która poprosiła o to, by pomóc jej cię zostawić?

Dlaczego postanowiła wykonać na sobie egzekucję?

Zauważyłem znak informujący o lotnisku w Palmdale. To właśnie tam lądował helikopter Richarda, kiedy przyjeżdżał nadzorować prace budowlane.

Nigdy nie zdołał namówić Joannę, żeby choć rzuciła okiem na to, co stworzył. Ale w ostatnim dniu swego życia poświęciła się, by wytrzymać godziną jazdę do miejsca, którego wcześniej tak starannie unikała.

Przedłużyła swoją agonię, żeby mu coś powiedzieć. Przekląłeś mnie. A ja pluję ci w twarz.

Nie było trudno znaleźć motel Happy Trails. Wystarczyło skręcić w Avenue, a potem pojechać pół kilometra za Dziesiątą ulicę Zachodnią. Było tam dużo wolnej przestrzeni, ale nie ze względu na ekologię. Puste działki zarośnięte na skraju chwastami sąsiadowały z niewielkimi firmami, przyprawiającymi o ból głowy właścicieli ziemi w małych miasteczkach, w czasach gdy wielkie koncerny łączą się i połykają mniejszych graczy.

Regeneracja akumulatorów, meble z wyprzedaży, sprzęt do czyszczenia, fryzjerstwo U Yvonne.

Minąłem centrum handlowe pokryte typową dla takich budynków beżową okładziną i dachem z imitacji dachówek. Przy wjeździe na rozległy parking wisiała duża tablica z napisem: „Do wynajęcia”. Czyżby jeden z projektów Richarda? Jeśli trafnie rozpoznałem motywy kierujące postępowaniem Joannę, było to możliwe, bo motel znajdował się naprzeciwko, wciśnięty między sklep monopolowy i bungalow z wyblakłym, ręcznie malowanym szyldem z napisem UBEZPIECZENIA. GOODFAITH.

Motel Happy Trails był parterowym budynkiem w kształcie litery U z kilkunastoma pokojami. Recepcja mieściła się w lewym skrzydle, pod zepsutym neonem z błagalnym napisem WOLNE POKOJE. Wszystkie drzwi były czerwone, tylko pod dwoma stały samochody. Motel miał niebieskoszare ściany i niski biały dach. Na szczycie zauważyłem zwoje kolczastego drutu. Wzdłuż zachodniej ściany budynku biegła alejka; pojechałem nią, ciekaw, jakie może być przeznaczenie drutu.

Zwoje opadały na wysoki betonowy parkan oddzielający motel od parkingów przyczep samochodowych. Stare ruchome domy z zepsutymi resorami, bielizna na sznurach, anteny telewizyjne. Zbliżywszy się, usłyszałem warczenie psa.

Zawróciłem na ulicę i zaparkowałem. Tu nie czuło się rzeźkości powietrza. Miało temperaturę ponad trzydziestu stopni, było suche, pyliste i ciężkie jak spojrzenia skłóconych od dawna ludzi. Wszedłem do recepcji. Nie było blatu ani okienka, tylko stolik ze sklejki w kącie. Siedział przy nim stary, łysy, korpulentny mężczyzna z bardzo czerwonymi ustami i wilgotnymi smutnymi oczami.

Miał na sobie workowatą koszulkę i spodnie w paski. Przed nim piętrzył się stos powieści szpiegowskich, z boku stała kolekcja butelek z lekarstwami i zakraplacz do oczu. Małe ciemne pomieszczenie obite było dawno poczerniałymi deskami świerkowymi. W powietrzu unosiła się woń medykamentów. Na ścianie z tyłu wisiał automat z grzebieniami, a obok podobny z mapami; w trzeciej maszynie, opatrzonej napisem „Dbaj o zdrowie”, można było kupić prezerwatywy.

Na ścianie po prawej stronie wisiała gablota pełna zdjęć. Tuzin czarno-białych fotografii Marilyn Monroe. Ujęcia z filmów i rozneglizowane fotki. Pod kolekcją, przypięty jak motyl wisiał różowy kostium kąpielowy z satyny. Papierowy podpis głosił: AUTENTYCZNY KOSTIUM M. MONROE.

– Jest na sprzedaż – powiedział mężczyzna przeciągłym zmęczonym głosem.

– Ciekawa rzecz.

– Gdyby pan tak myślał, to by pan kupił. Kupiłem go od faceta, który pracował przy jej filmach. Pewna sprawa.

Pokazałem mu odznakę konsultanta policji. Małymi literami pod spodem jest napisane, że nie mam żadnych uprawnień. Jeśli ktoś chce mi pomóc, nawet tego nie czyta. A jeśli ktoś nie ma ochoty ułatwiać mi życia, to i prawdziwa policyjna odznaka niczego by nie zmieniła.

Łysy mężczyzna ledwie zerknął na odznakę. Miał bladą bezbarwną skórę z zagłębieniami, jak zamrożone sadło. Uśmiechnął się, oblizując wargi.

– Wiedziałem, że nie szuka pan pokoju. Poznałem po tej sportowej marynarce. Co to jest, kaszmir?

Wyciągnął dłoń do rękawa i przez chwilę zdawało mi się, że dotknie materiału. Ale cofnął rękę w ostatniej chwili.

– Zwykła wełna – odparłem.

– Zwykła wełna. Zwykłe pieniądze. Więc czym mogę służyć?

– Kilka miesięcy temu pewna kobieta wynajęła tu pokój...

– I zabiła się. W tej sprawie pan tu przyjechał? Kiedy to się stało, policja nawet nie chciała ze mną rozmawiać. Właściwie nie mieli powodu, bo tej nocy pracował mój syn. On też nie wiedział wiele... Czytał pan zresztą raport.

Nie zaprzeczyłem.

– Gdzie jest pański syn?

– Na Florydzie. Przyjechał z wizytą i wyręczył mnie, bo byłem niedysponowany – powiedział, dotykając jednej z butelek z lekarstwem. – Wrócił już do Tallahassee. Jeździ ciężarówką w firmie Anheuser-Busch. A więc o co chodzi?

– Uzupełniam informacje do akt – odparłem. – Czy syn mówił panu, kto zameldował panią Doss?

– Sama się zameldowała... Tchórz. Barnett powiedział, że nie wyglądała dobrze, z trudem trzymała się na nogach, ale przyszła sama, zapłaciła kartą. Zabraliście paragon. – Uśmiechnął się. – Różniła się od klientów, których przyjmujemy na co dzień.

– Jak to?

Jego śmiech wydobył się z głębi brzucha i zanim dotarł do gardła, mężczyzna zaczął kaszleć. Spazm trwał zbyt długo, był chorobliwy.

– Tylko niech pan nie udaje, że nie wie, o czym mówię – powiedział, ocierając usta wierzchem dłoni z dołkami.

Uśmiechnął się. Odpowiedziałem tym samym.

– Nie była biedna, nie była napalona na seks ani zalana – ciągnął z rozbawieniem. – Po prostu bogata tchórzliwa baba.

– Dlaczego tchórzliwa...

– Bóg wyznacza nam, ile lat mamy przeżyć, i nie wolno śmiać mu się twarz. Ona też taka była – dodał, wskazując gablotkę Marilyn Monroe. – Takie ciało, a ona zmarnowała je z politykami i innymi szumowinami. To bikini ma swoją wartość, ale nikt nie umie docenić imponderabiliów. Chyba kupię sobie komputer i umieszczę ogłoszenie w Internecie.

– Czy pański syn widział kogoś towarzyszącego pani Doss?

– Tak, ktoś siedział w samochodzie. Za kierownicą. Ale Barnett się nie przyglądał. Jeśli człowiek patrzy zbyt uważnie, traci klientów, tak jest?

– Tak jest. Czy był tu ktoś, kto mógł widzieć tę osobę?

– Może Maribel, sprzątaczką. Ona znalazła zwłoki. Przyszła o jedenastej w nocy, pracowała do siódmej. Prosiła o nocną zmianę, bo w dzień pracuje w Best Western w Palmdale. Ale już z nią przecież rozmawialiście. Nie powiedziała wiele, co?

– Rzeczywiście, była trochę... – potwierdziłem, wzruszając lekko ramionami.

– Niezdrowa, chce pan powiedzieć. W ciąży, lada dzień miała się rozsypać. Już kiedyś poroniła. Jak to zobaczyła... Nie mogła przestać płakać. Myślałem, że będziemy mieli program typu reality show na parking. Przyjmował pan kiedyś poród?

Potrząsnąłem głową.

– Ale dobrze się skończyło?

– Tak, urodziła chłopaka.



– Zdrowy?

– Na to wygląda.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

Wskazał za siebie zakrzywionym kciukiem.

– Tam, pod szóstką. Teraz pracuje w dzień. Wczoraj jakieś typy z długimi włosami urządziły sobie bibę w szóstce. Faceci z Nevady, płacili gotówką. Nie powinienem dawać klucza tym wieprzkom. Maribel nieźle się napracuje.

Podziękowałem i ruszyłem w stronę drzwi.

– Coś panu powiem – mruknął właściciel motelu.

Odwrociłem się.

– Mam tego „Playboya” z Monroe. Nie trzymam go w gablocie, bo jest zbyt cenny. Tanio sprzedam. Powiedz pan znajomym.

– Dobrze, powiem.

– Jasne.

Manbel okazała się młodą niską wążką dziewczyną w różowo-białym fartuchu, który pasował do czarnego parkingu i czerwonych drzwi jak pięść do nosa. Gumowe rękawiczki naciągnęła aż do łokci. Włosy upięła z tyłu, ale luźne kosmyki przykleiły się jej do czoła. W wózku pod drzwiami pokoju numer sześć piętrzyły się butelki płynów do mycia i postrzępionych ścierek. Z worka powieszono na boku wózka wystawały prześcieradła puste butelki i inne brudy. Poświęciła mojej odznace więcej uwagi niż szef.

– Z Los Angeles? – spytała z ledwo słyszalnym obcym akcentem. – Po co pan tu przyjechał?

– W sprawie kobiety, która się zabiła. Joannę Doss... Twarz dziewczyny ściągnęła się.

– Nie będę o tym rozmawiać.

– Doskonale panią rozumiem. I nie chcę, żeby przechodziła pani przez to wszystko jeszcze raz.

Oparła dłonie na biodrach.

– No to czego pan chce?

– Chodzi o to, co się działo przedtem. Czy pani Doss wychodziła z pokoju? Czy zamawiała jedzenie, drinki, zrobiła coś, co zwróciło pani uwagę?

– Nie, nic. Klienci weszli koło północy, już mówiłam. A potem ich zobaczyłam... Wie pan.

– Ich – powtórzyłem. – A więc były dwie osoby.

– Tak.

– Jak długo została ta druga osoba?

– Nie wiem. Jakiś czas. Siedziałam w recepcji, bo Barnett – syn Milona – chciał się zabawić, ale tak, żeby ojciec nie wiedział. Ale rano samochodu już nie było.

- Kim była ta druga osoba?
- Nie widziałam dokładnie.
- Proszę powiedzieć, co pani widziała.
- Nie zobaczyłam twarzy. – Oczy dziewczyny napęłniły się łzami. – To było obrzydliwe...

Nie można robić czegoś takiego...

- Przykro mi, Maribel. Proszę tylko powiedzieć, co pani widziała i dam pani spokój.
- Nie chcę nikogo pakować w kłopoty, nie chcę być w telewizji ani nic takiego.
- Nie będzie pani. Zaczęła ściągać rękawiczkę. Odezwała się po dłuższej chwili. I nagle wszystko stało się jasne.

Zwykła wełna. Znowu. Mój najlepszy garnitur, koszula w niebiesko-białe prążki, krawat z żółtym wzorem, błyszczące buty.

Mundur do sądu.

Pchnąłem podwójne drzwi prowadzące do dwunastego wydziału i wszedłem do środka. Posiedzenia sądu rodzinnego są przeważnie zamknięte, świadkowie czekają w korytarzu, ale tego ranka dopisało mi szczęście. Judy rozpatrywała wnioski dwóch prawników, którzy mówili całkiem rozsądnie, wyznaczała terminy przesłuchań, spierała się żartobliwie z woźnym Stickneyem.

Usiadłem w ostatnim rzędzie jako jedyny obserwator tego widowiska. Leonard Stickney zauważył mnie i udał, że salutuje.

Po chwili zauważyła mnie i szeroko otworzyła oczy. W czarnej todzie za stołem sędziowskim wyglądała władczo. Spojrzała na przedstawicieli stron i rzeczowym głosem nakazała im czegoś dopełnić w ciągu trzydziestu dni.

Czekałem. Dziesięć minut później odprawiła prawników, ogłosiła przerwę i skinęła ręką na Leonarda. Zakrywając mikrofon dłonią, szepnęła coś do woźnego, zeszła z podestu i zniknęła za drzwiami gabinetu.

Leonard podszedł do mnie.

– Doktorze, pani sędzia wzywa.

Łagodne oświetlenie, rzeźbione biurko i komoda, krzesła ze zbyt grubym obiciem, dyplomy i tabliczki na ścianach, zdjęcia rodzinne w srebrnych ramach.

Skupiłem się na jednej fotografii. Młodsza córka Judy, Becky. Ta, która straciła na wadze, potrzebowała psychoterapii, sama próbowała bawić się w psychoterapeutkę Stacy.

Ta sama, która brała korepetycje u Joannę. Której stopnie pogorszyły się drastycznie, gdy przestała brać lekcje.

Becky, która chudła, gdy Joannę przybierała na wadze. I zerwała kontakty ze Stacy.

Judy zdjęła togę i powiesiła na mahoniowym wieszaku. Miała na sobie żółty obcisły kostium wykończony piaskową koronką. Duże perłowe kolczyki, niewielka diamentowa broszka. Każdy jasny włos na swoim miejscu.

Błyszcząca fryzura.

Opadła na fotel. Większą część pokrytego skórą blatu biurka zajmowały błyszczące rzeczy. Ramki zdjęć, kryształowy wazon, zbiór maleńkich brązowych kotów, szklane przyciski do papieru, młotek z drewna kasztanowego z brązową blaszką na trzonku. Kościstymi palcami potarła przycisk do papieru.

– Alex, co za niespodzianka. Chyba nie mamy na wokandzie żadnej wspólnej rozprawy?

– Nie – odparłem. – I chyba już nie będziemy mieć. Zmrużyła oczy i spojrzała ponad moją głowę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo wiem.

– Co wiesz?

Milczałem. Nie podyktowała mi tego psychologiczna kalkulacja. Myślałem o tej chwili, wyobrażałem sobie, jak to będzie, ćwiczyłem pierwsze słowa, które powiem.

Wiem.

Ale reszta zaplanowanych słów uwięzła mi w krtani.

– To jakaś zagadka? – spytała Judy, próbując się uśmiechnąć. Ale zamiast tego tylko skrzywiła pomalowane szminką usta.

– Byłaś w motelu z Joannę. Ktoś cię widział. Ta osoba cię nie zna, ale podała twój rysopis.

Maribel zauważyła włosy, krótkie blond włosy.

Chuda, koścista kobieta, bez tyłka. Widziałam ją z tyłu, wsiadała do samochodu, kiedy ja wyszłam, żeby napełnić maszynkę do lodu.

Miała takie jasne, błyszczące włosy, naprawdę ładny kolor. Widziałam jak świecą, nawet kiedy była po drugiej stronie parkingu.

– Mate nie miał nic wspólnego ze śmiercią Joannę – powiedziałem. – Ty z nią pojechałaś.

Judy oparła się w fotelu.

– Głupstwa pleciesz, mój drogi.

– Można powiedzieć – ciągnąłem – że pomagałaś przyjaciółce. Joannę podjęła decyzję, potrzebowała kogoś, kto byłby przy niej do końca. Zawsze byłaś jej przyjaciółką. Ale ta przyjaźń się skończyła. Nie bez powodu.

Czekałem. Judy się nie poruszyła. Nagle powieka jej prawego oka zadrżała. Jeszcze bardziej odsunęła się od biurka.

– Zachowujesz się jak idiotyczny jasnowidz, który gada nic nie znaczące banały, licząc, że ktoś uznaje za mądrość. Chyba jesteś przemęczony. Za dużo pracujesz? Zawsze uważałam, że przesadzasz...

– To byłaby korzystna interpretacja tego, że pojechałaś z Joannę do Lancaster, ale niestety nie tłumaczy wszystkiego. Joannę postanowiła się zabić ze względu na poczucie winy, jakiś grzech, którego nie umiała sobie wybaczyć. Richard też jej nie przebaczył. Ani ty. Więc kiedy cię poprosiła, żebyś z nią pojechała, nie miałaś nic przeciwko temu, żeby zobaczyć, jak ze sobą skończy.

Judy zacisnęła usta i sięgnęła po młotek z brązową blaszką. Dostała go w nagrodę, podobnie

jak dyplomy wiszące na ścianach.

– Twoja obecność miała być częścią kary. Członków rodzin ofiary też często zaprasza się na egzekucję.

– To śmieszne – sarknęła Judy. – Nie wiem, co cię opętało... Wyjdź, proszę.

– Judy...

– Wyjdź w tej chwili albo zawołam Leonarda.

– Moje wyjście niczego nie zmieni. Ani dla ciebie, ani dla Becky. Czy Bob wie? Pewnie nie wszystko, bo wyraziłby swój gniew otwarcie i bez zwłoki. Nie czekałby. Ale jest o coś wściekły, więc chyba zna część prawdy.

Judy machnęła młotkiem.

– Alex, daję ci ostatnią szansę opuszczenia tego gabinetu...

– Joannę i Becky. Kiedy to się stało?

Uniosła się na krzesło i zamachnęła młotkiem. Drewno ześliznęło się po biurku, odskoczyło i uderzyło w przycisk do papieru, który spadł na podłogę. Szklany przedmiot stuknął głucho o dywan.

Żałosny dźwięk. Może właśnie to rozwiązało jej język, a może sama miała ochotę mówić.

Przycisnęła do piersi palce wygięte jak szpony. Jakby chciała wyrwać sobie serce. Nagle dłonie opadły i Judy osunęła się na krzesło. Włosy rozsypały się, oczy zwilgotniały, a usta drżały tak bardzo, że dopiero po chwili zdołała wypowiedzieć pierwsze słowa.

– Ty draniu – wykrztusiła. – Ty wstrętny draniu. Wołam Leonarda.

Ale nie zrobiła tego.

Siedzieliśmy, mierząc się wzrokiem. Staralem się patrzeć na nią ze współczuciem. Wcześniej powtarzałem sobie, że chcę dobrze, ale teraz przyszło mi do głowy, że tylko karmię swoją obsesję. Jeszcze chwila, a wyszedłbym z gabinetu. Ale Judy wstała pierwsza, podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Po chwili usiadła i spuściła wzrok.

Przypomniała mi o zasadzie poufności, powtórzyła ostrzeżenie. Obiecałem, że nikomu nic nie powiem.

Ale nawet wtedy mówiła w trybie przypuszczającym, tak jak kiedyś Richard. Z trudem powstrzymywała się, żeby mnie nie pobić.

– A gdyby to było twoje dziecko? – spytała. – Czemu właściwie nie masz dzieci? Zawsze chciałam cię o to spytać. Zajmujesz się dziećmi innych ludzi, ale nie masz swoich.

– Może kiedyś.

– Więc to nie jest sprawa fizyczna? Nie strzelasz ślepymi nabojami?

Uśmiechnąłem się.

– To arogancja, Alex. Pouczasz innych, jak wychowywać dzieci, a sam nie masz żadnego

doświadczenia.

– Być może.

– Jasne, przytakuj mi. Właśnie tego was uczą na uniwersytetach. Wiesz, że Becky chce zostać psychologiem? Co ty na to?

– Nie znam Becky, ale pochwałam to.

– Co pochwalasz? – spytała.

– Ludzie, którzy przeżyli głęboki kryzys psychiczny, umieją zdobyć się na szczególny rodzaj empatii.

– Naprawdę?

– Czasami dzieje się inaczej. Nie znam Becky.

– Becky jest cudowną osobą. Gdybyś zdobył się na to, żeby mieć dzieci, może zrozumiałbyś, o czym mówię.

– Pewnie masz rację. Mówię całkowicie serio.

– Wyobraź sobie – mówiła Judy, jakby myśląc na głos – nosisz tę istotę w sobie przez dziewięć miesięcy, twoje ciało pęka, kiedy wypychasz ją na świat, i dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa praca... Czy wiesz, co to znaczy wychować dziecko w tym zurbanizowanym, przejadającym się, tarzającym się w nadmiarze światła, który stworzyliśmy? Wiesz?

Milczałam.

– Wyobraź sobie: przechodzisz przez to wszystko, karmisz dziecko własnym ciałem, zrywasz się w środku nocy, podcierasz tyłek, znosisz kaprysy i wybuchy hysterii, uczysz dobrych manier, pomagasz przetrwać dojrzewanie, a wtedy ktoś się zjawia i niszczy to wszystko w ciągu sekundy.

Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić wzdłuż biurka.

– Niczego ci nie mówię, a nawet gdybym powiedziała, nie mógłbyś powtórzyć słowa. Wierz mi, jeśli usłyszysz, że pisałeś o tym, nawet swojej żonie, zrobię wszystko, żeby pozbawić cię prawa wykonywania zawodu.

Przemaszerowała szerokość gabinetu.

– Wyobraź sobie, doktorze: zrobiłeś to wszystko dla tej ludzkiej istoty i powierzasz ją komuś, kogo zna od urodzenia. Komuś, komu wyświadczyłeś niejedną przysługę. O co prosisz? O korepetycje, głupie korepetycje, bo dziecko jest bystre, ale liczby to liczby. Chodzi o matematykę, nic więcej. Nagle wchodzisz i widzisz tę osobę, twój skarb, który ukształtowałeś, strzaskany koło basenu, koło cholernego basenu. Gdzie te korepetycje? Gdzie książki do matematyki? Mokną na brzegu basenu koło kostiumów kąpielowych... A one... Uznałbyś, że wszystko jest w porządku, tak? Nic byś nie zrobił?

– Czy to był pierwszy raz? – spytałem.

– Joannę twierdziła, że tak... Becky też, ale obie kłamały. Nie winię Becky o to kłamstwo, wstydziła się, ale wiedziałam, że to nie był pierwszy raz. Wtedy wszystko rozumiałam.

Dziewczynka, która mówiła mi wszystko, nagle po skończeniu szesnastu lat, kiedy zaczęła brać korepetycje, przestała mówić. Wybuchła płaczem bez powodu, wychodziła z domu, nie mówiąc dokąd, jej stopnie pogorszyły się mimo korepetycji... Ona miała szesnaście lat, a ta suka ją gwałciła! To mogło trwać latami!

– Czy później rozmawiałaś o tym z Becky?

– Nie było sensu. Jej rany powinny się zagoić. Nie mogłam przypominać jej wstydu.

Nadal krążyła po gabinecie.

– Tylko nie próbuj mnie ganić. Znam prawo, ale nie zgłosiłam tego tak zwanym organom ścigania. Co by to dało? Prawo to osioł. Wiem o tym, bo słyszę, jak ryczy każdego dnia w sali sądowej.

– A Bob?

– Bob nienawidził Joannę, bo uważał, że odmówiła uczenia Becky i przez to dziewczyna oblała matkę i nie dostała się do dobrej uczelni. Gdybym mu powiedziała, Joannę byłaby trupem wcześniej, a tylko tego mi brakowało, żeby zniszczyła całą rodzinę.

– Ale powiedziałaś Richardowi – zauważyłem.

– Richard to człowiek czynu.

Co oznaczało: Richard ukarze żonę. Pozbędzie się jej raz na zawsze.

– Joannę była kobietą czynu. Kiedy już zapadł wyrok, sama przeprowadziła egzekucję – dodałem.

Zabijając się stopniowo. Pogarda ze strony Richarda zrobiła swoje – wyklął żonę, dał jej odczuć, że nie ma dla niej nic prócz pogardy. Zagroził, że powie dzieciom.

Ale było w tym coś jeszcze. Joannę opychała się jak gęś karmiona siłą. Tyła, bo Becky traciła na wadze.

Joannę pogardzała sobą.

Stacy, która rzekomo sprawiała najwięcej problemów w rodzinie, nie została wtajemniczona. Eryk prawdopodobnie wiedział więcej, to on zrezygnował z semestru nauki w szkole, żeby opiekować się matką. Co powiedziała mu Joannę? Nie wyjawiała istoty swojego grzechu, dała tylko do zrozumienia, że zrobiła coś, czego ojciec nie może jej przebaczyć...

– W końcu coś się suce udało, niech ją szlag – stwierdziła Judy.

– Chciała, żebyś przy tym była. To przecież ostatnia próba zadośćuczynienia.

Judy wzruszyła ramionami. Przesunęła palcem po wargach.

– Idź już, Alex. Naprawdę.

Wstałem i podszedłem do drzwi.

– Mimo krzywdy, którą Joannę wyrządziła twojej rodzinie, chciałaś pomóc jej dzieciom. Właśnie dlatego skierowałaś do mnie Stacy.

– Sędziowie też popełniają błędy.

– Kto jeszcze o tym wie? – spytałem.

– Nikt.

– Nawet terapeuta Becky?

– Uznałyśmy z Becky, że może sobie pomóc, nie wchodząc w to. Nie mów mi, że się pomyliłam, bo to nieprawda. Z Becky wszystko w porządku. Dostanie się na państwową uczelnię, będzie studiować psychologię. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Becky będzie czerpać siłę z tego, co się stało, będzie zdolna do większej empatii. Zostanie wspaniałym psychologiem.

Odwróciłem się.

– Ale ty o niczym nie wiesz, Alex. Tej rozmowy nigdy nie było.

Położyłem dłoń na klawce.

– Miałaś rację – powiedziała. – Nie chcę cię więcej widzieć ani o tobie słyszeć.



Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem zadzwoniłem do kwatery FBI w budynku administracji federalnej i spytałem o agentkę Mary Donovan. Nie liczyłem na to, że ją usłyszę. Połączono mnie natychmiast.

- Witam, doktorze. Co mogę dla pana zrobić?
- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy poszukiwania doktora Fusco zakończyły się sukcesem.
- Co pan rozumie przez sukces?
- Znalezienie go, udzielenie pomocy.
- Mówi pan poważnie?
- O czym?
- O pomaganiu. Czy my prowadzimy szpital?
- Zawsze istnieje coś takiego jak solidarność koleżeńska. I szacunek za to, co kiedyś robił.

Nie znaleźliście go?

Dłuższa chwila ciszy.

– Odebrałam pański telefon, bo myślałam, że zmienił pan swój stosunek, ale to jest strata czasu.

- Stosunek do czego?
- Do pomocy w odszukaniu doktora Fusco.
- Pomocy? Czy ja prowadzę szpital? Cisza.
- Rozumiem, że usłyszałem już odpowiedź na swoje pytanie.
- Miłego dnia, doktorze. Stuknięcie widełek.

Przez chwilę trzymałem w dłoni słuchawkę. Przypomniałem sobie, jak Alice Zoghbie skarżyła się, że sprawdzają urząd skarbowy, bo komuś ważnemu utarła nosa. Pewnie kłamała, żeby nas spławić i przyjąć Haiseldena.

Ale nigdy nie wiadomo.

Tydzień przed świętami zadzwoniła Stacy. – Przepraszam – zaczęła. – Zachowałam się niegrzecznie, nie odpowiadając na pański telefon, ale miałam tyle zajęć...

– Nie szkodzi. Co słychać?

– Wszystko dobrze. Dobrze mi poszło kilka egzaminów, właśnie się dowiedziałam, że przyjęli mnie przed terminem do Cornell. Wiem, że to daleko i czasem strasznie tam zimno, ale chcę studiować weterynarię, a w Cornell jest taki wydział.

– Gratuluję, Stacy.

– Architektura wydała mi się zbyt... bezosobowa. W każdym razie, dziękuję za pomoc. To wszystko.

– Jak się miewa Eryk?

– Dobrze. Tata też, ciągle zajęty. Nie podoba mu się, że musi się spotykać z kuratorem, ciągle narzeka, ale powinien się uważać za szczęściarza, prawda? Eryk zmienił kierunek. Chce być psychologiem. Więc może wywarł pan na niego jakiś wpływ... Przykro mi, że tak pana potraktował.

– W porządku.

Stacy roześmiała się.

– On też mówi, że znoszenie zniewag to część pańskiej pracy. Poczucie winy nie odgrywa w życiu Eryka dużej roli.

– Aha – przytaknąłem, wiedząc, jak bardzo się myli.

– Słyszał pan o państwie Manitow? – spytała Stacy.

– Co mianowicie?

– Wystawili dom na sprzedaż i wyprowadzili się z Palisades. Wynajmują dom w La Jolla. Sędzia Manitow odeszła z sądu, a jej mąż szuka pracy gdzie indziej.

– Nie wiedziałem.

– Bo nie chwalili się tym zbyt. Któregoś dnia widziałam, jak doktor Manitow wyjeżdża do pracy, a następnego na bramie domu wisiała tabliczka, a państwo Manitow się wyprowadzili. Becky też. Będzie chodzić do jakiegoś studium w San Diego. Wszyscy jak najszybciej chcą się wynieść od rodziców, a ona się ich trzyma. Ktoś mi powiedział, że Becky musi być blisko domu.

– Niektórzy rzeczywiście tego potrzebują – powiedziałem.

– Chyba tak. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Może kiedy zdobędę już dyplom, będę miała okazję zająć się pańskim ślicznym buldogiem. W ten sposób mogłabym spłacić dług.

– Może.

– Byłoby fajnie – roześmiała się.